

# ROBERT CRAIS



ZAKŁADNIK

Świat Książki

# CRAIGS

ROBERT

## ZAKŁADNIK

Z. angielskiego przełożył  
*Andrzej Leszczyński*



Świat Książki



*Dla Franka, Toniego, Giny, Chrisa i Normy;  
i dla Jacka Hughesa, dzięki któremu  
nasze życie stało się bogatsze.  
Za dwadzieścia lat przyjaźni i śmiechu,  
nawet jeśli bywa pusty.*

## PROLOG

Mężczyzna zamierzał się zabić. Kiedy wyrzucił telefon przez okno, miało to znaczyć, że pogodził się ze śmiercią. Po sześciu latach służby na stanowisku negocjatora w brygadzie antyterrorystycznej komendy głównej policji w Los Angeles sierżant Jeff Talley świetnie wiedział, że ludzie w sytuacjach krańcowych często posługują się symbolami. To przesłanie było jasne: Koniec gadania. Dlatego Talley bał się, że mężczyzna albo popełni samobójstwo, albo zmusi policję do tego, by go zabiła. Nazywali to samobójstwem przez gliniarzy. Co gorsza, był przeświadczony, że to jego wina.

- Znaleźli wreszcie jego żonę?

- Jeszcze nie. Wciąż szukają.

- Nic nam nie przyjdzie z szukania, Murray. Po tym, co się stało, muszę temu facetowi zaproponować coś konkretnego.

- Przecież to nie twoja wina.

- Owszem, moja. Spieprzyłem sprawę, a on teraz stoi nad przepaścią.

Talley kucnął za opancerzonym wozem dowodzenia obok dowódcy brygady, porucznika Murraya Leifitza, będącego jednocześnie nadzorcą zespołu negocjacyjnego. Z tego miejsca rozmawiał wcześniej z George'em Donaldem Malikiem przez telefon podłączony bezpośrednio do linii prowadzącej do domu. Teraz, gdy Malik wyrzucił aparat przez okno, mógł tylko skorzystać z megafonu albo zmierzyć się z facetem oko w oko. Nie znosił megafonów, bo sprawiały, że głos nabierał chrapliwego, nieludzkiego brzmienia, utrudniając utrzymanie kontaktu. A w tej robocie zachowanie bliskiego kontaktu było szczególnie istotne, wszystko zależało od iluzji wzajemnego zaufania. Dlatego zaczął dopinać kamizelkę kuloodporną.

- Zabiję tego psa! - wrzasnął Malik spiętym piskliwym głosem przez wybite okno. - Naprawdę go zabiję!

Leifitz odchylił się w bok i ponad ramieniem Talleya spojrział na dom. Gospodarz po raz pierwszy powiedział coś o psie.

- Co jest, do cholery? On ma tam jakiegoś psa?

- Skąd mam wiedzieć? Przede wszystkim muszę się postarać, by go uspokoić, jasne? Wypytajcie sąsiadów o psa. Chcę znać jego imię.

- Jeśli facet przegnie, od razu tam wpadamy, Jeff. Nie ma innego wyjścia.

- Na razie zachowaj spokój i dowiedz się o imię tego psa.

Leifitz, pochylony, wycofał się z za wozu, żeby porozmawiać z sąsiadami.

George Malik był bezrobotnym malarzem pokojowym, który miał duży dług na bankowym koncie kredytowym, niewierną żonę chwającą się swoimi romansami i raka prostaty. Czternaście godzin wcześniej, o drugiej dwadzieścia w nocy, oddał pojedynczy strzał nad głowami policjantów z patrolu wezwanego przez sąsiadów zaniepokojonych hałasami. Później zabarykadował się w domu i zaczął grozić, że się zabije, jeśli żona nie zgodzi się z nim porozmawiać. Gliniarze zabezpieczający teren dowiedzieli się od sąsiadów, że żona Malika, Elena, wcześniej wyszła z domu, zabierając ze sobą dziewięcioletniego jedynaka o imieniu Brendan. Chłopcy z wydziału porządkowego już jej szukali, ale powtarzane coraz częściej groźby Malika uświadomiły Talleyowi, że facet znalazł się na krawędzi załamania nerwowego. Dlatego mu powiedział, że już odnaleźli żonę. To był jego błąd. Naruszył jedną z podstawowych zasad negocjacji. Skłamał i został przyłapany na kłamstwie. Złożył obietnicę, której nie był w stanie spełnić, co zniszczyło budowaną od pewnego czasu iluzję zaufania. Od tamtej pory minęły już dwie godziny, a według ostatnich meldunków wciąż nie można było odnaleźć żony Malika.

- Do cholery! Zabiję tego pieprzonego psa! To jej przeklęty kundel i strzelę temu sukinsynowi prosto w łeb, jeśli ona zaraz nie zacznie ze mną rozmawiać!

Talley wyszedł z za wozu opancerzonego. Tkwił na posterunku już od jedenastu godzin. Wszystko lepilo mu się do spoconego ciała, w głowie boleśnie pulsowało, a w żołądku czuł kurcze od nadmiaru kawy i zdenerwowania. Starając się zachować obojętne, najwyżej lekko zatroskane brzmienie głosu, zawołał:

- George! To ja, Jeff! Nie strzelaj do psa, dobrze?! Nie chcielibyśmy usłyszeć wystrzału!

- Kłamałeś! Obiecałeś, że żona ze mną porozmawia!

Niewielki otynkowany dom był pomalowany na brudnordzawo. Wejście ocieniał małeńki ganek, po obu jego stronach znajdowały się dwa okna. Drzwi były zamknięte na klucz, a zasłony szczelnie zasunięte. Szyba w oknie po lewej została wybita telefonem. Dwa metry na prawo od ganka kucalo pod ścianą pięciu ludzi z grupy szturmowej czekających na rozkaz wyważenia drzwi. Znajdującego się w środku Malika nie było stąd widać.

- Posłuchaj, George! Dostałem meldunek, że odnaleźli twoją żonę, dlatego chcę teraz wyjaśnić, że się myliłem. Jest trochę zamieszania i z tego powodu ktoś przekazał mi nieprawdziwą wiadomość. Nadal jej szukamy i jak tylko się znajdzie, zmusimy ją, by z tobą porozmawiała.

- Okłamałeś mnie wcześniej, draniu, więc teraz pewnie też kłamiesz. Będziecie ochraniać tę sukę i w ogóle mnie do niej nie dopuścicie. Dlatego zamierzam zastrzelić jej psa, a potem palnąć sobie w łeb.

Talley nie odpowiedział od razu. Musiał sprawiać wrażenie spokojnego i stwarzać Malikowi jak najwięcej okazji do tego, by ten odzyskał panowanie nad sobą. Ludzie uwalniają się od stresu w trakcie rozmowy. Wciąż istniała szansa, że mężczyzna się pozbiera, przynajmniej do pewnego stopnia, a wtedy razem zdołają pokonać najgorsze.

- Nie strzelaj do psa, George. Niezależnie od tego, co poróżniło cię z żoną, nie ma sensu wyżywać się na zwierzęciu. To przecież także twój pies, prawda?

- Sam już nie wiem, czyj to pieprzony kundel. Okłamywała mnie we wszystkim, więc mogła także okłamać co do psa. Była urodzonym łgarzem. Tak jak ty.

- Uspokój się, George. Pomyliłem się, ale cię nie okłamałem. Popełniłem błąd. Łgarz nigdy by się do tego nie przyznał, a ja chcę być z tobą szczerzy. Też mam psa. Jakiej rasy jest twój?

- Nie wierzę ci. Dobrze wiecie, gdzie ona jest, i jeśli nie zmusicie jej, żeby ze mną porozmawiała, zastrzelę tego kundla.

Ludzie potrafią się pogrążyć w mrocznej otchłani desperacji tak głęboko, że byle co może ich zmiążdżyć niczym ciśnienie wody na dnie oceanu. Talley potrafił z doświadczenia wyczuć poziom napięcia w głosie człowieka i teraz pojął, że Malik w każdej chwili może się załamać.

- Nie poddawaj się, George. Jestem pewien, że żona z tobą porozmawia.

- Więc dlaczego wciąż nie chce otworzyć pyska? Dlaczego ta suka nie chce mi nic powiedzieć, przecież niczego więcej już od niej nie chcę!

- Zajmiemy się tym.

- No! Powiedz coś, do cholery!

- Przecież powiedziałem, że się tym zajmiemy.

- Powiedz coś, bo inaczej zastrzelę tego przekłętego kundla!

Talley wziął głębszy oddech, czując się coraz bardziej niepewnie. Mówił jasno, prostymi zdaniami, lecz Malik reagował tak, jakby go w ogóle nie słyszał. Rysowała się realna groźba, że przekroczył granicę załamania psychicznego i popadł w obłąd.

- Nie widzę cię, George. Podejdz do okna, żebym mógł cię zobaczyć.

- Przestań się na mnie gapić!

- George, proszę, podejdz do okna.

Kątem oka zauważył, że Leifitz wrócił na posterunek za osłoną wozu opancerzonego, stojącego blisko, nie dalej niż trzy metry od wejścia do domu. Postanowił jednak zostać na odkrytej przestrzeni.

Obejrzał się i zapytał szeptem:

- Jak się nazywa ten pies?

Porucznik pokręcił głową.

- Sąsiedzi mówią, że nie ma żadnego psa.

- Natychmiast otwórz tę pieprzoną gębę albo zastrzelę kundla!!!

Pulsowanie w głowie Talleya nagle przybrało na sile, a po plecach spłynął mu strumyk zimnego potu. Uświadomił sobie, że iluzja zaufania działa w obie strony. Policjanci z wydziału porządkowego nigdzie nie znaleźli żony Malika, ponieważ była w domu. Sąsiedzi musieli się pomylić. Od samego początku była w domu. Razem z synkiem.

- Murray! Ruszajcie!

Jeszcze nie przebrzmiał jego okrzyk, gdy ze środka domu doleciał głośny huk. Drugi wystrzał padł, gdy pięciu ludzi z grupy szturmowej skoczyło do drzwi.

Talley rzucił się do wejścia. Później w ogóle nie mógł sobie przypomnieć, jak wskoczył na ganek i wpadł do środka. Malik leżał bezwładnie na brzuchu, gliniarze skuwali mu kajdankami ręce na plecach, chociaż był już chyba martwy. Jego żona leżała z rozrzuconymi rękami na kanapie, tak jak padła, zastrzelona czternaście godzin wcześniej. Dwaj funkcjonariusze próbowali bezskutecznie zatamować gejzer krwi tryskający z rozszarpanej tętnicy szyjnej dziewięcioletniego synka Malika. Któryś krzykiem przywoływał sanitariuszy. Chłopiec miał szeroko rozwarte oczy i w panice rozglądał się po pokoju, jakby usiłował zrozumieć przyczynę całego zamieszania. Spazmatycznie otwierał i zamykał usta. Jego błyskawicznie bielejąca cera stawała się szklista. Wreszcie odnalazł wzrokiem Talleya, który przyklęknął przy kanapie i położył

dłoń na jego nodze. Wbijał w twarz chłopca nieruchome spojrzenie, bojąc się nawet zamrużyć. Czuł, że jest mu to winien w chwili nieuchronnej śmierci.

Po jakimś czasie wyszedł przed dom i usiadł na ganku. W głowie mu szumiało, jakby był pijany. Na ulicy policjanci biegali między samochodami. W zadumie przypalił papierosa, odtwarzając w pamięci zdarzenia z tych jedenastu godzin i szukając wśród nich jakiegoś klucza, który pozwoliłby mu wcześniej domyślić się prawdy. Ale nie znalazł. Może w ogóle go nie było? Nie potrafił w to uwierzyć. Zawalił sprawę. Popęłił wiele błędów. Chłopak przez cały czas był w pokoju, zwinięty w kłębek u stóp zabitej matki niczym, wierny i oddany pies.

Murray Leifitz położył mu dłoń na ramieniu i kazał wracać do domu.

Jeff Talley pracował w brygadzie antyterrorystycznej od trzynastu lat, od sześciu był negocjatorem w Zespole Nagłych Sytuacji Kryzysowych. To było jego trzecie poważne zadanie w ciągu ostatnich pięciu dni.

Próbował przywołać z pamięci widok wytrzeszczonych oczu chłopca, ale nie wiedział, czy były piwne, czy niebieskie.

Zdusił niedopałek, wrócił do swojego samochodu i pojechał do domu. Sam miał jedenastoletnią córeczkę, Amandę. I gdy teraz zapragnął w wyobraźni zobaczyć jej oczy, także nie mógł sobie przypomnieć ich koloru. Aż się przestraszył, że nagle straciło to dla niego znaczenie.



**Część pierwsza**

**SAD AWOKADO**

*Bristo Camino, Kalifornia*

*Piątek, 14.47*

DENNIS ROONEY

Z nieba lał się prawdziwie pustynny żar, który w miasteczkach otaczających od północy Los Angeles do tego stopnia wysusza powietrze, że człowiek ma wrażenie, jakby oddychał piaskiem. Odkrytą skórę słońce paliło żywym ogniem. Kupili sobie po hamburgerze w barze dla zmotoryzowanych In-N-Out i pojechali dalej czerwonym półciężarowym nissanem, którego Dennis kupił za sześćset dolarów od poznanego na budowie Boliwijczyka na dwa tygodnie przed aresztowaniem. Sam prowadził. Miał dwadzieścia dwa lata, jedenaście dni wcześniej wyszedł z poprawczaka Antelope Valley nazywanego przez wychowanków Mrówczą Farmą. Jego młodszy brat, Kevin, siedział pośrodku, a miejsce przy prawych drzwiach zajmował chłopak o imieniu Mars. Dennis znał go zaledwie od czterech dni.

Znacznie później, gdy usiłował zrozumieć motywy swojego postępowania, doszedł do wniosku, że to wcale nie ten dokuczliwy upał pchnął go na drogę zbrodni. Sprawił to lęk. Strach przed tym, że miją go coś niezwykłego, co jest mu pisane, a co bezpowrotnie znika za kolejnym zakrętem życia, coś, za co warto zapłacić nawet wysoką cenę.

Dlatego zdecydował, że powinni obrabować sklep.

- Już wiem. Obrobimy ten zasrany minimarket na drugim końcu Bristo, gdzie odchodzi droga do Santa Clarita.

- Myślałem, że jedziemy do kina - mruknął Kevin.

Jak zawsze miał minę cykora, grube brwi stykające się prawie na środku zmarszczonego czoła, wywalone gały, blade rozdygotane wargi gówniarza. W dreszczowcu swojego życia Dennis widział się w roli bohaterskiego samotnika, z którym wszystkie pomponiary chciały się bzykać, a swego brata, niemogącego się z nim równać, w roli szurniętego na punkcie komputerów słabeusza.

- To lepszy pomysł, gnojku. Później pojedziemy do kina.

- Jezus. Możesz przez to wrócić na Farmę, Dennis. Chcesz tam wracać?

Dennis pstryknął niedopałek za okno, nie zwracając uwagi, że pęd powietrza wepchnął snop iskier i popiół z powrotem do środka, po czym przejrzał się w bocznym lusterku nissana. Według własnej oceny miał głęboko osadzone marzycielskie oczy w kolorze chmury burzowej, pociągłą twarz o dramatycznych rysach i zmysłowe usta. Patrząc na swoje odbicie, co robił bardzo często, myślał, że jest tylko kwestią czasu, gdy napotka przeznaczenie, kiedy objawi mu się ten niezwykle, pisany mu los i będzie mógł rzucić kiepsko płatną dorywczą robotę oraz ciasne zagracone mieszkanko, które dzielił z tchórzliwym braciszkiem.

Poprawił wetknięty za pasek automatyczny pistolet kalibru 8,13 milimetra, wychylił się i popatrzył na Marsa.

- Co o tym myślisz, koleś?

Mars był potężnie zbudowany, w barach szeroki tak samo, jak i w tyłku. Na tyle wygolonej na gładko czaszki nosił tatuaż z napisem: SPAL TO. Poznali się na budowie, gdzie Dennis z Kevinem po całych dniach szykowali zaprawę murarską. Nawet nie znał jego nazwiska. Nie przyszło mu do głowy, żeby o to zapytać.

- Kolego? Co o tym myślisz?

- Myślę, że się zobaczy.

To wystarczyło.

Minimarket mieścił się przy Flanders Road, wiejskim bulwarze, od którego odchodziły drogi do kilku bogatych podmiejskich osiedli. W betonowym bunkrze stojącym za tyralierą czterech dystrybutorów paliwa na masywnym cokole można było kupić artykuły spożywcze, kosmetyki, napoje, alkohole i podstawowy sprzęt gospodarstwa domowego. Dennis skręcił na tyły budynku, żeby sprzedawca nie widział samochodu. Kiedy redukował biegi, rozległ się głośny zgrzyt. Skrzynia nadawała się na złom.

- Tylko popatrz, chłopie. To zasrane miejsce jest jak wymarłe. Dla nas idealne.

- Daj spokój, Dennis. To głupota. Złapią nas.

- Chcę tylko wejść i się rozejrzeć, nic poza tym. Więc na razie jeszcze nie lej w gacie.

Parking świecił pustkami, tylko przy dystrybutorze stał czarny beemer, a przed wejściem do sklepu dwa rowery. Dennisowi serce waliło jak młotem, koszulka lepiała się pod pachami mimo koszarnej spiekoty natychmiast wysuszającej gardło. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale był zdenerwowany. Krótco po wyjściu z Farmy nie zamierzał tam wracać, lecz nie widział żadnego zagrożenia, wszystko musiało pójść jak z płatka. Czuł się tak, jakby ogarnęła go nagła niewytłumaczalna potrzeba działania, nawet nie było sensu się jej opierać.

Kiedy wszedł do środka, owionęło go chłodne powietrze. Dwójka szczeniaków kucąca przed stojakiem z czasopismami tuż przy drzwiach. Za ladą kręcił się spasiony Chińczyk, tak niski, że nad blat wystawał tylko czubek głowy, jakby żaba udawała łódź podwodną w błotnistej kałuży.

Przez środek sklepu ciągnęły się dwa rzędy regałów, lada chłodnicza pod ścianą była wypakowana piwem, jogurtami i butelkami coli. Dennisa obleciał strach, przyszło mu do głowy, żeby natychmiast wracać i powiedzieć Marsowi i Kevinowi, że na zapleczu siedzi cała banda Chińczyków, przez co muszą zrezygnować z napadu. Nie zrobił tego jednak. Podszedł do lady chłodniczej, po czym skręcił i dotarł aż na koniec sklepu, upewniając się, że nikogo więcej tam nie ma. A serce waliło mu tak mocno, ponieważ był już pewien, że to zrobi. Naprawdę zamierzał obrobić ten cholerny sklep. Kiedy wyszedł na parking, beemer właśnie odjeżdżał sprzed dystrybutora. Podszedł do prawych drzwi wozu, od strony Marsa.

- Nikogo nie ma oprócz dwóch szczeniaków i Chińczyka za ladą, małego grubasa.

- To Koreańczyk - wtrącił Kevin.

- Co?

- Według tablicy to Minimarket Kima, a Kim to imię koreańskie.

Cały Kevin. Zawsze wyskakiwał z czymś podobnym. Dennis miał ochotę sięgnąć w głąb szoferki i zdzielić gówniarza po łbie. Ale opanował się i podciągnął brzeg koszulki, pokazując błyszczącą kolbę pistoletu.

- Kogo to obchodzi, Kevin? Chińczyk i tak zesra się w gacie, jak to zobaczy. Nawet nie będę musiał wyciągać gnata. Wystarczy pół minuty i pojedziemy dalej. Poleci się umyć, zanim wezwie gliny.

Kevin się skrzywił, jeszcze bardziej robiąc minę cykora, a jego oczy zatańczyły na boki jak fasolki podskakujące na rozgrzanym oleju.

- Dennis, proszę. Ile możesz stąd zgarnąć? Parę setek? Jezu. Lepiej jedźmy do kina.

Dennisowi przemknęło przez myśl, że może nawet wskoczyłby z powrotem za kierownicę, gdyby z Kevina nie był taki przekłety płaczek. Jego tchórzliwe odzywki i żalosne jęki zawsze przyprawiały go o wściekłość.

Mars uważnie im się przyglądał i Dennis poczuł, że mimo woli się czerwieni, jakby został poddany ciężkiej próbie. Jeszcze na budowie zwałisty olbrzym zwrócił jego uwagę tym, że zawsze milczący, jak gdyby skupiony, obserwował wszystko ze spokojem i kamiennym wyrazem twarzy. Musiał szacować każdego, z kim się stykał. Podobną minę miał wtedy, gdy dwóch Meksykanów zaczęło się z nim wyklócać o to, że dorzucił za mało forsy do wspólnego zakupu *tamales*<sup>1</sup> na drugie śniadanie - jak gdyby nie uczestniczył w sporze, lecz był ponad nim i z wyżyn swego intelektu mógł jednym spojrzeniem przeniknąć tamtych na wylot, dowiedzieć się, czy lali jeszcze w łóżko, mając pięć lat, albo walili konia, gdy byli sami. Potem uśmiechał się pobłaźliwie, chcąc dać do zrozumienia, że naprawdę wie wszystko nie tylko o nich, ale również o ich cholernych *tamales*. Czasami trudno było zdzierżyć tę jego niewzruszoną minę, ale sądził chyba, że pomysły Dennisa nie są takie złe, bo najczęściej je akceptował. Kiedy spotkali się po raz pierwszy cztery dni temu, Dennis poczuł, że wreszcie trzyma przeznaczenie we własnych rękach, bo miał teraz Marsa, naładowanego jakimś dziwnym elektrycznym potencjałem, gotowego wypełnić każde jego polecenie.

- Poradzimy sobie sami, Mars. Obrobimy ten pieprzony sklep.

Olbrzym wygramolił się z szoferki, spokojny, jakby palące słońce ani trochę mu nie przeszkadzało.

- No to do roboty.

Kevin nie ruszył się z miejsca. Dwaj gówniarze wsiedli na rowery i odjechali.

- Nikogo tam nie ma, Kevin! Wystarczy, że staniesz na straży przy drzwiach. Ten kutas sam nam odda całą gotówkę. Na pewno sklep jest ubezpieczony, więc nie będzie się opierał. Przestraszy się, żeby nie wypieprzyli go z roboty.

---

<sup>1</sup> Potrawa meksykańska, rodzaj naleśnika z mąki kukurydzianej z mięsnym nadzieniem, duszonego w zielonym liściu kukurydzy.

Chwycił brata za koszulkę na piersi, zgniatając w garści wielki emblemat lemonheadsów<sup>2</sup>. Na miłość boską, jak ten szczeniak mógł jeszcze paradować w czymś takim?! Obejrzał się na Marsa, który był już w połowie drogi do sklepu.

- Wyłaż z wozu, durniu, bo wszystko nam spieprzysz.

Kevin spuścił głowę i zsunął się z fotela jak bezradne dziecko.

JUNIOR KIM

MINIMARKET KIMA

Junior Kim na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać zbliżające się kłopoty.

Był w drugim pokoleniu Amerykaninem pochodzenia koreańskiego i miał za sobą szesnaście lat spędzonych za ladą minimarketu w centrum Newton na obrzeżach Los Angeles. Właśnie tam, w Strzelniczym Newton, jak nazywali je gliniarze z pobliskiej metropolii, Juniora bito, duszono, cięto nożem, okładano pałką, strzelano do niego i rabowano w sumie czterdzieści trzy razy. W końcu miał tego dość. Po szesnastu latach udręki wraz z żoną, szóstką dzieci, rodzicami i teściami przeniósł się bliżej Los Angeles, tego gigantycznego kotła do stapiania wszelkich możliwych kultur, i osiadł na północnym skraju znacznie bezpieczniejszej, wielkiej podmiejskiej sypialni.

Nie był naiwniakiem. Prowadzony przez niego sklep przy automatycznej stacji benzynowej siłą rzeczy wabił złoczyńców jak zepsute mięso przyciąga muchy. Nawet tu, w Bristo Camino, często trafiali się drobni złodzieje (głównie nastolatki, choć nie brakowało też biznesmenów w eleganckich garniturach), tapeciarki obklejające szyby (wyłącznie kobiety), oszustki wciskające podrobione banknoty (przywożone tu z miasta przez sutenerów) i oczywiście pijacy (zwykle agresywni biali, od których cuchnęło ginem). W porównaniu z Los Angeles były to same płotki, ale życie nauczyło Juniora ostrożności. Po szesnastu latach srogich wielkomiejskich lekcji stałe trzymał pod ladą swoje „małe coś” na wypadek spotkania z kimś wymykającym się spod kontroli.

---

<sup>2</sup> Popularne w USA witaminizowane dropy cytrynowe.

Kiedy tego piątkowego popołudnia do sklepu weszło trzech podejrzanych typków, Junior pochylił się szybko, oparł brzuchem o kant lady, żeby ukryć przed nimi obie ręce.

- Czym mogę służyć?

Drobny chudzielec w T-shircie z emblematem lemonheadsów został przy drzwiach. Starszy chłopak w wyblakłej czarnej koszulce i olbrzym z wygoloną głową ruszyli w jego kierunku. Idący przodem szybko zadarł koszulkę, pokazując czarną kolbę wetkniętego za pasek pistoletu.

- Dwie paczki marlboro dla mojego przyjaciela i całą gotówkę, jaką masz w tym pudle, pierdolony żółtku.

Junior Kim naprawdę potrafił wyczuć kłopoty na kilometr.

Z obojętną miną wymacał pod kontuarem swojego dziewięćmilimetrowego glocka. Ledwie zdążył jednak zacisnąć palce na kolbie broni, gdy chłopak rzucił się na niego przez ladę. Zaskoczony Junior zdołał się tylko wyprostować i unieść nieco pistolet, gdy bandzior w czarnej koszulce wpadł na niego z impetem. Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy i nie zdążył nawet odbezpieczyć broni.

- On ma pistolet! - wrzasnął olbrzym.

Wszystko stało się tak szybko, że Junior nie miał szansy, by rozpatrzeć się w sytuacji. Bandzior zapomniał o swoim pistolecie i skupił się na próbie wykręcenia mu ręki. Olbrzym sięgnął przez ladę i zacisnął palce na glocku. Juniora ogarnęło takie przerażenie, jakiego nie czuł jeszcze nigdy, nawet gdy był zmuszony sięgnąć po broń. Pojął, że jeśli nie zdoła odbezpieczyć pistoletu, zanim chłopak sięgnie po swój albo drugi napastnik wyrwie mu broń z ręki, będzie po nim. Stanął wobec konieczności walki na śmierć i życie.

Rozległ się szcęk bezpiecznika i Junior Kim natychmiast zrozumiał, że zwyciężył.

- Mam was, łobuzy - wycharczał.

Huknął strzał. Dziewięćmilimetrowy pocisk o dużej sile przebicia musiał wyrzeć odpowiednie wrażenie, gdyż bandziorowi w czarnej koszulce aż oczy wyszły z orbit.

Junior uśmiechnął się triumfalnie.

- Spierdalać.

W tej samej chwili poczuł nieznośny ból za mostkiem, który błyskawicznie rozlał się po całej klatce piersiowej, jakby doznał ataku serca. Coś pchnęło go do tyłu, plecami na automat do kawy. Jednocześnie na jego koszuli z przodu wykwitła szybko powiększająca się krwawa plama. Bezwładnie osunął się na podłogę.

Ostatnią rzeczą, którą zarejestrował, był głośny okrzyk bandziora stojącego przy drzwiach:

- Dennis! Szybko! Ktoś idzie!

MARGARET HAMMOND,  
ŚWIADEK

Margaret Hammond, która mieszkała po drugiej stronie ulicy w domku jednorodzinnym krytym czerwoną dachówką, bliźniaczo podobnym do setek innych w tej okolicy, zatrzymała swojego leksusa przed drugim dystrybutorem. Kiedy wysiadała z samochodu, rozległ się głośny strzał, jak sądziła, z zepsutego gaźnika jakiegoś auta.

Po chwili jednak zobaczyła trzech młodych białych wybiegających z minimarketu. Wskoczyli do czerwonego pół-ciężarowego nissana i ruszyli z piskiem opon oraz donośnym wyciem, świadczącym wyraźnie o przepalonym sprzęgle. W pośpiechu wyjechali z parkingu i ruszyli na zachód, w kierunku autostrady.

Zablokowała język dystrybutora, żeby zbiornik samoczynnie nappełnił się do końca, i ruszyła do sklepu, mając zamiar kupić sobie czekoladowy batonik Nestle, który chciała zjeść jeszcze przed powrotem do domu.

Niespełna dziesięć sekund później, jak sama oceniała, wybiegła z powrotem na parking. Czerwonego nissana nie było już widać. Margaret Hammond włączyła więc telefon komórkowy, wybrała numer 911 i połączyła się z komendą policji w Bristo Camino.

DENNIS

Przekrzykiwali się nawzajem, toteż Kevin złapał brata za rękę, aż samochodem zakolysało. Dennis odepchnął go gwałtownie.



- Zabiłeś tego faceta! Zastrześliłeś go!
- Skąd wiesz, czy na pewno nie żyje?!
- Bo wszędzie było pełno krwi! I ty cały jesteś nią zabryzgany!
- Przestań wreszcie, Kevin! Ten kutas wyciągnął pistolet! Skąd mogłem wiedzieć, że go ma?! Po prostu sam wypalił!

Kevin z wściekłością huknął pięścią w deskę rozdzielczą i zaczął się miotać między nim a Marsem, jakby chciał głową wybić dziurę w dachu.

- Już po nas, Denis! Po nas! Co będzie, jeśli on nie żyje?!
- Zamknij się!

Dennis oblizwał wargi i poczuł na języku słonawy, metaliczny smak. Spojrzał we wsteczne lustro. Rzeczywiście, całą twarz miał w krwistych piegach. Nagle ogarnęło go przerażenie, gdyż uświadomił sobie, że właśnie smakował ludzką krew. Szybkim ruchem przeciągnął dłonią po twarzy i wytarł ją o dzinsy.

Mars położył mu dłoń na ramieniu.

- Tylko spokojnie, kolego.
- Musimy uciekać!
- Przecież uciekamy. Nikt nas nie widział. Nie zostaliśmy złapani. Wszystko gra.

Olbrzym siedział w milczeniu z prawej strony. Kevin i Dennis byli wręcz oszalali, on natomiast sprawiał wrażenie, jakby dopiero ocknął się z dziwnego transu. W rękę nadal trzymał pistolet Chińczyka.

- Kurwa! Wyrzuć to, koleś! Boję się, żeby nie zatrzymał nas patrol.

Mars szybko wetknął sobie broń za pasek spodni i zasłonił go lewą ręką, przyjmując taką pozycję, jakby zakrywał dłonią genitalia.

- Może się jeszcze przydać.

Chcąc jak najszybciej dotrzeć do odległej o trzy kilometry autostrady, Dennis wrzucił czwarty bieg, ignorując głośne zgrzyty dobiegające ze skrzyni biegów. Myślał o tym, że co najmniej cztery osoby widziały ich półciężarówkę. Nawet ci durni stójkowi z Bristo musieli bez trudu pokoiarzyć fakty, jeśli któryś ze świadków połączył strzelaninę w sklepie z opisem auta.

- Posłuchajcie. Musimy się zastanowić i wymyślić, co dalej.

Kevin miał gały wielkie jak spodki.

- Jezu, Dennis. Powinniśmy się zgłosić na policję.

Dennisowi ciągle waliło serce. Wydawało mu się, że ciśnienie krwi lada chwila wysadzi mu oczy z orbit.

- Nigdzie nie będziemy się zgłaszać! Wyjdziemy z tego! Musimy tylko wymyślić jak.

Mars znowu położył mu dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj. - Uśmiechnął się tajemniczo, nawet nie spojrzawszy na nich. - Jesteśmy tylko trzema facetami w czerwonej półciężarówce, których jeżdżą tu tysiące.

Dennis bardzo chciał w to wierzyć.

- Tak myślisz?

- Najpierw muszą odnaleźć świadków. Jeśli dotrą do tych dwóch gówniarzy i starszej kobiety, będą musieli zdobyć od nich nasze rysopisy. Trudno powiedzieć, czy im się to uda. A jeśli nawet gliniarze zdołają jakoś poskładać fakty do kupy, zaczną szukać trzech białych w czerwonej półciężarówce. Ile takich wozów jeździ po okolicy?

- Tysiące.

- No właśnie. A ile zabierze im sprawdzenie wszystkich? Do wieczora? Do jutra? W ciągu czterech godzin możemy dotrzeć do granicy. Jedźmy do Meksyku.

Jego tajemniczy uśmieszek zdradzał absolutną pewność siebie. I ten bezgraniczny spokój Marsa przekonał Dennisa. Zupełnie jakby Mars wcześniej przetaił drogę, którą mieli teraz uciekać.

- To cholernie dobry plan! Wspaniały! Przyczaimy się tam na kilka dni i wrócimy, gdy sprawa przycichnie. Zawsze tylko na początku jest dużo szumu.

- Zgadza się.

Dennis mocniej wcisnął pedał gazu. W skrzyni znowu coś zawyło, potem głośno huknęło i nissan stracił ciąg. Czego można się było spodziewać za sześćset dolarów w gotówce?

- Pierdolona kupa złomu!

Wóz zwalniał coraz bardziej. Zakołysał się na nierównościach, gdy Dennis zjechał na pobocze. Pospiesznie otworzył drzwi, jakby chciał wyskoczyć i dalej uciekać pieszo. Ale Kevin złapał go za rękę i przytrzymał.

- Nie damy rady, Dennis. Próba ucieczki tylko pogorszy naszą sytuację.

- Zamknij się!

Wyszarpnął rękę i zeskoczył z szoferki na ziemię. Szybko rozejrzał się wzdłuż drogi w obu kierunkach, jakby już teraz spodziewał się zobaczyć wóz patrolowy, ale o tej porze panował niewielki ruch, w większości mijały ich samotne matki z dziećmi. Aż do samej autostrady wzdłuż Flanders Road ciągnęły się tu drogie osiedla, niektóre ogrodzone i strzeżone przez ochroniarzy, niewidoczne z szosy za szpalerami gęstych krzaków skrywających masywne kamienne mury. Dennis popatrzył też na żywopłot, zastanawiając się, czy za murem nie otworzy się dla nich jakaś droga ucieczki.

- Tam można ukraść brykę - odezwał się Mars, jakby czytał w jego myślach.

Dennis jeszcze raz oszacował wzrokiem mur. Po drugiej stronie ciągnęły się szeregi domków jednorodzinnych, a prawie przy każdym powinien stać jakiś samochód. Mogli się włamać do któregoś, obezwładnić samotną gospodynię, żeby zyskać na czasie, i jej samochodem pojechać dalej.

Nie musiał się dłużej zastanawiać nad tym pomysłem.

- Idziemy.

- Dennis. Proszę.

Bez pardonu wyciągnął brata z szoferki nissana.

Przedarli się przez krzaki i wdrapali na mur.

FUNKCJONARIUSZ MIKE WELCH,

POLICJA Z BRISTO CAMINO

Trzydziestodwuletni Mike Welch, żonaty, mający jedno dziecko, zgłosił do centrali kod siedem, zatrzymując wóz przed cukiernią Krispy Kreme na zachodnim skraju Bristo Camino, żeby kupić sobie pączka, kiedy odebrał przez radio wezwanie.

- Baza do czwórki.

- Zgłasza się czwórka.

- Napad rabunkowy w Minimarketce Kima przy Flanders Road. Słyszano strzały.

W pierwszej chwili Welch pomyślał, że to jakiś głupi żart.

- Powtórz. Naprawdę ktoś strzelał? Nie robicie ze mnie balona?

- Trzech białych koło dwudziestki, w dżinsach i T-shirtach, odjechało czerwonym półciężarowym nissanem. Po raz ostatni widziano ich na Flanders Road kierujących się na zachód. Jedź tam i sprawdź, co z Juniorem.

Mike Welch, który był już na Flanders Road, wyjechał z powrotem na ulicę. Stację benzynową Juniora miał prosto przed sobą, w odległości około trzech kilometrów. Zgłosił kod trzy, włączył koguta oraz syrenę i dodał gazu. W ciągu dotychczasowej trzyletniej służby w tutejszej policji zgłaszał ten kod tylko wtedy, gdy ruszał w pościg za uciekającym kierowcą, który przekroczył dozwoloną prędkość.

- Jestem na Flanders. Czy Junior został postrzelony?

- Potwierdzam. Karetka jest już w drodze.

Welch dodał gazu. Tak był zajęty dobieraniem w myślach słów, którymi zamierzał pogonić leniwych sanitariuszy zabierających ранego Juniora, że pędem minął stojącego po drugiej stronie drogi czerwonego nissana, nim zdążył sobie uświadomić, że wóz odpowiada opisowi półciężarówki, którą bandyci uciekli z miejsca napadu.

Natychmiast wyłączył syrenę, zjechał na pobocze, zatrzymał wóz i obejrzał się przez ramię. Przy aucie nikogo nie było, ale bez wątpienia stał tam czerwony półciężarowy nissan. Welch odczekał, aż miną go przejeżdżające samochody, po czym zawrócił i stanął za podejrzanym wozem. Włączył mikrofon krótkofalówki przypięty do paska na ramieniu.

- Baza, tu czwórka. Jestem na Flanders Road trzy kilometry na wschód od stacji Kima. Natknąłem się na czerwonego półciężarowego nissana o numerze rejestracyjnym Trzy-Kilo-Lima-Mike-Cztery-Dwa-Dziewięć. Wygląda na porzuconego. Czy możesz wysłać kogoś innego do minimarketu?

- Tak, już to robię.

- Chcę sprawdzić ten samochód.

- Trzy-Kilo-Lima-Mike-Cztery-Dwa-Dziewięć. Przyjęłam.

Welch wysiadł z radiowozu i położył prawą rękę na kolbie swojego browninga. Nie zamierzał od razu wyciągać broni, wolał jednak zachować ostrożność. Podszedł do półciężarówki od prawej strony, zajrzał do szoferki, po czym stanął przed maską. Stygnący silnik wciąż jeszcze potrzaskiwał, osłona była ciepła. Jasna cholera, pomyślał, to na pewno samochód, którym bandyci uciekli z miejsca zdarzenia.

- Baza, tu czwórka. Przy wozie nikogo nie ma. Został porzucony.

- Przyjęłam.

Welch podszedł do drzwi kierowcy i jeszcze raz zajrzał do szoferki. Nie miał żadnej pewności, że właśnie tego samochodu użyto podczas napadu, a mimo to serce mocno mu waliło z podniecenia. Zanim wstąpił do policji, przez siedem lat pracował jako dekarz. Miał nadzieję, że służba będzie znacznie ciekawsza i nie ograniczy się tylko do wypisywania mandatów i uspokajania kłócących się małżonków, ale bardzo się zawiódł. I oto po raz pierwszy trafiła mu się szansa, by stanąć oko w oko z prawdziwymi bandytami. Popatrzył w obie strony wzdłuż drogi, zastanawiając się, czemu właśnie tutaj porzucili samochód i dokąd uciekli. Nagle obleciał go strach. Obejrzał się na zarośla za plecami. Trzech przestraszonych, spanikowanych gówniarzy mogło przeskoczyć przez ogrodzenie na teren osiedla. Zmrużył oczy, usiłując dostrzec cokolwiek przez gąszcz krzaków, ale nie zauważył niczego niezwykłego, jedynie kamienny mur. Wyciągnął rewolwer i ostrożnie podszedł bliżej. Od razu zobaczył kilka złamanych gałązek. Obejrzał się jeszcze na czerwonego nissana, w myślach odtwarzając przebieg wydarzeń. Tak, nie miał wątpliwości, że trzech spanikowanych szczeniaków w tym miejscu przeskoczyło przez mur. Za nim rozciągało się osiedle ekskluzywnych domków jednorodzinnych o nazwie York Estates. Nieraz je patrolował i dobrze wiedział, że są tam tylko dwie przecznice, za którymi ciągnie się mur ogrodzenia po przeciwnej stronie. Bandyci mogli się ukryć w którymś garażu albo przebiec przez osiedle i przeskoczyć przez mur po drugiej stronie, chcąc jak najszybciej oddalić się z miejsca napadu.

Jeszcze raz wsłuchiwał się w trzaski stygnącego silnika półciężarówki i ocenił, że porzucili samochód najwyżej kilka minut temu. Poczul łomotanie w skroniach. Podjął decyzję. Biegiem wrócił do wozu i z piskiem opon wyjechał z powrotem na ulicę, zamierzając dostać się na teren osiedla i odciąć uciekającym drogę. Miał nadzieję, że zdoła ich aresztować.

DENNIS

Dennis zeskoczył z muru i poczul się jak w innym świecie, ukrytym za wybujałymi paprociami, kwitnącymi roślinami o wielkich mięsistych liściach i drzewkami pomarańczowymi. Instynkt nakazywał mu biec dalej, przeciąć całe

osiedle, przeskoczyć mur po przeciwnej stronie i uciekać, gdzie pieprz rośnie, ale w tej samej chwili zza jego pleców doleciał zbliżający się odgłos syreny, który nagle umilkł.

- Dennis, proszę - jęknął znowu Kevin. - Policja szybko odnajdzie półciężarówkę i po numerach rejestracyjnych dojdzie, kim jesteśmy.

- Zamknij się wreszcie! Wiem o tym. Daj mi pomyśleć!

Znajdowali się w gęsto zarośniętym ogrodzie obrzeżającym kort tenisowy na tyłach wielkiego domu przypominającego wiejski dworek. Na wprost mieli basen kąpielowy, za nim rozciągała się olbrzymia dwukondygnacyjna budowla z mnóstwem okien i drzwi, z których jedne były szeroko otwarte. Tak po prostu. Otwarte na oścież. Jeśli domownicy byli w środku, to w garażu albo na podjeździe powinien stać samochód. Grała przenośna wieża stereo stojąca na krawędzi basenu. Na pewno nikt nie zostawiałby włączonego radia, wychodząc z domu.

Dennis zerknął na Marsa, a ten, nawet nie patrząc w jego kierunku, bez słowa skinął głową, jakby faktycznie czytał w jego myślach.

## JENNIFER SMITH

Dwadzieścia metrów za otwartymi drzwiami Jennifer Smith ze złością użalała się w myślach nad swoim losem. Ojciec siedział w gabinecie od frontu, pogrążony w pracy. Był księgowym i często pracował w domu. Matka pojechała na Florydę z wizytą do ciotki Kate. W takiej sytuacji, pod jej nieobecność i wobec pilnych zajęć ojca, musiała na okrągło, po całych dniach, zajmować się dziesięcioletnim bratem, Thomasem. Kiedy przyjaciele zapraszali ją do kina, ciągnęła Thomasa ze sobą. Gdyby skłamała, że musi jechać do Palmdale, a zamiast tego wybrała się do centrum Los Angeles, brat natychmiast wygadałby wszystko rodzicom. Dlatego też szesnastoletnia Jennifer, chwilowo na stałe związana z takim durniem jak Thomas, czuła, że będzie miała przez to doszczętnie zrujnowane wakacje.

Od rana wylegiwała się nad basenem, musiała jednak wrócić do domu, żeby przygotować kanapki z tuńczykiem. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jej durny braciszek zagłodził się na śmierć, ale czuła się zobowiązana przygotować także lunch dla ojca.

- Thomas?

Nie znosił, kiedy ktoś zwracał się do niego zdrobniale, Tommy, czy nawet poważniej, Tom. Przecież miał na imię Thomas.

- Powiedz tacie, że lunch jest gotowy.

- Ugryź się.

Siedział na podłodze w salonie i grał w nintendo.

- Zawiadom tatę.

- Nie możesz zawołać? Przecież usłyszysz.

- Idź do niego, bo ci napluję w kanapki.

- To napluj dwa razy. Może mi od tego stanie.

- Jesteś obrzydliwy.

Thomas niechętnie zatrzymał grę i obejrzał się na nią.

- Pójdę do niego, jeśli poprosisz Elyse i Tris, żeby przyszły się opalać nad basenem.

Mówił o dwóch jej najlepszych przyjaciółkach, które przestały ją odwiedzać właśnie dlatego, że Thomas je podglądał. Siedział w domu, dopóki nie ułożyły się przy basenie, po czym wyskakiwał z propozycją nasmarowania ich olejkiem do opalania. A gdy spotykał się z żywiołową odmową, po prostu siadał obok i gapił się na nie.

- Nie przyjdą więcej się tu opalać, bo wiedzą, że je podglądasz.

- Przecież to lubią.

- Jesteś obrzydliwy.

Kiedy trzech chłopaków weszło do domu, Jen pomyślała w pierwszej chwili, że to ogrodnicy, ale szybko doszła do wniosku, że ogrodnikami są niemal wyłącznie niscy i śniadzi Latynosi. Potem przyszło jej do głowy, że może to starsi koledzy ze szkoły, ale to też wydawało się mało prawdopodobne.

- O co chodzi? - spytała.

Stojący z przodu wskazał palcem Thomasa.

- Mars, zajmij się trollem.

Olbrzym w dwóch susach dopadł Thomasa, podczas gdy pierwszy w czarnej koszulce wpadł do kuchni.

Jennifer zdążyła tylko krótko krzyknąć, zanim dłonią zakrył jej usta z taką siłą, jakby chciał zmiażdżyć wargi. Thomas także próbował krzyknąć, lecz napastnik błyskawicznie go przewrócił i wcisnął mu twarz w dywan.

Trzeci był od nich wyraźnie młodszy. Został przy drzwiach, zalany łzami, i próbując opanować drżenie głosu, pisnął z przejęciem:

- Dennis! Przestań! To szaleństwo!

- Stul dziób, Kevin. Sprawa załatwiona. Widzisz, jak łatwo poszło?

Ten, który ją trzymał, Dennis, napał z całej siły i wygiął ją do tyłu przez brzeg stołu, aż oparła się plecami o przygotowane kanapki. Jednocześnie biodrami przycisnął ją do krawędzi, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Jego oddech śmierdział hamburgerami i papierosami.

- Przestań wierzgać! Nic ci nie zrobię!

Próbowała ugryźć go w palec, lecz jeszcze mocniej odgiął jej głowę do tyłu, aż nabrała obaw, że zaraz pęknie jej kręgosłup.

- Powiedziałem: przestań! Uspokój się, to cię puszcze.

Jennifer szarpnęła się jeszcze raz i nagle ujrzała pistolet, który olbrzym przystawił do głowy Thomasa. Natychmiast znieruchomiała.

- Zabiorę rękę, tylko nie krzycz. Zrozumiałaś?

Nie mogła oderwać wzroku od pistoletu.

- Zamknij drzwi, Kevin.

Doleciał ją cichy szczeł zamka.

Dennis cofnął rękę, lecz tylko na parę centymetrów, gotów w każdej chwili znów zakryć jej usta. Zapytał szeptem:

- Kto jeszcze jest w domu?

- Ojciec.

- Tylko on?

- Tak.

- Gdzie jest?

- W swoim gabinecie.

- Macie samochód?

Głos uwiązał jej w gardle, więc przytaknęła ruchem głowy.

- Nie krzycz. Jeśli zaczniesz wrzeszczeć, zabiję cię. Rozumiesz?

Znowu pokiwała głową.

- Gdzie jest gabinet?

Wskazała drzwi.



Dennis wplótł jej palce we włosy i pchnął w tamtym kierunku. Szedł tak blisko, że ocierał się o plecy, przypominając jej mimo woli, że ma na sobie tylko szorty i stanik od kostiumu. Czowała się naga i bezbronna.

Do gabinetu prowadziły z holu szerokie dwuskrzydłowe drzwi. Nawet nie zapukali. Dennis otworzył je gwałtownie i jako pierwszy wpadł do środka olbrzym o imieniu Mars, niosący Thomasa z pistoletem przystawionym do głowy. Dopiero potem Dennis pchnął ją na podłogę i ruszył przez pokój, mierząc do ojca z drugiego pistoletu.

- Nie waż się pisnąć ani słówka! I ani drgnij!

Ojciec siedział przy komputerze, otoczony stertami rozłożonych wydruków. Był szczupłym wysokim mężczyzną z dużymi zakolami nad czołem. Zamrugał szybko, spoglądając znad okularów, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Chyba pomyślał, że to jej koledzy postanowili zrobić mu głupi kawał. Dopiero po chwili zorientował się w sytuacji.

- Co wy tu robicie?

Dennis chwycił pistolet oburącz i krzyknął głośniej:

- Nie ruszaj się, do cholery! Nie podnoś dupska z krzesła! I łapy do góry!

Reakcja ojca wprowadziła Jennifer w osłupienie. Zapytał spokojnie:

- Kto was przysłał?

Dennis wyciągnął rękę do tyłu, złapał brata za ramię i pchnął przed siebie.

- Kevin. Zasłoń okna! Nie stój jak słup soli!

Chłopak szybko przeszedł przez pokój i opuścił żaluzje. Płakał chyba bardziej od Thomasa.

Dennis machnął pistoletem w kierunku Marsa.

- Miej go na oku, koleś. I uważaj na dziewczynę.

Olbrzym przycisnął Thomasa do podłogi obok siostry, po czym wymierzył z pistoletu w ojca. Dennis wetknął broń za pasek spodni, chwycił lampkę stojącą na brzegu biurka, wyciągnął wtyczkę z kontaktu i szarpnięciem oderwał kabel.

- Nie świruj, to wszystko będzie w porządku. Słyszałeś? Chcemy tylko wziąć twój samochód. Zwiążemy was, żebyście nie mogli wezwać glin, po czym zabierzemy wóz. Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Zależy nam tylko na samochodzie. Dawaj kluczyki.

Ojciec sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- O czym ty mówisz? Po co tu przyszliście?

- Chcemy wziąć twój samochód, kretynie! Chcemy go ukraść! Gdzie masz kluczyki?!

- Tylko tyle? Chcecie samochód?

- Mówię po rusku czy jak?! Gdzie samochód?!

Ojciec uniósł ręce w obronnym geście.

- Stoi w garażu. Weźcie go sobie i wynocha. Kluczyki wiszą na ścianie przy drzwiach do garażu, nad kuchnią. Znajdziecie.

- Kevin, przynieś kluczyki. Potem pomożesz mi związać tego palanta, żebyśmy mogli zwiewać.

Chłopak, który wciąż stał przy oknie, mruknął:

- Nadchodzi gliniarz.

Przez szczeliny w żaluzjach Jennifer zobaczyła stojący przed domem radiowóz. Policjant, rozglądając się ciekawie na boki, szedł powoli w kierunku drzwi.

Dennis znowu złapał ją za włosy.

- Ani słowa! Jasne? Gęba na kłódkę!

- Proszę, nie róbcie krzywdy moim dzieciom.

- Zamknij mordę! Mars, pilnuj ich! Mars!

Jennifer patrzyła, jak policjant zbliża się do drzwi. Zniknął z pola widzenia i po chwili zabrzmiał dzwonek. Kevin podbiegł do brata i złapał go za rękę.

- Już wiedzą, że tu jesteśmy, Dennis! On musiał zauważyć, jak opuszczałem żaluzje!

- Zamknij się!

Policjant zadzwonił drugi raz.

Jennifer poczuła na ramieniu kroplę potu Dennisa, z trudem pohamowała okrzyk wstrętu. Ojciec przyglądał jej się uważnie, przez parę sekund wbijał w nią nieruchome spojrzenie, wreszcie ledwie zauważalnie pokręcił głową. Nie wiedziała, czy chce ją w ten sposób powstrzymać przed krzykiem, czy przed jakimkolwiek nieprzemyślanym ruchem. Nie umiała nawet określić, czy zrobił to świadomie.

Policjant przeszedł za oknem, kierując się na tyły domu.

- On wie, że tu jesteśmy, Dennis! Chce się dostać do środka!

- Nic nie wie. Tylko sprawdza okolicę.

Kevin był śmiertelnie przerażony, lecz teraz w głosie Dennisa także zabrzmiały nutki strachu.

- Widział mnie w oknie! Wie, że ktoś tu jest! Poddajmy się!

- Stul dziób!

Dennis podkraść się do okna, ostrożnie zerknął między paskami żaluzji, po czym w paru susach dopadł Jennifer i znów złapał ją za włosy.

- Wstawaj.

## MIKE WELCH

Welch nie miał pojęcia, że wszyscy znajdujący się w środku są w jednym pokoju, nie dalej niż sześć metrów od niego, i uważnie go obserwują przez żaluzje. Wcale nie widział Kevina Rooneya w oknie, kiedy zajeżdżał przed dom. Był zbyt zajęty ustawianiem wozu przy krawężniku.

Na razie mógł jedynie wnioskować, że trzech bandyci, którzy porzucili czerwonego nissana i prawdopodobnie przeskoczyli przez mur, powinni wylądować w ogrodzie na tyłach tego domu. Podejrzał, że są już raczej kilkaset metrów stąd, ale miał nadzieję, że ktoś z mieszkańców tej bądź sąsiednich posesji widział ich i mógł przynajmniej powiedzieć, w którym kierunku uciekli.

Kiedy nikt nie zareagował na dzwonek, podszedł do furki prowadzącej na tyły i głośno zawołał raz i drugi. Nie było żadnej odpowiedzi. Cofnął się więc do drzwi frontowych i zadzwonił po raz trzeci. Chciał już odejść, żeby spróbować szczęścia po sąsiedzku, gdy nagle drzwi się uchyliły i na zewnątrz wyjrzała dość ładna nastolatka w kostiumie kąpielowym. Była bardzo blada i miała zaczerwienione oczy.

Uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry, panienko. Posterunkowy Mike Welch. Czy nie widziała pani przebiegających obok domu trzech młodych mężczyzn?

- Nie.

Odezwała się bardzo cicho, ledwie słyszalnie. Zwrócił uwagę, że wygląda na bardzo przejętą. Dało mu to do myślenia.

- Powinni tędy uciekać jakieś pięć, najwyżej dziesięć minut temu. Mam podstawy przypuszczać, że przeskoczyli z ulicy przez mur do waszego ogrodu.

- Nie.

Jej oczy nagle się zaszkliły. Welch ujrzał dwie grube łzy staczające się po policzkach dziewczyny i w jednej chwili pojął, że bandyci są w tym domu. Prawdopodobnie stali obok niej, tuż za drzwiami. Serce znów zaczęło mu mocniej walić. Po plecach przeszły ciarki.

- W porządku, panienko. Jak mówiłem, tylko sprawdzam okolicę. Życzę miłego dnia.

Ukradkiem odpiął pasek zabezpieczający kaburę i położył dłoń na kolbie rewolweru. Na krótko przeniósł wzrok na masywne drzwi, po czym bezgłośnie, samym ruchem warg, zapytał, czy ktoś tam jest. Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć.

Nagle z głębi domu doleciał głośny okrzyk:

- On sięga po broń!

Coś huknęło donośnie. Z wybitego okna posypały się odłamki szkła. Mike Welch poczuł silne uderzenie w pierś i poleciał do tyłu. Kamizelka kuloodporna zatrzymała pierwszą kulę, ale druga pod jej krawędzią trafiła go w dolną część brzucha, a trzecia powyżej wbiła się nad szczytem mostka. Chociaż starał się ze wszystkich sił utrzymać na nogach, ugięły się pod nim. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Z głębi domu doleciał histeryczny okrzyk drugiej osoby.

Welch zwałił się do tyłu na ziemię. Odruchowo usiadł, lecz uzmysłowił sobie, że został trafiony, i znów się przewrócił. Padały kolejne strzały, a on nie był w stanie się poruszyć, żeby znaleźć jakąś osłonę przed pociskami. Wyciągnął rewolwer i na oślep wystrzelił w stronę domu, w ogóle nie myśląc o tym, że może kogoś zabić. Był to jedynie odruch samoobrony.

Słyszał dalsze wystrzały i okrzyki, lecz nie mógł już nawet utrzymać rewolweru. Ostatkiem sił sięgnął do mikrofonu na ramieniu.

- Policjant w potrzebie! Policjant w potrzebie... Jezu, postrzelili mnie...

- Powtórz... Mike?... Mike, co tam się dzieje?!

Ale Welch już tylko patrzył w niebo, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

JEFF TALLEY

Trzy i pół kilometra od York Estates Jeff Talley siedział w wozie zaparkowanym w sadzie awokado i ściszywszy radio prawie do końca, rozmawiał przez telefon komórkowy z córką. Popołudniami często wymykał się ze swego gabinetu i przyjeżdżał właśnie do tego sadu, który odkrył krótko po objęciu stanowiska szefa komendy policji w Bristo Camino, gdzie służyło czternastu policjantów. Wśród drzewek podobnych do siebie jak dwie krople wody, rosnących w idealnie równych szeregach oraz idealnie równych odstępach, stojących niczym wielki chór milczących świadków, w całkowitym bezruchu w suchym pustynnym powietrzu, znajdował tak potrzebny mu spokój.

Amanda, która miała teraz czternaście lat, przerwała dłuższe milczenie i zapytała lodowatym tonem:

- Dlaczego nie mogę zabrać ze sobą Dereka? Przynajmniej miałabym jakieś towarzystwo.

To on do niej zadzwonił, gdyż był piątek i chciał się rozmówić z córką co do wspólnego weekendu.

- Myślałem, że pójdziemy razem do kina.

- Chodzimy do kina za każdym razem, jak do ciebie przyjeżdżam. Teraz też pójdziemy, tyle że z Derekiem.

- Może lepiej innym razem?

- Kiedy?

- Choćby przy następnej wizycie... Sam nie wiem.

Głośno westchnęła teatralnie, chcąc wzbudzić w nim poczucie winy.

- Posłuchaj, Mandy. Nie mam nic przeciwko twoim znajomym, wołałbym jednak być z tobą sam na sam, porozmawiać o różnych sprawach...

- Mama chce z tobą rozmawiać.

- Kocham cię.

Nie odpowiedziała.

- Naprawdę cię kocham, Amando.

- Zawsze mówisz, że chcesz ze mną porozmawiać o różnych sprawach, a jak przyjadę, to siedzimy w kinie i w ogóle się nie odzywamy. Oddaję słuchawkę mamie.

Rozeszli się z Jane pięć miesięcy po tym, jak rzucił pracę w komendzie głównej policji w Los Angeles, objął posterunek na kanapie w dużym pokoju i zaczął po dwadzieścia godzin dziennie bezmyślnie gapić się w telewizor, aż żadne z nich nie mogło już tego dłużej wytrzymać. Dlatego się wyprowadził. Od dwóch lat żyli w separacji.

- Witaj, szefie. Mandy nie jest w najlepszym nastroju.

- Zauważyłem.

- Co u ciebie?

Talley zamyślił się na krótko.

- Ona chyba nie za bardzo mnie lubi.

- Przechodzi teraz trudny okres. Ma czternaście lat.

- Tak, wiem.

- Wciąż stara się nas zrozumieć. Czasami wszystko jej odpowiada, kiedy indziej wszczyna kłótnię z byle powodu.

- Już nieraz próbowałem z nią porozmawiać.

W jego głosie wyczuwało się chyba tyle samo frustracji, co w głosie Jane.

- Z tego, co wiem, próbujesz się z nią dogadać od dwóch lat i wciąż bez rezultatu. Uświadom sobie, że po prostu odszedłeś i zacząłeś nowe życie, w którym nie ma dla nas miejsca. Ty usiłujesz sobie tam poukładać wszystko od nowa, ona próbuje tego samego tutaj. Tak trudno ci to zrozumieć?.

Nie odpowiedział, ponieważ nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Od czasu, kiedy przeniósł się do Bristo Camino, codziennie powtarzał sobie, że powinien je obie tu ściągnąć, lecz ciągle nie miał odwagi im tego zaproponować. Dobrze wiedział, że przez te dwa lata Jane czekała na jego powrót. Był przekonany, że gdyby tylko poprosił, zamieszkałyby razem z nim. Ale nadal umiał się tylko w milczeniu gapić na szeregi stojących nieruchomo drzew.

- Prawdę mówiąc, mam tego dość - powiedziała wreszcie Jane, znudzona przedłużającym się milczeniem. - Nie pasuje mi życie w separacji. Ty i Mandy nie jesteście jedynymi osobami, które chciałyby je sobie od nowa poukładać.

- Wiem. W pełni to rozumiem.

- Nie proszę cię, żebyś zrozumiał, bo wcale mi nie zależy na twoim zrozumieniu.

Zabolały go te słowa, które padły wypowiedziane ostrzejszym tonem. Znów nastąpiło milczenie. Talley przypomniał sobie ich ślub i Jane ubraną w tradycyjną długą białą suknię. Pięknie kontrastowała z nią jej złocista cera.

Po raz drugi to ona przerwała ciszę.

- Chcesz, żebym podwiozła ją do domu czy do biura? - zapytała z rezygnacją w głosie.

Domyśliła się, że i dziś nie usłyszy nic nowego, że mąż nadal nie ma jej nic do zaproponowania. Ogarnięty poczuciem winy Talley poczuł się zakłopotany.

- Do domu.

- O szóstej?

- Tak, o szóstej. Może wybralibyśmy się razem na kolację?

- Nie będę miała czasu.

Kiedy połączenie zostało przerwane, odłożył telefon i wrócił myślami do swojego snu. Był zawsze taki sam, rozgrywał się przed niewielkim domem otoczonym przez uzbrojoną po zęby brygadę antyterrorystyczną, nad którym krążył helikopter. Za policyjnym kordonem tłoczyli się reporterzy. Talley był głównym negocjatorem, ale w koszmarnej sennej rzeczywistości musiał stać na odkrytym terenie, bez żadnej osłony czy zabezpieczenia, podczas gdy zza kordonu Jane i Amanda obserwowały go uważnie. On zaś roztrząsał sprawę życia i śmierci z nieznanym mężczyzną, który zabarykadował się w domu i groził, że popełni samobójstwo. Raz za razem wykrzykiwał: „Naprawdę to zrobię! Naprawdę to zrobię!”. Talleyowi za każdym razem udawało się go odciągnąć od krawędzi przepaści, ale zdawał sobie sprawę, że obaj są jej coraz bliżej. Wcześniej czy później człowiek, którego nikt dotąd nie widział, musiał runąć w otchłań. Nie miał rodziny, nikt z sąsiadów nie znał jego nazwiska, a on nie chciał nawet podać swego imienia. Dla wszystkich dokoła był tylko głosem dolatującym z wnętrza domu. Jedynie Talley wiedział już z całą pewnością, że to on jest tym mężczyzną. Stał się obiektem policyjnej obławy, jak gdyby uwięziony w pętli czasowej

i w ograniczonej przestrzeni, usiłując negocjować z samym sobą warunki pozostania przy życiu.

Przez pierwsze tygodnie po odejściu ze służby z każdego mrocznego kąta spoglądały na niego oczy Brendana Malika. Wciąż od nowa widział, jak powoli gaśnie w nich życie, jak zachodzą mgłą niczym ekran psującego się telewizora, gasną w nich skry będące atrybutem człowieczeństwa, matowieją i stają się obce. Po jakimś czasie ten widok wracający z pamięci przestał w nim budzić jakiegokolwiek uczucia. Patrzył na niego równie obojętnym wzrokiem, jak na *Koło fortuny* w telewizji - tylko dlatego, że miał go akurat przed oczyma.

Po odejściu z policji przesiedział na kanapie prawie rok, najpierw we własnym domu, a potem, gdy Jane poprosiła, żeby się wyprowadził, w obskurnym wynajętym mieszkanku w Silver Lake. Skutecznie wmówił sobie, że zrezygnował z pracy i porzucił rodzinę, ponieważ nie mógł dopuścić, by ktokolwiek był świadkiem jego samodes-  
trukcji. Dopiero później doszedł do przekonania, że prawdziwy powód był znacznie prostszy, bardziej prozaiczny: przestraszył się, że jego poprzednie życie doprowadzi go do przedwczesnej śmierci. Rada Bristo Camino, stanowiącego część aglomeracji Los Angeles, szukała właśnie nowego szefa miejskiej komendy policji zatrudniającej czterestu funkcjonariuszy i z radością przyjęła jego kandydaturę. Przemawiało za nim to, że służył w brygadzie antyterrorystycznej, choć tu czekało go głównie nudne wypisywanie ponagleń do zapłacenia mandatu i wygłaszanie pogadanek w szkołach. Wmówił sobie, że będzie to dobra okazja do wyleczenia ran psychicznych. Jane zgodziła się zaczekać na jego powrót do zdrowia, ten jednak zaczął się przeciągać. Talley stopniowo nabierał przekonania, że już nigdy nie nastąpi.

Uruchomił silnik i wycofał wóz z ubitej na kamień ziemi w sadzie na żwirową drogę prowadzącą do autostrady stanowej, która przecinała wzdłuż dolinę Santa Clarita. Dopiero gdy wyjechał na autostradę, podkręcił radio i od razu doleciał go piskliwy głos Sary Weinman pełniącej dyżur w centrali, gorączkowymi okrzykami usiłującej przywrócić porządek w eterze:

- ...Welch w potrzebie! Powtarzam. W York Estates mamy...

Została zagłuszona przez zgłaszających się policjantów, ponad harmider wybijały się donośne głosy wyjątkowo podnieconych Larry'ego Andersa i Kenna Jorgensona.



Talley pospiesznie przestawił radio na kanał dowodzenia, zapewniający mu łączność z centralą na odrębnej częstotliwości.

- Sarah, tu jedynka. Jak mam rozumieć, że Mike jest w potrzebie?

- Szefie?

- Co z Mikiem?

- Został postrzelony. Ambulans z oddziału ratownictwa straży pożarnej w Sierra Rock jest już w drodze. Jorgy i Larry pędzą na miejsce zdarzenia ze wschodu.

W ciągu dziewięciu miesięcy pracy Talleya w Bristo dokonano zaledwie trzech przestępstw, dwóch niegroźnych napadów i próby zabójstwa - rozwścieczona kobieta próbowała przejechać męża własnym samochodem.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś celowo do niego strzelał?

- Junior Kim także został postrzelony w swoim sklepie. Napadu dokonało trzech białych mężczyzn jeżdżących czerwonym półciężarowym nissanem. Mike namierzył ten samochód, a potem zgłosił czterdzieści jeden czternaście w York Estate, przy Castle Way osiemnaście. W następnym meldunku zdążył tylko powiedzieć, że został postrzelony. Od tamtej pory nie mogę go wywołać.

Czterdzieści jeden czternaście oznaczało, że Welch zamierzał podejść do domu.

Talley natychmiast włączył koguta i syrenę. Od York Estates dzieliło go najwyżej sześć minut jazdy.

- Jaki jest stan Kima?

- Jeszcze nie wiem.

- Znamy już personalia podejrzanych?

- Nie.

- Jestem dziesięć kilometrów od zjazdu do miasta. Powiadom mnie, jak zdobędziesz nowe informacje.

Przez cały miniony rok Talley tkwił w przekonaniu, że dzień, w którym zgodził się zostać negocjatorem w komendzie głównej policji Los Angeles, na zawsze odmienił jego życie na gorsze.

Teraz jego życie znów miało się odmienić.

## JENNIFER

Jennifer nigdy nie słyszała tak głośnych huków, jak wystrzały z pistoletów bandytów. Dużo cichsze były nawet wybuchy petard, które Thomas rzucał na podwórko, czy gromkie okrzyki radości w hali Forum, gdy drużyna Lakersów w ostatnich minutach zdobywała zwycięskiego kosza. Wystrzały na filmach w ogóle nie mogły się z tym równać. Kiedy Mars i Dennis równocześnie otworzyli ogień, huk był taki, że o mało czaszka jej nie pękła.

Aż krzyknęła ze strachu. Dennis kopniakiem zatrzaskał drzwi, pociągnął ją z powrotem do gabinetu i pchnął na podłogę. Otoczyła ramieniem brata i przytuliła się do niego, a ojciec objął ich oboje. W smugach słonecznego światła wpadającego przez szpary w żaluzjach snuły się pasma dymu prochowego. Jego ostry swąd drapał w gardle.

Dennis z pobielającą twarzą zaczął nerwowo krążyć między drzwiami frontowymi a wejściem do gabinetu, ze świstem wciągając powietrze do płuc.

- Już po nas! Załatwiliśmy tego gliniarza!

Mars stanął w przejściu. Nie był ani trochę przerażony, wyglądał wręcz na rozluźnionego.

- Bierzmy samochód, zanim zleci się tu cała reszta.

Kevin leżał na podłodze przy biurku i trząsał się niczym galareta. Był blady jak ściana.

- Zabiłeś policjanta! Dennis! Zabiłeś policjanta!

Ten złapał brata za koszulę.

- Nie słyszałeś ostrzeżenia Marsa? On sięgał po broń!

Przez ich nerwowe wrzaski Jennifer złowiła zbliżający się odgłos syreny. Dennis także go usłyszał, gdyż podbiegł do okna.

- Cholera! Już tu są!

Przytuliła się do ojca z taką siłą, jakby chciała mu zgnieść klatkę piersiową.

- Bierzcie kluczyki i uciekajcie. Wiszą na ścianie przy drzwiach garażu. To jaguar. Zwiewajcie, póki jeszcze nie jest za późno.

Dennis pochylał się to w lewo, to w prawo, lękliwie zerkając między listewkami żaluzji na ulicę. Jennifer bardzo pragnęła, żeby się stąd wynieśli, uciekli, raz na

zawsze zniknęli z jej życia, ale Dennis stał jak wmurowany przy oknie, jakby na coś czekał.

Od strony drzwi doleciał lodowato spokojny, opanowany głos Marsa:

- Bierzmy ten wóz, Dennis. Musimy wiać.

Policyjna syrena zawyła nagle tak donośnie, jakby radiowóz wjechał do domu. Było już za późno. Od strony ulicy doleciał pisk opon. Dennis podbiegł do drzwi i znowu zaczął strzelać.

## TALLEY

Ogrodzone murem osiedle York Estates zawdzięczało swą nazwę legendarnemu angielskiemu Yorkowi, który w średniowieczu był okolony podobnym kamiennym murem obronnym. Składało się z dwudziestu ośmiu domków jednorodzinnych stojących na działkach o powierzchni od czterech do dwunastu tysięcy metrów kwadratowych, do których prowadziły biegnące łukiem uliczki o historycznych nazwach Lancelot Lane, Queen Anne Way czy King John Place, tyle że otaczający je mur pełnił rolę bardziej dekoracyjną niż ochronną. Talley wyłączył syrenę, zbliżywszy się do osiedla od północy, ale zostawił migającego koguta. Przez radio Jorgenson i Anders przekrzykiwali się wzajemnie, że są pod ostrzałem. Nawet z głośnika krótkofalówki dolatywały stłumione odgłosy wystrzałów.

Kiedy skręcił w Castle Way, zobaczył że obaj z bronią gotową do strzału kryją się za wozem patrolowym. Po drugiej stronie ulicy w otwartych drzwiach domu stały dwie zaciekawione kobiety, z wylotu alejki dojazdowej strzelanie przyglądał się kilkunastoletni chłopak. Talley dodał jeszcze gazu i włączył megafon.

- Proszę się schować! Nie wychodzić z domu!

Jorgenson i Anders obejrżeli się na niego. Kobiety obrzuciły drugi wóz zdumionymi spojrzeniami. Chłopak przy skrzyżowaniu nie ruszył się z miejsca. Talley włączył na krótko syrenę i wrzasnął jeszcze raz przez megafon:

- Do środka! Natychmiast! Ruszać się!

Z całej siły wdepnął hamulec i stanął obok wozu patrolowego Jorgensona. Ze środka domu padły dwa strzały. Pierwszy pocisk ze świstem przeleciał górą, drugi z trzaskiem odbił się rykoszetem od przedniej szyby. Talley otworzył drzwi, dał nura na

asfalt, przeturlał się i kucnął z kolanami podciągniętymi pod brodę za osłoną przedniego koła. Nie dalej niż dziesięć metrów od nich, na trawniku przed frontem wielkiego domu w stylu Tudorów, leżał rozciągnięty na ziemi Mike Welch.

- Welch się nie rusza! Zastrzelili go! - krzyknął Anders.

- Wszyscy trzej podejrzani są w domu?

- Nie wiem! Nikogo dotąd nie widzieliśmy!

- Czy oprócz nich są w środku jacyś cywile?

- Nie wiemy!

Od wschodu nadjeżdżał kolejny radiowóz, słychać było syrenę. To pewnie szóstka Dreyera i Mikkelson albo karetka, pomyślał Talley. Strzelanina ucichła, ale ze środka domu dobiegały głośne okrzyki i piski. Rozciągnął się płasko na asfalcie i spoglądając pod samochodem, zaczął nawoływać Welcha.

- Mike! Słyszysz mnie?

Nie było żadnej reakcji.

- Chyba nie żyje! - zawołał Anders z nutą hysterii w głosie.

- Nie wrzeszcz tak, Larry. Słyszę cię wyraźnie.

Przede wszystkim trzeba było opanować bałagan i przejąć dowodzenie, nawet nie wiedział, z kim mają do czynienia. Welch leżał bez ruchu na trawniku, pozbawiony jakiegokolwiek osłony. Należało go jak najszybciej stamtąd wyciągnąć.

- Czy to ostatni dom od strony Flanders Road?

- Tak. Półciężarówka stoi na poboczu na wprost posesji, tuż za murem. To czerwony nissan. Ten sam, którego użyli podejrzani o napad na sklep Kima.

Wycie syreny przybierało na sile. Talley musiał zakładać, że oprócz bandytów w domu są niewinni ludzie. A także, że Mike Welch jeszcze żyje. Sięgnął do mikrofonu na ramieniu.

- Szóstka, tu jedynka. Zgłoś się.

- Zgłasza się Dreyer, szefie. Za minutę będziemy na miejscu.

- Gdzie jest karetka?

- Tuż za nami.

- W porządku. Zostańcie na Flanders przy półciężarówce na wypadek, gdyby bandyci chcieli wydostać się z powrotem przez mur. Podesłijcie tu karetkę, tylko

powiedźcie kierowcy, żeby stanął na skrzyżowaniu Castle i Tower. Dociągnę tam Welcha.

Przerwał połączenie i podniósł się z jezdni, wciąż kucając za osłoną wozu.

- Larry, czy któryś z was strzelał w kierunku domu?

- Nie.

- Więc nie strzelajcie.

- Co pan zamierza, szefie?

- Zostańcie na miejscu. Nie strzelajcie.

Trzymając nisko głowę, wśliznął się z powrotem do swojego wozu, zostawiając otwarte drzwi. Cofnął się parę metrów, po czym skręcił gwałtownie wjechał na trawnik i stanął obok leżącego Welcha, zasłaniając go autem od strony domu. Padł kolejny strzał, kula roztrzaskała szybę w prawych drzwiach. Wyskoczył zza kierownicy i padł na ziemię tuż obok nieruchomego policjanta. Otworzył tylne drzwi i zaczął wciągać Welcha do środka. Miał wrażenie, że usiłuje podnieść stukilowy ciężar bezwładnie przelewający się przez ręce. Ale na szczęście Mike cicho jęknął. Jeszcze żył. Talley zdołał go posadzić na progu otwartych drzwi, po czym zebrał wszystkie siły i jednym pchnięciem wsunął go na tylne siedzenie. Zobaczył w trawie rewolwer Welcha i cofnął się po niego. Potem wskoczył za kierownicę i wcisnął gaz do podłogi. Koła zabuksowały na wilgotnej trawie, autem zarzuciło. Dojechał na skraj sąsiedniej posesji, wykręcił na alejkę dojazdową i wyskoczył przy skrzyżowaniu, na którym czekała karetka. Dwaj sanitariusze pospiesznie wyciągnęli Welcha z tylnego siedzenia i założyli kompres na silnie krwawiącą ranę na ramieniu. Talley nawet nie pomyślał, żeby ich zapytać, czy Mike się z tego wyliże. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafią jeszcze tego ocenić.

Popatrzył wzdłuż alejki, którą przyjechał, i wstrząsnął nim dreszcz. Pokonawszy przerażenie, mógł się wreszcie zastanowić. W pierwszej chwili jednak pomyślał, że oto znów znalazł się w podobnej sytuacji jak tamta w Los Angeles, która tak wiele go kosztowała. Bandyci wzięli zakładników. W gardle mu zaschło i tak drapało, że aż miał odruchy wymiotne. Sięgnął do mikrofonu, żeby połączyć się z centralą. Dysponował czterema patrolami na służbie i pięcioma funkcjonariuszami dyżurującymi pod telefonem. Potrzebni mu teraz byli wszyscy ludzie.

- Szefie, ściągnęłam Dreyera i Mikkelson spod minimarketu. Na miejscu przestępstwa nie ma na razie nikogo. Nie zostało zabezpieczone.

- Skontaktuj się z biurem szeryfa i okręgową komendą policji. Wyjaśnij, co tu się dzieje, i zażądaj przysłania pełnej ekipy do okoliczności kryzysowych. Powiedz, że mamy dwóch ludzi postrzelonych i zapewne zakładników.

Mimo woli łzy napłynęły mu do oczu, gdy uświadomił sobie, że wypowiedział znienawidzone słowo: zakładnik.

Przypomniał sobie o rewolwerze Mike'a. Powąchał wylot lufy i zajrzał do bębena. Welch odpowiedział ogniem, zatem niewykluczone, że mógł ranić kogoś znajdującego się w domu, może nawet niewinnego człowieka.

Talley na chwilę zacisnął silnie powieki i znowu sięgnął do mikrofonu.

- Powiedz, żeby się pospieszyli.

## JENNIFER

- Tato - szepnęła Jennifer.

Ojciec tulił jej głowę do swojej piersi.

- Cicho - odparł szeptem.

Przyciągnął ją bliżej siebie. Jennifer przyszło do głowy, że ojciec potrafiłby precyzyjnie przycisnąć ich między deskami podłogi, gdyby tylko mogli się skurczyć na tyle, by się zmieścić w szparze. Kątem oka spoglądała na Marsa pochylonego przy oknie i wyglądającego przez żaluzje. Jego szerokie zgarbione plecy przypominały wielki śliski grzbiet ropuchy. Nagle odwrócił głowę, ale popatrzył ponad nią.

Kevin rzucił w niego programem telewizyjnym.

- Co z tobą?! Dlaczego zacząłeś strzelać?!

- Żeby trzymać ich na dystans.

- Mogliśmy się wymknąć przez podwórze na tyłach!

Dennis szarpnął brata i pchnął w stronę drzwi.

- Wpakowałeś nas w gówno, Dennis! Powinniśmy się poddać!

Jennifer bardzo pragnęła, żeby uciekli. Nie obchodziło jej nic poza tym, żeby się stąd wynieśli i dali im wreszcie spokój. Ta jedna myśl zawładnęła nią do tego stopnia, że nie zdołała się opanować i rzuciła:

- Nie chcemy was tutaj!

Ojciec przytulił ją mocniej do siebie i nakazał spokojnym tonem:

- Bądź cicho.

To było jednak silniejsze od niej.

- Nie macie prawa tu być! Nikt was tu nie prosił!

Ojciec znów przycisnął ją do siebie.

Dennis wymierzył w nią palec i warknął:

- Zamknij się, dziwko!

Odwrócił się i pchnął brata na ścianę z taką siłą, że Jennifer aż się skrzywiła.

- Uspokój się, Kevin! Idź i pozamykaj wszystkie żaluzje w oknach. Sprawdź też, czy drzwi są dobrze zamknięte, a potem zacznij obserwować tylne podwórko. Pewnie będą chcieli zejść nas od tyłu i przeskoczyć przez mur, tak jak my.

Kevin sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Dlaczego nie chcesz się poddać, Dennis? I tak już nas złapali.

- Za parę godzin zrobi się ciemno, a po zachodzie nasza sytuacja się zmieni. Zrób to, o co cię prosiłem, Kev. Wydostaniemy się stąd. Zobaczysz.

Jennifer usłyszała głośniejsze westchnienie ojca, który odsunął się od niej i uklęknął.

- Żaden z was nie wydostanie się stąd żywy - powiedział.

- Zamknij mordę! - warknął Dennis. - Ruszaj, Kevin. Obserwuj teren na tyłach.

Chłopak wyszedł z gabinetu i poszedł korytarzem w stronę basenu.

Ojciec wstał i wyprostował się. Dennis i Mars równocześnie wymierzyli do niego z pistoletów.

Jennifer chwyciła ojca za nogę.

- Tato! Nie!

On jednak spokojnie uniósł obie ręce w górę.

- W porządku, skarbie. Nie zamierzam robić niczego głupiego. Chcę tylko podejść do biurka.

Dennis wyciągnął broń w jego kierunku.

- Odbiło ci, do cholery?! Nigdzie nie pójdziesz!

- Spokojnie, synu.

- Tato! Nie!

Ojciec zachowywał się jak w transie. Jennifer próbowała go powstrzymać, lecz bez skutku. Chciała coś powiedzieć, ile nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ruszył powoli przed siebie, nienaturalnie wyprostowany, jakby szykował się, że dostanie kulkę w brzuch. Można było odnieść wrażenie, że nie jest sobą. Postępował jak ktoś całkiem obcy, kogo Jennifer do tej pory w ogóle nie знаła.

Podszedł do biurka i powoli zamknął skórzane etui z dwoma dyskietaami komputerowymi. Cały czas mówił coś cicho, nie było go słychać, gdyż Dennis przesuwał się równolegle krok w krok i wrzeszczał na cały głos, żeby się zatrzymał, że go zastrzeli, jak zrobi jeszcze jeden krok. Mierzył mu przy tym w głowę. Wyglądał na równie przestraszonego jak ona.

- Ostrzegam! Do pioruna!

- Chcę wyciągnąć szufladę biurka.

- Kurwa! Zaraz cię zastrzelę!

- Tato! Proszę!

Ojciec znowu uniósł dłoń i wyciągnął w górę mały palec, jakby chciał zademonstrować, że tym jednym paluszkiem nie jest w stanie im zaszkodzić, po czym usiadł i powoli wyciągnął nim szufladę. Skinął głową w jej kierunku, pokazując Dennisowi, że nie ma tam nic, czego mógłby się obawiać. Wreszcie wyciągnął małą grubą książeczkę.

- Tu macie spis wszystkich kalifornijskich adwokatów zajmujących się sprawami karnymi. Jeśli się zaraz poddacie, pomogę wam wynająć najlepszego adwokata w tym stanie.

Dennis gwałtownym ruchem ręki zrzucił książeczkę na podłogę.

- Pierdol się! Właśnie zabiliśmy gliniarza! A przedtem Chińczyka w sklepie! Za to można dostać tylko karę śmierci!

- Obiecuję wam, że jej nie dostaniecie, jeśli pozwolicie, żebym wam pomógł. Ale jeśli zostanieie dłużej w tym domu, mogę wam obiecać, że wszyscy zginiecie.

- Stul pysk!

Dennis wziął szeroki zamach i huknął go w skroń kolbą pistoletu. Rozległ się trzask mrozący krew w żyłach. Ojciec spadł z krzesła i bezwładnie runął bokiem na podłogę.

- Nie!



Jennifer rzuciła się w tamtą stronę. Z całej siły odepchnęła Dennisa, nim zdążyła sobie uświadomić, na co się naraża.

- Odczep się od niego!

Po raz drugi odepchnęła bandytę i szybko klękła przy ojcu. Od uderzenia w jego skroni powstało wyraźne zagłębienie tuż poniżej linii włosów, na wysokości prawego oka. Błyskawicznie podchodziło krwią i silnie pulsowało.

- Tato? Tato! Ocknij się!

Nie odpowiadał.

- Tato! Proszę!

Tylko gałki oczne mu zadrgały pod zamkniętymi powiekami, a całe ciało przeszył konwulsyjny dreszcz.

- Tato!

Łzy przesłoniły jej widok. Czyjeś ręce dźwignęły ją z podłogi.

Zaczął się koszmar.

## TALLEY

Talley miał ochotę zostać przy Welchu, ale nie było na to czasu. Musiał zabezpieczyć teren i jakimś sposobem dowiedzieć się, co się dzieje w domu. Wezwał drugą karetkę na wypadek, gdyby ktoś jeszcze został ranny, po czym znów wsiadł do wozu i pojechał z powrotem alejką dojazdową. Z impetem stanął tuż za radiowozem Andersa, aż zatrzeszczały zderzaki, po czym wyskoczył zza kierownicy i tak jak wcześniej kucnął za przednim kołem.

- Larry, Jorgy, posłuchajcie! - zawołał do Andersa i Jorgensona.

Obaj byli młodzi, mogliby zostać cieślami czy sprzedawcami, gdyby nie zdecydowali się na służbę w policji. Nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z sytuacją, jaka wytworzyła się wokół posesji przy Castle Way. Żaden z podległych Talleyowi ludzi nie miał doświadczenia z takimi przypadkami. Chyba nawet nigdy dotąd nie musieli sięgać po broń, nigdy nie dokonywali aresztowania uzbrojonych przestępców.

- Musimy ewakuować ludzi z sąsiednich domów i otoczyć cały teren. Wszystkie ulice prowadzące w tym kierunku należy zablokować.

Anders energicznie pokiwał głową, podekscytowany i przestraszony zarazem.

- Chodzi o tę alejkę dojazdową?

- Powtarzam, wszystkie ulice prowadzące w tym kierunku. Weźcie wóz Welcha i wycofajcie go do skrzyżowania, potem zacznijcie chodzić od domu do domu przy tej ulicy, ale wyłącznie przez podwórka na tyłach. Przeskakujcie przez ogrodzenia, jeśli zajdzie taka potrzeba. I wyprowadzajcie ludzi tą samą drogą. Nie pozwólcie, by ktokolwiek choć na chwilę stał się widoczny z tej posesji.

- A jeśli nie będą chcieli z nami iść?

- Mają robić to, co im każecie. Ale przede wszystkim pilnujcie, by nikt nie pojawił się przed frontem swojego domu. Wy także. Zacznijcie od tamtych posesji za wami. Nie chcę, żeby jeszcze ktoś został ranny.

- Jasne, szefie.

- I dowiedźcie się, kto tu mieszka. Musimy to wiedzieć.

- Dobra.

- Jeszcze jedno. Możliwe, że któryś z bandytów pozostaje na wolności. Powiedźcie ludziom, żeby powiadamiali sąsiadów, iż należy mieć się na baczności.

Anders dal nura za wóz Welcha stojący jako pierwszy w szeregu. Wskoczył za kierownicę, uruchomił silnik, wykręcił ciasnym łukiem i odjechał w głąb ulicy.

Zawsze najgorsze są pierwsze minuty każdej sytuacji kryzysowej. Na początku nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia, i ta niewiedza może się stać przyczyną poważnych kłopotów. Talley musiał się teraz dowiedzieć, kim są podejrzani i czy w domu znajduje się ktoś oprócz nich. Prawdopodobnie wszyscy trzej schronili się w środku, ale trudno to było brać za pewnik. Niewykluczone, że się rozdzielili. Możliwe, że już zabili domowników, ostrzelali policjantów i popełnili zbiorowe samobójstwo. Równie dobrze na posesji mogło już nie być nikogo żywego.

Sięgnął do mikrofonu i przemówił do swoich ludzi:

- Mówi Talley. Zarządzam ciszę na tym kanale. Razem z Jorgensonem znajdujemy się w York Estates, przed posesją przy Castle Way osiemnaście. Anders prowadzi ewakuację mieszkańców sąsiednich domów. Dreyer i Mikkelson czuwają na tyłach posesji, na Flanders Road, przy czerwonym półciężarowym nissanie. Wszystko wskazuje na to, że w otoczonym domu schronił się co najmniej jeden z podejrzanych, którzy strzelali do Juniora Kima i Mike'a Welcha. Są uzbrojeni. Musimy poznać ich nazwiska. Czy Welch zdążył przekazać przez radio numery rejestracyjne półciężarówki?

- Tu dwójka, szefie - odezwała się Mikkelson.

- Mów, dwójka.

- Wóz jest zarejestrowany na niejakiego Dennisa Jamesa Rooneya, białego, dwadzieścia dwa lata, zamieszkałego w Agua Dulce.

Talley wyciągnął notes i pospiesznie zapisał personalia Rooneya. W swoim poprzednim życiu natychmiast wysłałby patrol pod adres zamieszkania podejrzanego, ale tutaj nie dysponował wystarczająco licznymi siłami.

Z głośnika krótkofalówki doleciał trzask.

- Tu Anders, szefie.

- Mów, Larry.

- Jestem w domu sąsiadki, która powiedziała, że na tamtej posesji mieszkają państwo Smith, Walter i Pamela Smith. Mają dwoje dzieci, córkę i syna. Chwilę... Rozumiem. Dzieci to Jennifer i Thomas. Dziewczyna ma około piętnastu lat, chłopak jest młodszy.

- Nie wie, czy któreś z nich było w domu?

Z głośnika doleciała stłumiona wymiana zdań. Anders był tak podekscytowany, że zapomniał wyłączyć mikrofon na czas rozmowy z kobietą.

- Spokojnie. Nie spiesz się - rzucił Talley przez radio.

- Pani mówi, że Pamela Smith wyjechała na Florydę w odwiedziny do siostry, ale reszta rodziny jej zdaniem powinna znajdować się w domu. Mówi, że Walter Smith zazwyczaj pracuje w domu.

Talley zaklął pod nosem. Wyglądało na to, że w domu jest aż troje zakładników. Trzech zabójców i troje zakładników. Musiał wiedzieć, co się dzieje w środku. I za wszelką cenę uspokoić uzbrojonych bandytów. Nazywano to stabilizowaniem sytuacji. Wszystkie inne sprawy musiały na razie poczekać. Aż kilkakrotnie powtórzył w duchu niczym mantrę: Tylko to się teraz liczy.

Wziął parę głębszych oddechów, żeby zapanować nad sobą, i przełączył mikrofon na system nagłaśniający radiowozu. Za chwilę miał się zwrócić bezpośrednio do napastników, przystępując tym samym do negocjacji. Przez rok przysięgał sobie, że już nigdy nie wpakuje się w taką sytuację. Przewrócił do góry nogami całe swoje życie, by to osiągnąć, ale życie okazało się okrutne.

- Nazywam się Jeff Talley. Czy w domu jest ktoś ranny?

Jego słowa zadudniły głośnym echem między domami osiedla. Usłyszał, że jakiś samochód zatrzymuje się u wylotu uliczki, ale nawet nie spojrzał w tamtym kierunku. Uparcie wbijał spojrzenie w otoczony dom.

- Proszę wszystkich o zachowanie spokoju. Nie ma powodów do paniki. Jeżeli ktoś jest ranny, chciałbym go oddać pod opiekę lekarza. Możemy wynegocjować warunki.

Nie było odpowiedzi. Doskonale wiedział, pod jaką silną presją są podejrzani kryjący się w domu. Dwukrotnie użyli broni, postrzelili dwóch ludzi i znaleźli się w potrzasku. Pewnie musieli być przerażeni, co znacznie zwiększało zagrożenie dla zakładników. W pierwszej kolejności musiał zredukować poziom napięcia. Jeżeli da się bandytom czas na opanowanie nerwów i rozważenie sytuacji, niekiedy sami

dochodzą do wniosku, że jedynym sposobem wyjścia z opresji jest oddanie się w ręce policji. Czasami wystarczy podsunąć im dobry powód do tego, by się poddali. To wynika z ludzkiej psychiki. Talley uczył się tego na kursach opanowywania sytuacji kryzysowych w ośrodku szkoleniowym FBI i gładko stosował w praktyce poznane tam reguły, dopóki nie zobaczył konającego Brendana Malika, którego ojciec postrzelił w szyję.

Ponownie sięgnął do mikrofonu. Usiłując zachować spokojny rzeczowy ton, powiedział:

- Wcześniej czy później będziemy musieli zacząć rozmawiać, więc możemy to zrobić już teraz. Czy wszyscy w środku czują się dobrze i nikt nie potrzebuje pomocy lekarza?

Po dłuższej chwili z głębi domu odpowiedział mu męski głos:

- Pierdol się!

JENNIFER

Pod powiekami oczy ojca obracały się na lewo i prawo, w górę i w dół, jak we śnie. Po pewnym czasie jęknął cicho, ale nie otworzył oczu. Thomas także klęknął obok niego i zapytał szeptem:

- Co mu jest?

- Nie może się ocknąć. A powinien już odzyskać przytomność, prawda?

Coś takiego w ogóle nie miało prawa się wydarzyć. Na pewno nie w tym domu, nie w Bristo Camino i nie tego pięknego, słonecznego dnia.

- Tato! Proszę!

Mars kucnął obok i przytknął dwa palce do szyi ojca. Był wielki, zwalisty. I niedomyty. Zalaływało od niego potem i jarzynami.

- Chyba ma wstrząs mózgu.

Jennifer serce podeszło do gardła. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że specjalnie się z nią drażni.

- Odwal się.

Mars zamrugnął szybko, najwyraźniej zaskoczony i zmieszany jej reakcją.

- Nie znoszę tego. Nie cierpię.

Wstał i odszedł.

Rana na głowie ojca wciąż miarowo pulsowała, ale krwawienie prawie ustało. Zmiażdżone tkanki przesiąknięte zakrzepłą krwią utworzyły przerażające sine wybrzuszenie. Jennifer podniosła się z podłogi i popatrzyła na Dennisa.

- Chcę mu zrobić okład z lodu.

- Zamknij się i siadaj na dupie.

- Idę po lód. On jest ranny.

Dennis obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Twarz mu poczerwieniała. Spojrzał na Marsa, wreszcie przeniósł wzrok na leżącego ojca. Potem odwrócił się znowu do okna.

- Mars, idź z nią do kuchni. I sprawdź po drodze, czy Kevin nie kombinuje tam czegoś na tyłach.

Nie czekając na olbrzyma, Jennifer wyszła z gabinetu i ruszyła do kuchni. Po drodze spostrzegła, że Kevin w saloniku chowa się za kanapą i znad jej krawędzi obserwuje drzwi od podwórza. Miała nadzieję, że będzie tam już pełno policjantów z trudem utrzymujących na smyczach wściekłe psy, ale przy basenie nikogo nie było. Gładka lazuruwa tafla wody skrzyła się w słońcu, dmuchany materac, na którym wylegiwała się jeszcze pół godziny temu, leżał tak nieruchomo na jej powierzchni, jakby unosił się w powietrzu. Na obrzeżu basenu stało włączone radio, ale przez zamknięte drzwi nie było nic słyhać. Wszystko wydarzyło się tak szybko.

Schyliła się i otworzyła szafkę przy zlewie. Mars kopniakiem zatrzaskał z powrotem drzwiczki.

- Co robisz?

Górował nad nią, jego rozporek znajdował się dokładnie na wprost jej twarzy. Wyprostowała się powoli. Był od niej co najmniej o głowę wyższy, poza tym stał tak blisko, że poczuła się nieswojo, zmuszona do patrzenia w górę. Znów poczuła bijący od niego gorzkawy zapach duszonych jarzyn. Musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby nie rzucić się do ucieczki.

- Chcę wyjąć ściereczkę. Potem zamierzam wziąć z lodówki parę garści lodu i zrobić kompres. Masz coś przeciwko temu?

Przysunął się jeszcze bliżej, niemal otarł się o jej piersi. Zmusiła się do tego, by nie opuścić głowy i nie cofnąć się przed nim, ale jej głos zabrzmiał trochę nienaturalnie:

- Odsuń się ode mnie.

Nie drgnął nawet, tylko gapił się na nią nieruchomym wzrokiem, jakby w ogóle jej nie widział. Na jego wargach zatańczył ledwie zauważalny uśmiezek. Zakołysał się na boki, lekko ocierając piersią o jej biust.

Nie mogła okazać słabości i się cofnąć. Zebrawszy się na odwagę, powtórzyła głośniejszym, ostrzejszym tonem:

- Odsuń się ode mnie!

Tajemniczy uśmiezek zniknął z jego ust, oczy znów się poruszyły, jakby nagle odzyskał jasność widzenia.

Nie czekając na jego odpowiedź, Jennifer znów otworzyła szafkę, znalazła czystą ściereczkę, po czym sięgnęła do lodówki, wysokiej i masywnej, w ciemnej obudowie, z dużym, zamrażalnikiem umieszczonym w dolnej części. Otworzyła go, podstawiała ściereczkę i zgarnęła na nią garść lodowych kostek, ale większość sturlała się na podłogę.

- Potrzebuję miseczki.

- Weź sobie.

Mars odsunął się wreszcie od niej, a po chwili poszedł do salonu, żeby zapytać Kevina, czy nie zauważył czegoś podejrzanego. Nie usłyszała odpowiedzi chłopaka.

Kiedy wyjmowała z szuflady dużą zieloną plastikową miskę, wpadł jej w oczy mały nożyk do warzyw, którym wcześniej kroїła cebulę, szykując kanapki z tuńczykiem. Zerknęła w stronę wejścia do kuchni, ale Mars ciągle rozmawiał w salonie z Kevinem. Przestraszyła się, że któryś z nich zobaczy, jak sięga po nóż. Dopiero po chwili zaczęła się zastanawiać, jaki mogłaby mieć z niego pożytek. Wszyscy trzej byli starsi i silniejsi od niej. Jeszcze raz ostrożnie zerknęła w bok. Mars przyglądał jej się z salonu. Szybko odwróciła spojrzenie, zauważyła jednak kątem oka, że nie ruszył w jej stronę. W szortach nie miała kieszeni, a stanik od kostiumu był na tyle skąpy, że nie dało się pod nim ukryć noża. Więc nawet gdyby go zabrała, co miałyby z nim zrobić? Rzucić się na bandytów? Bzdura. Mars ruszył z powrotem do kuchni. Jennifer bez namysłu wsunęła nóż za mikser stojący obok na blacie.

- Co tak długo? - rzucił Mars.

- Gotowe.

- Zaczekaj.

Podszedł do lodówki i zajrzał do środka. Wyjął butelkę piwa, odkapslował i upił parę łyków. Wziął drugą butelkę i wyciągnął w jej kierunku.

- Chcesz?

- Nie piję piwa.

- Nie bój się, mamusia się nie dowie. Teraz możesz robić wszystko, na co masz ochotę, bo mamusi tu nie ma.

- Chcę wrócić do ojca.

Poszła za nim z powrotem do gabinetu. Mars podał piwo Dennisowi ciągle stojącemu przy oknie. Jennifer obeszła biurko i klękła obok Thomasa. Przesypała garść kostek lodu na ściereczkę, uformowała z niej kompres i przyłożyła do rany ojca. Skrzywiła się boleśnie, kiedy głośniej jęknął.

Thomas pochylił się jej do ucha i zapytał ledwie słyszalnym szeptem:

- I co teraz będzie?

- Cicho tam! - ryknął przez cały pokój Mars.

Znów wbijał spojrzenie w Jennifer, pożądliwym wzrokiem wodził po jej sylwetce. Zacerwieniła się mimo woli, usiłując skupić całą uwagę na rannym ojcu. Zdawała sobie sprawę, że się z nią drażni, jak poprzednio.

Zadzwonił telefon.

Wszyscy popatrzyli na aparat, ale nikt się nie ruszył. Drugi dzwonek sprawiał wrażenie głośniejszego, bardziej natrętnego.

- Matko Boska! - jęknął Dennis.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę, lecz mimo to rozległ się trzeci dzwonek.

- Co jest, do kurwy?! Dlaczego wciąż dzwoni?

- Jest podłączony do kilku linii - wyjaśnił Thomas. - Trzeba nacisnąć migający klawisz.

Dennis ze złością wdusił przycisk i rzucił słuchawkę na widelki. Dzwonienie umilkło.

Zawrócił na swój posterunek przy oknie, mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem bogaczy mających po kilka linii telefonicznych.



Telefon zadzwonił ponownie.

- Kurwa!

Z ulicy doleciał wzmocniony przez megafon, dudniący głos:

- Dennisie Rooney, tu policja. Podnieś słuchawkę.

TALLEY

Skulony za osłoną przedniego koła radiowozu, Talley wsłuchiwał się w monotony sygnał telefonu, kiedy nad ich głowami pojawił się helikopter. Zatoczył ciasne koło, żeby z góry ocenić sytuację. Na drzwiach miał wymalowany emblemat lokalnej stacji telewizyjnej z Los Angeles. Reporterzy musieli się dowiedzieć o postrzeleniu Kima i Welcha z nasłuchu policyjnych kanałów. Należało się więc spodziewać, że wozy transmisyjne innych stacji też są już gdzieś w pobliżu. Zakrył dłonią mikrofon aparatu i obejrzał się na Jorgensona.

- Gdzie są ludzie szeryfa?

- W drodze.

- Połącz się z nimi i zażądaj osłony z powietrza. Powiedz, że krąży już nad nami śmigłowiec reporterski.

Telefon w domu ciągle dzwonił. Talley nakazał w myślach: Odbierz, sukinsynu!

- Niech Sarah połączy się z centralą telefoniczną, zdobędzie wykaz wszystkich numerów w tym domu i każe je zablokować. Mają być dostępne tylko do rozmów z mojej komórki. Nie chcę, żeby ktoś poza nami mógł rozmawiać z ludźmi znajdującymi się w środku.

- Jasne.

Otworzył już usta, żeby wydać kolejny rozkaz, gdy sygnał w telefonie nagle umilkł i rozległ się męski głos:

- Słucham.

Talley ruchem ręki nakazał Jorgensonowi milczenie i wziął głębszy oddech, żeby opanować nerwy. Nie mógł dopuścić, aby w jego głosie dało się wyczuć strach.

- Dennis Rooney?

- Kto mówi?

- Nazywam się Jeff Talley, jestem policjantem z Bristo. Siedzę za wozem patrolowym na wprost ciebie. Czy mówię z Dennisem Rooneyem?

Talley celowo nie chciał się przedstawić jako komendant tutejszej policji. Było oczywiste, że jest przedstawicielem prawa, wołał jednak, aby bandyci nie wiedzieli do końca, jak daleko sięga jego władza. Negocjatorem był zawsze człowiek o średnim statusie. Gdyby Rooney przedstawił swoje żądania, miałby okazję zyskać na czasie, odpowiadając, że najpierw musi się naradzić z przełożonym. W ten sposób chciał uchodzić za porządnego faceta, kogoś, kto zdoła nawiązać bliższą więź z Rooneyem, dając mu dobre rady, a nie rozkazując.

- Tamten gliniarz sięgał po broń. Chińczyk też wyciągnął pistolet. Nikt nie chciał go zabić. To był wypadek.

- Dennis Rooney? Chcę wiedzieć, z kim rozmawiam.

- Tak, tu Rooney.

Talley odetchnął z ulgą. Dennis nie był nieobliczalnym szaleńcem, nie zaczął wrzeszczeć, że wymorduje wszystkich znajdujących się w domu.

- No więc, Dennis - zaczął dość swobodnym, ale stanowczym tonem - najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy ktoś nie potrzebuje pomocy lekarskiej. Było sporo strzelaniny.

- Teraz jest spokój.

- Możemy ściągnąć lekarza, jeśli to konieczne.

- Powiedziałem, że teraz jest spokój. Nie słyszałeś?

W głosie Rooneya przebijało duże napięcie, ale nie było w tym nic niezwykłego.

- Wszyscy martwimy się bardzo o ludzi, którzy są z tobą, Dennis. Jak się czują? Kto jest z tobą w domu?

Rooney nie odpowiedział. Przez chwilę słyhać było tylko jego przyspieszony oddech, a potem stłumione głosy, jakby zakrył dłonią słuchawkę. Musiał to sobie przemyśleć. Talley wiedział z doświadczenia, że jeszcze przez jakiś czas logiczne myślenie będzie sprawiało mu spore kłopoty. Był naładowany adrenaliną, zdesperowany i przestraszony. Wreszcie odpowiedział:

- Jest tu cała rodzina. Ale to nie jest porwanie, prawda? To znaczy... Oni wszyscy byli w domu. Nie schwytaliśmy ich i nigdzie nie zabraliśmy.

To był pierwszy dobry znak, gdyż sygnalizował troskę Rooneya o przyszłość. Chłopak nie chciał umierać, bał się tylko konsekwencji swoich czynów.

- Możesz mi przedstawić tę rodzinę?

- To ci do niczego niepotrzebne. Dość już powiedziałem.

Talley postanowił to przemilczeć. Negocjator z biura szeryfa mógł się później zająć ustalaniem szczegółów.

- W porządku. Rozumiem, że na razie nie chcesz mi podać imion tych ludzi. Niech tak będzie. Ale czy możesz przynajmniej powiedzieć, jak się czują?

- Nic im nie jest.

- A twoi dwaj przyjaciele? Mam nadzieję, że żaden z was nie został postrzelony.

- Nie. Wszystko gra.

Pośrednio dowiedział się w ten sposób, że wszyscy podejrzani znajdują się w domu. Wyłączył na chwilę mikrofon aparatu i zwrócił się do Jorgensona:

- Wszyscy są w środku. Przekaż Larry'emu, żeby przerwał przekazywanie ostrzeżeń w sąsiedztwie.

- Tak jest.

Kiedy Jorgenson zaczął mówić przez radio, Talley wrócił do rozmowy z Rooneyem. Nad ich głowami pojawił się drugi helikopter i zawisł nad budynkiem. Zjawiała się kolejna ekipa telewizyjna.

- W porządku, Dennis - rzekł do aparatu - pozwól, że ci wyjaśnię waszą sytuację.

- Chwileczkę - przerwał mu Rooney. - Odpowiedziałem na twoje pytania, teraz sam chcę o coś spytać. Nie zastrzeliłem tego Chińczyka w sklepie. Wyciągnął spod lady broń, zaczęliśmy się szamotać i nagle pistolet wypalił. Chińczyk sam musiał niechcący nacisnąć spust.

- Rozumiem. Podejrzewam, że w minimarkecie jest zainstalowana kamera systemu bezpieczeństwa, więc dowiemy się bez trudu, jak było naprawdę.

- Chcę tylko powiedzieć, że pistolet sam wypalił. A kiedy padł strzał, uciekliśmy. I to wszystko.

- W porządku.

- Chciałem zapytać, co z tym Chińczykiem. Nic mu nie jest?

- Pan Kim nie wyszedł z tego. Zmarł.

Rooney nie odpowiedział. Talley mógł się domyślić, że jego wyobraźnia podsuwa mu teraz ciąg różnorodnych wizji, od próby zbrojnego przebicia się z okrażenia do może nawet samobójstwa. Znowu trzeba było mu otworzyć wentyl bezpieczeństwa.

- Nie będę cię okłamywał, Dennis. Znaleźliście się w poważnych tarapatach. Ale jeśli to, co mówiłeś o szamotaninie, okaże się prawdą, na pewno zostanie potraktowane jak okoliczność łagodząca. Więc lepiej nie pogarszajcie dodatkowo swojej sytuacji. Wciąż da się znaleźć z niej jakieś rozsądne wyjście.

Sięgnięcie przez Kima po broń nie było żadną okolicznością łagodzącą. Według kalifornijskiego prawa każda śmiertelna ofiara napadu rabunkowego traktowana była jak ofiara morderstwa. Talley musiał jednak dać Rooneyowi przynajmniej cień nadziei.

- A co z tym policjantem? - zapytał Dennis. - On także sięgnął po rewolwer.

- Jeszcze żyje. Ale przez to jedynie odwlekliście moment aresztowania.

- Nie zapominaj, że są z nami mieszkańcy tego domu. Więc lepiej nie próbujcie go szturmować.

Rooney mówił już znacznie spokojniej, bez poprzedniego napięcia w głosie.

- Muszę cię jednak już teraz poprosić, żebyście wypuścili tych ludzi.

- Nie ma mowy.

- Liczycie się w tej rozgrywce tylko tak długo, dopóki nic im nie jest. Policjant żyje. Jak sam powiedziałeś, Kim groził wam użyciem broni. Lepiej by było, gdybyś wypuścił mieszkańców z domu.

- Nie chrań. Oni są dla nas jedyną gwarancją, że nie przypuścicie natychmiast szturmu. Pewnie sam byś nas zabił za to, że strzelaliśmy do twojego kolegi.

- Masz powody, żeby odbierać to w ten sposób, Dennis, ale mogę ci zaręczyć słowem honoru, że nie przystąpimy do szturmu. Nie zamierzamy brać was siłą. Jasne?

- Mam nadzieję.

- Mówię prawdę. Chciałbym jednak, żebyś w pełni zdawał sobie sprawę z waszej sytuacji. I nie traktuj tego jak pogróżki. Chcę być z tobą po prostu szczerzy. Dom jest otoczony przez policję, a wszystkie drogi wyjazdowe z osiedla zablokowane. Nie uciekniecie, Dennis. Nie macie na to żadnych szans. Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że zależy mi, abyście i wy, i mieszkańcy domu wyszli z tego bez szwanku. To jest mój główny cel. Rozumiesz?

- Tak.

- Naprawdę byłoby najlepiej, gdybyście zechcieli sami sobie pomóc i wypuścili niewinnych ludzi. Jeśli ich uwolnicie, a potem się poddacie, wszystko zakończy się spokojnie. Poza tym, jeśli sami się poddacie, będzie to kolejna okoliczność łagodząca, którą sędzia rozważy na waszą korzyść. Rozumiesz?

Rooney nie odpowiedział, co należało uznać za dobry znak. Skoro nie wywiązała się kłótnia ani dyskusja, oznaczało to, że chłopak się zastanawia. Talley zdecydował więc, że trzeba w tym momencie przerwać rozmowę i dać Rooneyowi czas na rozważenie tego, co usłyszał.

- Nie wiem, jak ty, Dennis, ale ja muszę zrobić przerwę. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Zadzwoń znów za dwadzieścia minut. A gdybyś chciał rozmawiać wcześniej, po prostu zawołaj, wtedy zadzwonię.

Przerwał połączenie. Ręce tak bardzo mu się trzęsły, że upuścił telefon komórkowy. Wziął jeden głębszy oddech, potem drugi, lecz niewiele to pomogło.

- W porządku, szefie? - zapytał Jorgenson.

Lekceważąco machnął ręką.

Helikoptery jeszcze nie odleciały. Oba wisiały teraz nieruchomo nad posesją, co oznaczało, że reporterskie kamery pracują.

Talley schował komórkę do kieszeni, powiedział Jorgensonowi, żeby go wezwał przez radio, gdyby coś się zmieniło, po czym wsiadł do samochodu i tyłem wyjechał z uliczki. Przeprowadził tylko jedną krótką rozmowę z przerażonym dwudziestodwulatkiem, a już zbierało mu się na wymioty. Na skrzyżowaniu stał Larry Anders, dołączyło do niego dwoje policjantów z następnego patrolu, Scott Campbell i Leigh Metzger. Campbell pracował kiedyś jako agent ochrony w Bakersfield i wstąpił do policji miejskiej w Bristo tylko po to, żeby dorobić do emerytury, a Metzger samotnie wychowywała dziecko i miała za sobą osiem lat pracy instruktorki w komandzie głównej policji z San Bernardino, ale prawie żadnego doświadczenia w służbie patrolowej. Na widok tej pary Talleya ogarnęło zniechęcenie.

- Jezu, Larry, czy ci cholerni ludzie szeryfa idą tu na piechotę, czy jak? Gdzie oni są?

- Sarah jest z nimi w kontakcie, szefie. Prosiła, żeby pan się z nią połączył.

Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Co się stało?

- Nie wiem. Poza tym mówiła, że dziennikarze chcą się dowiedzieć czegoś więcej. Kręcą się już wokół minimarketu i jadą tutaj.

Talley potarł dłonią policzek i spojrział na zegarek. Od strzelaniny, w której zginął Junior Kim, minęły pięćdziesiąt trzy minuty. Zaledwie pięćdziesiąt trzy minuty, a jemu już się zdawało, że cały jego świat skurczył się do rozmiarów ciasnego podwórka.

- Kiedy się tu zjawia, wpuście ich na osiedle, ale nie dalej niż do tego skrzyżowania.

- Niedaleko, przy salonie King and Lady, jest pusty plac. Mogę ich tam skierować?

- Świetny pomysł. Byle tylko nie rozleili się po całej okolicy. Zjawię się tam za parę minut i wygłoszę oficjalne oświadczenie.

Zawrócił do samochodu, w duchu wmawiając sobie, że wszystko jest w porządku. Nawiązał kontakt i dowiedział się, że wszyscy trzej bandyci są w domu, a nikt z mieszkańców nie został ranny. Otworzył drzwi auta i dopiero teraz poczuł, że w środku jest gorąco jak w piekarniku. Wcześniej był tak spięty, że nawet nie zwrócił na to uwagi. Włączył krótkofalówkę i wywołał centralę.

- Liczę na to, że masz dla mnie dobre wiadomości. Bardzo ich potrzebuję.

- Drogówka podeśle nam do pomocy sześć wozów patrolowych z Santa Clarita i Palmdale. Dostali już rozkazy i powinni tu dojechać za jakieś dziesięć minut.

Drogówka?!

- A co z brygadą antyterrorystyczną i zespołem negocjacyjnym? Przecież sami nie damy rady choćby otoczyć całej posesji.

Zauważył, że jego głos brzmi nieco piskliwie, ale nie miało to większego znaczenia.

- Przykro mi, szefie. Brygada jest zajęta w Pico Rivera. Powiedziano mi, że dostaniemy wsparcie najszybciej, jak to możliwe.

- Po prostu cudownie, do cholery! A co mamy robić do tego czasu?

- Powiedzieli, że musisz jakoś sobie radzić.

Talley bezsilnie opuścił na kolana trzymany w ręku mikrofon.

- Szefie? Jesteś tam jeszcze?

Zatrzasnął drzwi samochodu, uruchomił silnik i włączył klimatyzator. Anders i Campbell obejrzeni się, usłyszawszy warkot, po czym zrobili zdziwione miny, kiedy

wóz nie ruszył. Talley włączył dmuchawę i wystawił twarz na uderzenia zimnego powietrza. Był tak rozdygotany, że aż musiał wsunąć dłonie pod uda. Czuł przerażenie, a jednocześnie wstyd. Powtarzał w myślach, że to nie jest Los Angeles, on nie jest już policyjnym negocjatorem i życie zakładników w najmniejszym stopniu nie zależy od niego. Musiał tylko to przetrzymać do czasu przyjazdu ludzi szeryfa. Potem wróci do sadu awokado i odzyska spokój emanujący od idealnie równych szeregów drzewek. To była tylko kwestia minut, może nawet sekund. Zaczął więc sobie wmawiać, że tyle na pewno wytrzyma. Powtarzał to sobie raz za razem, choć ani trochę w to nie wierzył.

DENNIS

Dennis cisnął słuchawkę na widelki i z twarzą czerwoną od niepohamowanej wściekłości ryknął:

- Kurwa mać!

Talley najwyraźniej traktował go jak idiotę, myśląc, że on nabierze się na te bajeczki o spokojnym rozwiązaniu, bo policja nie zamierza szturmować domu. Za dobrze znał gliniarzy i wiedział, że skoro jeden z nich został postrzelony, reszta zechce go pomścić. Ten łobuz pewnie już teraz rozmyślał, jak załatwić ich wszystkich przy pierwszej nadarzającej się okazji, by nie mieli nawet szansy stanięcia przed sądem. Cholerny Talley pewnie sam pragnął wziąć go na muszkę i nacisnąć spust. Tak go to wściekało, że aż odczuwał bolesne skurcze żołądka.

- Czego chcieli? - zapytał Mars.

- A jak myślisz?! Jezu. Chcą, żebyśmy się poddali.

Mars wzruszył ramionami i skrzywił się pogardliwie.

- Ja na pewno się nie poddam.

Dennis spojrzał na rodzeństwo klęczące nad nieprzytomnym ojcem i wyszedł z gabinetu. Musiał wymyślić jakiś sposób wydostania się z tego przeklętego domu i ominięcia policyjnej oblawy. Potrzebny mu był plan działania. W ruchu łatwiej mu się myślało, jakby w ten sposób uwalniał się od strachu, który trzymał go w kleszczach. Ale zarazem tak źle się czuł w tym wielkim domu przytłaczającym swoimi rozmiarami, aż ogarniały go torsje. A nie zamierzał wymiotować na oczach Marsa.

Wszedł do kuchni i popatrzył na drzwi do garażu. Kluczyki od samochodu wisiały na haczyku z boku kredensu. Facet nie kłamał. Dennis zajrzał do garażu. Obok błyszczącego jaguara sedana stał tam terenowy range rover, oba wozy były najwyżej paroletnie. Zajrzał przez okno do jaguara. Wskaźnik na desce rozdzielczej pokazywał, że bak jest pełny. Gdyby jego półciężarówka zepsuła się choćby pięć minut wcześniej,



gdyby pięć minut wcześniej dostali się do tego domu, wyjechaliby stąd tym wspaniałym autem. Byliby wolni.

Z wściekłością huknął pięścią w kierownicę jaguara i syknął:

- Cholera!

Zamknął oczy.

Tylko spokojnie, kolego.

Nie daj się ponieść. !

Musi być jakieś wyjście.

- Dennis?

Otworzył oczy i obejrzał się. W przejściu stał Kevin boleśnie skrzywiony, jakby zachciało mu się sikać.

- Miałeś obserwować, czy gliny nie zakradają się od tyłu.

- Musimy pogadać. Gdzie Mars?

- Pilnuje wejścia od frontu tak, jak ty powinienes pilnować od tyłu. Zjeżdżaj stąd.

Dennis znowu zacisnął powieki. Policja obserwowała dom od frontu i od tyłu, ale był bardzo rozległy, któreś okno albo drzwi na pewno znajdowały się poza ich polem widzenia. Otaczały go drzewa, krzaki i płoty, za którymi ciągnęły się sąsiednie posesje. Po zmroku cały ten teren powinien tonąć w ciemnościach niby przykryty szczelnie czarną peleryną. Gdyby użyć podstępów, na przykład przebrać zakładników, żeby z daleka przypominali ich trzech, przywiązać ich do foteli jaguara i za pomocą pilota zdalnego sterowania otworzyć bramę garażu, gliniarze skupiliby się na samochodzie, a oni w tym czasie mogliby się wyśliznąć z drugiej strony domu i rozpląnąć w ciemnościach.

- Dennis?

- Grozi nam oskarżenie o morderstwo, więc daj mi spokojnie pomyśleć, Kevin.

- Chodzi mi o Marsa. Musimy porozmawiać o tym, co się stało.

Kevin znów zrobił minę cykora, silnie zmarszczył brwi i ze strachem spoglądał z ukosa, za co Dennis miał ochotę zdzielić go po łbie. Od początku nienawidził młodszego brata, nienawidził dławiącego w gardle poczucia obowiązku, nakazującego mu ciągnąć go za sobą przez życie. Nie potrzebne mu były tyrady więziennego psychologa, żeby znać powód. Kevin był dla niego ucieleśnieniem wspólnej przeszłości, jednocześnie słabą, niezaradną matką, która ich porzuciła, i brutalnym,

wiecznie naćpanym ojcem tłukącym ich za byle co, jak i obrzydliwie żalną egzystencją, na którą zostali skazani. Dennis nienawidził go za wszystko.

Zatrzasnął drzwi jaguara.

- Musimy znaleźć jakąś drogę ucieczki. To teraz najważniejsze, Kevin. Koniec, kropka. Musimy się wydostać z tego przeklętego domu, bo nie zamierzam wracać za kratki.

Przecisnął się obok brata, usiłując w ogóle na niego nie patrzeć. Kevin podreptał za nim. Przeszli przez kuchnię na korytarz, minęli koszmarne mieszcząską jadalnię oraz salon z eleganckim barem wykończonym miedzianymi okuciami i z wielką kanapą zarzuconą jedwabnymi poduchami. Dennis pomyślał, że mógłby za tym barem serwować drinki dla oszalamiająco pięknych gości, jak z telewizyjnych reklamówek czy kaset porno. Od razu stałby się ważnym graczem, gdyby zamieszkał w takim domu. Stałby się mężczyzną wypełniającym swoje przeznaczenie.

Dotarli do wielkiej małżeńskiej sypialni na tyłach domu. Tu także znajdowały się rozsuwane szklane drzwi prowadzące nad basen. Ten jeden pokój był większy od mieszkania, jakie zajmowali obaj bracia. Dennisowi przyszło na myśl, że w sąsiedniej łazience może być okienko, przez które uda im się wyśliznąć na zewnątrz.

Kevin złapał go za rękę.

- Posłuchaj, Dennis.

- Nie widzisz, że szukam wyjścia?

- Mars kłamał na temat tego gliniarza, który podszedł do drzwi. On wcale nie wyciągnął rewolweru. Nie musiałeś do niego strzelać.

Dennis chwycił go za koszulę na piersi.

- Przestań! Nie mieliśmy wyboru!

- Stałem przy oknie i wszystko widziałem. Położyłem tylko rękę na kaburze, ale nie sięgałem po broń. Mówię ci, że nie wyciągnął rewolweru.

Dennis puścił go i odsunął się o krok, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Pewnie nie widziałeś dobrze.

- Stałem przy oknie. Mars cię okłamał.

- Dlaczego miałby kłamać?

- Coś z nim jest nie w porządku. On chciał, żebyś zabił tego gliniarza.

Dennisa coś ścisnęło za gardło. Znow ogarniała go wściekłość. Przyszło mu do głowy, że jego popieprzony braciszek ma wyjątkową zdolność do przynoszenia na srebrnej tacy kolejnego gówna, chociaż on już grzęźnie w nim po uszy.

- Chyba sam nie wiesz, o czym gadasz. Otoczyli nas gliniarze, grozi nam oskarżenie o morderstwo. Musimy jakoś się stąd wydostać, więc przestań chrzanić.

W sypialni było kilkoro drzwi. Miał nadzieję, że któreś z nich prowadzą do łazienki albo do garderoby z okienkiem, ale się pomylił.

Szeregi ubrań wisiały na wieszakach i buty stały rzędami na stojaku, jak w każdej normalnej szafie, ale tutaj było coś jeszcze: bateria małych czarno-białych monitorów wciśniętych w kąt garderoby. Na jednym ekranie widać było Marsa z parą dzieciaków w gabinecie, na innym wóz policyjny stojący na wprost domu pośrodku ulicy, na następnym jaguara i range rovera w garażu. Kamery przekazywały obrazy z każdego pokoju, sypialni, łazienki i korytarza, widać było nie tylko basen czy szopę w ogródku, ale nawet mroczny kąt za szopą. Wyglądało na to, że każdy centymetr posesji jest pod stałym nadzorem.

- Kevin?

Brat podszedł do niego i aż gwizdnął pod nosem z podziwu.

- Co to jest?

- System bezpieczeństwa. Jezu, ale sprzęt.

Dennis skupił się na obrazie sypialni. Wyglądało na to, że kamera jest umieszczona w rogu pod sufitem, nad drzwiami, które przed chwilą otworzył. Cofnął się o krok i spojrzał w tamtym kierunku, ale niczego nie zauważył.

- Hej, widzę cię - rzucił Kevin z przyległego pomieszczenia.

Dennis podszedł do niego. Poniżej banku monitorów, znajdował się pulpit usiany rzędami przełączników, diod kontrolnych oraz zielonych, i czerwonych lampek. W tej chwili paliły się wszystkie zielone. Z prawej strony klawiatury ciągnął się szereg dużych przycisków z podpisami: CZUJNIKI RUCHU, PODCZERWIENĆ, ZAMKI NA PIĘTRZE, ZAMKI NA PARTERZE oraz ALARMY. Dennis poczuł się nieswojo. Odwrócił się i w zamyśleniu delikatnie pchnął drzwi. Lekko obracały się na zawiasach, ale były masywne i ciężkie. Zamontowano w nich grubą zasuwkę pozwalającą się zamknąć od środka. Zastukał w nie pięścią. Były stalowe.

Ze zdziwioną miną spojrzał na brata.

- Co to ma być, do cholery? Po co tu tyle zabezpieczeń jak w sejfie bankowym?

Kevin uklęknął i dał nura pod ubrania w szafie, spod których widać było tylko jego wypięty tyłek. Powoli zakołysał się w przód i w tył, po czym obrócił się na czworakach. W rękach trzymał białe kartonowe pudełko wielkości opakowania po butach. Dennis schylił się i także zajrzał pod ubrania. W tylnej ścianie szafy znajdowały się nieduże metalowe drzwiczki, które jak w garażu można było podnosić do góry. Były odchylone, ukazując wnętrze skrytki zastawionej identycznymi kartonowymi pudełkami.

Kevin ostrożnie uniósł pokrywkę.

- Spójrz.

Pudełko było wypakowane banknotami studolarowymi.

Wyciągnął drugie i trzecie. Wszystkie były pełne pieniędzy. Dennis klęknął obok niego i wysunął czwarte pudełko, także z forszą.

Popatrzyli na siebie.

- Przeprowadźmy tu Marsa.

## JENNIFER

Jennifer coraz bardziej się martwiła. Oddech nieprzytomnego ojca stał się płytki i urywany. Gałki oczne coraz szybciej drgały pod zamkniętymi powiekami, jak u człowieka przeżywającego senny koszmar. Zdjęła z kanapy poduszkę i podłożyła mu pod głowę, po czym usiadła obok, wciąż przytrzymując zimny kompres przy jego skroni. Krwawienie całkiem ustało, lecz rana wyglądała coraz gorzej, była silnie zaczerwieniona, rozogniona, a poniżej ukosem przez policzek z wolna tworzyła się brzydka sina pręga. Thomas trącił ją w kolano i zapytał szeptem:

- Dlaczego ciągle nie odzyskuje przytomności?

Zanim odpowiedziała, zerknęła na Marsa, który przeciągnął pod okno krzesło spod biurka, siedział na nim i obserwował policjantów na zewnątrz.

- Nie wiem.

- Czy on umrze?

Miała takie same obawy, ale wołała ich nie wypowiadać na głos. Podejrzewała, że ojciec mógł doznać poważnej kontuzji, wiedziała, że coś takiego jest możliwe. Kiedyś łapacz szkolnej drużyny baseballowej nabawił się kontuzji podczas meczu, gdy

blokował dostęp do macierzystej bazy i potężniej zbudowany przeciwnik wpadł na niego z impetem. Tima zabrano do szpitala i przez dwa dni nie przychodził do szkoły. Stąd też Jennifer obawiała się, że ojciec również potrzebuje pomocy lekarskiej, a jego stan może się jeszcze pogorszyć, jeśli jej szybko nie otrzyma.

- Jen? - Thomas trącił ją łokciem i powtórzył napiętym szeptem: - Jen?

Odpowiedziała po dłuższej chwili, siląc się na spokój:

- Myślę, że doznał kontuzji. Nic więcej nie wiem.

Znów zadzwonił telefon na biurku. Mars spojrzał na aparat, ale nie ruszył się z krzesła. Telefon umilkł w tej samej chwili, gdy bracia pojawili się w drzwiach gabinetu. Dennis podszedł i popatrzył na nieprzytomnego mężczyznę, potem przeniósł wzrok na Jennifer. Wyraz jego twarzy sprawił, że przeszły ją dreszcz. Kevin także wbijał w nią spojrzenie.

Dennis kucnął i zagadnął:

- Czym się zajmuje twój staruszek?

- Jest księgowym.

- Aha. Nalicza podatki dla innych bogaczy i zajmuje się ich pieniędzmi zgadza się?

- Tak. Właśnie tym zajmują się księgowi.

Zdawała sobie sprawę, że Dennis także się z nią drażni, i była gotowa ostro zareagować na zaczepki, ale on mierzył ją dziwnym taksującym wzrokiem. Zerknął przelotnie na Thomasa, uśmiechnął się i zapytał:

- Jak ci na imię?

- Jennifer.

- A na nazwisko?

- Smith.

- W porządku, Jennifer Smith. A twój staruszek to?

- Walter Smith.

Znów popatrzył na Thomasa.

- A jak ty masz na imię, tłuścioszku?

- Ugryź się.

Dennis złapał go za ucho i chłopak wyrzucił z siebie piskliwie:

- Thomas!

- Jak będziesz niegrzeczny, Thomasie tłuścioszku, to ci złożę dupsko. Jasne?

- Tak jest.

Puścił go.

- Bardzo dobrze, tłuścioszku.

Jennifer miała nadzieję, że teraz zostawią ich w spokoju, ale stało się inaczej. Dennis znów uśmiechnął się do niej przymilnie i rzekł:

- Zostaniemy tu przez jakiś czas, Jennifer. Gdzie jest twoja sypialnia?

Zaczerwieniła się, a Dennis uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie myśl o mnie źle, nic takiego nie miałem na myśli. Wydaje mi się tylko, że trochę zmarzałaś w samym kostiumie i szortach. Przyniosę ci coś do okrycia tego wspaniałego ciała.

Jennifer odwróciła głowę, czując, że rumieni się jeszcze mocniej.

- Na gorze.

- Dobra. Zaraz ci coś przyniosę.

Wstał, przywołał Marsa i obaj wyszli z gabinetu. Kevin zajął posterunek przy oknie.

Telefon znów zadzwonił, lecz nawet na niego nie spojrział. Wydawało się, że natrętny terkot nigdy nie ucichnie.

Thomas znowu trącił ją w kolano.

Niechętnie odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Był blady jak ściana, tylko w kącikach zaciśniętych ust rysowały się dwie ciemniejsze zmarszczki. Zawsze robił taką minę, kiedy się wściekał. Jennifer świetnie wiedziała, że nie znosi, gdy wytyka mu się jego nadwagę.

Jeszcze raz trącił ją lekko, czekając, aż się odezwie. Obejrzała się i zyskawszy pewność, że Kevin nie zwraca na nich uwagi, zapytała niemal bezgłośnie:

- Co?

Thomas pochylił się w jej stronę. Wygięte ku dołowi zmarszczki w kącikach ust jeszcze bardziej pociemniały.

- Wiem, gdzie tata trzyma pistolet - szepnął.

## GLEN HOWELL

Glen Howell po piętnastu sygnałach przerwał połączenie. To mu się nie podobało. Byli umówieni, a księgowy dotąd zawsze odbierał telefony. Stopniowo ogarniała go wściekłość. Nie dość, że musiał wyjechać o tak późnej porze, to jeszcze ugrzązł w korku i w dodatku ten sukinsyn w ogóle nie odbierał telefonu. W jego świecie nie tolerowało się spóźnień, a wszelkie tłumaczenia były bezcelowe, bo i tak należało się liczyć z surową karą.

Howell nie wiedział, z jakiego powodu policja zablokowała wszystkie dojazdy do York Estates, a na ulicach potworzyły się takie korki. Podejrzał, że nastąpiła jakaś poważna awaria, na przykład gazociągu, która zmusiła służby miejskie do odcięcia całego osiedla, przez co ruch na ulicach został zdezorganizowany i ludzie stojący w korkach tracili tylko cenny czas. Bogaci nie lubią żadnych niedogodności i utrudnień.

Wcisnął klawisz i przyciemniona boczna szyba wielkiego mercedesa klasy S opuściła się bezszelestnie. Wyjrzał na zewnątrz i wyciągając szyję, usiłował wypatrzeć przyczynę wstrzymania ruchu. Na skrzyżowaniu stał samotny policjant i kierował samochody w inną stronę. Przepuścił tylko furgonetkę jakiejś stacji telewizyjnej. Glen podniósł szybę, odcinając się na powrót od świata zewnętrznego. Wyjął z kieszeni ciężki rewolwer Smith & Wesson kalibru 10,16 milimetra i włożył go do schowka w desce rozdzielczej. Miał ważne w Kalifornii pozwolenie na broń, pomyślał jednak, że lepiej będzie nie zwracać niczyjej uwagi wypchaną kieszenią, gdyby musiał wysiąść z auta.

Po raz czwarty w ciągu ostatnich pięciu minut spojrzął na zegarek. Był już spóźniony dziesięć minut i wszystko wskazywało na to, że to spóźnienie jeszcze się powiększy. Trzy wozy przed nim musiały skręcić, tylko jeden przepuszczono. Wreszcie nadeszła jego kolej. Na posterunku stał młody chłopak, wysoki i barczysty, z wydatną grdyką.

Glen opuścił szybę. Rozgrzane powietrze wdarło się do klimatyzowanego wnętrza z takim impetem, że natychmiast zapragnął znaleźć się z powrotem w Palm Springs, zamiast pełnić funkcję chłopca na posyłki. Zrobił poważną minę i dumnie zadarł brodę, wcielając się w rolę bogatego biznesmena, któremu podrzędny niedouczony funkcjonariusz publiczny niepotrzebnie zawraca głowę.

- Co się dzieje, panie władzo? Skąd ta blokada?

- Mieszka pan w tej okolicy?

Howell pomyślał, że jeśli skłamię, gliniarz może go poprosić o podanie adresu i pokazanie prawa jazdy. Nie chciał, by przyłapano go na kłamstwie.

- Nie, mam spotkanie w sprawach służbowych. Mój współpracownik na mnie czeka.

- Na osiedlu wytworzyła się kłopotliwa sytuacja, musieliśmy zablokować dojazd. Przepuszczamy wyłącznie mieszkańców.

- Jaka znowu kłopotliwa sytuacja?

Gliniarz zrobił zakłopotaną minę.

- Ma pan rodzinę na tym terenie?

- Nie. Jak już mówiłem, tylko przyjaciół. Coraz bardziej zaczynam się o nich martwić, panie władzo.

Policjant zmarszczył brwi i spojrzał na długi szereg samochodów czekających w kolejce do wjazdu.

- W jednym z domów na osiedlu zabarykadowali się bandyci podejrzani o napad na sklep. Musieliśmy ewakuować mieszkańców sąsiednich posesji i zamknąć wjazd na osiedle do czasu, aż znów będzie tam bezpiecznie. Może to trochę potrwać.

Glen pokiwał głową, starając się okazać zrozumienie. Natychmiast pojął, że nie ma sensu wyciągać pieniędzy, bo nawet za sto dolarów nie kupi sobie przejazdu przez blokadę.

- Proszę posłuchać. Mój klient na mnie czeka. To nie potrwa długo. Naprawdę. Muszę się z nim zobaczyć tylko na parę minut i zaraz się stąd wynoszę.

- Przykro mi, ale nie mogę pana przepuścić. Proponuję, żeby porozumiał się pan ze znajomym telefonicznie i umówił się z nim w innym miejscu, jeśli tylko jest jeszcze w domu. Zaalarmowaliśmy wszystkich mieszkańców osiedla, radząc im, by pozostali w domach albo wyjechali pod naszą eskortą. Naprawdę nie mogę pana przepuścić.



Glen za wszelką cenę usiłował zachować spokój. Uśmiechnął się i popatrzył na stojący przed nim wóz policyjny, jednocześnie myśląc gorączkowo. Przy każdej takiej konfrontacji w pierwszym odruchu chciał sięgnąć po broń i wpakować ze dwie kulki prosto między oczy człowieka krzyżującego mu plany, ale nauczył się nad nim panować. Prawdę powiedziawszy, nauczyła go tego wieloletnia terapia, bo choć nadal bywał nadzwyczaj wybuchowy, potrafił tłumić w sobie instynktowne pragnienia.

- W porządku. To niezły pomysł. Mogę tu zjechać na bok, żeby zadzwonić?

- Oczywiście.

Zjechał na pobocze, stanął i po raz kolejny sięgnął po telefon komórkowy, jak poprzednio odczekał piętnaście sygnałów, lecz nadal nikt nie odbierał. Coraz bardziej mu się to nie podobało. Jeśli całe osiedle zostało obstawione przez gliny, to księgowy zapewne miał mokro w gaciach i bał się do tego stopnia, że nawet nie odbierał telefonów. Albo został ewakuowany. Niewykluczone też, że w jego domu roilo się od policji, która urządziła tam centralę dowodzenia. Omal nie wybuchnął śmiechem na tę myśl. Było to jednak mało prawdopodobne, bo w takim razie facet powiadomiłby Palm Springs, a więc i on zostałby zawiadomiony o zmianie terminu i miejsca spotkania. Poza tym gliniarz pilnujący wjazdu pewnie znał nazwiska ewakuowanych rodzin, a przynajmniej mógł się ich szybko dowiedzieć, tyle że Glen nie chciał zwracać na siebie uwagi i go o to zapytać.

Ruszył powoli, zawrócił i jechał, pogrążony w myślach, gdy nagle spostrzegł następny telewizyjny wóz reporterski zatrzymujący się w kolejce. Przyszło mu na myśl, że mógłby się nim zabrać. Zatrzymał samochód obok furgonetki i opuścił szybę. Za kierownicą siedział starszy mężczyzna z wianuszkami rzadkich włosów otaczających rozległą łysinę i z obwisłymi policzkami. Miejsce z prawej strony zajmowała szczupła Azjatka o wydętych wargach. To ona pewnie występowała przed kamerą. Przyszło mu do głowy, że jej wargi są nienaturalnie grube. Brzydził się kobietami, które szprycowały swoje usta różnymi świństwami, bo zwykle nie chciały obciągać nawet za pieniądze.

- Przepraszam! - zawołał. - Nie chcieli powiedzieć, co tam się dzieje, poza tym, że ewakuowali część mieszkańców osiedla. Nie wiecie nic więcej w tej sprawie?

Kobieta wychyliła się z fotela i spojrzała na niego przez otwarte okno od strony kierowcy.

- Nie mamy żadnych potwierdzonych informacji, ale wygląda na to, że trzech podejrzanych o napad z bronią w ręku zabarykadowało się w domu, biorąc lokatorów na zakładników.

- Cholera. Paskudna historia.

W gruncie rzeczy obchodziło go tylko to, że marnował cenny czas. Przez chwilę zastanawiał się, jak namówić ekipę reporterską, żeby zabrała go ze sobą na teren osiedla.

- Mieszka pan w tej okolicy?

Glen wyczuł, że mogą coś chcieć od niego, i nakazał sobie w duchu spokój. Niewykluczone, że nadarzyła mu się doskonała okazja, aby wytargować coś za coś.

- Nie, ale mam przyjaciół na tym osiedlu. Czemu pani pyta?

Auta przesunęły się trochę w kolejce, lecz furgonetka nadal stała w miejscu. Dziennikarka zajrzała do notatnika.

- Mam niepotwierdzone doniesienia, że wśród zakładników są dzieci, ale do tej pory nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby powiedzieć coś więcej o tej rodzinie. Chodzi o państwa Smith.

Czujniki mercedesa zareagowały na wzrost temperatury, nawiew klimatyzatora zahuczał głośnie. Howell nie zwrócił na to jednak uwagi.

- Może pani powtórzyć?

- Zakładnikami jest rodzina niejakiego Waltera Smitha. Podobno mają dwójkę dzieci, syna i córkę.

- Mówi pani, że to oni są zakładnikami? Trzyosobowa rodzina o nazwisku Smith?

- Zgadza się. Zna ich pan? Od dłuższego czasu próbujemy się czegoś dowiedzieć o dzieciach.

- Niestety, nie znam ich. Przykro mi.

Zamknął okno i odjechał. Siłą powstrzymywał się, żeby nie dodać gazu, gdyż niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę.

Ogarnęło go dziwne wrażenie oderwania od rzeczywistości, jakby był obcym przybyszem i nic go nie łączyło z tym światem. Klimatyzator huczał głośno. A więc trzech kretynów wdarło się do domu Waltera Smitha, wzięło go z rodziną na zakładników i teraz całe osiedle zostało otoczone przez gliniarzy i odcięte od otoczenia, a wokół domu roilo się od ekip telewizyjnych.

Trzy przecznice dalej Glen skręcił na parking. Wyjął rewolwer ze skrytki i włożył go do kieszeni. Czuł się z nim pewniej. Znów sięgnął po telefon komórkowy, ale tym razem wybrał inny numer. Rozmówca zgłosił się już po pierwszym sygnale.

- Mamy problem - zakomunikował krótko Howell.

*Palm Springs, Kalifornia*

17.26

## SONNY BENZA

Sonny bardzo potrzebował tlenu. Zacerpnął kilka głębszych oddechów, żeby zapanować nad przyspieszonym tętnem. Miał czterdzieści siedem lat, chorował na nadciśnienie i panicznie bał się zawału serca, który powalił jego ojca w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Był w bawialni olbrzymiego domu stojącego na skraju wzniesienia górującego nad Palm Springs i spoglądał na dwójkę swoich dzieci, Chrisa oraz Ginę, które od powrotu ze szkoły pluskały się w basenie. W pokoju Phil Tuzee i Charles „Sally” Salvetti, ociekając potem, ustawiali obok projektora wielki trzydziestosześcioletni telewizor marki Sony. Spieszyli się, chcąc podłączyć go jak najprędzej. Projektor miał funkcję dzielenia obrazu, lecz umożliwiał tylko odbiór dwóch stacji równocześnie, natomiast im zależało na tym, aby śledzić wszystkie trzy lokalne kanały z Los Angeles. Na ekranie projektora widać było dwa, pokazujące na żywo dom Waltera Smitha z góry, a po włączeniu Sony i ustawieniu trzeciego kanału zobaczyli twarz młodego reportera mówiącego do kamery sprzed stacji benzynowej.

Benza nadal nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

- Co do tej pory wiadomo? Tylko nie powtarzajcie tych telewizyjnych bzdur. Chcę wiedzieć, co wiadomo na pewno. Może chodzi o jakiegoś innego Waltera Smitha?

Salvetti otarł pot z czoła. Mimo mocnej opalenizny wyglądał na bardzo bladego.

- Dzwonił Glen Howell. Jest w sąsiedztwie osiedla, Sonny. Chodzi o naszego Waltera Smitha.

Tuzee uniósł obie ręce i poruszał nimi w uspokajającym geście.

- Tylko spokojnie. Nie wszystko naraz. Spróbujmy rozpatrzeć każdy aspekt z osobna. Federalni jeszcze nie dobijają się do drzwi.

- Na razie.

Tuzee też był wściekły i tylko udawał, że w pełni nad sobą panuje. Sonny musiał się tego domyślić, gdyż podszedł, objął go za ramiona i uściskał po przyjacielsku.

- Masz rację, Phil. Zostało nam dziesięć albo piętnaście minut, zanim do tego dojdzie.

Tuzee zaśmiał się sztucznie, myśląc, że jego zdenerwowanie musi być najwyraźniej doskonale wyczuwalne. Poczul się nieco rozluźniony. Był w pełni świadomy, że paskudna sytuacja, w jakiej się znaleźli, ani trochę się nie zmieniła, ale przynajmniej minęła początkowa panika. Rzeczywiście, trzeba było w spokoju rozważyć wszelkie możliwe rozwiązania.

- W porządku - rzeki Benza. - Spróbujmy zreasumować. Jakie materiały Smith miał u siebie w domu?

- Przecież to okres składania zeznań podatkowych, Sonny. Szykuje się kwartalne sprawozdanie finansowe. Miał wszystkie nasze zapisy.

Benza poczul, jak jeżą mu się włosy na karku.

- Na pewno? Glen nie zdążył ich odebrać?

- Był w drodze, kiedy to całe gównno się zwaliło. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że wjazd na osiedle jest zablokowany. Próbował się dodzwonić do Smitha, ale bez skutku. Wiecie, że księgowy odebrałby telefon, gdyby tylko mógł. Więc Glen zaczepił jakichś dziennikarzy i dowiedział się od nich, że jakichś trzech szczeniaków, uciekając po napadzie przed policją, włamało się do domu Smitha i wzięło go wraz z rodziną na zakładników. Na pewno chodzi o naszego Waltera Smitha.

- I wszystkie zapisy do kwartalnego sprawozdania nadal są w tym domu?

- Wszystkie.

Benza spojrział na ekrany telewizorów. Wciąż było na nich widać dom otoczony przez policjantów kryjących się za krzakami i wozami patrolowymi.

Zarządzał spółką, która oficjalnie prowadziła szesnaście barów, osiem restauracji i studio usług cateringowych oraz dysponowała prawie trzynastoma tysiącami hektarów winnic w środkowej Kalifornii. Wszystkie te firmy przynosiły

legalne zyski, tylko że oprócz tego były wykorzystywane do prania około dziewięćdziesięciu milionów dolarów rocznego dochodu z handlu narkotykami, rabunków i przemytu za granicę kradzionych samochodów oraz sprzętu budowlanego. Walter Smith zajmował się fabrykowaniem wiarygodnej dokumentacji przypisującej owe dochody firmom działającym legalnie, która następnie trafiała do rąk „rzeczywistych” księgowych. Ci zaś na jej podstawie przygotowywali zeznania podatkowe, nie mając najmniejszego pojęcia, że papiery są sfalszowane. I w ten sposób Benza po opłaceniu wyliczonych przez nich podatków mógł do woli gospodarować pozostałymi pieniędzmi, wydawać je bądź inwestować. Ale było to możliwe jedynie wtedy, jeśli do Waltera Smitha trafiała absolutnie cała dokumentacja dotycząca wszystkich jego interesów, zarówno legalnych, jak i nielegalnych.

Wszystkie dane finansowe były zapisane w jego komputerze.

Znajdowały się w jego domu.

Otoczonym teraz przez gliniarzy.

Sonny podszedł do okna, za którym rozciągał się zapierający dech w piersi panoramiczny widok na leżące w dole Palm Springs. Był naprawdę przepiękny.

Phil Tuzee stanął obok niego i chcąc go najwyraźniej pocieszyć, rzekł;

- Spokojnie, Sonny. To tylko trzech szczeniaków. Szybko się zmczą i wyjdą z domu. Smith wie, co ma robić. Na pewno ukrył wszelkie zapisy. Gówniarze się poddadzą, zostaną aresztowani i na tym się skończy. Nie ma żadnego powodu, dla którego policja miałaby przeszukiwać dom.

Sonny go nie słuchał. Rozmyślał o swoim ojcu. Niedaleko przy tej samej ulicy mieszkał kiedyś Frank Sinatra, który wydał kilkaset tysięcy dolarów, żeby odremontować i wyszykować swój dom na przyjęcie prezydenta Kennedy'ego. Liczył na to, że będą mogli razem z „Wielkim JFK” zasiąść w słońcu nad basenem, by omówić koleje tego świata. Właśnie zdążył dopiąć wszystko na ostatni guzik i podpisać rachunki, gdy się dowiedział, że prezydent ma go w nosie, bo odrzucił zaproszenie. Jeśli wierzyć plotkom, wpadł w dziki szał, zaczął strzelać na oślep w ściany i wyrzucać meble do basenu, wrzeszcząc na cały głos, że własnoręcznie rozkwasi mordę temu pieprzonemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. A czego się spodziewał? Że Kennedy przyleci w te pędy, aby uścisnąć dłoń wypudrowanemu podrzędnemu zapiewajle? Dom Sonny'ego Benzy stał jeszcze wyżej na wzniesieniu i był większy, a mimo to jego ojciec pozostawał pod wrażeniem domu Sinatry. Kiedy po

raz pierwszy przyjechał tu z wizytą, specjalnie wybrał się ulicą na spacer i stanął przed nim, patrząc z takim zachwytem, jakby miał przed sobą wskrzeszone imperium rzymskie. Później zaś powiedział: „Przekazanie interesów w twoje ręce, Sonny, było najlepsze, co mogłem zrobić. Aż nie chce mi się wierzyć, że tak daleko zaszedłeś i mieszkasz po sąsiedzku z Francisem Albertem”. Perską rodzinę, która wtedy zajmowała dom Sinatry, do tego stopnia przeraził widok ojca Sonny'ego sterczącego jak słup soli przed frontonem ich domu, że aż wezwała policję.

- Sonny?

Benza spojrział na przyjaciela. Tuzee od lat był mu najbliższy, od wczesnej młodości łączyła ich głęboka zażyłość.

- Te zapisy świadczą nie tylko o naszej działalności, Phil - rzekł. - Na ich podstawie można nie tylko dokładnie określić źródła naszych dochodów i sposoby prania pieniędzy, ale także wyodrębnić sumy, jakie przekazujemy na Wschód. Gdyby dostały się w ręce policji, nie tylko by przypieczętowały nasz koniec, ale także odbiły się głośnym echem na Wschodnim Wybrzeżu.

Phil Tuzee wstrzymał oddech, jak gdyby zapadł się w sobie. Sonny odwrócił się do pozostałych. Wszyscy patrzyli na niego w napięciu, czekając na rozkazy.

- Dobra. Jeśli to faktycznie trzech zwykłych szczeniaków, gliny dadzą im czas na ochłonięcie, żeby zrozumieli, że wpadli i muszą się poddać, bo nie mają innego wyjścia. Najdalej za dwie godziny powinni wyjść z rękami w górze, po czym cała ta zbieranina przeniesie się na komendę policji, by wysłuchać oficjalnego oświadczenia. I tyle.

Przynajmniej z pozoru brzmiało to nieźle.

- Tyle że to scenariusz optymistyczny. W najgorszym razie może dojść do krwawej jatki, a po jej zakończeniu dochodzeniówka prześwietli cały dom na wylot, nie wyłączając komputera Smitha. Jeśli do tego dojdzie, resztę życia spędzimy za kratkami.

Powiódł wzrokiem po twarzach swoich gości.

- O ile dożyjemy procesu przed sądem - dokończył.

Salvetti i Tuzee odważyli się spojrzeć mu w oczy, lecz żaden nie zaproponował, gdyż świetnie wiedzieli, że taka jest prawda. Nie mieli szansy ująć z życiem, gdyby rodziny ze Wschodniego Wybrzeża wydały na nich wyrok.

- Może powinniśmy ich ostrzec - mruknął Tuzee. - Zadzwoń do starego Castellano i opowiedzieć, co się tu dzieje. Może w ten sposób uniknęlibyśmy najgorszego.

Tym razem Salvetti uniósł obie ręce.

- Też pomysł. Tylko się wściekną i od razu przyślą tu swoich zabijaków.

Sonny pokiwał głową.

- Sally ma rację. Musimy sami uporać się z tą sprawą, i to jak najszybciej, zanim te łobuzy z Manhattanu cokolwiek zważają.

W zamyśleniu spojrzął jeszcze raz na ekrany telewizorów. Tak, bezwzględnie musieli przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Kto kieruje tą akcją? Komenda główna z Los Angeles?

Salvetti tylko jęknął głucho. Podobnie jak Phil Tuzee był absolwentem wydziału prawa Uniwersytetu Południowej Kalifornii i powoli piął się po szczeblach kariery, zaczynając jeszcze w szkole średniej od kradzieży samochodów i handlu kokainą. Świetnie znał przepisy prawa karnego.

- Bristo ma status niezależnego miasta podległego władzom okręgu Canyon. Utrzymuje własną komendę policji skupiającą jakichś piętnastu gliniarzy. Mamy do czynienia z wrzodem na dupsku Los Angeles.

Tuzee pokręcił głową.

- To niczego nie zmienia. Jeśli miejscowi sobie nie poradzą, na pewno wezwą ludzi szeryfa, może nawet federalnych. A nie muszę wam mówić, że tylko tego nam brakuje. Tak czy inaczej, trzeba będzie szukać niejednego chciwego gliniarza.

- To prawda, Phil, ale akcją i tak będzie kierować miejscowy komendant z Bristo, gdyż podlega to jego jurysdykcji. Będzie musiał na miejscu osobiście wydawać rozkazy swoim ludziom, nawet gdyby później miał przekazać sprawę komuś innemu.

Sonny znowu popatrzył na ekrany telewizorów. Obraz z przenośnej kamery pokazywał fronton otoczonego domu. Odniósł wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch za jednym z okien, ale mogło mu się tylko wydawać.

- Jak się nazywa tamtejszy komendant?

Salvetti spojrzął do notesu.

- Talley. Wcześniej nadawali wywiad z nim.

Kamerzysta obrócił się i w polu widzenia kamery pojawiło się trzech policjantów przykucniętych za osłoną wozu patrolowego. Jeden z nich pokazywał coś

palcem w kierunku domu, jakby wydawał pozostałym rozkazy. Sonny pomyślał, że to właśnie musi być Talley.

- Poślijcie tam naszych ludzi. Gdyby zjawili się federalni i ludzie szeryfa, chciałbym wiedzieć, kto nimi dowodzi i czy nie są przypadkiem z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną.

W takim razie trzeba byłoby działać z maksymalną ostrożnością, szukając sposobu na przejęcie kontroli nad sytuacją.

- Już się tym zajmę, Sonny. Nasi ludzie są w drodze. Specjalnie dobrałem czystych, żeby nikt ich nie rozpoznał.

Benza pokiwał głową.

- Muszą nas na bieżąco informować o wszystkim, co się tam dzieje. I spróbujcie dowiedzieć się czegoś więcej o tych trzech gnojkach, którzy narobili bałaganu. Ten cholerny Smith może zacząć gadać, chcąc ratować siebie i swoje dzieci. Niewykluczone, że powie im o wszystkim.

- Przecież dobrze wie, czym to grozi.

- Ale ja muszę znać prawdę, Phil.

- W porządku. Będziemy wszystko wiedzieli.

Benza ciągle patrzył na trzech gliniarzy kryjących się za samochodem. Ten, który prawdopodobnie kierował akcją, rozmawiał teraz przez telefon komórkowy. Sonny jeszcze nigdy nie wykończył żadnego gliniarza, ponieważ uważał, że to najgorsze rozwiązanie z możliwych, ale teraz był gotów się do tego posunąć. Był gotów na wszystko, byle tylko przetrwać, nawet gdyby musiał w tym celu zabić policjanta.

- I dowiedzcie się wszystkiego o tym Talleyu, postarajcie się znaleźć jego słabe punkty. Do końca dnia chcę go mieć w garści.

- Będzie nasz, Sonny.

- Mam nadzieję.



**Część druga**

**MUCHA**

## TALLEY

Dwoje funkcjonariuszy z nocnej zmiany, Fred Cooper i Joycelyn Frost, przyjechało własnymi samochodami. Cooper ledwie mógł złapać oddech, jakby biegiem pokonał całą drogę z Lancaster, gdzie mieszkała a Frost nie zdążyła włożyć munduru. Naciągnęła kamizelkę kuloodporną na bawełnianą koszulkę bez rękawów, z krótkich nogawek workowatych spodni od dresu wystawały jej łydki tak białe, jakby brodziła po kolana w mące. Oboje w pośpiechu dołączyli do Campbella i Andersa czuwających na skrzyżowaniu.

Talley siedział w swoim wozie.

Wspominał, że gdy on przyjeżdżał na miejsce przetrzymywania zakładników, był tam już liczny zespół kryzysowy brygady antyterrorystycznej, złożony z grupy uderzeniowej, grupy negocjacyjnej, grupy kontroli ruchu drogowego, grupy łączności i oczywiście dowództwa koordynującego poczynania wszystkich sekcji. W skład samej tylko grupy negocjacyjnej wchodził jej dowódca, funkcjonariusz odpowiedzialny za gromadzenie informacji i prowadzenie przesłuchań, główny negocjator utrzymujący kontakt z obiektem oraz drugi, służący mu pomocą w robieniu notatek i dostarczaniu wiadomości, jak też doświadczony psycholog, który powinien ocenić osobowość obiektu i pomóc w doborze odpowiednich technik negocjacyjnych. Tymczasem tutaj Talley był zdany wyłącznie na siebie, miał do dyspozycji zaledwie garstkę niedoświadczonych policjantów.

Zamknął na chwilę oczy.

Dobrze wiedział, że jest na krawędzi paniki. Siłą woli próbował się skoncentrować na najważniejszych zadaniach: zabezpieczeniu terenu, zbieraniu informacji i uspokajaniu Rooneya. Tymi trzema rzeczami musiał się zająć w pierwszej kolejności do czasu przyjazdu ludzi szeryfa. Zaczął więc układać w myślach listę najpilniejszych spraw, bo tylko w ten sposób mógł nad sobą zapanować.

Sarah wywołała go przez radio.

- Szefie?

- Słucham.

- Mikkelson i Dreyer wyjęli kasetę wideo z systemu zabezpieczenia minimarketu. Mówią, że tych trzech bandytów widać na niej jak na dłoni.

- Jadą na osiedle?

- Będą tam za pięć minut, może nawet wcześniej.

Ta wiadomość sprawiła, że trochę się rozluźnił. Dysponował wreszcie konkretnym źródłem informacji. Bardzo chciał skonfrontować wygląd Dennisa Rooneya i jego kompanów z rysem emocjonalnym człowieka, jaki sobie wytworzył na podstawie rozmowy telefonicznej. Do tej pory nigdy nie musiał intuicyjnie oceniać sytuacji, wierzył jednak, że doświadczony negocjator nawet na jego miejscu mógł zebrać pewne wskazówki dotyczące zarówno słabych, jak i mocnych punktów przeciwnika. A na tym przecież się znał, to była jego działka.

Czworo policjantów na skrzyżowaniu spoglądało na niego wyczekująco.

Wysiadł z samochodu i ruszył w ich kierunku. Metzger odprowadziła go wzrokiem mówiącym aż nadto dobitnie, że to najwyższa pora.

Musieli przejrzeć kasetę wideo. Kazał Metzger zająć się tym, a pozostałym przydzielił inne zadania - należało się dowiedzieć, czy Smithowie nie mają jakichś krewnych w tej okolicy, a jeśli tak, powiadomić ich o wypadku i skontaktować się z przebywającą na Florydzie panią Smith. Ludzie szeryfa powinni mieć do dyspozycji plan rozkładu pomieszczeń w domu oraz informację o zainstalowanych tam systemach alarmowych; gdyby nie zdołali wyciągnąć tych danych z biura architekta okręgowego, powinni poprosić sąsiadów o naszkicowanie rozkładu z pamięci. Równocześnie należało wypytać ludzi z sąsiedztwa, czy nic nie wiedzą, by ktoś z rodziny stale brał leki niezbędne dla utrzymania się przy życiu.

Talley znów odzyskał spokój, by móc zająć się dobrze mu znanymi sprawami. Wielokrotnie robił to przed laty, i to na tyle skutecznie, że niemal sam poległ od własnej broni.

Nim skończył rozdzielać wstępne zadania, Mikkelson i Dreyer przywieźli kasetę wideo. Metzger poprowadziła ich do obszernego domu w stylu śródziemnomorskim, gdzie czekała już właścicielka, nadzwyczaj ruchliwa i energiczna staruszka pochodząca z Brazylii, pani Peña. Talley przedstawił się jako komendant miejscowej

policii i uprzejmie podziękował za pomoc. Kobieta zaprosiła ich do salonu i pokazała, jak obsługiwać magnetowid. Mikkelson włożyła do niego kasetę.

- Oglądaliśmy ten zapis w sklepie Kima, by mieć pewność, że kamera zarejestrowała bandytów. Już tam ustawiłam kasetę w odpowiednim miejscu.

- Znaleźliście coś o Rooneyu w archiwach policyjnych?

- Tak jest.

Dreyer wyjął z kieszeni odbitkę z formułką cytowaną podczas aresztowania. Na jej odwrocie znajdowały się krzywo nagryzmołone notatki, prawdopodobnie zrobione podczas jazdy.

- Dennis James Rooney ma młodszego, dziewiętnastoletniego brata o imionach Kevin Paul. Mieszkają razem w Agua Dulce. Dennis niedawno odzyskał wolność po spędzeniu miesiąca na Mrówczej Farmie za drobną kradzież z włamaniem. Wcześniej wielokrotnie był oskarżany o różne wykroczenia, w tym kradzież samochodów, kradzieże w sklepach, posiadanie narkotyków, przechowywanie kradzionych rzeczy i prowadzenie auta pod wpływem alkoholu. Młodszy z nich, Kevin, do tej pory stawał tylko przed kolegium dla nieletnich za próby kradzieży samochodu. Niemal bez przerwy albo jeden z nich, albo obaj znajdują się pod opieką kuratora sądowego lub policji. Żaden nie skończył szkoły średniej.

- Mają na koncie jakieś groźniejsze przestępstwa?

- W archiwach nie ma nic poza tym, o czym mówiłem.

- Jak skończymy przeglądać zapis, skontaktujcie się z właścicielem lub dozorcą domu, w którym mieszkają. Tacy jak oni zwykle zalegają z opłatami albo zakłócają porządek, właściciel musiał pewnie często interweniować. Chciałbym wiedzieć, jak reagowali na upomnienia. To ważne, czy grozili mu i wymachiwali bronią przed nosem, czy kładli uszy po sobie i byli grzeczni.

Talley miał nadzieję, że ich wcześniejsze zachowanie pozwoli wyciągnąć wnioski na przyszłość. Po ludziach, którzy przy innych okazjach sięgali po broń i szafowali pogrózkami, można było i teraz spodziewać się tego samego. Była to ich normalna reakcja na stres.

- I dowiedzcie się, czy mieli jakąś stałą pracę, jeśli tak, poproście ich pracodawcę, żeby się ze mną porozumiał.

- Jasne.

Mikkelson odsunęła się od magnetowidu.

- Jesteśmy gotowi, szefie.

- Puszczaj.

Ekran telewizora zamigotał, gdy ruszyło odtwarzanie. Przez parę sekund widać było jaskrawy kolorowy obraz z jakiejś hiszpańskojęzycznej opery mydlanej, lecz zastąpiły go czarno-białe zdjęcia z systemu bezpieczeństwa w minimarkecie Kima. Kamera musiała być umieszczona nad główną ladą kasową, nieco z prawej strony, gdyż w centrum pola widzenia obiektywu znajdował się Kim i niewielka pusta przestrzeń bezpośrednio przed kontuarem. Lada na obu końcach skręcała łukowato ku ścianie, w lewej górnej części ekranu widać było to wygięcie, natomiast prawe ginęło gdzieś poza kadrem. Na górze obrazu zostały uchwycone końce regałów zastawionych towarami. W prawym dolnym rogu ekranu znajdowało się okienko, w którym białe cyfry pokazywały czas.

- W porządku - rzekła Mikkelson. - Zaraz ich zobaczymy. Ten, którego uznaliśmy za Rooneya, wszedł do sklepu kilka minut wcześniej, ale zaraz wyszedł. Ta część zapisu rozpoczyna się jakieś pięć minut po jego wyjściu.

- Rozumiem.

Młody biały mężczyzna o ostrych rysach, odpowiadający opisowi Dennisa Rooneya, od wejścia ruszył prosto w kierunku Juniora Kima. Tuż za nim wszedł do sklepu drugi, znacznie potężniej zbudowany brodac z gładko wygolonej głowie.

- To brat Rooneya?

- Zaraz pojawi się trzeci, najmłodszy, wyraźnie podobny do Rooneya.

Jeszcze zanim Mikkelson skończyła, chłopak stanął w otwartych drzwiach. Był niższy i szczuplejszy od Rooneya, lecz faktycznie duże podobieństwo rysów pozwalało od razu rozpoznać w nim młodszego brata Dennisa. Miał na sobie koszulkę z emblematem lemonheadsów na piersi. Został na posterunku przy drzwiach.

Talley obserwował uważnie wyraz twarzy i ruchy całej trójki. Rooney był dość przystojny, z hardym spojrzeniem, ale wyglądał na niezbyt pewnego siebie. Poruszał się lekko chwiejnym, rozkołysanym krokiem. Prawdopodobnie tylko udawał twardziela, choć trudno było ocenić, komu bardziej chce zaimponować, dwóm pozostałym czy samemu sobie. Natomiast Kevin nerwowo przestępował z nogi na nogę i w panice zerkał to na brata, to na rząd dystrybutorów przed sklepem. Był wyraźnie przerażony. Tylko barczysty osiłek miał całkowicie obojętną, nieprzeniknioną minę.

- Znamy już personalia tego olbrzyma?

- Jeszcze nie.

- Kamera w sklepie jest ukryta?

- Skądże. Zwiesza się spod sufitu wielka i pękata jak gniazdo szerszeni, a ci trzej nawet nie pomyśleli, żeby ukryć twarze za maskami.

Talley z dziwną obojętnością oglądał zarejestrowane wydarzenia. Podczas służby w policji Los Angeles widział trzysta lub czterysta podobnych zapisów, z których wszystkie pokazywały przebieg tragicznie zakończonych napadów rabunkowych. Średnio tylko jeden na dwudziestu bandytów był zamaskowany. Większość w ogóle o to nie dbała, bo przecież geniusze zbrodni nie trafiają do paki. Tylko pierwszy taki zapis nim wstrząsnął. Był wtedy jeszcze na stażu, świeżo po ukończeniu akademii, miał dwadzieścia dwa lata. Patrzył z niedowierzaniem, jak trzynastoletnia dziewczyna pochodzenia wietnamskiego weszła do sklepu spożywczego, bez słowa wymierzyła pistolet prosto w twarz starszego Murzyna stojącego za ladą, zastrzeliła go, po czym wycelowała w jedyną osobę obecną w sklepie oprócz niej, ciężarną Latynoskę, niejaką Muriel Gonzales. Kobieta padła na kolana i zaczęła ją błagać o życie, lecz Wietnamka przystawiła jej broń do skroni i bez wahania pociągnęła za spust. Potem spokojnie weszła za ladę, wybrała z kasy wszystkie pieniądze i ruszyła do wyjścia. W drzwiach zawahała się, zawróciła do lady i wzięła z niej pudełko miętówek. Przeszła nad rozciągniętą na podłodze Muriel Gonzales i wyszła. Ta zbrodnia wstrząsnęła Talleyem do tego stopnia, że przez następne dwa miesiące zastanawiał się, czy nie zrezygnować z dalszej służby.

Wydarzenia w minimarkecie Kima rozegrały się błyskawicznie. Rooney uniósł koszulkę, pokazując kolbę wetkniętego za pasek pistoletu, i natychmiast sięgnął przez ladę. Ale Kim zdążył wyciągnąć broń spod kontuaru. Talley aż odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że Dennis nie kłamał w tej kwestii. W niczym nie mogło mu to pomóc przed sądem, na razie jednak można było wykorzystać ten fakt, by przekonać chłopaka, że po prostu miał pecha. Talleyowi zależało teraz wyłącznie na tym, by zdobyć informacje, które pomogłyby wpłynąć na decyzję Rooneya.

Jego szamotanina z Juniorem Kimem trwała zaledwie parę sekund. Sklepiarz nagle wypuścił pistolet i poleciał do tyłu, oparł się plecami o automat do kawy i osunął po nim na ziemię. Rooney był wyraźnie zaskoczony tym, co się stało. Wyprostował się szybko i rzucił do wyjścia. Tylko olbrzym został przy ladzie. Talleyowi wydało się to

dziwne. Kiedy padł strzał, obaj bracia rzucili się do ucieczki, lecz brodaty osiłek został na miejscu. Popatrzył na leżący na kontuarze pistolet Kima, wziął go i wetknął sobie za pasek spodni, po czym oparł się lewą ręką na brzegu lady, pochylił nad nią i znieruchomiał na parę sekund.

- Co on robi? - spytała zdziwiona Mikkelson.

- Patrzy, jak Kim umiera.

Na pucołowatej nalanej twarzy osiłka pojawiły się drobne zmarszczki.

- Matko Boska, jeszcze się uśmiecha.

Talleya na ten widok także coś zakłuło w sercu. Zatrzymał magnetowid, cofnął kasetę i jeszcze raz zaczął odtwarzać od chwili, kiedy mężczyzna zaparł się dłonią o ladę i przechylił nad nią.

- Musimy zyskać potwierdzenie, że najmłodszy to faktycznie Kevin Rooney. I koniecznie trzeba poznać nazwisko tego trzeciego rabusia. Zróbcie odbitki z zapisu na taśmie. Pokażcie je gospodarzowi domu Rooneyów, ich sąsiadom i ewentualnie kolegom z pracy. Możliwe, że ktoś rozpozna tego faceta na zdjęciu.

Mikkelson niepewnie obejrzała się na Dreyera.

- Szefie, jak mamy zrobić odbitki z kasety wideo? Talley zaklął pod nosem. W Los Angeles nikt by o to nie zapytał, tylko pojechał z kasetą do sekcji technicznej w Glendale i wyszedł po godzinie z tyloma odbitkami z zarejestrowanych kadrów, ile tylko by sobie zażyczył. Pomyślał, że na komendzie w Palmdale powinien się znajdować odpowiedni sprzęt, tymczasem do stolicy okręgu był kawał drogi, na pewno zatłoczonej w piątkowy wieczór.

- Wiecie, gdzie jest sklep komputerowy w centrum handlowym?

- Jasne. Sprzedają tam PlayStation.

- Najpierw zadzwońcie. Powiedzcie, że mamy zapis na kasecie wideo i chcielibyśmy skopiować z niego parę klatek, a potem wydrukować. Jeśli wiedzą, jak to zrobić, jedźcie tam. Jeśli nie, zadzwońcie do salonu fotograficznego w Santa Clarita. Gdy i tam nie zdołają nam pomóc, dzwońcie do Palmdale.

Talley wskazał na stop-klatce dłoń trzeciego nieznanego sprawcy opartego o ladę i zwrócił się do Coopera i Frost:

- Zapamiętajcie, w którym miejscu się oparł. Pojedźcie do sklepu Kima i pokażcie je technikowi z dochodzeniówki. Powinien bez trudu zdjąć czytelny komplet odcisków palców.

- Tak jest.

Kazał im się pospieszyć, po czym wyszedł na ulicę i wszedł do wozu. W myślach porównywał własne spostrzeżenia na temat Rooneya, jakie odniósł podczas oglądania zapisu wideo, i te z rozmowy telefonicznej. Dennis bardzo chciał, by ktoś go „zrozumiał”, ale jednocześnie pragnął być oceniany w kategoriach bohaterskich, uchodzić za pewnego siebie i dominującego „prawdziwego mężczyznę”. Można było na tej podstawie wnioskować, że ma sporo kompleksów i cały czas szuka aprobaty otoczenia, próbując je zarazem kontrolować. Prawdopodobnie był zwykłym tchórzem, maskującym niepowodzenia agresywnym zachowaniem. To także można było wykorzystać przeciwko niemu. Talley spojrzął na zegarek. Zbliżała się pora kolejnej rozmowy.

Włączył aparat komórkowy i wcisnął klawisz ponownego wybierania tego samego numeru. Zadzwoił telefon w domu Smithów. Talley spokojnie odczekał dziesięć sygnałów, ale nikt nie odbierał. Zaczął się niepokoić. Wyobraźnia podsunęła mu wizję zbiorowego morderstwa, choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że Rooneya zapewne obleciał po prostu strach. Sięgnął po krótkofalówkę i wywołał Jorgensona.

- Jorgy, nie zauważyłeś, czy w domu nie wydarzyło się coś niezwykłego?

Jorgenson tkwił na posterunku, przykucnięty za osłoną wozu patrolowego stojącego na ulicy.

- Nie. Cisza i spokój. Zawiadomiłbym cię, gdyby coś się wydarzyło.

- Rozumiem. Bez odbioru.

Po raz drugi wcisnął klawisz ponownego wybierania numeru. Tym razem odczekał aż dwanaście sygnałów, zanim w końcu przerwał połączenie i uniósł z powrotem krótkofalówkę.

- Nie słyszałeś dobiegających ze środka żadnych hałasów?

- Wydawało mi się, że przed chwilą dzwonił telefon.

- Nie zauważyłeś żadnego ruchu?

- Nie. Jak mówiłem, panuje cisza i spokój.

Talley zaczął się zastanawiać, dlaczego Rooney nie odbiera telefonu. W czasie pierwszej rozmowy sprawiał wrażenie chętnego do utrzymania kontaktu. Wreszcie znów włączył mikrofon i zapytał:

- Czy ktoś jest w kontakcie z chłopcami z drogowki?



Wcześniej rozkazał posiłkom z Kalifornijskiego Wydziału Służby Drogowej wzmocnić stanowiska obserwacyjne swoich ludzi wokół domu. Ale policjanci z drogówki porozumiewali się w innym paśmie łączności, a on nie chciał ciągle przestawiać swojej krótkofalówki.

- Tak. Ja.

- Przekaż im, żeby podeszli bliżej domu. Niech się pokażą, tylko nie wychodzą na linię strzału. Chciałbym, żeby na krótko stali się widoczni dla domowników od wschodu, zachodu i na granicy posesji pod murem ogrodzenia.

- Zrozumiałem. Zaraz się tym zajmę.

Skoro Rooney nie chciał odebrać telefonu, Talley postanowił go zmusić, żeby sam nawiązał kontakt.

DENNIS

Odkrycie pieniędzy w szafie wiele zmieniało. Dennis nie potrafił teraz myśleć o niczym innym. Najważniejsze stało się dla niego nie tylko to, by uciec, ale jeszcze zabrać forszę. Dlatego zaciągnął Marsa na górę i pokazał mu schowek na dnie szafy oraz pudełka wypchane banknotami. Wyjął jedną paczkę i przesunął banknoty między palcami, żeby nasycić zmysły szelestem i dotykiem studolarówek. Nawet je powąchał, głęboko wciągając w nozdrza zapach papieru i farby drukarskiej - słodką woń bogactwa. Próbował z grubsza oszacować wartość skarbu, ale nie wiedział, czy w paczce jest pięćdziesiąt, czy sto banknotów. Zatem trzymał w ręku pięć, a może nawet dziesięć tysięcy dolarów. Nie mógł się z nimi rozstać i wypuścić ich z ręki. Jemu te pieniądze wydawały się bardziej miękkie od kobiecej piersi, bardziej jedwabiste niż ponętne biodra i bardziej seksowne od najzgrabniejszej dupci.

Uśmiechnął się do Marsa tak szeroko, że aż zabolowały go policzki.

- Tu musi być z milion dolarów. Może nawet więcej. Tylko spójrz! To jak skarbiec w banku!

Ale Mars ledwie rzucił okiem na pieniądze. Stał na progu zamaskowanego pokoiku, przyjrzał się sufitowi i podłodze, popukał pięścią w ściany, wreszcie skupił uwagę na monitorach. Odepchnął nogą stojące obok pudełko z forszą.

- To niezła kryjówka. Stalowe drzwi, wzmocnione ściany, system bezpieczeństwa. Prawie jak bunkier, Gdyby ktoś włamał się do domu, można by się tu ukryć. Ciekawe, czy uprawiali tutaj seks.

Dennis poczuł się zirytowany, że kolega okazał tak mało zainteresowania gotówką. Sam miał ochotę uspać na środku sypialni wielką górę pieniędzy i tarzać się w nich nago.

- A kogo to obchodzi? Lepiej popatrz na forszę. Jesteśmy bogaci.

- W domu otoczonym, przez gliny.

Dennis był coraz bardziej wkurzony. Przecież to przełomowe wydarzenie, na które czekał całe życie. Ten dom i kupa ukrytej w nim gotówki były mu pisane, stanowiły jego przeznaczenie. Nadeszła w końcu chwila, na którą czekał tyle lat, dla której podejmował ryzyko i robił wszystkie idiotyczne rzeczy, w nadziei, że stanie się gwiazdą pierwszej wielkości w filmie swojego życia. Dotychczasowe zdarzenia nieuchronnie prowadziły go do tego miejsca, a tymczasem Mars chciał mu popsuć najwspanialszą chwilę. Wetknął paczkę banknotów do kieszeni i wstał.

- Wiesz co? Zabierzemy forszę ze sobą. Zapakujemy ją w coś. Na pewno mają tu jakąś walizkę albo przynajmniej worki na śmieci.

- Nie dasz rady uciekać z walizką.

- Coś wymyślimy.

- Nie będzie łatwo.

Dennisa powoli ogarniała wściekłość. Lekko trącił pięścią kolegę w pierś. Efekt był taki, jakby uderzył w ścianę. Mars nawet nie spojrzał na niego. Ale Dennis już wiedział z doświadczenia, że na pewno zaakceptuje każdy jego pomysł, jeśli tylko pozbędzie się tego wisielczego nastroju.

- Jakoś poniesiemy walizkę. Jestem gotów wtykać sobie tę forszę choćby w tyłek, ale na pewno jej tu nie zostawię.

Mars w milczeniu pokiwał głową i uśmiechnął się lekko, jak można było oczekiwać.

- Cieszę się, że znalazłeś te pieniądze. Możesz sobie wziąć moją działkę.

Tego było już za wiele. Dennis ostro nakazał mu wracać do gabinetu i sprawdzić, czy Kevin niczego nie kombinuje. Kiedy został sam, odetchnął z ulgą. Pomyślał, że Mars zawsze był dziwny, ale teraz zaczyna się zachowywać jeszcze

dziwniej. Skoro jednak nie chce pieniędzy, on z ochotą zatrzyma je wszystkie dla siebie.

Zaczął zaglądać do innych szaf, aż znalazł czarną walizkę marki Tumi, dużą, z wysuwającym uchwytem i kółkami. Szybko napełnił ją paczkami studolarówek. Zauważył, że wszystkie banknoty są używane, niektóre nawet podniszczone. W ogóle nie było nowych. Wyładowawszy walizkę po brzegi, wytoczył ją na środek sypialni i położył na łóżku. Mars miał rację, nie mieli szansy ucieczki z takim wielkim bagażem. Nie było co marzyć o tym, żeby wykraść się z nim przez okienko i prześliznąć tylnymi podwórkami. Mieli jednak dwa samochody i trójkę zakładników. Toteż Dennis nie dopuszczał do siebie myśli, by zrezygnować z forsy, kiedy wreszcie napotkał swoje przeznaczenie.

Wrócił do gabinetu, gdzie Mars siedział przed telewizorem. Na jego widok natychmiast podkręcił głoś.

- Pokazują to na wszystkich kanałach, koleś. Jesteś gwiazdorem.

Dennis ujrzał na ekranie swoją twarz. W prawym górnym rogu pokazywano jego zdjęcie, które dziennikarze musieli wyciągnąć z jakichś starych akt sądowych. Miał na nim dłuższe włosy i wyglądał jak Charles Manson.

Główną część ekranu zajmował widok domu z lotu ptaka. Widać było stojące na ulicy radiowozy i przykucniętych za pierwszym z nich dwóch gliniarzy. Uroczą reporterka opowiadała o tym, że przed paroma dniami Dennis został zwolniony z Mrówczej Farmy. Uśmiechnął się szeroko, słuchając komentarza. Po plecach przeszły mu takie same ciarki, jakie czuł, ilekroć odjeżdżał skradzionym samochodem - kojarzyły mu się z podnieceniem i złością, zniecierpliwieniem i triumfem, jakby cały świat przyjmował jego wyczyn gromkimi brawami. Teraz nie tylko miał milion dolarów w gotówce, ale jeszcze pokazywali go w telewizji. To było niczym gromkie „Pocałujcie mnie w dupę!”, skierowane do rodziców, nauczycieli, gliniarzy i wszystkich palantów, którzy go bez przerwy dołowali. „Pocałujcie mnie wszyscy w dupę! Oto ja! Prawdziwy! Z krwi i kości!”. To rzeczywiście było lepsze niż seks.

- Właśnie! Pocałujcie mnie wszyscy w dupę!

Zawrócił do wyjścia.

- Kevin! Chodź, coś zobaczysz!

Zadzwoił telefon, burząc magiczny urok przekazu telewizyjnego. Pewnie znów dzwonił Talley. Dennis zignorował natrętny terkot, wpatrując się w ekran.

Helikoptery, policja, reporterzy - i to wszystko z jego powodu. Rozgrywał się Dennis Rooney Show, do którego główny bohater właśnie obmyślał zakończenie. Chciał wziąć dzieci gospodarza jako zakładników, zapakować ich do tego nowiutkiego, błyszczącego jaguara i pomknąć nim w kierunku granicy, podczas gdy ekipy reporterskie z helikopterów będą transmitowały na żywo każdą sekundę tej podróży.

Tracił Marsa w ramię.

- Już wiem koleś, co zrobimy. Weźmiemy jaguara. Załadujemy do niego gotówkę i dwójkę dzieciaków, a starego zostawimy w domu. I spokojnie odjedziemy. Gliny nie odważą się nam przeszkodzić. Wyjedziemy na autostradę i popędzimy prosto do Tijuany.

Mars tylko wzruszył ramionami i odparł cicho, prawie szeptem:

- To się nie uda.

Dennis znowu poczuł przypływ złości.

- Dlaczego?

- Bo najpierw przestrelą nam opony, a później policyjny snajper wpakuje ci kulkę w łeb z odległości stu metrów.

- Nie chrzań. Simpson jeździł w ten sposób przez kilka godzin.

- Ale nie miał zakładników. Gliny nie pozwolą nam stąd odjechać z dziećmi. Zabiją nas, zanim się obejrzymy.

Na ekranie telewizora zmienił się obraz. Teraz widać było z góry minimarket przy stacji benzynowej, także otoczony przez wozy policyjne. Helikopter, z którego robiono zdjęcia, powoli zataczał koła nad pawilonem. Od kołysania obrazu Dennisowi żołądek podszedł do gardła, poczuł się tak, jak podczas jazdy na tylnym siedzeniu auta pędzącego po wybojach. Spoglądał na gliniarzy kręcących się między samochodami i myślał, że Mars pewnie ma rację w kwestii snajpera. Nie ulegało wątpliwości, że przy próbie ucieczki gliny będą chciały go zdołować jak nikt dotąd.

Pogrążał się w ponurych rozważaniach, kiedy nagle z salonu doleciał wrzask Kevina:

- Dennis! Gliniarze wylazą z krzaków! Ruszają w stronę domu!

W jednej chwili zapomniał o snajperach i popędził do brata.

TALLEY

Talley był już z powrotem na ulicze, przyczajony za swoim samochodem, kiedy z głębi domu doleciały głośne okrzyki Dennisa. Odczekał parę sekund, pozwalając, by Dennis się powściekał, zanim sięgnął po telefon.

Rooney odebrał już po pierwszym sygnale.

- Kurwa mać! Każ gliniarzom natychmiast się wycofać! Nie chcę ich widzieć tak blisko domu!

- Spokojnie, Dennis. Mówisz, że nie chcesz ich widzieć w pobliżu domu?

- Przestań powtarzać każde słowo, jakie ode mnie usłyszysz! Dobrze wiesz, o co mi chodzi!

- Robię to, żebyśmy się dobrze zrozumieli. W tej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na żadne nieporozumienia.

- Jeśli oni spróbują się podkraść jeszcze bliżej, mieszkańcy domu zginą! Pozabijam wszystkich!

- Nikt nie zamierza robić ci krzywdy, Dennis. Już ci to mówiłem. Daj mi chwilę, żebym mógł sprawdzić, co się tam dzieje, dobrze?

Wcisnął klawisz odłączający mikrofon.

- Jorgy, wciąż jesteś w kontakcie z chłopcami z drogówki?

- Tak jest.

- Zajęli pozycje na obrzeżach posesji, jak o to prosiłem?

- Tak jest. Mamy dwóch ludzi od północy, pod murem od Flanders Road, i po dwóch od wschodu i zachodu, tuż przy ogrodzeniach sąsiednich posesji. Czekają na dalsze rozkazy.

Talley z powrotem włączył telefon.

- Jeszcze to sprawdzam, Dennis. Jasne? Powiedz mi, co widzisz.

- Pierdolonych gliniarzy! Są na wprost mnie! Zdecydowanie za blisko!

- Ja ze swego stanowiska za samochodem nic nie widzę. Muszę więc polegać na tobie. Gdzie dokładnie są teraz?

Ze słuchawki doleciały szmery i szelesty, jakby Rooney przechodził gdzieś z telefonem w rękę. Talley nabrał obaw, że rozmawia przez aparat bezprzewodowy.

Negocjatorzy woleli, kiedy obiekt rozmawia przez aparat stacjonarny, który w znacznym stopniu ogranicza możliwość poruszania się, pozwalając zarazem dokładniej umiejscowić rozmówcę. Łatwiej było wtedy określić, gdzie się znajduje w trakcie rozmowy, a to w wypadku szturm grupy uderzeniowej mogło ocalić ludziom życie.

- Jasna cholera! Są wszędzie dookoła! - huknął Rooney. - Kryją się za tym białym barakiem tuż za płotem. Inni kręcą się pod murem! Każ im się natychmiast wycofać!

Talley ponownie wyłączył mikrofon. Jedynym białym barakiem w okolicy była szopka narzędziowa na skraju sąsiedniej posesji po lewej. Prowadził do niej oddzielny dojazd przegrodzony bramą z kutych żelaznych prętów. Dom po prawej stronie, od wschodu, był ciemnoszary. Odliczył w myślach do pięćdziesięciu i wznowił przerwane połączenie.

- Mamy tu mały problem, Dennis.

- Kurwa! Przecież widzę, że mamy problem! Każ im się wycofać!

- Ci ludzie to policjanci z patrolu drogowego, a ja jestem z policji miejskiej w Rristo Camino. Nie mam prawa wydawać im rozkazów.

- Gówno prawda!

- Już teraz mogę ci powiedzieć, co od nich usłyszę.

- Nic mnie to nie obchodzi! Jeśli spróbują się przedostać przez ogrodzenie, zginą ludzie! Nie zapominaj, że mamy tu zakładników!

- Mogę najwyżej powiedzieć chłopcom z drogówki, że jesteś chętny do współdziałania, więc i oni wtedy pójda ci na rękę. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Wszyscy bardzo martwimy się o to, żeby cywilom przebywającym z wami w domu nie stała się żadna krzywda. Pozwól mi porozmawiać z panem Smithem.

- Już mówiłem, że nic mu nie jest!

Talley wyczuł, że chyba nie wszystko jest tak, jak utrzymuje Rooney, i to go zmartwiło. Przestępcy biorący zakładników zwykle godzili się na to, by można zamienić z nimi choć parę słów, gdyż czerpali satysfakcję z tego, że zagrają policji na nosie, trzymając los zakładników w swoich rękach. Dawało im to poczucie władzy. Więc jeśli Rooney nie chciał oddać słuchawki Smithowi, prawdopodobnie bał się tego, co gospodarz może powiedzieć.

- Powiedz mi, co się stało, Dennis.

- Nic. Pozwolę temu sukinsynowi gadać, kiedy będę na to gotowy. To ja tu podejmuję decyzje, nie ty!

W głosie Dennisa znów przebijał tak silny stres, że Talley postanowił dalej nie naciskać. Nawet jeśli w domu coś się stało, wolał nie pogarszać sytuacji. Czyniąc jednak ustępstwo na rzecz Rooneya, chciał dostać coś w zamian, by nie utracić w jego oczach wiarygodności.

- W porządku, Dennis, nie będę nalegał na rozmowę ze Smithem, ale i ty musisz trochę ustąpić, jeśli chcesz, żeby policjanci z patrolu się wycofali. Co powiesz na to, by zdradzić mi, kto tam jest z tobą? Wystarczą mi same imiona.

- Przecież wiecie, do kogo należy ten dom.

- Obawiamy się jednak, że dzieci mogły przyjmować u siebie znajomych.

- Jak ci powiem, to ściągniesz tych palantów z powrotem?

- Postaram się. Mam na to słowo ich dowódcy. Pójdzie ci na rękę.

Rooney zawahał się, lecz po chwili odpowiedział:

- Jest tu Walter Smith, Jennifer Smith i Thomas Smith. Nikogo poza tą trójką.

Talley znów wyłączył mikrofon aparatu.

- Jorgy, przekaz chłopcom z drogówki, żeby wycofali się poza teren posesji. Niech zajmą dogodne posterunki obserwacyjne, ale na zewnątrz ogrodzenia. Poproś ich, żeby się pospieszyli.

- Zrozumiałem.

Zaczekał, aż Jorgenson skończy rozmowę przez krótkofalówkę, i wznowił połączenie.

- Co teraz widzisz, Dennis? '

- Wycofują się.

- W porządku. Zatem udało nam się tego razem dokonać. Jak sam widzisz, współpraca jest możliwa. Tylko tak dalej.

Talleyowi zależało na tym, by Rooney odebrał to jako wspólne osiągnięcie, jakby tworzyli razem zgrany zespół.

- Trzymaj ich z dala od domu. Nie chcę, żeby podchodzili bliżej. Jak tylko znajdą się po tej stronie płotu, zginą ludzie. Rozumiesz? Nie jestem głupi, nie dam się nabierać.

- Mogę ci dać moje słowo. Nie wejdziemy na teren posesji, jak długo będziemy mieli pewność, że nikomu z domowników nie dzieje się krzywda. Chcę to podkreślić z całą mocą. Jeśli zyskamy podejrzenia, że domownicy przez was cierpią, bez ostrzeżenia przypuścimy szturm.

- Nie zamierzam nikogo krzywdzić, jeśli będziecie trzymali się na odległość. Wszystko zależy tylko od tego.

- Bardzo mnie to cieszy. Wszyscy powinniśmy zachować spokój.

- Chcesz tych ludzi, Talley? Zależy ci na ich bezpieczeństwie? Chcesz, żeby już teraz odzyskali wolność?

Domyślił się natychmiast, że Rooney chce przedstawić swoje pierwsze żądanie. W tym zakresie mógł się spodziewać wszystkiego, od sprawy tak mało istotnej jak paczka papierosów, po idiotyczną prośbę skontaktowania ich z samym prezydentem.

- Dobrze wiesz, że tak.

- Więc daj nam zatankowany do pełna helikopter, którym odlecimy do Meksyku. Jeśli podstawisz helikopter, wypuszczę zakładników.

W czasie swojej służby w brygadzie antyterrorystycznej Talley spotykał się z różnymi żądaniami, bandyci chcieli dostać helikopter, odrzutowiec, limuzynę, autobus, sportowy samochód, a raz nawet latający spodek. Wszyscy negocjatorzy mieli głęboko zakodowane, że pewne żądania nie podlegają negocjacji, nie mogło być mowy o dostarczeniu broni czy amunicji, narkotyków, alkoholu oraz środków transportu. Nie wolno było stwarzać podejrzanym nadziei na ucieczkę, musieli się czuć kompletnie odizolowani. Tylko w ten sposób można ich było złamać.

Talley odpowiedział więc bez wahania, spokojnie, lecz stanowczo, by jego rzeczowy ton dał Rooneyowi do zrozumienia, iż odmowa nie oznacza jeszcze dla niego końca świata i nie jest próbą konfrontacji.

- To wykluczone, Dennis. Nikt ci nie da helikoptera.

- Przecież mam zakładników - odpowiedział tamten spiętym głosem.

- Szeryf nie zgodzi się wymienić ich na helikopter. W tych sprawach obowiązują ścisłe przepisy. Równie dobrze mógłbyś zażądać pancernika, też byś go nie dostał.

Na chwilę zapadło milczenie, wreszcie Rooney poprosił ciszej:

- Może byś jednak zapytał?

- Tu nawet nie ma gdzie wylądować. Poza tym ucieczka do Meksyku nie oznaczałaby odzyskania wolności. Gdybyście nawet mieli helikopter, meksykańska



policja aresztowałaby was natychmiast po wylądowaniu. Skończyły się czasy Dzikiego Zachodu.

Bardzo chciał zmienić temat. Wiedział, że Rooney mógłby jeszcze długo marudzić w kwestii helikoptera, ale jemu zależało, by podsunąć chłopakowi inny temat do rozmyślań.

- Widziałem kasetę wideo z zapisem wydarzeń w mini-markecie.

Znów zapadła cisza, jakby Rooney nie mógł sobie uświadomić, o czym mówi. Wreszcie zapytał z ożywieniem i nadzieją w głosie:

- Widziałeś, że ten Chińczyk wyciągnął pistolet? Jest to na taśmie?

- Wszystko przebiegło dokładnie tak, jak powiedziałeś.

- Nic by się nie zdarzyło, gdyby nie wyciągnął broni. Ze strachu omal nie narobiłem w gacie.

- Więc to znaczy, że nie popełniliście morderstwa z premedytacją. To właśnie chcesz powiedzieć, prawda? Wcześniej nie planowaliście użycia broni?

Rooney chciał być postrzegany jako ofiara zbiegu okoliczności, toteż Talley delikatnie dawał do zrozumienia, że mu współczuje z powodu pechowego obrotu spraw.

- Zamierzaliśmy tylko obrabować sklep. Do tego się przyznaję. Ale wszystko się popieprzyło, gdy Chińczyk wyciągnął pistolet. Musiałem się bronić, prawda? Wcale nie chciałem go zastrzelić. Próbowałem tylko wykręcić mu rękę, żeby do mnie nie strzelił. To był wypadek.

Z głosu Rooneya całkowicie zniknął ton sprzeciwu. Według Talleya była to pierwsza oznaka, że chłopak zaczyna go postrzegać jako kogoś, z kim można się dogadać. Dlatego odezwał się cicho, by dać kolejny dowód łączącej ich więzi:

- Ci dwaj pozostali mnie nie słyszą, prawda?

- Dlaczego o to pytasz?

- Podejrzewam, że mogą być teraz przy tobie, więc nie oczekuję, iż odpowiesz na to, co zamierzam powiedzieć. Wystarczy, że mnie wysłuchasz.

- O co ci chodzi?

- Wiem, że niepokoisz się tym, co cię czeka, ponieważ w czasie akcji został postrzelony policjant. Wiele o tym myślałem i chcę ci zadać jedno pytanie. Czy oprócz ciebie ktoś jeszcze do niego strzelał? Wystarczy, że odpowiesz tak lub nie. Nie oczekuję niczego więcej.

Talley znał prawdę z zeznań Jorgensona i Andersa. Celowo jednak zapytał o to Rooneya. Przez dłuższy czas panowała cisza, ze słuchawki dolatywał tylko przyspieszony oddech chłopaka.

- Więc może to nie twoje kule trafiły policjanta. Może to wcale nie ty go postrzeliłeś.

Dalej nie mógł się już posunąć. Zasugerował Rooneyowi, że mógłby się uwolnić od zmartwień, gdyby w myślach obarczył winą któregoś ze swoich kompanów. Inaczej mówiąc, wskazywał mu otwartą furtkę. Teraz pozostawało tylko usunąć się w cień i obserwować, czy chłopak zechce z niej skorzystać.

- Podam ci numer mojego telefonu komórkowego, Dennis. W ten sposób możesz ze mną porozmawiać, kiedy tego zapragniesz. Nie będziesz musiał krzyczeć przez okno.

- To niezły pomysł.

Talley podyktował mu numer i poradził, by przemyślał sobie wszystko w spokoju, po czym wsiadł z powrotem do samochodu i wyjechał tyłem z uliczki. Leigh Metzger czekała na niego przed skrzyżowaniem, przy furtce domu pani Peña. Nie była sama. Obok niej stała jego żona i córka.

*Izba przyjęć szpitala miejskiego*

*Santa Monica, Kalifornia*

*Piętnaście lat wcześniej*

Porucznik Jeff Talley, rozebrany do pasa, w spodniach od munduru porwanych i zaplamionych krwią, najpierw dostrzega jej nogi. Zawsze zwraca uwagę na nogi kobiet. Siedzi na brzegu leżanki w sali zabiegowej, trzymając stłuczoną dłoń w pojemniku z lodem i czekając, aż zaczną działać środki przeciwbólowe i trochę zejdzie opuchlizna, bo dopiero wtedy będzie można zrobić prześwietlenie. Jego starszy partner i dowódca patrolu, porucznik Darren Consuelo, wziął jego broń, krótkofalówkę oraz pas z resztą ekwipunku i poszedł na parking, by włożyć wszystko do bagażnika wozu patrolowego.

Pielęgniarka przechodzi przez salę i znika w przeciwległych drzwiach, zapisując coś po drodze w karcie chorobowej. Ma na sobie biały strój z jasnoniebieskim

fartuszką, ciemne włosy zebrała w koński ogon. Zgrabne nogi przykuwają jego wzrok, gdyż nie okrywają ich grube białe pończochy, jakie nosi większość pielęgniarek. Są szczupłe, zgrabne, o pięknym brązowym odcieniu głębokiej opalenizny. Wyglądają jak nogi gimnastyczki lub sprinterki, a takie Talleyowi podobają się najbardziej. Unosi spojrzenie wyżej, przesuwając je po kształtnych pośladkach, zgrabnej talii, ramionach nieco za szerokich w stosunku do drobnej sylwetki. Wreszcie dostrzega twarz. Kobieta jest mniej więcej w jego wieku, ma jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata.

- Siostrze?

Gdy pielęgniarka podnosi wzrok znad karty, szybko przybiera cierpienniczą minę, jakby doskwierał mu nieznośny ból. W rzeczywistości odczuwa tylko lekkie mrowienie w zranionej ręce.

Kobieta obrzuca wzrokiem jego buty i spodnie mundurowe, po czym uśmiecha się serdecznie.

- Jak się pan czuje, poruczniku?

Nie jest olśniewająco piękna, ale nie brak jej urody, ma gładką, zdrową cerę. Uderza go dobrotliwy wyraz jej oczu, z których emanuje tak wiele ciepła, że serce zaczyna mu mocniej bić.

- No więc, siostrze...

Udaje mu się odczytać imię i nazwisko na identyfikatorze: Jane Whitehall.

- ...Jane. Mieli mnie zabrać na prześwietlenie, tymczasem siedzę tu i siedzę bez końca. Nie zechciałyby siostra sprawdzić, ile jeszcze muszę czekać?

Znów się krzywi, chcąc jej dać do zrozumienia, że go boli.

- Jeśli dobrze pamiętam, w pański rejon mieli wysłać patrol rezerwowi. Ale sprawdzę, co da się zrobić. Co panu dolega?

Wyjmuje rękę z pojemnika, w którym topiący się lód jest zabarwiony na różowo od krwi. Po wewnętrznej stronie zsiniałego i opuchniętego środkowego palca ma duże głębokie rozcięcie. Skóra na jego brzegach aż zbieleła z wychłodzenia, ale krwawienie prawie ustało.

Siostra Whitehall uśmiecha się wyrozumiale.

- Ojej... Brzydka rana.

Talley przytakuje ruchem głowy.

- W Venice gonilem przez tylne podwórka podejrzanego o dokonanie gwałtu i ten łajdak poszczuł na mnie buldoga. Miałem szczęście, że to bydlę nie odgryzło mi całej dłoni.

Pielęgniarka delikatnie wkłada rękę z powrotem do lodu. Jej dotyk, podobnie jak spojrzenie, jest pełen ciepła i wrażliwości.

- Złapał go pan przynajmniej?

- Tak, oczywiście. Bronił się zaciekle, ale go w końcu obezwładniłem. Złoczyńcy nie mają ze mną szans.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, by dać jej do zrozumienia, że mimo bólu zachował pogodny nastrój. Pielęgniarka odpowiada uroczym uśmiechem. Talleyowi przemyka przez myśl, że to wspaniały początek bliższej znajomości. Chce się pochwalić, że zaakceptowano jego podanie o przyjęcie do brygady antyterrorystycznej, kiedy w drzwiach pojawia się Consuelo z dwoma orzechowymi batonikami i puszkami dietetycznej coli. Jak zawsze z daleka czuć od niego papierosami.

- Jezu! Ty jeszcze tutaj? Nie zrobili ci prześwietlenia?

Talley bierze od niego puszkę coli, myśląc gorączkowo, po co jeszcze wysłać go do automatu ze słodyczami, by choć na krótko zostać sam na sam z pielęgniarką.

- Wysłali w nasz rejon patrol rezerwowy. Możesz spokojnie iść do kawiarni. Znajdę cię, jak będzie po wszystkim.

Siostra Whitehall uśmiecha się wyrozumiale do Consuela.

- Zobaczę, czy aparat rentgenowski jest już wolny.

Consuelo ze złością mruczy coś pod nosem, najwyraźniej wkurzony perspektywą spędzenia całego dnia w szpitalnej poczekalni.

- Po drodze może mu pani przynieść coś na rozjaśnienie w głowie, byle dużo i o podwójnej mocy.

- Powiedziałem, że spotkamy się w kawiarni - wtrąca szybko Talley.

Siostra Whitehall zabawnie przekrzywia głowę, widocznie zastanawiając się nad znaczeniem słów Consuela.

- Był pan z kolegą, gdy ten buldog się na niego rzucił?

- A co? Powiedział pani, że pies po pogryzł?

Talley czuje, że zaczyna się rumienić. Spogląda na partnera błagalnym wzrokiem.

- Ścigaliśmy razem tego gwałciciela w Venice.

Consuelo wybuchła gromkim śmiechem, opluwając leżankę masą na wpół przeżutych orzeszków z karmelem.

- Gwałciciela z buldogiem?! Matko Boska... Ten fajtłapa przytrzasnął sobie palec drzwiami samochodu.

Odwraca się i wychodzi na korytarz, rechocząc gardłowo.

Talley ma ochotę wczołgać się pod leżankę i zapaść pod ziemię. Kiedy wreszcie podnosi wzrok na siostrę Whitehall, spostrzega, że ona przygląda mu się uważnie.

Wzrusza ramionami, chcąc obrócić wszystko w żart.

- Myślałem, że warto spróbować.

- Naprawdę tak było? Przytrzasnął pan sobie palec drzwiami samochodu?

- Owszem. To niezbyt heroiczny wyczyn, prawda?

- Nie.

- W każdym razie zna już pani prawdę.

Siostra Whitehall oddała się na trzy kroki, ale przystaje, odwraca się i jeszcze raz obrzuca go podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak, wiem. Wygłupiłem się.

Zawraca i całuje go pospiesznie, gdy z korytarza dolatują głosy dwóch lekarzy i innej pielęgniarki, którzy właśnie wysiedli z windy. Talley przyciąga ją do siebie i odwzajemnia pocałunek. Ma okazję to powtórzyć jeszcze tego samego wieczoru, po spotkaniu w klubie akademii policyjnej, jak też przez wszystkie kolejne dni, na każdej randce. Bo Jeff Talley, zaledwie dostrzegłszy to niezwykle ciepło bijące z jej oczu, uświadomił sobie, że zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Trzy miesiące i jeden dzień później biorą ślub.

## TALLEY

Talley poczuł się zakłopotany i zły na siebie. Był tak pochłonięty akcją, że zupełnie zapomniał o przyjeździe Jane i Amandy. Sprawdził jeszcze stan akumulatorów w swoim telefonie komórkowym, schował go do kieszeni i wysiadł z samochodu.

Amanda była bardzo podobna do matki, równie szczupła i drobnej budowy, choć nieco wyższa. I obie odznaczały się tą samą cechą, dla niego najbardziej urzekającą - rysy twarzy miały tak pełne wyrazu, jakby rzeczywiście stanowiły otwarte drzwi do ich serc. Zawsze potrafił bezbłędnie wyczytać z miny Jane jej odczucia, zarówno te dobre, gdy na początku wszystko się między nimi układało, jak też później smutek i niepokój, które tylko powiększały nieznośny ciężar, jaki zwałił mu się na barki.

Cmoknął w policzek córkę, która odwzajemniła ten gest z czułością mokrego ręcznika.

- Dowiedzieliśmy się od Sary, że jacyś ludzie zabarykadowali się w domu z zakładnikami. Gdzie oni są?

Talley wskazał w głąb uliczki dojazdowej.

- Przy tej ulicy, zaraz za rogiem. Widzisz krążące helikoptery?

Trudno było nie słyszeć ich donośnego terkotu.

Amanda rozszerzonymi z podniecenia oczyma, patrzyła na wozy policyjne blokujące przejazd na skrzyżowaniu, za to Jane sprawiała wrażenie przemęczonej, oczy miała silnie podkrążone. Rozmyślając nad przyczynami jej zmęczenia, poczuł wyrzuty sumienia i wstyd.

- Znów bierzesz godziny nadliczbowe?

- Nie za często, tylko dwa razy w tygodniu.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- I to mnie postarza, prawda?

- Jezu, Jane, nie to miałem na myśli.

Wybacz. Zamknęła oczy i pokiwała głową. Jej mina świadczyła wyraźnie, że nie chce wracać do tych samych, w kółko wałkowanych spraw.

Nie chcąc stać z nimi na ulicy, zaprosił je do domu naprzeciwko. Kuchnię pani Peña wypełniały smakowite zapachy świeżo parzonej kawy i naleśników z serem. Kobieta już wcześniej wyniosła przed dom stół, ustawiła na nim dzbanek zimnej wody oraz butelki z napojami gazowanymi i zaprosiła policjantów, by się częstowali, a teraz szykowała dla nich przekąskę.

Talley przedstawił jej Jane i Amandę, a pani Peña wprowadziła ich do saloniku. Telewizor ustawiony był na kanale pokazującym na żywo transmisję z helikoptera. Amanda pospiesznie usiadła przed nim.

- Sarah mówiła nam o zakładnikach.

- Przetrzymują ojca z dwójką dzieci. Chyba więcej nikogo tam nie ma, ale nie jesteśmy tego pewni. Córka pana Smitha jest mniej więcej w twoim wieku.

- Super. Mogę iść i popatrzeć na ten dom?

- Nie. Nikomu nie wolno się do niego zbliżać.

- Przecież jesteś komendantem policji, prawda. Tobie też nie wolno?

- Ukryli się tam groźni bandyci - wtrąciła Jane. - To byłoby niebezpieczne.

Talley odwrócił się do żony.

- Powinienem był cię uprzedzić telefonicznie, ale to stało się zaraz po naszej rozmowie. Wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet nie miałem okazji pomyśleć, by do ciebie zadzwonić. Przepraszam.

Jane położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz?

- Wydaje mi się, że zdołałam nakłonić ich do zmiany zdania. Rozmawiałem z chłopakiem przez telefon. Jest przerażony, ale raczej nie ma skłonności samobójczych.

- Nie pytałam o sytuację, szefie, tylko o twoje samopoczucie.

Zerknęła na swoją dłoń spoczywającą wciąż na jego ramieniu, po czym znów spojrzała mu w oczy.

- Jesteś roztrzęsiony.

Talley błyskawicznie odsunął się o krok i jej dłoń zsunęła się z jego ramienia. Odwrócił głowę i zapatrzył się w telewizor. Na obrazie z helikoptera widać było Jorgensona przykucniętego za wozem patrolowym.

- Ludzie szeryfa przejmą dowodzenie akcją, gdy tylko tu dotrą.

- Ale na razie ich nie ma, za to jesteś ty. Mogę się domyślać, jak to odbierasz.

- Zjawią się, kiedy się zjawią. W końcu jestem komendantem tutejszej policji, Jane. To wszystko.

Popatrzyła na niego tym samym wzrokiem co zawsze, gdy doszukiwała się w jego słowach jakiegoś ukrytego podtekstu. Doprowadzała go tym do szału. Podczas gdy z wyrazu jej twarzy można było wyczytać nawet najskrytsze uczucia, jego twarz przypominała zastygłą maskę. Jane często mu to zarzucała, w ogóle nie trafiały do niej

tłumaczenia, że wcale nie przybiera obojętnej miny specjalnie na jej użytek, że jest to wyłącznie przejaw panowania nad sobą, wyuczonego trzymania nerwów na wodzy.

Znów odwrócił głowę. Nie chciał widzieć troski w jej spojrzeniu.

- W porządku, Jeff. Po prostu martwię się o ciebie, nic poza tym.

Przytaknął w zamyśleniu.

- Powinnyście zjeść obiad, zanim ruszycie w drogę powrotną. Przez ten czas zelżeje trochę ruch na autostradzie. Proponuję, byście zajrzały do tej tajskiej restauracji. Podobało ci się tam, pamiętasz?

Spoważniała i pokiwała głową.

- To ciekawa propozycja. Zresztą, nie spieszy nam się do domu.

- Świetnie.

- Wolałabym nie zostawiać jej w twoim domu, żeby siedziała tam sama, więc co powiesz na to, byśmy zaczekały razem? Wypożyczymy sobie jakiś film na wideo. Jeśli cała ta historia zakończy się jeszcze dziś wieczorem, jutro o tej porze będziesz się mógł z niej śmiać razem z Mandy.

Talley poczuł się zakłopotany. Skinął głową, ale zrobił to odruchowo, gdyż nie miał pojęcia, co powiedzieć. Spozregł, że Jane przefarbowała włosy. Od kiedy pamiętał, zawsze stosowała tę samą farbę o głębokim kasztanowym kolorze, natomiast teraz miała włosy ciemniejsze, prawie czarne, z lekko rudawym odcieniem. Poza tym były krótsze, ostrzygła je niemal po chłopięcemu. Po raz kolejny uświadomił sobie, że ta kobieta zasługuje na znacznie więcej, niż on kiedykolwiek mógłby jej dać. Był przekonany, że jeśli nadal zależy mu na niej i na tym, co ich połączyło, powinien zwrócić jej wolność, by nie musiała przeklinać swego związku z człowiekiem, którego serce zamieniło się w sople lodu.

- O co chodzi?

Znowu odwrócił głowę.

- Musimy porozmawiać.

Przez chwilę w milczeniu przyglądała mu się uważnie, aż wreszcie w kącikach jej ust pojawił się niewyraźny uśmiešek. Ta mina wyrażała głęboki strach.

- Dobrze, Jeff.

- Niedługo przyjadą ludzie szeryfa. Kiedy przejmą kontrolę nad sytuację, oddam im swój telefon i będę mógł wrócić do domu.

Przytaknęła ruchem głowy.



Bardzo chciał jej powiedzieć już teraz, że jest wolna, że nie będzie jej dłużej ograniczał, gdyż przekonał się ostatecznie, iż stan jego ducha nigdy nie ulegnie poprawie. Ale głos uwiązł mu w gardle, a nie mogąc dobrać odpowiednich słów, poczuł się jak tchórz.

Poprosił Metzger, żeby odstawiła jego żonę i córkę do bramy osiedla, po czym wrócił do samochodu, by w zapadającym z wolna zmroku zaczekać na przyjazd ludzi z biura szeryfa.

19.02

*Santa Clarita, Kalifornia*

*Dziesięć kilometrów na zachód od Bristo Camino*

*Bar Chili*

## GLENHOWELL

Glen Howell nie musiał nakazywać swoim ludziom, by mówili cicho. Przy stolikach wokół nich siedzieli porządni obywatele klasy średniej, którzy wraz z rodzinami w ten piątkowy wieczór postanowili zjeść na kolację zapiekanekę z mrożonymi krewetkami i serem. Dla niego ci ludzie byli jak zjawy, wiecznie poirytowani bezsensownością wykonywanej pracy, udający wszem wobec, że wcale nie uważają swoich rozwydrzonych i rozwrzeszczanych utuczonych bachorów za potworki. Witajcie w podmiejskim dobrobycie, pomyślał, który możecie sobie wsadzić w dupę.

Nie zamierzał też podległym mu czterem mężczyznom i dwóm kobietom fundować kolacji czy drinków. Nie mieli czasu, żeby czekać, aż tajski kucharz przygotuje im jakieś potrawy, natomiast alkohol tylko by ich rozleniwił. Musieli zachować jasność umysłów. Howell kolejno wezwał ich telefonicznie na spotkanie, powołując się na Sonny'ego Benzę. Wszyscy byli jego długoletnimi współpracownikami, potrafiącymi zrobić to, co konieczne, w dodatku szybko i sprawnie. On zaś był coraz bardziej przekonany, że najważniejsza jest szybkość działania. Należało błyskawicznie przejąć kontrolę nad sytuacją. Dlatego z góry pogodził się z myślą, że nie dane mu będzie zmrużyć oka, dopóki nie załatwią sprawy pomyślnie.

Ken Seymore, który przez ostatnie dwie godziny zbierał informacje, podając się za reportera „Los Angeles Times”, rzekł:

- Zażądali pełnej ekipy do spraw kryzysowych z biura szeryfa okręgu Los Angeles. Ludzie szeryfa już wyjechali, lecz napotkali po drodze jakieś kłopoty, więc ich przyjazd się opóźnia.

- Ilu ludzi można się spodziewać? - Duane Manelli jak zwykle pospiesznie wyrzucał z siebie sylaby niczym szybkostrzelny karabinek automatyczny ustawiony na ogień seriami trójstrzałowymi.

- W ekipie z biura szeryfa?

- Tak.

Kiedy Manelli miał osiemnaście lat, sędzia sądu federalnego dał mu do wyboru wstąpienie na służbę albo dwadzieścia miesięcy więzienia za napad z bronią w rękę. Bez wahania wybrał wojsko i bardzo mu się to spodobało. Odsłużył w sumie dwanaście lat, najpierw w jednostce desantowej, potem w zwiadzie, wreszcie w siłach specjalnych. Obecnie kierował najlepszym zespołem kidnapingowym działającym na zlecenie Sonny'ego Benzy.

Seymore zajrzał do notatek.

- Już mówię. Jedzie tu grupa dowodzenia, grupa negocjacyjna, grupa wywiadowcza i grupa zabezpieczenia taktycznego, obejmująca oddział obserwacyjny, oddział uderzeniowy, snajperów i pirotechników. Część z nich może pełnić kilka funkcji równocześnie, ale należy się spodziewać łącznie około trzydziestu pięciu ludzi.

Ktoś cicho gwizdnął pod nosem.

- Cholera. Ci, jak wchodzą do akcji, to już z fanfarami.

Ruiz zmarszczył brwi i pochylił się nad stolikiem. Był to nadzwyczaj małomówny, jakby wiecznie zamyślony facet, który od dawna pracował dla Howella. Specjalizował się w terroryzowaniu właścicieli barów, którzy nie chcieli kupować trunków od hurtowników wskazanych przez Benzę.

- Po co im pirotechnicy? - zapytał.

- Gdyby trzeba było wyważyć zabarykadowane drzwi lub okna, ci ludzie potrafią założyć niezbyt silne, ale bardzo skuteczne ładunki kierunkowe. Specjalnie szkolą się w tym zakresie.

Howellowi nie podobało się, że wkrótce na miejscu będzie aż tak dużo policji, lecz należało się tego spodziewać. Seymore dodał jeszcze, że jak dotąd nie wezwano

tylko agentów federalnych, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że w miarę rozwoju wypadków może dojść i do tego.

Zapytał, kiedy ludzie szeryfa dotrą na miejsce.

- Gliniarz, z którym rozmawiałem, powiedział, że powinni przejąć od nich sprawę za trzy, najdalej cztery godziny.

Howell spojrzął na zegarek, po czym skinął głową Gayle Devaronie, jednej z dwóch kobiet przy stoliku. Podobnie jak Seymore zbierała informacje, podając się za dziennikarkę. Ale była ponadto wytrawną złodziejką, wykradała więc dokumenty wobec braku dostępu do pewnych wiadomości.

- Co wiemy o siłach lokalnej policji?

- Komenda miejska zatrudnia łącznie szesnaście osób, czternastu funkcjonariuszy i dwie urzędniczki cywilne. Część tylko dorabia na pół etatu. Mam spisane wszystkie nazwiska i większość adresów. Do niektórych nie zdążyłam jeszcze dotrzeć, bo nie chciałam się spóźnić.

Seymore zachichotał.

- Głupia suka.

- Pilnuj się.

Ostro nakazał im zachować spokój. Szkoda było czasu na kłótnie.

Devarona wyrwała kartkę z notesu i przesunęła ją po stole w kierunku Howella.

- Nazwiska pochodzą z listy płac komendy w Bristo. Adresy i numery telefonów dostałam od znajomej z centrali telefonicznej.

Howell przebiegł wzrokiem starannie wykaligrafowaną listę gliniarzy. Jako pierwsze widniało nazwisko Talleya, przy którym był adres i dwa numery telefonów. Pierwszy był zapewne numerem domowym, drugi komórkowym.

- Masz coś więcej o tych ludziach, żebyśmy wiedzieli, czego się spodziewać?

Zacząła pospiesznie przytaczać pozostałe informacje, na podstawie których policja miejska jawiła się jako przechowalnia rozmaitych wyrzutków, nieudaczników i emerytów. Jeśli nawet z pozoru wyglądali niegroźnie, można się było po nich spodziewać wszystkiego. Howell znał kilka podobnych miasteczek w Idaho, w których połowę mieszkańców stanowili byli gliniarze z wydziałów zabójstw i rabunków policji z Los Angeles, a drugą połowę emerytowani agenci FBI. Takim lepiej było nie wchodzić w drogę, bo mogli sobie nagle przypomnieć dawne lepsze czasy. Znów spojrzął na zegarek. Najdalej do północy musiał znać historię służby każdego z tej

listy, włączając w to ewentualne doświadczenie wojskowe, jak też dysponować pełnymi informacjami na temat ich rodzin.

- Co wiesz o Talleyu?

Sonny Benza kazał mu zwrócić szczególną uwagę na szefa policji. Wiadomo, każdy stwór pozbawiony głowy musi zdechnąć.

- Tylko tyle, ile zdążyłam zebrać. Samotny, wcześniej służył w komendzie głównej w Los Angeles. Mieszka w niewielkim domku pozostającym własnością miasta.

- Gliniarze, z którymi rozmawiałem pod domem Smitha - wtrącił Seymore - mówili, że Talley był negocjatorem w brygadzie antyterrorystycznej.

Devarona popatrzyła na niego z pogardą, jakby brzydziła się tym, że wszedł w jej działkę.

- Jest w Bristo od trzech lat, wcześniej rzeczywiście służył w brygadzie antyterrorystycznej. Na ścianie w jego gabinecie wisi zdjęcie przedstawiające go w pełnym rynsztunku, kamizelce kuloodpornej i z karabinkiem szturmowym.

Howell pokiwał głową. To były pierwsze ciekawe informacje, jakie tu usłyszał. Zaciekawilo go, jakim cudem specjalnie wyszkolony negocjator brygady antyterrorystycznej zajął się przeprowadzaniem dzieci przez ulicę w tym sypialnianym miasteczku wiecznej szczęśliwości. Może skusił się na służbowy domek.

- Łącznie służył w policji Los Angeles czternaście lat, po czym nagle zrezygnował - ciągnęła Devarona. - Kobieta, z którą rozmawiałam, nie chciała poruszać tego tematu, ale odniosłam wrażenie, że przeszedł załamanie nerwowe. W każdym razie przyczyny jego rezygnacji są niejasne.

Howell zanotował sobie, żeby przekazać tę sprawę do Palm Springs. Wiedział, że Benza ma swoich ludzi w komendzie głównej policji w Los Angeles. Gdyby znaleźli jakiegoś haka na Talleya, można by go teraz użyć do wywierania nacisku. Miał jeszcze jedno pytanie dotyczące szefa policji.

- Czy pracował kiedykolwiek jako detektyw dochodzeniówki?

- Pytałam o to, lecz ta kobieta nie wiedziała. Chyba faktycznie warto by się tym bliżej zainteresować.

Howell popatrzył na Devarone, ale już skończyła. Zatem wszyscy dysponowali niezbędnymi informacjami, a przynajmniej mieli coś konkretnego na początek. Pozostały im jeszcze ze dwie godziny, aby poskładać z tego sensowny plan działania.

Warto było też prześwietlić pozostałych gliniarzy. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem szesnaście nazwisk na liście Devarony. Spis bankierów, prawników, prywatnych detektywów czy wysokich oficerów policji pozostających do dyspozycji Benzy i jego bliskich współpracowników był o wiele dłuższy, obejmował setki nazwisk, i do wszystkich tych ludzi można się było teraz zwrócić o pomoc w realizacji trudnego zadania.

- W porządku. Zdobądźcie brakujące adresy, podzielcie się tymi ludźmi między sobą i zacznijcie kopać głębiej. Gayle, ty zajmiesz się kredytami i sprawami finansowymi. Jeśli dopisze nam szczęście, któryś z gliniarzy okaże się zapożyczony po uszy. Może więc uda nam się znaleźć koło ratunkowe dla tonącego. Duane i Ruiz, zainteresujcie się ich rozrywkami. Któryś z żonatych powinien mieć na boku kochankę. Może trafi się też miłośnik czytania sprośnych bajek małym dziewczynkom bez opieki. Przekopujcie wszystkie śmietniki i wyciągajcie stare szkielety. Ken, ty wrócisz na osiedle i dołączysz do dziennikarzy. Gdyby cokolwiek się zdarzyło, chcę o tym wiedzieć jeszcze przed Bogiem.

Poirytowany Seymore odchylił się na oparcie krzesła. Howell nie znosił jego teatralnych min.

- Przestań się krzywić, do cholery. Jeśli masz coś do powiedzenia, to gadaj.

- Będziemy potrzebowali wsparcia. Gdyby sprawa miała się przeciągnąć na kilka dni, sami nie poradzimy sobie ze wszystkim.

- Zostaw to mnie.

Seymore pochylił się nad stolikiem i dodał znacznie ciszej:

- Ale gdyby doszło do mokrej roboty, natychmiast będą nam potrzebni spece do oczyszczenia terenu.

Howell pomyślał o tym dużo wcześniej i zawczasu przeprowadził odpowiednie rozmowy telefoniczne.

- Martw się lepiej o swoją działkę, a takie sprawy zostaw mnie. Spece są już w drodze.

Po raz kolejny spojrzął na zegarek, po czym przepisał adres i oba numery telefonów Talleya na dole kartki, oderwał tę część i wstał.

- Chcę mieć pełniejsze informacje za dwie godziny.

Wetknął świstek z adresem szefa policji do kieszeni, wyszedł z baru i wsiadł do samochodu. Nie było co marzyć o tym, by załatwić Talleya w otoczeniu wszystkich

jego podwładnych oraz całej armii dziennikarzy i fotoreporterów. Trzeba było wymyślić coś specjalnego.

*Piątek, 19.39*  
*Newhall, Kalifornia*  
*Zachód słońca*

## MARION CLEWES

Nazywał się Marion Clewes. Czekał w ciastkarni w Newhall, dwadzieścia kilometrów na zachód od Bristo Camino, w rejonie, gdzie na billboardach umieszczano reklamy wyłącznie z hiszpańskimi napisami. Był w lokalu jedyną osobą mówiącą po angielsku, jeśli nie liczyć kobiety stojącej za ladą, która sprawiała wrażenie podenerwowanej jego obecnością. Nawet teraz, o zmierzchu, w pozbawionej klimatyzacji sali było tak gorąco, że cały spływał potem. W ciastkarni panował brud, na poobijanych stolikach ciemniały plamy po rozlanej kawie, buty lepiły się do podłogi. Ale Marionowi to nie przeszkadzało, podobnie jak nie zwracał uwagi na zaduch przesiąknięty wonią słodkiego tłuszczu i cynamonu. Siedział zwrócony twarzą do drzwi i w spokoju czekał na Glena Howella.

Zazwyczaj spotykali się w podobnych miejscach. Howell czuł się nieswojo w jego towarzystwie, chyba po prostu się go bał. I z tego powodu prawdopodobnie go nie lubił, choć nie miało to żadnego znaczenia. Ważne, że dobrze płacił za to, co i tak sprawiało mu olbrzymią frajdę, dlatego wykonywał każde zlecenie z bezlitosną precyzją.

Marion zapatrzył się na kobietę za ladą. Zaczęła kręcić się nerwowo, to krzyżować ręce na piersiach, to znów je opuszczać, schowała się za frytkownicą, uciekając przed jego natrętnym wzrokiem, aż w końcu wyszła na zaplecze. Popatrzył więc na parking przed cukiernią. Przed nosem bzykała mu mucha, wielka, czarna, pustynna, z włochatymi odnóżami i wydatnym odwłokiem, połyskującym zielonkawo w maślanym świetle jarzeniówek. Zniżyła lot nad stolikiem, zatoczyła szeroką ósemkę, po czym usiadła na grudce rozsypanego cukru. Marion błyskawicznie zdzielił ją otwartą dłonią. Odczekał chwilę, trzymając zwarte palce, żeby się przekonać, czy wyczuje jakiś ruch, następnie powoli odchylił rękę. Mucha leżała na boku i

nieporadnie przebierała łapkami, usiłując na nich stanąć. Przez chwilę spoglądał, jak żałośnie kręci się w kółko, wreszcie popatrzył na swoją dłoń. Środkowy palec miał umazany żółtawą mazią, do której przykleiła się urwana włochata noga. Oblizął go i poczuł na języku cukier. Mucha nadal kręciła się w kółko po blacie. Ostrożnie przytrzymał ją palcem lewej ręki, drugą zaś oderwał następną nóżkę, włożył ją do ust i zmiażdżył zębami. Zaczął odrywać kolejne nogi i je zjadać. Mucha miała uszkodzone jedno skrzydełko, drugim zaciekle biła powietrze. Zaciekawilo go, co by mogła w tej chwili myśleć.

Za drzwiami przesunął się snop światła samochodu.

Marion podniósł głowę i ujrzał wjeżdżającego na parking wielkiego mercedesa Howella. To był naprawdę wspaniały wóz. Howell wysiadł i ruszył do wejścia. Kiedy zbliżył się do stolika, Marion pospiesznie zsunął muchę na podłogę.

- Sprzedawczyni poszła na zaplecze. Nie jestem pewien, czy w ogóle rozumie po angielsku.

- Nie będę nic zamawiał. To nie potrwa długo.

Howell ściszym głosem zaczął omawiać sprawę. Położył na stoliku skrawek żółtej kartki z notatnika.

- Tu masz adres Talleya. Mieszka w służbowym domku. Nie umiem nic więcej o nim powiedzieć. Nie wiem, czy ktoś się nim opiekuje, czy jest tam jakaś ochrona.

- To bez znaczenia.

- Musimy mieć tego faceta w garści, bo to on na razie kieruje akcją, a nie mamy czasu, żeby grzebać w jego przeszłości. Postaraj się znaleźć coś, co pozwoli nim kierować.

Marion zgarnął adres ze stolika. Wiele razy wykonywał podobne zlecenia i dobrze wiedział, co ma robić. Trzeba było znaleźć słaby punkt, który miał przecież każdy. Do tego celu nadawał się choćby zapisany gdzieś numer konta bankowego, schowane pisma bądź kasety pornograficzne, narkotyki, stare listy miłosne czy erotyczne gadżety, recepty na leki albo dyskietki komputerowe. W karcie chorobowej u lekarza domowego można było znaleźć wpis na przykład o chorobie serca, a z billingów telefonicznych dowiedzieć się o częstych kontaktach z jakąś mężatką. Każda informacja mogła mieć znaczenie. Na każdego człowieka dało się znaleźć jakiegoś haka.

- Jest teraz w domu?



- Nie słuchasz wiadomości?

Marion pokręcił głową.

- Nie ma go, ale nie umiem powiedzieć, kiedy wróci, więc bądź przygotowany na wszystko.

- A jeśli natknie się na mnie?

Howell odwrócił głowę i zamyślił się na krótko, wreszcie podjął decyzję:

- Gdyby tak się stało, zabij go.

- W porządku.

- Nie zależy mi na jego śmierci, tylko na kontroli nad nim. Chcę go wykorzystać. Ale gdyby cię zaskoczył, to trudno, skończ z nim.

- A co później, jak już nie będzie ci potrzebny?

- O tym zadecyduje Palm Springs.

Marion skinął głową. Niektórych ludzi warto było zachować przy życiu, żeby później znów ich wykorzystać, ale w większości wypadków pozwalano mu dokończyć dzieła. To zaś było jego ulubioną częścią zadania.

- Masz numery mojego pagera i komórki? - zapytał Howell.

- Tak.

- Dobrze. Zawiadom mnie, jak skończysz. Niezależnie od tego, czy coś znajdziesz, powiadom mnie o wynikach.

- A jeśli niczego nie znajdę w domu?

- Wtedy poszukasz w jego biurze. To będzie trudniejsze, jest szefem miejscowej policji.

Howell wstał i wyszedł bez pożegnania. Marion popatrzył, jak wspaniały mercedes wyjeżdża z parkingu i znika w zapadającym zmierzchu, wreszcie przeniósł wzrok na muchę na podłodze. Pozbawiona wszystkich nóżek, leżała nieruchomo na boku. Pochylił się i trącił ją palcem. Jedno zdrowe skrzydełko znów energicznie zatrzepotało w powietrzu.

- Biedna mucha - mruknął.

Podniósł ją, oderwał skrzydełko, po czym zostawił ją na stoliku i ruszył, by zająć się swoim zadaniem.

## TALLEY

W helikopterach krążących nad York Estates zapaliły się światła pozycyjne, upodabniając je do ruchomych jasnych skupisk gwiazd. Talley nie lubił tej pory dnia. Zapadający zmrok wpływał na psychikę zarówno ludzi przetrzymujących zakładników, jak i policjantów. Bandyci zaczęli czuć się bezpieczniej, jakby noc zwiększała ich władzę, i zaczęli snuć bujniejsze fantazje na temat ucieczki z okrażenia. Policjanci świetnie o tym wiedzieli, przez co robili się nerwowi, a tym samym mniej wydajni. Noc stwarzała podwaliny do zbyt gwałtownych reakcji i śmierci.

Stał przy swoim wozie i popijając dietetyczną colę, słuchał napływających mel-dunków. Ustalono wreszcie tożsamość pracodawcy Rooneya, który prawdopodobnie mógł zidentyfikować trzeciego uczestnika napadu. Nie udało się jednak skontaktować z przebywającą na Florydzie żoną Waltera Smitha. Pracujący na Mrówczej Farmie kurator Rooneya wyjechał na weekend do Las Vegas i był cały czas w drodze, więc i z nim nie można się było skontaktować. Z Domino's dostarczono właśnie duże pizze, pięć wegetariańskich i pięć z szynką, ale ktoś zapomniał zamówić też serwetki. Informacje napływały jedna za drugą, aż Talley zaczynał się w nich gubić, a przecież powinny przychodzić jeszcze szybciej. W duchu przeklinał ludzi szeryfa, którzy coraz bardziej się spóźniali.

Przy skrzyżowaniu zatrzymał się kolejny wóz patrolowy. Wysiedli z niego Barry Peters i Earl Robb, który niósł dużą latarkę.

- Załatwiliśmy wszystko w centrali telefonicznej, szefie. Do domu prowadzi aż sześć niezależnych linii, z których dwa numery są zastrzeżone. Technicy zablokowali wszystkie, jak pan rozkazał. Z zewnątrz nikt się nie połączy z żadnym z tych numerów, a z domu będą łączone jedynie rozmowy z pańską komórką.

Talley odetchnął z ulgą. Nie musiał się już martwić, że jakiś kretyn zdobędzie domowy numer Smitha i zacznie przez telefon namawiać Rooneya, by zamordował zakładników.

- Doskonale, Earl. Przybyły te obiecane posiłki z drogówki?

- Tak. Cztery wozy. Dostaliśmy też dodatkowe dwa patrole miejskie z Santa Clarita.

- Rozstaw je wokół posesji. Albo niech lepiej zajmie się tym Jorgenson. Zna moje ustalenia z Rooneyem.

- Tak jest.

Robb oddalił się pospiesznie, a Peters włączył latarkę i skierował strumień światła na dwa odręcznie naszkicowane na zwykłym papierze maszynowym schematy rozkładu pomieszczeń w budynku.

- Zrobiłem je na podstawie opisu sąsiadów, szefie. To plan piętra, a to parteru.

Talley mruknął z aprobatą. Szkice były czytelne, nie wiadomo tylko, na ile dokładne. Takie szczegóły, jak rozmieszczenie okien czy szaf wnękowych, mogły odgrywać zasadniczą rolę w razie ataku grupy szturmowej. Lepiej byłoby dysponować planami architektonicznymi.

- To najlepsze, co mogłem zrobić. W biurze architekta okręgowego niczego nie znaleźli.

- Powinni mieć plany, w końcu nadzorują rozbudowę miasta. Tym bardziej że chodzi o jeden z domów dużego osiedla stawianego przez jednego inwestora.

Peters w zakłopotaniu spuścił głowę.

- Przykro mi, szefie. Dzwoniłem do komisji zagospodarowania przestrzennego zarówno w Antelope Valley, jak i w Santa Clarita. Nigdzie nie ma planów osiedla. Chce pan, żebym spróbował jeszcze gdzieś?

- Ludzie szeryfa będą potrzebować dokładnego planu budynku. Skontaktuj się z kimś z biura burmistrza albo rady miejskiej. Sarah powinna mieć wszystkie służbowe i domowe numery telefonów. Powiedz, że musimy mieć natychmiast dostęp do archiwów komisji budowlanej. Niech odnajdą zgodę na budowę osiedla i podadzą spis wykonawców. Może w którejś firmie zachowały się plany budynków.

Ledwie Peters odszedł, zza rogu wyjechał wóz Larry'ego Andersa i zatrzymał się obok Talleya. Z prawego fotela zaczął się gramolić szczupły starszy mężczyzna o nerwowych ruchach.

- Szefie, to pan Brad Dill, pracodawca Rooneya.

- Dziękuję, że zechciał pan przyjechać.

- Nic takiego.

Talley wiedział, że Dill prowadzi w Lancaster niewielką firmę budowlaną. Miał skórę spaloną słońcem i małe rozbiegane oczka, aż trudno było mu patrzeć prosto w twarz.

- Wie pan już, co się stało?

Dill zerknął ponad ramieniem Talleya w głąb uliczki i wbił wzrok w ziemię. Był nadzwyczaj zdenerwowany.

- Tak, pański człowiek opowiedział mi po drodze. Chcę podkreślić, że nie miałem o niczym pojęcia. Nie wiedziałem, co oni planują zrobić.

Talleyowi przemknęło przez myśl, że Dill także nie ma czystej kartoteki kryminalnej.

- Podejrzewam, że ci dwaj również tego nie wiedzieli, zdecydowali się dokonać napadu w ostatniej chwili. Proszę się tym nie martwić. Ściągnęliśmy pana tylko dlatego, że pan ich zna. Mam nadzieję, że pomoże nam pan ich zrozumieć.

- Tak, jasne. Dennisa znam już prawie od roku, Kevina trochę krócej.

- Zanim do tego przejdziemy, chciałbym, by pan ich zidentyfikował. Posterunkowy Anders mówił, że zna pan też trzeciego sprawcę.

- Tak, oczywiście. To chyba Mars.

- Spójrzmy na zdjęcia. Masz odbitki, Larry?

Anders sięgnął do samochodu i wyjął powiększenia wybranych klatek z kasety wideo, formatu 20 na 25 centymetrów. Po raz drugi dał nura w otwarte drzwi i wyciągnął latarkę. Wkrótce trzeba było przenieść punkt dowodzenia do któregoś z pobliskich budynków. Talley postanowił zapytać panią Peña, czy zechce ich gościć na dłużej.

- W porządku, panie Dill. Proszę się przyjrzeć. Czy rozpoznaje pan tych ludzi?

Pierwsze, trochę zamazane zdjęcie ukazywało Kevina Rooneya stojącego na czujce przy drzwiach sklepu. Na drugim widać było wyraźnie Dennisa i trzeciego olbrzyma przed ladą minimarketu. Odbitki były bardzo dobrej jakości, Anders spisał się znakomicie.

- Tak, jasne. To Kevin, młodszy brat Dennisa. Ten to Dennis Rooney. Niedawno wyszedł z Mrówczej Farmy.

- A zna pan tego trzeciego?

- Tak, to Mars Krupchek. Przyjąłem go do roboty jakiś miesiąc... Nie, chwileczkę, niecałe cztery tygodnie temu. Nie znam go za dobrze.

Anders pokiwał głową, dając w ten sposób znać, że Dill powtórzył wcześniejsze zeznania, po czym dodał:

- Przez radio poprosiłem Sarę, żeby sprawdziła to nazwisko, szefie. Obiecała przekopać wszystkie bazy danych, zarówno nasze, stanowe, jak i federalne.

Talley zaczął rozmawiać z Dilem na temat zachowania Dennisa w pracy. Ten opisał chłopaka jako porywczego ze skłonnością do przesady i dramatyzowania. To potwierdzało pierwsze spostrzeżenie Talleya, że Rooney jest typem agresywnym i narcystycznym, który sam siebie ocenia bardzo nisko. W przeciwieństwie do niego Kevin wykazywał się troską o pozostałych. Dennis często spóźniał się do pracy i do niczego z nadmierną się nie przykładał, a jego brat przeciwnie, zawsze zjawiał się na czas i chętnie pomagał innym. Był typem szczególnie pasywnym, posłusznie wykonującym polecenia ludzi o silniejszym charakterze, pod których wpływem pozostawał. W żadnym wypadku nie mógł być pomysłodawcą napadu rabunkowego, ale skoro już stał się jego uczestnikiem, musiał się podporządkować starszym.

Talley przerwał na chwilę rozmowę, żeby ułożyć sobie w głowie wszystkie fakty i sprawdzić, czy nie pominął żadnego oczywistego pytania. Wziął od Andersa latarkę i poświecił najpierw na zdjęcie Kevina, a potem na Marsa Krupcheka. Olbrzym budził jego głęboki niepokój od czasu, gdy zobaczył na kasecie wideo, jak ten przechylił się przez ladę, by przyjrzeć się uważniej konającemu Juniorowi Kimowi. Dopiero na tej odbitce zauważył coś, co nie rzuciło mu się w oczy podczas oglądania zapisu wideo: tatuaż z tyłu wygolonej głowy, tworzący napis SPAL TO.

- Co może pan powiedzieć o Krupcheku?

- Niewiele. Pojawił się któregoś dnia, szukając pracy, kiedy właśnie potrzebo-  
wałem robotnika. Był grzeczny i kulturalny, a ponieważ sprawiał wrażenie silnego, postanowiłem dać mu szansę.

- Nie wie pan, czy znał wcześniej braci Rooneyów?

- Nie znał, jestem tego pewien, bo sam ich sobie przedstawiłem. Tak zwyczajnie: Mars, to Dennis. Dennis, poznaj Marsa. Krupchek zwykle trzymał się na uboczu, ożywiał się tylko wtedy, gdy pracował razem z Dennisem.

Talley wskazał palcem tatuaż.

- Co ma oznaczać ten napis?

- Nie mam pojęcia. To zwykły tatuaż.

Talley zerknął na Andersa.

- Podalesz przez radio ten tatuaż jako znak szczególny?

- Tak, oczywiście.

Podanie tego typu szczegółowych informacji znacznie przyspieszało przeszukiwanie komputerowych baz danych. Talley odwrócił się z powrotem do Brada Dilla.

- Nie wie pan, czym się wcześniej zajmował?

- Niestety, nie.

- A skąd pochodzi?

- Nie był zbyt rozmowny. Nawet jak go o coś pytałem, rzadko odpowiadał.

- Więc jak sobie radził w kontaktach z innymi robotnikami?

- Wydaje mi się, że całkiem nieźle. Tyle że z nikim nie utrzymywał bliższych stosunków, dopóki nie poznał Dennisa. Stało się to najwyżej tydzień temu. Wcześniej Mars trzymał się na uboczu i tylko obserwował wszystkich z ukosa, zmienił się wyraźnie po powrocie Dennisa z Farmy.

- Jak mam rozumieć, że obserwował wszystkich z ukosa?

- Może niewłaściwie to nazwałem. Kiedy robotnicy szli na przerwę śniadaniową, nigdy nie siadał z nimi, lecz na osobności, i obserwował ich takim wzrokiem, jakby ktoś kazał mu mieć ich na oku. Nie, to też złe określenie. Patrzył raczej tak, jakby oglądał telewizję. Rozumie pan? Czasami odnosiłem nawet wrażenie, że zasnął z otwartymi oczami. Nie wiem, jak to ocenić. Po prostu siedział i się gapił.

Talleyowi coraz bardziej się to nie podobało, chociaż także nie potrafił z tego opisu wyciągnąć żadnych konkretnych wniosków.

- Czy kiedykolwiek zachowywał się agresywnie wobec kolegów z pracy?

- Nigdy. Zawsze tylko siedział i patrzył.

Talley oddał zdjęcia Andersowi. Niewykluczone, że Mars Krupchek był opóźniony w rozwoju bądź cierpiał na jakieś zaburzenia psychiczne, ale trudno było to ocenić. Martwiło go, że nadal nie zna prawdziwej natury olbrzyma, nie wie, do czego jest zdolny i jak może zareagować w takiej czy innej sytuacji. Niepokoił się, gdyż dobrze wiedział, że nieznanne jest znacznie gorsze od domysłów i często bywa przyczyną fiaska akcji.

- Panie Dill, czy zna pan adres Krupcheka?

Przedsiębiorca wyciągnął z tylnej kieszeni spodni mały notes i odczytał z niego adres i numer telefonu. Anders zapisał te dane.

Talley podziękował Dillowi za pomoc i obiecał, że zostanie odwieziony do domu, po czym odciągnął Andersa na bok.

- W pierwszej kolejności sprawdź w centrali, czy ten adres zgadza się z tym, pod który wysyłane są rachunki telefoniczne. Jeśli tak, zadzwoń do prokuratora miejskiego w Palmdale, poproś telefonicznie o nakaz rewizji i jedź do niego do domu. Jak dostaniesz nakaz, przeszukaj mieszkanie pod podanym adresem. I zabierz kogoś ze sobą.

Kiedy Anders i Dill odjechali, Talley zaczął przywoływać z pamięci listę najpilniejszych zadań. Koniecznie trzeba było odnaleźć panią Smith, zatroszczyć się o jedzenie i picie dla policjantów oraz sprawdzić rozstawienie posiłków z drogówki na posterunkach obserwacyjnych, bo Jorgenson mógł je rozmieścić za blisko domu. Kiedy wreszcie uświadomił sobie, że wkrótce znów będzie musiał zadzwonić do Rooneya, na chwilę ogarnęła go panika. Powinien utrzymywać kontakt telefoniczny co godzinę przez całą noc, żeby zmęczyć Dennisa, nie pozwolić mu się wyspać i skruszyć jego opór. Sytuacja kryzysowa z udziałem zakładników przypominała wojnę nerwów nastawioną na wyniszczenie przeciwnika. Tyle że Talley nie był pewien, czy on sam jest wystarczająco silny psychicznie, by to przetrzymać. W głośniku krótkofalówki zatrzeszczało.

- Szefie, tu Metzger.

- Słucham cię, Leigh.

- Zameldowali się ludzie szeryfa. Za dziesięć minut będą na miejscu.

Talley odchylił się na oparcie fotela samochodu i zamknął oczy. Dzięki Bogu.

## DENNIS

Po rozmowie z Talleyem Dennis starał się nie patrzeć Marsowi w oczy, ale ciekawość była silniejsza. Od razu przypomniał sobie, co mówił Kevin - że Marsowi zależało na zabiciu tego gliniarza, który podszedł do drzwi, dlatego skłamał, że tamten wyciągnął broń, a potem zaczął strzelać pierwszy. Może Talley miał rację i faktycznie istniała szansa wyjścia z opresji, jeśli to Mars postrzelił policjanta, a nie on. Gdyby Kevin go poparł, mogliby zawrzeć układ z prokuratorem w zamian za zeznania obciążające Marsa. Ta myśl przywróciła mu desperacką nadzieję, ale zaraz przypom-

niał sobie o pieniądzech. Gdyby zawarł taki układ, musiałby zrezygnować z forsy. Dlatego ze złością odsunął od siebie telefon, odwróciwszy się do wszystkich plecami. Za nic nie zamierzał rezygnować z takiego łupu.

Kevin popatrzył na niego ciekawie.

- I co? Dadzą nam helikopter?

- Nie. Musimy znaleźć inną drogę ucieczki. Lepiej zacznijmy jej szukać.

Dziewczyna i jej spasiony braciszek wciąż klęczeli na podłodze obok nieprzytomnego ojca. Kiedy spojrział w ich kierunku, Jennifer burknęła:

- Nie ma się na co gapić. Musicie coś zrobić, żeby pomóc mojemu ojcu.

Wciąż przyciskała mu do skroni kompres ze ściereczki, tyle że lód się już stopił i woda ściekała na podłogę. Dennis prychnął pogardliwie.

- Zamknij się, dobra? Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, musimy znaleźć wyjście z trudnej sytuacji.

W złości zacisnęła wargi.

- Ale nie robisz nic poza oglądaniem swojego zdjęcia w telewizji. To ty go uderzyłeś. Tylko spójrz. Musi to obejrzeć lekarz.

- Zamknij się.

- Minęło tyle czasu!

- Lepiej nałóż do ścierki świeżego lodu.

- Kompres tu nic nie pomoże!

Tłuscioch zaczął płakać.

- Wciąż jest nieprzytomny! - chlipnął.

Dziewczyna go zaskoczyła. Gwałtownie poderwała się z podłogi i z impetem ruszyła do wyjścia.

- Sama wezwę lekarza!

Dennisa ogarnęła furia, jakby dopiero teraz w pełni uświadomił sobie powagę sytuacji, uwięzienie w domu otoczonym przez policję, co do tej pory wydawało mu się niezbyt realne. Dopadł dziewczynę w dwóch susach i zdzielił ją na odlew, dokładnie tak, jak ojciec jego matkę, tę kościstą zdzirę. Z całej siły huknął ją otwartą dłonią w policzek, aż poleciała w bok i zwała się na podłogę.

- Jennifer! - wrzasnął jej braciszek.



Także poderwał się na nogi i szeroko wymachując rękoma, rzucił się w jego kierunku niczym zaślepiiony wściekłością karzelek. Dennis tylko wyciągnął rękę i złapał go za włosy z tyłu głowy. Tłuscioch od razu się zatrzymał i zaskomlił żałośnie. Nieoczekiwanie wtrącił się Kevin.

- Przestańcie! - krzyknął, po czym pchnął chłopaka w stronę siostry, stając między nim a bratem. - Przestań, Dennis. Proszę!

Jeszcze bardziej go to rozwścieczyło. Miał ochotę tak samo zdzielić Kevina, rozkwasić mu pięścią nos i dołożyć parę tęgich kopniaków. Chciał stłuc na kwaśne jabłko tłusciocha i jego siostrunię, po czym zapakować forszę do jaguara, wcisnąć gaz do dechy i wyważyć drzwi garażu, żeby przedrzeć się przez policyjną blokadę i pojechać do Meksyku.

Mars, jak zawsze z kamiennym wyrazem twarzy, przyglądał mu się uważnie. Jego oczka połyskiwały w półmroku niczym ślepka łasicy kryjącej się w głębi nory.

- Czego?! - wrzasnął Dennis.

Mars tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

Dennis cofnął się, głęboko oddychając. Wszystko wymykało mu się z rąk. Spojrzał na ekran telewizora, obawiając się, że policja już przystąpiła do szturm, ale na obrazie z lotu ptaka nic się nie działo, teren wokół domu wyglądał dokładnie tak samo, jak parę minut temu. Dziewczyna przytykała dłoń do obolałego policzka. Tłuscioch zerkał na niego z nienawiścią w oczach, jakby chciał mu poderżnąć gardło. Ich ojciec oddychał chrapliwie przez nos. Napięta atmosfera panująca w tym pokoju doprowadzała Dennisa do szaleństwa.

- Musimy coś z nimi zrobić - odezwał się w końcu. - Nie mam ochoty dłużej cackać się z tym gównem.

Mars ociężale dźwignął się z krzesła.

- Powinniśmy ich związać, żeby nie sprawiali więcej kłopotów. Zresztą i tak będziemy musieli to zrobić.

Dennis ruchem głowy wskazał dziewczynę i rzekł do brata:

- Mars ma rację. Nie możemy dopuścić, by te szczeniaki kręciły się po całym domu i włożyły nam w drogę. Znajdź coś, czym będzie można ich związać. Zamkniemy ich w pokoju na górze.

- Czym chcesz ich związać?

- Nie wiem. Poszukaj w garażu, w kuchni... Mars, może lepiej ty się tym zajmij, dobra? Wiesz, czego potrzebujemy. Ten dureń na niczym się nie zna.

Mars ruszył w kierunku drzwi do garażu. Kevin ostrożnie wziął dziewczynę za rękę, jakby się bał, że tym razem ona uderzy jego. Wstała jednak bez sprzeciwu. Wargi jej dygotały, w oczach miała łzy.

- Co z naszym ojcem? Nie możecie go tak zostawić na podłodze.

Jego ciało na dotyk sprawiało wrażenie bardzo zimnego, co kilka sekund wstrząsał nim silny dreszcz. Dennis sprawdził mu puls, choć w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, czy właśnie tak to należy robić. Niczego nie wyczuł pod palcami. I nie podobał mu się też wygląd mężczyzny, nie odezwał się jednak ani słowem na ten temat, uznawszy, że nie ma o czym gadać.

- Przenieśmy go na kanapę. Tam będzie mu wygodniej.

- On potrzebuje lekarza.

- Po prostu śpi. Jak ma się uraz głowy, trzeba go odespać, to wszystko. Mój stary tłuł mnie znacznie gorzej.

Razem z Kevinem przenieśli nieprzytomnego na kanapę.

Kiedy wrócił Mars, Dennis kazał jemu i bratu zaprowadzić szczeniaki na górę. Czuł się zmęczony zaprzątaniem sobie nimi głowy. Nie miał ochoty myśleć o niczym, może poza walizką wypchaną pieniędzmi. Musiał znaleźć jakąś drogę ucieczki.

## JENNIFER

Mars otworzył drzwi jej sypialni, po czym odsunął się na bok, żeby przepuścić ją i Kevina. Przyniósł z garażu kilka przedłużaczy, szeroką samoprzylepną taśmę do pakowania, młotek i gwoździe. Podał dwa kable Kevinowi.

- Ją umieścimy tutaj. Przywiąż ją do krzesła, tylko mocno. A drugim kablem zwiąż jej nogi. Jak się uporam z chłopakiem, wrócę, żeby posprawdzać okna i drzwi.

Przez chwilę popatrzył na nią tym swoim dziwnym wzrokiem, jakby nagle został wyrwany z głębokiego snu, a ona była ucieleśnieniem jego sennych marzeń.

- Jak wrócę, sprawdzę, czy ją dobrze związałeś.

Wyszedł i pociągnął Thomasa dalej. Kevin pchnął ją w głąb pokoju. Światło było zapalone, gdyż nigdy go nie gasiła. Przy świetle oglądała telewizję czy rozmawiała przez telefon i przy świetle zasypiała; paliło się, gdy rano otwierała oczy, więc nawet do głowy jej nie przychodziło, by je gasić na dzień. Żaluzje były zamknięte, telefon stał na podłodze przy ścianie, ale gniazdko zostało rozwalone, więc nie nadawał się do użytku. Kevin wyciągnął krzesło spod biurka na środek pokoju. Unikał jej wzroku, był podenerwowany.

- Tylko się nie szarp, to wszystko będzie w porządku. Chcesz może sikać?

Zaczerwieniła się z zakłopotania. Tak bardzo miała ochotę skorzystać z łazienki, że ledwie mogła ustać na nogach.

- Toaleta jest tutaj.

- Gdzie? Masz własną łazienkę?

- Owszem. Za tamtymi drzwiami..

- W porządku. Chodź.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Nie możesz wejść razem ze mną.

Stał w przejściu i obejrzał się na nią.

- Nie zamierzam cię spuścić z oka nawet na chwilę.

- A ja nie zamierzam korzystać z toalety w twojej obecności.

- Wolisz się zlać w majtki?

- Nie będziesz mnie podglądał. Nie ma tam ani broni, ani niczego innego, czym mógłbyś się martwić.

Sprawiał wrażenie rozbawionego. Wszedł do łazienki, rozejrzał się dookoła i zaraz wyszedł.

- Dobra. Nie wejdę z tobą, ale nie zamykaj drzwi. Będę czekał tutaj. Stąd nie dam rady cię podejrzeć.

- Ale będziesz wszystko słyszał.

- Sikasz czy nie? Mnie wszystko jedno. Jeśli nie chcesz skorzystać z łazienki, to siadaj na krześle, bo zaraz wróci Mars.

Tak bardzo chciało jej się sikać, że mimo wszystko postanowiła skorzystać z łazienki. Bardzo starała się załatwić po cichu, ale miała wrażenie, że odgłosy są donoś-

niejsze niż zazwyczaj. Wyszła z łazienki ze wzrokiem wbitym w podłogę, zmieszana jak nigdy dotąd.

- Jesteś obrzydliwy.

- Możliwe. Siadaj tu i wyciągnij ręce do tyłu.

- Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zamkniecie nas w pokojach. Przecież i tak się stąd nie wydostanę.

- Jeśli nie dasz mi się związać, zrobi to Mars.

Szybko usiadła, spięta i zaniepokojona.

Kevin oddzielił jeden z długich czarnych kabli. Skrzywiła się odruchowo, gdy jej dotknął, ale nie był wobec niej brutalny i nie wykręcał jej rąk.

- Nie chcę supłać za mocno, ale muszę cię skrupować. Mars będzie to sprawdzał.

W jego głosie dał się wyczuć żal, który ją zaskoczył. Wiedziała, że Kevin jest przestraszony, ale teraz przyszło jej do głowy, że wstydzi się tego, co musi zrobić. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia. Kiedy związał jej ręce, obszedł krzesło, przyklęknął i zaczął mocować kostki do nóg krzesła. Patrzyła na niego z góry i myślała, że jeśli ma wśród nich szukać kogoś nastawionego przyjaźnie, to może brać pod uwagę tylko jego.

- Kevin?

- Co?

Starła się mówić jak najciszej, żeby Mars nie usłyszał.

- Zostałeś w to wpłątany tak samo jak ja.

Zmarszczył czoło.

- Słyszałam, jak rozmawialiście między sobą. Chyba tylko ty zdajesz sobie sprawę, że pogarszasz swoją sytuację z godziny na godzinę. Dennis najwyraźniej tego nie rozumie.

- Lepiej nic nie mów o Dennisie.

- Dlaczego zgodziłeś się im pomóc?

- Tak się po prostu ułożyło, nic więcej. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Mój ojciec naprawdę potrzebuje lekarza.

- Tylko stracił przytomność. Ja też kiedyś zemdlałem.

- Dobrze wiesz, że to coś poważniejszego. Zastanów się nad tym, co robisz. Proszę. I spróbuj przekonać Dennisa. Jeśli mój ojciec umrze, zostaniecie dodatkowo oskarżeni o jego zamordowanie. Powinieneś o tym pamiętać.

- Nic nie mogę dla niego zrobić.

- Na pewno nie chciałeś obrabować minimarketu, prawda? Mogę się założyć, że próbowałeś odwieść Dennisa od tego pomysłu, tylko on nie chciał cię słuchać i teraz znalazłeś się w sytuacji bez wyjścia, grozi ci oskarżenie o współudział w morderstwie.

Nie odpowiedział. Klęczał nisko pochylony, dociskając supły kabla.

- Jestem pewna, że tak było. Przeczuwałaś, że to się źle skończy, i miałaś rację. Teraz też wiesz, że źle postępujesz. Mój ojciec potrzebuje lekarza, tylko Dennis po prostu się uparł. Jeśli dalej będziesz się trzymał Dennisa i Marsa, policja w końcu zabije was wszystkich.

Kevin podniósł się z klęczek i przysiadł na piętach. Wyglądał na zmęczonego, jakby od dawna zamartwiał się tym problemem, którego nie potrafi rozwiązać, i kosztowało go to wiele wysiłku. Wolno pokręcił głową.

- Przepraszam.

Za jego plecami po podłodze przesunął się cień i Jennifer szybko podniosła wzrok. Mars stał w drzwiach i przyglądał im się z kamiennym wyrazem twarzy. Trudno było powiedzieć, od jak dawna tam stał i ile słyszał z ich rozmowy.

W gruncie rzeczy nie patrzył na Kevina, tylko gapił się na nią.

- Nigdy nie przepaszaj.

Kevin tak szybko się poderwał, że omal nie stracił równowagi.

- Za mocno związałem jej nogi w kostkach i musiałem trochę poluzować kabel.

Mars podszedł do okna. Pospiesznie wbił kilka gwoździ w ramę, żeby nie dało się go otworzyć, po czym wrócił na środek pokoju i stanął przed nią. Był bardzo blisko, przez co sprawiał wrażenie tak wysokiego, jakby sięgał głową sufitu. Po chwili kucnął między jej nogami i kilkakrotnie szarpnął kabel, którym była przywiązana do krzesła, aż wpił jej się boleśnie w skórę.

- Za słabo związałaś, jakbyś nie miał siły.

Mocniej docisnął supły, potem tak samo poprawił więzy krępujące jej rękę. Kable wbijały jej się teraz głęboko w ciało, aż musiała zagryźć zęby, żeby nie jęknąć. Była jednak zanadto przestraszona, żeby się poskarżyć. Wreszcie Mars oderwał kawałek szarej taśmy do pakowania i zakleił jej usta.

Kevin cały czas patrzył na swoje palce splecione na brzuchu. Wyraźnie panicznie bał się Marsa.

- Tylko sprawdź, czy może oddychać. Nie zaklej jej nosa.

Mars dla pewności przeciągnął dłonią po taśmie. Dotyk jego palców był tak odrażający, że Jennifer miała ochotę krzyknąć na całe gardło.

- Wracaj już na dół, Kevin.

Chłopak ruszył do drzwi, ale zawahał się w przejściu.

Mars nadal klęczał przed nią i dociskał palcami taśmę samoprzylepną, jakby chciał ją wtłoczyć we wszystkie pory skóry. Dociskał i wygładzał. Powolnymi rytmicznymi ruchami. Jennifer pomyślała, że lada chwila zemdleje.

- A ty nie idziesz? - zapytał Kevin.

- Zaraz przyjdę. Spadaj.

Jennifer popatrzyła na Kevina błagalnym wzrokiem, prosząc go w myślach, by za nic w świecie nie zostawiał jej sam na sam z Marsem.

Ale chłopak wyszedł.

Kiedy z ociąganiem podniosła wzrok na Marsa, napotkała jego intensywne spojrzenie. Głowę miał dokładnie na wysokości jej twarzy. Przybliżył się jeszcze trochę. Skrzywiła się, pomyślawszy, że będzie chciał ją pocałować. Nie zrobił tego jednak. Przez jakiś czas klęczał nieruchomo, wpatrując się najpierw w jej lewo oko, potem w prawe. Wreszcie pochylił się lekko do przodu i pociągnął nosem. Obwąchiwał ją.

W końcu się wyprostował.

- Chcę ci coś pokazać.

Podciągnął koszulkę, odsłaniając fałdy obwisłego brzucha pokrytego zszarzałą skórą, przypominającą brudne prześcieradło. Na piersi także miał tatuaż, wykonany ozdobną kursywą napis głosił:

*Synek Mamusi.*

- Widzisz? Kosztował mnie dwieście czterdzieści dolarów. Teraz wiesz, jak bardzo kocham moją mamę.

Ten widok przyprawił ją o mdłości. Całą pierś i brzuch pokrywały mu drobne ciemne plamki przypominające wysypkę. Jennifer przyszło na myśl, że to kurczaki.

Poczuła na sobie jego świdrujące spojrzenie, uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Musiał się domyślić, że te ciemniejsze plamki przykuły jej uwagę, gdyż dotknął palcem jednej z nich, potem drugiej, i na jego wargach pojawił się tajemniczy, ledwie zauważalny uśmieszek.

- Moja mama przypalała mnie papierosami - mruknął.

Żołądek podszedł jej do gardła. A więc nie były to brodawki czy kurzajki, lecz rany po dawnych oparzeniach.

Mars opuścił koszulkę i znowu pochylił się nad nią. Była pewna, że tym razem ją pocałuje. Serce waliło jej jak młotem. Chciała odwrócić głowę, lecz była jak sparaliżowana.

Położył jej dłoń na ramieniu.

Jennifer szarpnęła się w bok, ale więzy ograniczały swobodę ruchów. Odwróciła więc głowę i wygięła się do tyłu. Miała wrażenie, że kable rozcinają jej skórę na kostkach nóg i nadgarstkach. Próbowwała krzyknąć, lecz przez taśmę zaklejającą usta przedostał się tylko cichy jęk.

Mars krótko, ale dość mocno ścisnął jej ramię, jakby sprawdzał grubość kości pod skórą, i szybko cofnął rękę.

Uśmiechnął się szerzej i ruszył do wyjścia. Przystanął jeszcze na chwilę i po raz ostatni obrzucił ją spojrzeniem oczu tak pustych i pozbawionych wyrazu, jak u zjawy z koszmarne snu. Zgasił światło, wyszedł na korytarz i z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi. Ten odgłos rozniósł się donośnym echem w ciemnym pokoju, choć Jennifer miała wrażenie, że łomotanie jej serca i tak jest głośniejsze.

## DENNIS

Dennis stał przy oknie i obserwował policyjne czujki, kiedy usłyszał zmianę natężenia terkotu krążących nad domem helikopterów. To mógł być pierwszy zły znak, skoro śmigłowce reporterskie zajmowały inne pozycje. Chwilę później zapaliły się światła pierwszego radiowozu na ulicy. Samochód ruszył, zawrócił ciasnym łukiem i odjechał, a jego miejsce zajął wóz patrolowy drogówki. Trudno było powiedzieć, czy Talley nadal jest na swoim posterunku przed domem. W każdym razie gliniarze coś kombinowali. Poczuł silne ukłucie strachu. Trzeba było jak najszybciej znaleźć drogę

ucieczki, bo prawdopodobnie zostało im już niewiele czasu. Mars usiadł na brzegu kanapy obok nieprzytomnego Waltera Smitha i w zamyśleniu przeciągnął dłonią po jego włosach, jakby głaskał po łbie psa.

- Nie chcą ci dać helikoptera, bo nie traktują poważnie twoich gróźb,

Poirytowany Dennis odwrócił się od okna. Nie podobał mu się ten tajemniczy uśmiezek na ustach Marsa, mówiący, że on wie coś, o czym nikt inny nie ma pojęcia. W końcu to Mars zachęcił go do obrabowania minimarketu i to on postrzelił gliniarza stojącego przed drzwiami.

- Sam nie wiesz, co gadasz. W tych sprawach mają ściśle przepisy. Pieprzyć ich. I tak nigdy nie myślałem poważnie, że dostaniemy helikopter. Pomyślałem tylko, że warto spróbować.

Mars wciąż głaskał Smitha po głowie, powoli przesuwając palce po krótkich włosach, jakby badał kształt jego czaszki. Dennisowi przemknęło przez myśl, że to dziwne.

- Bo nie potrafisz spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy.

- Czyżby? Chcesz poznać tę perspektywę? Proszę bardzo. Za wszelką cenę musimy znaleźć sposób na to, żeby wydostać się stąd z forszą.

Mars poklepał Smitha po głowie.

- To jest nasz sposób na wydostanie się stąd. Nie doceniasz władzy, jaką mamy w swych rękach.

- Mówisz o zakładnikach? Jezu. Przecież oprócz nich niczego nie mamy. Gdybyśmy nie zatrzymali całej rodziny w domu, gliniarze już by nas dorwali.

Mars podniósł głowę i spojrzał na niego. Dennisowi wydawało się, że w jego oczach pojawiły się jakieś niezwykle błyski.

- Naszą bronią jest ich strach przed nami. Tylko ten strach daje nam władzę. Gliny będą traktować nas poważnie tylko wtedy, gdy nabiorą obaw, że jesteśmy gotowi pozabijać zakładników. Nie ci ludzie są naszą kartą przetargową, ale ich śmierć.

Dennis pomyślał, że Mars chyba żartuje.

- W porządku, koleś. Do czego zmierzasz?

- Policja nie będzie miała żadnych powodów, żeby z nami pertraktować, dopóki nie zacznie nas brać na serio. Wystarczy im tylko zaczekać, aż się zmęczymy i poddamy. Dobrze o tym wiedzą. I na to liczą.



Dennis aż się przygarbił pod brzemieniem napiętej atmosfery wypełniającej ten pokój. Mars przyglądał mu się uważnie, świdrował go spojrzeniem ciemnych, twardych jak kamienie oczu. Dennisowi przyszło na myśl, że jakimś sposobem jego dotychczasowa władza przechodzi na Marsa, teraz on zaczyna go prowadzić w wybranym przez siebie kierunku i bacznie obserwuje, czy zgodzi się pójść wytyczoną drogą.

- A jak chciałbyś ich przekonać?

- Powiedz im, że na znak dobrej woli puścimy wolno tłściocha.

Dennis nie był w stanie się poruszyć. Kątem oka zerknął na brata i odgadł w jednej chwili, że Kevin tak samo odczuwa tę nieznośną presję.

- Pozwolimy tłściochowi wyjść na dwór. Nie wyjdziemy razem z nim, tylko otworzymy drzwi i go wypuścimy. Powiemy mu, że wystarczy, by spokojnie przeszedł przez podwórko i dotarł do wozu policyjnego, a będzie bezpieczny. Twój kumpel, Talley, pewnie zacznie go przywoływać: „No, chodź synu. Wszystko będzie w porządku”.

Dennis poczuł spływającą mu po plecach strużkę zimnego potu.

- Zaczekamy, aż szczeniak będzie w połowie drogi do ulicy, i wtedy go zabijemy.

Serce Dennisa zaczęło szybciej bić. Usłyszał swój świszczący oddech, który wypadał przez zaciśnięte kurczowo szczęki i przypominał groźny syk żmii.

Mars rozłożył szeroko ręce, chcąc zademonstrować swą radość z przedstawionego planu.

- Wtedy zrozumieją, że to poważna sprawa i warto zacząć z nami pertraktować.

Usiłował sobie wmówić, że Mars tylko żartuje, ale szósty zmysł podpowiadał mu, że to nieprawda. Tamten każde słowo traktował z pełną powagą.

- Nie możemy zrobić czegoś takiego.

To go wyraźnie zaskoczyło.

- Ja bym mógł. Jeśli zechcesz, sam to zrobię.

Dennis nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Na zewnątrz terkot helikopterów przybrał na sile. Cofnął się do okna i wyrztał przez szczelinę między żaluzjami, ale tylko udawał, że obserwuje podwórko, bo w rzeczywistości po prostu nie mógł dłużej patrzeć na Marsa, który zaczynał go przerażać.

- Nie sądzę, koleś - mruknął.

- Nie wierzysz?

- Nie. I skończmy o tym gadać.

Błyski w oczach Marsa natychmiast przygasły jak kurczący się płomień świecy. Obojętnie wzruszył ramionami. Dennis odetchnął z ulgą. Polecił im mieć oko na gliniarzy i po raz kolejny wyruszył na obchód domu. Zaglądał kolejno do pokoi na parterze i sprawdzał teren za oknami, wypatrując drogi ucieczki, ale wszystkie były na widoku gliniarzy czyhających za płotem. Zdawał sobie sprawę, że czas go pogania. Jeśli miał podjąć próbę wymknięcia się z okrążenia, musiał to zrobić jak najszybciej, bo posilki policyjne były już zapewne w drodze. Sprawdził pomieszczenia od tyłu, wrócił do salonu i przeszedł przez kuchnię do garażu. Miał nadzieję, że natknie się na jakieś boczne drzwi, ale znalazł jedynie małą toaletę z umywalką obok warsztatu zajmującego tylną część garażu. Nad zlewem znajdowało się tu małe, odsuwane ku górze okienko z grubą taflą marszczonego szkła. Otworzył je i tuż za grubą, odchylaną na zawiasach kratą ujrzał ciemnozielone szpiczaste liście gęstego oleandra rosnącego w cieniu szerokiego okapu. Wykręcił szyję, by dojrzeć coś więcej za kratą, ale w kącie pod ścianą zalegały nieprzeniknione ciemności. Okienko było umieszczone od strony ulicy, lecz całkowicie zasłonięte przez wybujały oleander, a z powodu występu w murze niewidoczne też z podwórka na tyłach. Gdyby nie ten oleander, gliniarze z ulicy natychmiast by go zobaczyli. Odciągnął zasuwkę i bardzo wolno odchylił kratę, bojąc się, by nie zaskrzypiała. Następnie podniósł okno do końca, wdrapał się na zlew i wychylił na zewnątrz. Nigdy by się nie odważył zrobić tego za dnia, ale ciemność dodała mu odwagi. Od ziemi dzieliło go niewiele ponad metr. Przecisnął ramiona przez wąską framugę. Wzdłuż ściany przybudówki ciągnął się cały rząd oleandrów, trudno było jednak powiedzieć, jak daleko sięga. Ogarnęło go podniecenie. Przecisnął się z powrotem, po czym odwrócił, klęknął na futrynie i wysunął na zewnątrz nogi. Leżąc płasko na brzuchu, wyciągnął jedną nogę i powoli opuścił się na ziemię. Był poza domem.

Kucnął szybko, przywierając plecami do szorstkiej ściany, i nastawił uszu. Aż tu dolatywały trzaski z krótkofalówki wozu policyjnego stojącego na wprost wejścia do domu. Między listowiem dostrzegał słabe refleksy światła ulicznej latarni odbitego od karoserii samochodów. Nie widział jednak gliniarzy. Podejrzewał tylko, że obserwują uważnie drzwi i okna od frontu, ale nie zarośla w ogródku. Ostrożnie ułożył się na brzuchu pod ścianą i zaczął powoli pełznąć przed siebie. Zwarty szereg oleandrów miejscami był gęściejszy, gdzie indziej rzadszy, ale policjanci z ulicy i tak nie mogli go zobaczyć. Doczołgał się do końca wysuniętej przybudówki i spostrzegł, że rząd zarośli

ciągnie się aż na frontowe podwórze sąsiedniej posesji. Ogarnęło go jeszcze większe podniecenie. Można było tędy wynieść walizkę, przeciągnąć ją za szeregiem oleandrów i przekraść się poza granice strzeżonego terenu tuż pod nosem czuwających gliniarzy, niemalże na ich oczach!

Wycofał się pod okienko i ostrożnie wśliznął z powrotem do środka. Był wykończony, ale znalazł swą wymarzoną drogę ucieczki. Zamierzał przechytryć Talleya, umknąć przed oskarżeniem o popełnienie morderstwa i wyruszyć na południe w iście wielkim stylu.

Pobiegł do gabinetu, żeby powiadomić o swoim odkryciu Kevina i Marsa.

## MARION CLEWES

Srebrzysta Wenus błyszczała nisko na czerniejącym szybko zachodnim nieboskłonie, przesuując się wolno nad postrzępioną linią gór i szczytem dachu służbowego domku Talleya. Niewiele jeszcze było widać gwiazd, ale tu, na pustynnym płaskowyżu z dała od miasta, już wkrótce powinno ich się pojawić bez liku.

Talley zajmował jeden z czterdziestu ośmiu drewnianych domków ze stiukową obmurówką rozmieszczonych w kształcie wyciągniętej litery H wokół czterech większych budynków, otoczonych przez powykręcane ze starości drzewka eukaliptusów, które chyliły się w ich stronę niczym pijacy nad poręczą schodów. Prawdopodobnie był to kiedyś ośrodek wypoczynkowy, który po plącie firmy został przez władze miasta sprzedany i przekształcony w osiedle domków jednorodzinnych. W każdym z nich na parterze był niewielki taras ograniczony drewnianą balustradką, a między czterema budynkami znajdował się duży basen kąpielowy. Środkową część kompleksu zajmowały rozległe niestrzeżone parkingi dla mieszkańców. Z pozoru wyglądało to na bardzo przyjemne miejsce do życia.

Marion obszedł spacerkiem cały teren, wsłuchując się w dźwięki muzyki i gwar głosów dolatujące zza otwartych okien. Na parking zajeżdżały samochody, ludzie wracali z pracy. Jakaś starsza kobieta pływała samotnie w basenie, zataczając metodycznie koła. Na kilku tarasach dymiły rozpalone grille, w powietrzu rozchodziły się zapachy pieczonego mięsa.

Dopiero po jakimś czasie skierował się w stronę domku Talleya. Osiedle, w jego ocenie, pochodziło z lat siedemdziesiątych, toteż gazometry, liczniki prądu, skrzynki rozdzielcze linii telefonicznych i telewizji kablowej znajdowały się na zewnątrz, na obrzeżach parkingów. To oznaczało, że jakkolwiek indywidualny system antywłamaniowy mógł być podłączony jedynie za pośrednictwem łączy telefonicznych. Z zadowoleniem przyjął fakt, że nie ma tu żadnych wymyślnych alarmów. Nie zaskoczyło go to specjalnie ani nie zdziwiło. W tym małym spokojnym miasteczku oddalonym od Los Angeles zarządca tego terenu mógł co najwyżej podpisać umowę z policją miejską, że wóz patrolowy będzie co godzinę objeżdżał tutejsze parkingi.

Odszukał domek Talleya, wszedł przez furtkę do ogrodu i podszedł do drzwi. Aż zagryzał zęby, żeby nie wybuchnąć gromkim śmiechem. Taras i ganek były zasłonięte od strony ulicy dwumetrowej wysokości parkanem z desek. Trudno sobie wymarzyć bardziej sprzyjający układ. Dwa razy nacisnął dzwonek, a potem jeszcze zapukał, choć wiedział, że w domu nikogo nie ma. W oknach było ciemno. Naciągnął lateksowe rękawiczki, wyjął klucz uniwersalny oraz sprężynkę do odchylenia zapadek i przystąpił do pracy. Po czterech minutach klucz dał się obrócić, szcęknął rygiel. Minutę później Marion wszedł do środka.

- Halo? - zawołał. - Jest tu ktoś?

Zgodnie z jego oczekiwaniami nie było odpowiedzi. Po cichu zamknął za sobą drzwi, ale nie przekręcił zasuwki.

Po lewej znajdowała się kuchnia, po prawej mała jadalnia. Rozsuwane drzwi balkonowe prowadziły na taras. Na wprost był duży salonik z kominkiem. Marion zaczął się rozglądać za biurkiem do pracy, ale nigdzie go nie znalazł. Odsunął drzwi na taras, po czym otworzył największe skrzydło okna po drugiej stronie saloniku. Zanotował w pamięci, żeby je pozamykać, kiedy będzie stąd wychodził, ale na razie musiał mieć zapewnioną drogę ucieczki. Howell nie życzył sobie śmierci Talleya, postanowił więc uczynić wszystko, by nie sięgać od razu po broń, gdyby gospodarz go tu zaskoczył.

Wszedł po schodach na piętro i zaczął zaglądać przez kolejne drzwi. Z podestu wchodziło się do łazienki, dalej znajdowały się dwie sypialnie, ta po prawej była dużo większa, małżeńska. Zapalił w niej światło. Zamierzał przeszukać dokładnie cały dom, by znaleźć coś, co pozwoliłoby skutecznie wywierać nacisk na Talleya, ale znalazł to od razu, tuż za progiem sypialni. Rzadko dopisywało mu aż tak wielkie szczęście.

Pod ścianą stało biurko zavalone papierzyskami, rachunkami i fakturami, lecz to nie one przykuły wzrok Mariona. Na jego skraju stało pięć oprawionych w ramki fotografii. Przedstawiały Talleya z kobietą i małą dziewczynką. Para na wszystkich wyglądała tak samo, tylko dziewczyna była w różnym wieku.

Pochylił się, podniósł pierwsze zdjęcie i przybliżył je do oczu.

Kobieta z dziewczynką.

Żona i córka.

To stwarzało bardzo szerokie możliwości.

## TALLEY

Zespół Nagłych Sytuacji Kryzysowych z biura szeryfa okręgu Los Angeles, który wyłonił się zza rogu, przypominał wojskowy konwój. Przodem jechał wóz osobowy z emblematem biura szeryfa na drzwiach, za nim pojawiło się zwaliste Ruchome Centrum Dowodzenia przypominające furgon piekarski. Ludzie szeryfa nie musieli korzystać z gościny w domu pani Peña, furgon był wyposażony we własny generator prądu i łazienkę, a na dachu ciągnęły się szeregi anten zapewniających stałą łączność z systemem komputerowym grupy wywiadowczej oraz poszczególnymi zespołami. W środku znajdował się nawet ekspres do kawy. Dalej zajechała grupa uderzeniowa w dwóch furgonetkach, przy czym większą część drugiej zajmowało uzbrojenie i sprzęt. Ledwie konwój się zatrzymał, członkowie brygady terrorystycznej w ciemnozielonych mundurach polowych zaczęli wyskakiwać na ulicę i gromadzić się przy drugim wozie, gdzie dowodzący oddziałem sierżant natychmiast przystąpił do rozdzielania krótkofalówek i broni. Na końcu stanęły cztery radiowozy z umundurowanymi funkcjonariuszami z biura szeryfa, którzy także w pośpiechu zebrali się wokół dowódcy. Od razu uległ zmianie monotonny terkot śmigłowców zajmujących dogodniejsze pozycje do sfilmowania całego konwoju. Jeśli Rooney oglądał telewizję, na pewno ten widok go zdenerwował. Właśnie w takich momentach otoczeni przestępcy najczęściej wpadali w panikę i podejmowali jakieś działania. Talley podszedł szybko do pierwszego auta konwoju.

Zza kierownicy wysiadł wysoki i szczupły Murzyn. Towarzyszył mu starszy biały blondyn o przerzedzonych włosach.

Talley wyciągnął rękę na powitanie.

- Jeff Talley. Jestem szefem miejscowej policji. Pan dowodzi zespołem?

Murzyn uśmiechnął się szeroko.

- Will Maddox. Jestem głównym negocjatorem. A to Chuck Ellison, mój zastępca. Zespołem dowodzi kapitan Martin. Jest przy centrum dowodzenia.

Kiedy Talley ścisnął dłoń Ellisona, ten puścił do niego oko i mruknął:

- Z nami, negocjatorami, jest nudno, a w centrum przynajmniej ciągle migoczą kolorowe światełka, które kobiety tak lubią.

- Chuck!

Blondyn zmarszczył brwi.

- Czy powiedziałem coś złego?

Atmosfera zmieniła się diametralnie. Do tej pory Talley miał wrażenie, że wisi nad przepaścią, trzymając się na samych końcach palców, teraz zaś władzę nad York Estates mógł przekazać zorganizowanej jednostce paramilitarnej. Z góry spadł na nich snop jaskrawego światła, który zaczął się z wolna przesuwając wzdłuż kolumny pojazdów. Wszyscy trzej osłonili oczy dłońmi. Poszczególne grupy zbierały się przy samochodach w takim tempie, aż miło było popatrzeć. Talley przestał się wreszcie czuć osamotniony. W ciągu najbliższych minut stojący obok niego Murzyn powinien uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności.

- Panie Maddox, bardzo się cieszę, że was widzę.

- Will. Maddox to moja żona.

Ellison zaśmiał się w głos.

Negocjator uśmiechnął się skąpo z własnego dowcipu, po czym ruchem głowy wskazał uliczkę znikającą za zakrętem.

- Tam jest barykada?

- Na końcu ulicy. Mam dwóch ludzi od frontu, po trzech przy ogrodzeniu z każdej strony posesji i jeszcze trzech za murem osiedla, na Flanders Road. Dwuosobowe patrole pilnują wjazdów na teren osiedla, a trzech ludzi zajmuje się dziennikarzami. Teraz udzielę im pełniejszych informacji i wzmocnię obstawę, bo istnieje groźba, że zaczną się tu przekradać.

- O tym wszystkim proszę meldować pani kapitan. Mnie interesuje tylko parę zasadniczych rzeczy, będę więc się przysłuchiwał waszej rozmowie.

- No to chodźmy.

Ruszyli w kierunku ruchomego centrum dowodzenia. Talley wiedział z doświadczenia, że Maddoksa i Ellisona przede wszystkim zainteresują jego dotychczasowe rozmowy telefoniczne z Rooneyem.

- To pan utrzymywał bezpośredni kontakt z podejrzanymi?

- Tak. Tylko ja.

- W porządku. Czy zakładnikom w tej chwili grozi jakieś poważne niebezpieczeństwo?

- Nie sądzę. Po raz ostatni rozmawiałem z Rooneyem jakieś dwadzieścia minut temu. Podsunąłem mu myśl, że da się go uwolnić od oskarżeń zarówno o zabójstwo Kima, jak i postrzelenie policjanta. Znacie przebieg wydarzeń?

Zespół z biura szeryfa powinien wcześniej zapoznać się przez radio z wypadkami, które doprowadziły do powstania barykady i wzięcia zakładników. Maddox przyznał jednak, że tylko z grubsza wie, jak do tego doszło.

- Rozumiem. Otóż okazało się, że Kim miał pod ladą pistolet, natomiast przed domem co najmniej jeden z pozostałych sprawców oprócz Rooneya strzelał do policjanta. Dlatego zasugerowałem mu, że dobry adwokat mógłby go uwolnić od najpoważniejszych zarzutów i jakoś dogadać się z prokuratorem.

- Stawiał jakieś konkretne żądania?

Talley zrelacjonował pokrótce, że Rooney najpierw zażądał wycofania policyjnych obserwatorów poza ogrodzenie posesji, w zamian za co ujawnił imiona wszystkich zakładników. Uzyskanie pierwszych ustępstw ze strony obiektu często przychodziło z wielkim trudem, ale sposób, w jaki do tego dochodziło, zazwyczaj mocno rzutował na dalszy przebieg negocjacji.

Maddox wsadził ręce do kieszeni i w zamyśleniu przygryzł wargi.

- Dobra robota, szefie. Wygląda na to, że mamy dość klarowną sytuację. Wcześniej służył pan w brygadzie antyterrorystycznej w Los Angeles, prawda?

Talley zerknął na niego z ukosa.

- Owszem. Mieliśmy okazję się poznać?

- Chyba nie. Ja służyłem w wydziale miejskim i mniej więcej w tym samym czasie, gdy pan złożył rezygnację, przeniosłem się do biura szeryfa. Kiedy odebraliśmy dziś wiadomość, pańskie nazwisko obudziło we mnie niejasne skojarzenia. Zdaje się, że to pan kierował akcją w przedszkolu.

Talley poczuł się nieswojo, nie lubił wracać myślą do tamtych czasów.

- To było dawno temu.

- Ale na trwałe zapisało się w kronikach. Nigdy bym się nie zdobył na taką odwagę.



- To nie kwestia odwagi. Po prostu nie widziałem innego wyjścia.

Pewnego pięknego wiosennego ranka w Fairfax na obrzeżach Los Angeles samotny uzbrojony mężczyzna wtargnął do żydowskiego przedszkola i wziął na zakładników opiekunkę i troje małych dzieci. Kiedy Talley zjawił się na miejscu, facet był mocno dezorientowany i rozwścieczony, zaczął błyskawicznie tracić panowanie nad sobą. Obawiając się, że lada chwila może dojść do jego załamania psychicznego, co naraziłoby dzieci na skrajne niebezpieczeństwo, Talley zaproponował siebie w zamian za ich uwolnienie. Było to sprzeczne zarówno ze stanowczymi zaleceniami oficera dowodzącego akcją, jak i z regulaminem policji. Podszedł do drzwi budynku bez broni i kamizelki kuloodpornej, z rękoma w górze, lecz pewnie dzięki temu napastnik od razu wypuścił dzieci na wolność. Ale gdy stał jeszcze w drzwiach budynku, obejmując ręką Talleya za szyję i przystawiając mu do skroni lufę dziewięćmilimetrowego pistoletu Smith & Wesson, jego najlepszy przyjaciel z tamtych czasów, Neal Craitmont, z sześćdziesięciu metrów wpakował mu dokładnie między oczy kulę z szybkostrzelnego snajperskiego karabinku kalibru 5,56 milimetra, która zaledwie o dziesięć centymetrów minęła głowę Talleya. Dziennikarze okrzyknęli go wtedy bohaterem, chociaż sam uważał takie zakończenie akcji za swoją porażkę. Dla każdego negocjatora śmierć człowieka, czy to zakładnika, czy złooczyńcy, jest klęską. Tylko uratowanie ludziom życia oznacza powodzenie akcji.

Maddox chyba wyczuł jego niechęć, gdyż nie wracał więcej do tego tematu.

Kiedy tylko wyłonili się zza wozu dowodzenia, od grupy oficerów odłączyła się kobieta w takim samym zielonym polowym mundurze i ruszyła w ich kierunku. Miała lekko cofniętą dolną szczękę, inteligentne czarne oczy i krótko ostrzyżone blond włosy.

- Szef Talley? - zapytała.

Maddox przytaknął ruchem głowy.

- Zgadza się, to on.

Wyciągnęła rękę na powitanie i silnie, po męsku, uściśnęła mu dłoń. Talley dopiero z bliska zauważył kapitańskie gwiazdki na kołnierzyku jej munduru.

- Laura Martin. Dowodzę tym zespołem szybkiego reagowania.

W przeciwieństwie do Maddoksa i Ellisona, którzy sprawiali wrażenie całkowicie rozluźnionych, Martin była bardzo spięta, przejęta i śmiertelnie poważna.

- Cieszę się, że poznał już pan naszych negocjatorów. Sierżant Maddox przejmie pańskie zadania w tym zakresie.

- Już o tym rozmawialiśmy, pani kapitan. Wygląda na to, że przejmujemy sprawę doskonale ustawioną. Obiekt nie stwarza większych problemów.

Martin sięgnęła do krótkofalówki przypiętej do pasa na piersi, wywołała centrum łączności, kazała nawiązać kontakt z centralą za pięć minut, po czym zwróciła się do Talleya:

- Rozstawił pan posterunki obserwacyjne wokół posesji?

- Tak, oczywiście.

- Ilu tam jest ludzi?

- Jedenastu. Oprócz moich funkcjonariuszy czuwają policjanci z drogówki. Początkowo byli blisko, przy samym domu, ale na żądanie Rooneya musiałem ich wycofać poza ogrodzenie posesji, więc radzę zachować ostrożność w tym zakresie.

Odniósł wrażenie, że Martin w ogóle go nie słucha. Rozglądała się po ulicy, jakby wstępnie szacowała wielkość terenu do zabezpieczenia i zastanawiała się nad rozstawieniem swoich podwładnych. Poczul się zirytowany. Po chwili kazała wycofać wóz dowodzenia kilkadziesiąt metrów w głąb osiedla i ustawić go przy skrzynce łącznikowej zapewniającej dostęp do linii zasilania i kabli telefonicznych biegnących pod ulicą. Łatwo można w niej było założyć bezpośrednie podłączenie do telefonu, gdyby zaszła taka konieczność, jak również przestawić urządzenia wozu na zasilanie z sieci miejskiej. Talley zawnazwał na miejsce technika z PacBella oraz ekipę awaryjną z Wydziału Wodociągów i Energetyki.

- Ściągnę wszystkich moich oficerów, żeby wysłuchali pańskiego raportu. Chcę zmienić pańskich ludzi na posterunkach obserwacyjnych, jak tylko ustabilizujemy sytuację.

Talley znów poczul się zirytowany. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że sytuacja jest od dawna ustabilizowana. Zasugerował, by Martin zwołała odprawę w domu pani Peña, uznała jednak, że zajmie to za dużo czasu. Kiedy zaczęła ściągać podwładnych, poprosił przez radio Metzger, by przyniosła kopie planów pomieszczeń w domu. Rozdał je dowódcom poszczególnych grup, omawiając krótko przebieg swoich rozmów telefonicznych z Rooneyem i przedstawiając wszelkie informacje na temat domu i jego mieszkańców.

Martin cały czas stała obok niego z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i zmarszczonymi brwiami, obrzucając go krytycznym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Odciełicie dopływ prądu i linie telefoniczne?

- Tylko zablokowaliśmy telefony w centrali. Nie widziałem powodu, aby odcinać dopływ prądu, dopóki nie będę miał pewności co do sytuacji w domu.

Martin pospiesznie rozkazała dowódcy grupy wywiadowczej, sierżantowi Rojasowi, żeby sprowadził techników z ekip awaryjnych i przygotował wszystko do odcięcia zasilania.

Metzger wskazała w głąb ulicy.

- Już tu są. Widzi pani tego faceta w czapeczce baseballowej? To technik z Wydziału Energetyki.

Dowódca grupy szturmowej, starszy wiekiem sierżant Carl Hicks, z odrazą patrzył na dostarczone szkice, zapewne rozwścieczony, że Talley nie zdobył oryginalnych planów architektonicznych.

- Wiecie, gdzie przetrzymują zakładników?

- Nie.

- A gdzie oni sami przebywają?

- Pokój z prawej strony na parterze, pierwszy od wejścia, to gabinet gospodarza. Stamtąd Rooney rozmawiał ze mną przez telefon, ale nie umiem powiedzieć, czy przebywa tam przez cały czas. Wiem, że pozostali dwaj krążą po budynku, by mieć oko na nasze posterunki obserwacyjne wzdłuż ogrodzenia, on jednak nie chodzi z nimi. We wszystkich oknach są pozasłaniane żaluzje, z wyjątkiem wyjścia na taras i na basen kąpielowy na tyłach domu. Tam chyba po prostu nie ma żaluzji ani zasłon. Ale nie zapalają światel w salonie.

Hicks zerknął z ukosa na Martin.

- Rozumiem, że nie mogliście nic więcej zrobić. Spróbujemy ich namierzyć, używając noktowizorów.

Gdyby trzeba było przypuścić szturm, policjanci byliby bezpieczniejsi, znając dokładnie pozycje przestępców wewnątrz budynku.

Maddox ruchem głowy wskazał Talleya.

- Szefowi udało się wymusić na Rooneyu potwierdzenie, że wszyscy trzej bandyci są w środku, więc może mnie się uda zdobyć informację, gdzie dokładnie przebywają.

Na Martin nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Hicks, pošlij dwóch ludzi wokół ogrodzenia posesji. Niech się upewnią, jak w tej chwili wygląda sytuacja. I sprawdzą, czy teren jest dobrze zabezpieczony.

- Proszę nie zapominać, pani kapitan - wtrącił Talley - że Rooney jest szczególnie wrażliwy na obecność policji w sąsiedztwie domu. Musiałem wycofać swoich ludzi poza teren, przystępując do negocjacji. To było jego pierwsze żądanie.

Martin odwróciła się i popatrzyła w głąb uliczki, chociaż stąd w ogóle nie było widać budynku.

- Rozumiem, szefie. Dziękuję. Proszę się przygotować do przekazania swojego telefonu Maddoksowi i Ellisonowi, jak tylko rozmieścimy ludzi na posterunkach.

- Mogę to zrobić w każdej chwili.

Cmoknęła, chyba z zadowolenia, po czym zwróciła się do Maddoksa:

- Wygląda to nieźle, prawda? Powinniście wszyscy trzej zająć już pozycję przed frontem budynku.

Maddox popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Prawdopodobnie on też był poirytowany jej sposobem kierowania akcją.

- Wolałbym dostać jeszcze trochę czasu, żeby poznać od szefa wszelkie szczegóły jego telefonicznych kontaktów z podejrzanyymi.

Martin niecierpliwie spojrzała na zegarek.

- Możecie się tym zająć, gdy będziemy przejmowali posterunki obserwacyjne. Chcę jak najszybciej zacząć przedstawienie. Szefie, minęło już siedem minut od chwili naszego przybycia. Czy mogę objąć dowodzenie?

- Tak, pani kapitan.

Znowu spojrzała na zegarek, jakby chciała utrwalić w pamięci dokładną godzinę tego doniosłego zdarzenia.

- Do raportu: Przejmuję dowodzenie i kontrolę nad sytuacją kryzysową. Sierżancie Maddox, proszę zająć pozycję. Sierżancie Hicks, za mną.

Odeszli oboje, pozostawiając resztę oficerów na ulicy. Maddox przez chwilę patrzył za nią, po czym spojrzał na Talleya.

- Jest spięta jak diabli.

Talley nie odpowiedział, tylko skinął głową. Przyszło mu na myśl, że niepotrzebnie się lękał, iż będzie mógł odetchnąć z ulgą, gdy zespół dotrze na miejsce. Ani trochę mu nie ulżyło.

## THOMAS

Osamotniony w ciemnym pokoju, Thomas na chwilę wstrzymał oddech, by lepiej się wsłuchać w miarowy łoskot krążących w górze helikopterów. Bał się, że Mars tylko na krótko wyszedł na korytarz i lada chwila wróci, aby sprawdzić, czy on nie próbuje uwolnić się z więzów. Świetnie znał wszystkie miejsca w korytarzu, gdzie deski podłogi trzeszczały pod ciężarem, ponieważ Jennifer lubiła go szpiegować. Jedno takie miejsce było tuż za drzwiami jego pokoju, drugie w połowie drogi do drzwi sypialni siostry. Dlatego uważnie nadstawił ucha.

Ale nic nie usłyszał.

Leżał rozciągnięty na dolnej połowie piętrowego łóżka, z rękoma i nogami tak ciasno przywiązanymi do narożnych słupków, że już zaczynały mu drętwieć. Kiedy Mars skończył go wiązać, wyprostował się i popatrzył na niego z góry. Z rozdziawioną gębą przypominał półgłówka albo zbrojeńca kręcącego się przy miejskiej łaźni, przed czym matka zawsze go ostrzegała, ilekroć wyruszał sam do centrum handlowego. Później pochylił się znowu i taśmą samoprzylepną zakleił mu usta. Thomasa ogarnęło przerażenie. Pot wystąpił mu na czoło grubymi kroplami, jakby dopiero co wyszedł spod zraszacza do trawników, a żołądek podszedł do gardła. Pospiesznie odwrócił głowę, zaczął się miotać i szarpać w więzach, dopóki nie poczuł na policzku oddechu bandyty. Natychmiast znieruchomiał, w ogóle nie był w stanie się poruszyć, jakby umysł stracił wszelką kontrolę nad ciałem. Poczul się jak żółw przyklejony do miękkiego asfaltu, którego lada chwila zmiażdży pierwszy przejeżdżający samochód.

Mars położył mu dłoń na piersi, a jego ciepły wilgotny oddech owionął mu ucho. Po chwili doleciał go szept:

- Wyrwę ci serce i je zjem.

Thomasa zalała fala nieznośnego żaru, który od środka rozchodził się po całym ciele. Poczul, że ma mokro w majtkach.

Na szczęście Mars ruszył do wyjścia, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi. Thomas odczekał cierpliwie, powoli licząc w myślach do stu, po czym przystąpił do pracy nad odzyskaniem wolności.

Miał w tym sporą wprawę. Nauczył się zupełnie bezgłośnie wykradać z domu, co też czynił prawie każdej nocy tego lata. Czekał tylko spokojnie, aż rodzice położą się spać, po czym ruszał na spotkanie z Duane'em Fergussem, który mieszkał niedaleko w dużym różowym domu przy King John Place. Początkowo ze szczytu granicznego muru rzucali jajkami czy rolkami papieru toaletowego w samochody przejeżdżające Flanders Road. Kiedy to im się znudziło, zaczęli przemykać na drugą stronę ulicy, na teren podobnego osiedla znajdującego się w budowie, będącego ulubionym miejscem spotkań zakochanych par. Fergus, który był o rok starszy i podobno musiał się już golić, rzucił raz kamieniem w nowiutkiego beemera, ponieważ, jak twierdził, szczęściarz za kierownicą był już, jak się wyraził, „bliski totalnego odlotu”. Chwilę później obaj mało nie narobili w gacie, gdy niespodziewanie zapaliły się reflektory auta, wyławiając ich z ciemności. W takiej panice rzucili się do ucieczki, że na Flanders omal nie wpadli pod koła gigantycznego osiemnastokołowca z naczepą.

Thomas opanował do perfekcji trudną sztukę poruszania się po domu niepostrzeżenie, gdyż wcześniej włożył sporo pracy w takie ustawienie kamer systemu bezpieczeństwa, by stworzyć sobie drogę poza zasięgiem obiektywów. Wystarczyło tylko nieznacznie zmienić kąt ich widzenia, żeby rodzice nie mieli go stale na oku. Nie miał tego szczęścia, co większość kolegów, i musiał się wychowywać w domu, w którym każde pomieszczenie było pod nadzorem rozbudowanego wizyjnego systemu alarmowego. Ojciec tłumaczył, że taki system jest konieczny ze względu na to, iż zajmuje się finansami zleceniodawców, więc jest kuszącym kąskiem dla złodziei. Jak mówił, spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność, musiał więc jak najlepiej troszczyć się o bezpieczeństwo przekazywanych mu informacji. Często ostrzegał i jego, i Jennifer, by nie rozmawiali z obcymi podejrzanymi typami i nie mówili znajomym o tym systemie bezpieczeństwa w domu. Za to matka powtarzała z satysfakcją, że to stek bzdur, a jedynym powodem obecności takiego systemu w domu jest zamiłowanie ojca do zabawek elektronicznych. Ale Duane oceniał go krótko: „Bomba!”.

Kabel był dość luźno zawiązany wokół lewego nadgarstka.

Kiedy Mars przywiązywał go do słupków piętrowego łóżka, Thomas specjalnie wykręcił lewą rękę, żeby pod więzami zostało trochę luzu. Teraz zaczął głębiej

wpychać rękę, aż zdołał paznokciami dosięgnąć supła. Niestety, był zaciśnięty bardzo mocno. Skubał go i skubał, aż od bolesnych kurczów ręki napłynęły mu łzy do oczu, zdołał go jednak trochę poluzować. Po krótkiej przerwie zaczął działać jeszcze energiczniej, obawiając się, że Mars albo któryś z jego kompanów lada chwila otworzy drzwi i zajrzy do pokoju. Ale bez przeszkód zdołał rozwiązać kabel i uwolnić lewą rękę. Szarpnięciem zerwał taśmę zaklejającą mu usta, przy czym ból był tak silny, jakby dostał silny cios pięścią w twarz. Pospiesznie rozwiązał węzeł na prawym nadgarstku, wreszcie oswobodził nogi. Jak powiedział Duane tamtego wieczoru, „warto zaryzykować rozjechanie na placek na ulicy, jeśli chce się zobaczyć faceta będącego blisko totalnego odlotu”.

Znieruchomiał na łóżku, zamieniając się w słuch.

Cisza.

Wiem, gdzie tata trzyma pistolet, pomyślał.

Ogarnął go spokój. Miał absolutną pewność, co powinien zrobić. Dokładnie wiedział, które strefy w domu pozostają poza zasięgiem kamer. Miał wielką ochotę pójść najpierw do łazienki, obmyć się i przebrać, ale to nie wchodziło w rachubę, gdyż byłby wtedy widoczny na monitorze. Dlatego zdjął spodnie i majtki, wytarł się nimi, po czym zwinął brudne ciuchy w kulkę i wetknął pod łóżko. Następnie zsunął się na podłogę i poczołgał w kierunku szafy, przeciskając się pod biurkiem. Po drodze zauważył, że ktoś zniszczył mu telefon. Gniazdko tkwiło jeszcze w ścianie, lecz wyszarpane z niego kable sterczały na zewnątrz. Durnie.

W powieści *Lew, czarownica i garderoba* dzieci znalazły ukryte przejście na dnie szafy z ubraniami, dzięki któremu przeniosły się z realnego świata do magicznej krainy Narnii. Thomas miał własne sekretne przejście w górnej części szafy: klapę awaryjnego dostępu na poddasze ukrytą w ciasnym kącie tuż pod belką opadającego ukosem okapu. Urządził tam sobie własny klub, o którym wiedział tylko Duane. Ale przez poddasze mógł dotrzeć do innych podobnych przejść awaryjnych prowadzących do pozostałych pomieszczeń na piętrze.

Uchylił klapę i wśliznął się do środka, uważając, by nie narobić hałasu, nie walnąć głową o belkę i nie potraćić dachówek. Panujący tu zaduch przypominał wnętrze komory gazowej. Wymacał latarkę, którą stale trzymał obok klapy, zapalił ją, po czym ostrożnie zamknął za sobą przejście. Przed nim otwierał się długi tunel o trójkątnym przekroju prowadzący na tyłach przez całą długość budynku. Pod oknami

wykuszowymi wpuszczonymi w dach był jeszcze węższy i prostokątny w przekroju, trzeba się tam było czołgać na brzuchu. Thomas bez przeszkód dotarł jednak do następnej klapy awaryjnej, znajdującej się w górnej części szafy w sypialni Jennifer. Znów czujnie nadstawił ucha i dopiero przekonawszy się, że żadnego z durni nie ma w pokoju pod nim, odchylił ją i zsunął się do środka, przewracając ustawione buty.

W szafie panowały całkowite ciemności, drzwi były zamknięte.

Ostrożnie przestąpił rzędy butów, precyzyjnie przesunął się między ubraniami na wieszakach i zapalił latarkę. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, ale za drzwiami panowała cisza. Uchylił je delikatnie. W pokoju siostry światło było zgaszone. Bardzo się z tego ucieszył, gdyż tu nie przestawił kamery i większa część sypialni była widoczna na monitorze. Bardzo powoli, milimetr po milimetrze otworzył szerzej drzwi, żeby wytknąć głowę na zewnątrz. Środek sypialni rozjaśniała słaba księżycowa poświata. W mętnowym blasku ujrzał Jennifer siedzącą nieruchomo na krześle, plecami do niego.

- Jen?

Szarpnęła się w więzach i cicho jęknęła.

- Zachowaj spokój, dobrze? - odezwał się głośnym szeptem. - Jestem w szafie. Jeśli któryś z nich jest przed pulpitem systemu alarmowego, widzi cię na monitorze.

Natychmiast znieruchomiała.

Thomas usiłował sobie przypomnieć dokładnie zasięg widzenia kamery w tym pokoju. Kiedy rodzice byli poza domem, razem z Duane'em zakradali się czasem do salki w ich sypialni, żeby przyjaciel mógł zobaczyć Jennifer nagą. Szybko doszedł do wniosku, że jeśli wyśliznie się na podłogę i przeczołga pod ścianą do okna, pod którym zawsze zalega głęboki cień, będzie mógł bezpiecznie zbliżyć się do krzesła. Postanowił, że gdyby z korytarza doleciały kroki zbliżającego się Marsa albo któregoś z dwóch pozostałych durni, zdąży się szybko przedostać z powrotem na poddasze i albo wróci do swojego pokoju, albo ucieknie do garażu.

- Posłuchaj uważnie, Jen. Zamierzam się do ciebie podkraść.

Energicznie pokręciła głową, mamrocząc coś niezrozumiale przez taśmę zaklejającą jej usta.

- Tylko bądź cicho. Zaraz cię rozwiążę.



Jeszcze szerzej otworzył drzwi, kucnął, na czworakach wyszedł z szafy i przekradł się szybko w mroczny kąt pod oknem. Mijając biurko, zauważył, że i tutaj kabel telefoniczny został wyszarpięty z gniazdka. Skończeni idioci.

Dalej popęzł pod ścianą, wreszcie wyciągnął się na podłodze w cieniu przy łóżku. Znalazł się nie więcej niż półtora metra od krzesła, widział już nawet szeroką taśmę samoprzylepną, którą Jennifer była zakneblowana. Ostrożnie zerknął w kąt pod sufitem, gdzie zamontowano kamerę. Należało wiedzieć, gdzie jej szukać, gdyż nie była widoczna na pierwszy rzut oka. Ojciec nazywał te kamery „dziurkowymi”, ponieważ obiektyw znajdował się za niewielkim otworem w ścianie. Po krótkim namyśle Thomas wypełznął z cienia pod łóżkiem i zbliżył się do krzesła. Doszedł do wniosku, że Jennifer jest w polu widzenia kamery tylko od pasa w górę, zresztą i tak słabo ją widać w ciemności. Dlatego zdecydował się zaryzykować. Za krzesłem szybko uklęknął i szarpnięciem zerwał siostrze taśmę samoprzylepną z ust, po czym rozpląszczył się z powrotem na podłodze.

- Och! Cholera!

- Cicho! Słuchaj!

- Złapią cię!

- Bądź cicho! Posłuchaj!

Znów nadstawił ucha, poprzez łoskot rotorów śmigłowców usiłując złowić jakieś odgłosy z ulicy.

Ale niczego nie usłyszał.

- W porządku, Jen. Nie zobaczyli mnie i nadal mnie nie widzą. Nie rozglądaj się, tylko posłuchaj.

- Jak się tu dostałeś?

- Przez wyjście awaryjne na poddasze. Nie ruszaj się, tylko słuchaj. Zaraz cię rozwiążę. Pozabijali gwoździami okna, ale chyba wiem, jak przez poddasze dostać się na parter. Gdyby udało nam się przekraść do garażu, wystarczyłoby otworzyć bramę i zwać.

- Nic z tego!

Zaczął w pośpiechu rozsupływać kabel, którym była przywiązana. Wydawało mu się, że węzły zostały zaciśnięto dużo mocniej niż u niego.

- Thomas! Przestań! Nie rozwiążuj mnie!

- Odbiło ci? Możemy się stąd wydostać!

- Ale nie damy rady zabrać ojca, a nie zamierzam go tu zostawić.

W konsternacji przysiadł na piętach.

- Ale... Jen...

- Nie! Jeśli naprawdę znasz drogę, to uciekaj, ale ja się stąd nie ruszę bez ojca.

Ogarnęła go taka złość, że miał ochotę jej przyłożyć. Siedzieli po ciemku, zamknięci w domu z trzema psycholami zapewne pijącymi ludzką krew, w tym jednym maniakiem na pewno zdolnym do tego, by wyrwać im serca i je pożreć, a ona nie chciała uciekać. Ale w miarę, jak myślał o ich sytuacji, doszedł do wniosku, że Jennifer ma rację. Nie mogli zostawić rannego ojca na łasce bandytów.

- Więc co zrobimy, Jen?

Przez pewien czas nie odpowiadała.

- Zadzwoń na policję.

- Przecież policja otoczyła dom.

- Mimo wszystko zadzwoń! Może oni będą mieli jakiś pomysł. Warto im powiedzieć dokładnie, co się tutaj dzieje, żeby znaleźli sposób, jak nam pomóc.

Thomas odruchowo spojrział na biurko, ale zaraz przypomniał sobie o przewodach wyrwanych ze ściany.

- Rozwalili gniazdka telefoniczne.

Jennifer znów przez chwilę milczała.

- Sama nie wiem. Chyba powinienes się jednak wydostać.

- Sam nie pójdę!

- Przestań. Gdybyś skontaktował się z policją, mógłbyś jej pomóc. Wiesz wszystko o systemie alarmowym i kamerach, wiesz, że tata jest poważnie ranny. Ten kretyn, Dennis, nakłamał przez telefon, że nic mu się nie stało.

- Rozwiążę cię. Znajdziemy jakąś kryjówkę...

- Nie! Mogliby zabić tatę! Posłuchaj, jeśli zauważą, że wydostałeś się z pokoju, powiem im, że uciekłeś. Nie domyślą się, że znasz jakieś sekretne przejścia. Pewnie nawet im do głowy nie przyjdzie, że one tu są. Ale jeśli znikniemy oboje, zemszczą się na tacie. Naprawdę mogą go zabić!

Thomas zamyślił się nad tym planem.

- W porządku, Jen.

- Co w porządku?

- Nie zostawimy go tutaj. Wymyślę, jak nas stąd wyciągnąć.

Jennifer tak mocno szarpnęła się w więzach, że aż krzesło zakołysało się na dwóch nogach.

- Tylko nie waż się iść po pistolet. Zabiją cię!

- Nic mi nie zrobią, jak będę uzbrojony! Zatrzymamy ich pod bronią tak długo, żeby policja mogła wejść do domu. To wszystko.

Wykręciła głowę, usiłując go dojrzeć za krzesłem.

- Thomas, nie waż się tego robić. To bandyci! Są starsi i silniejsi od ciebie, w dodatku uzbrojeni!

- Ciszej, bo cię usłyszą!

- Nic mnie to nie obchodzi! Wolę, żeby mnie usłyszeli, niż gdyby ciebie zabili!

Thomas podniósł z podłogi taśmę samoprzylepną i z powrotem zakleił siostrze usta, dociskając mocno, żeby nie odpadła. Jennifer szarpnęła się i zajęczała, próbując krzyżeć. Brzydził się myślą, że musi ją zostawić związaną i zakneblowaną, uznał jednak, że nie ma innego wyjścia.

- Przepraszam, Jen. Rozwiążę cię, gdy wrócę. Wtedy razem wyniesiemy stąd ojca. Zobaczysz. Nie pozwolę, żeby nas skrzywdzili.

Jennifer wciąż szarpała się w więzach, gdy przekradał się z powrotem pod ścianą do szafy. Kiedy otwierał drzwi, znów zajęczała gardłowo, próbując krzyknąć. Powtarzała w kółko to samo i choć przez knebel przedostawały się tylko stłumione niewyraźne jęki, od samego początku rozumiał jej ostrzeżenie:

Zabiją cię!

Zabiją cię!

Wśliznął się z powrotem na poddasze i zaczął pełznąć powoli ciasnym korytarzem.

## DENNIS

W małej toalecie przy garażu było całkiem ciemno, kiedy Dennis pokazywał Marsowi i Kevinowi okienko, tłumacząc, że tędy zdołają przekraść się niepostrzeżenie na drugie podwórko i tyłami sąsiednich posesji wydostać poza kordon policji. Mars

zamyślił się głęboko, a Dennis spojrział w głęboki mrok zalegający za oknem i zmarszczył brwi.

- To mogłoby się udać - mruknął Mars.

- Nie „mogłoby”, tylko na pewno się uda.

- Ale nie będziemy wiedzieli, co robi policja i co zamierza. Powinniśmy dać im jakieś zajęcie, by w tym czasie mieli o czym myśleć.

- Będą cały czas obserwować dom. Nie mają nic innego do roboty.

- I tak mi się to nie podoba - rzekł Kevin. - Powinniśmy się poddać.

- Zamknij się.

Mars cofnął się do garażu i stanął przy range roverze. Dennisa naszły obawy, że znów zaproponuje zabicie chłopaka.

- Nie kombinuj, Mars. Musimy się zbierać. Nie mamy czasu.

Olbrzym odwrócił się do niego plecami, spoglądając w otwarte przejście do oświetlonej kuchni.

- Jeśli naprawdę chcesz uciekać, powinniśmy podpalić dom.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale szybko zamknął usta. Wcześniej myślał o tym, żeby wpakować gówniarzy do jaguara i dla niepoznaki pilotem zdalnego sterowania otworzyć bramę, ale pożar wydał mu się kuszącą alternatywą. Gliniarzy z pewnością musiałyby ogarnąć panika, gdyby zaczęło się palić.

- Niezły pomysł. Moglibyśmy podłożyć ogień w drugim końcu budynku.

Kevin uniósł obie ręce.

- Całkiem wam odbiło. Do ciężących na nas zarzutów chcecie dorzucić podpalenie.

- Tylko pomysł, Kevin. Gliniarze będą zajęci gaszeniem pożaru. Żaden nawet nie spojrzy w stronę sąsiedniego podwórka.

- A co z mieszkańcami? Najwyraźniej chodziło mu o Smithów.

Dennis chciał już odpowiedzieć, gdy niespodziewanie odezwał się Mars. Dziwnie pustym, bezdźwięcznym głosem odparł:

- Spłoną.

Dennis znowu poczuł ciarki na plecach, jakby usłyszał zgrzyt paznokci o szkolną tablicę.

- Jezu. Nikt nie musi spłonąć. Możemy ich przenieść do garażu, zanim podłożymy ogień. Coś wymyślimy.

Postanowili podpalić rozlaną benzynę. Dennis znalazł w kącie garażu pięciolitrowy kanister wykorzystywany zapewne do trzymania żelaznej rezerwy, ale był prawie pusty. Mars wyciągnął z akwarium w saloniku kawałek plastikowego węża i za jego pomocą spuścił benzynę ze zbiornika jaguara. Oprócz pięciolitrowego kanistra napełnił duże plastikowe wiadro upstrzone plamami po detergencie. Zamierzali już przenieść benzynę do domu, gdy terkot wirników śmigłowców znów zmienił natężenie, a oprócz tego z uliczki doleciał warkot samochodów.

Dennis zastygł, zamieniając się w słuch, gdy nagle fronton domu zalał strumień światła. Jaskrawy blask wdarł się przez szczeliny wokół bramy garażu i mimo gęstej zasłony oleandrów wpadł przez okienko do ubikacji.

- Co to ma być, do cholery?! Co się dzieje?!

Ruszył biegiem do frontowego wejścia, nie bacząc, że wychlapuje benzynę z pełnego wiadra.

- Kevin! Pilnuj drzwi od basenu!

Zostawili benzynę w przejściu i pobiegli do gabinetu, gdzie Walter Smith wciąż leżał na kanapie wstrząsany konwulsjami. Smugi światła wdzierały się przez szpary w żaluzjach i kładły im się na ubraniach białymi pasami jak u zebry. Dennis wyjrzał przez okno. Przed dom zajechały dwa następne radiowozy i wszystkie cztery zostały ustawione tak, by światła reflektorów wyławiły dom z ciemności. Dokładały się do tego snopy reflektorów ze śmigłowców, które padały na frontowe podwórze. Ulicą podjeżdżały następne auta.

- Jasna cholera!

W telewizji pokazywano konwój zespołu z biura szeryfa przemierzający się wąskimi uliczkami York Estates. Dennis patrzył z niedowierzaniem, jak policyjne oddziały szturmowe zajmują stanowiska na sąsiednich posesjach. Byli wśród nich snajperzy, bezwzględni zabójcy w czarnych strojach wojowników ninja, wyposażeni w noktowizory i długolufowe karabinki z celownikami laserowymi emitującymi śmiertelne igły czerwonego światła. Mars miał rację. Ci łajdacy natychmiast położyliby ich trupem, gdyby próbowali przedrzeć się samochodem, biorąc ze sobą zakładników.

- Wszystko się pojebało! Tylko spójrzcie na tych bojówkarzy!

Odwrócił się z powrotem do okna, ale od strony ulicy mierzyło już w niego tyle reflektorów, że ich blask go oślepił. Pod jego osłoną tysiąc gliniarzy mogłoby się podkraść na dwadzieścia metrów od okna, a on by ich nawet nie zauważył.

- Kurwa mać!

W jednej chwili sytuacja zmieniła się diametralnie. Jeszcze przed minutą miał wspaniały plan wyjścia z opresji, a teraz dom ze wszystkich stron był oświetlony i widoczny jak na dłoni, a po ulicach kręciła się cała armia gliniarzy. W górze śmigłowce terkotały zajadle, jakby chciały wylądować na dachu. Nie było co marzyć, żeby niepostrzeżenie przekraść się na sąsiednią posesję. Dennis popatrzył znów na telewizor. Już sześć wozów patrolowych stało tuż obok siebie na ulicy, omywanych snopami reflektorów reporterskich śmigłowców, a wokół nich kręciły się dziesiątki gliniarzy.

Podszedł do kanapy i pochylił się nad Walterem Smithem, żeby obejrzyć jego ranę. Rozległy siniak zajmował już cały oczodół i rozprzestrzenił się po czole, gruba ciemna pręga ciągnęła się od niego w dół prawego policzka. Powieki opuchły tak, iż pozostała między nimi tylko wąska szparka. Dennis pożałował nagle, że uderzył sukinsyna kolbą pistoletu. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Chcę jeszcze raz sprawdzić wszystkie okna i upewnić się, że Kevin nie zasnął. Oglądaj telewizję, Mars. Krzyknij, gdyby coś się wydarzyło.

Olbrzym nie odpowiedział, wciąż stał nieruchomo oparty ramieniem o ścianę, zwrócony twarzą do okna. Dennisowi przemknęło przez myśl, że chyba wcale go nie słuchał, ale nie miało to większego znaczenia. Wyszedł na korytarz i skręcił do saloniku.

- Co się dzieje? Nie uciekamy? - zapytał szybko Kevin.

- Przyjechali ci cholerni ludzie z biura szeryfa. Rozłazą się po całej pieprzonej okolicy. Porozstawiali już snajperów!

Tknęła go nagle myśl, że wkrótce zostanie zabity. Gliniarze przed domem z pewnością pałali żądzą zemsty na łobuzie, który postrzelił ich kolegę. Uważali, że to jego wina. Gdyby teraz stanął w oknie lub podszedł bliżej drzwi na taras, któryś ze snajperów pewnie bez zastanowienia wpakowałby mu kulkę w łeb.

Kevin, rzecz jasna, jeszcze pogarszał jego nastrój swoją miną cykora.

- I co teraz zrobimy?

- Nie wiem. Tak oświetlili cały dom, że nawet trudno cokolwiek zauważyć. Może uda mi się coś dostrzec na ekranach monitorów systemu bezpieczeństwa.

Kevin nagle odwrócił się w kierunku tyłów domu.

- Słyszałeś?

Dennis nadstawił ucha, coraz bardziej przerażony wizją policyjnych zabójców rozłazących się po domu jak robaki w kupie gówna.

- Co miałem słyszeć?

- Wydawało mi się, że coś stuknęło w tamtym końcu domu.

Dennis wstrzymał oddech, zamieniając się w słuch, ale nie wyłowił żadnych podejrzanych hałasów.

- Kretyn - burknął. - Daj mi znać, gdyby Mars szedł na górę. Może spróbuję coś wykombinować z forszą.

Zostawił brata w przejściu na korytarz, wbiegł na piętro, wszedł do sypialni małżeńskiej i stanął przed konsolą systemu alarmowego.

Ani razu tu nie zaglądał od zachodu słońca. Szybko przebiegł wzrokiem ekrany, popatrzył na Marsa stojącego nadal przy oknie w gabinecie, podziurawione kulami drzwi od frontu, dziewczynę siedzącą na krześle pośrodku swojego pokoju. Nigdzie nie dostrzegł chłopaka, ale tym ani trochę się nie martwił. Skupił uwagę na monitorach przekazujących widoki z bezpośredniego sąsiedztwa domu, ale na wszystkich był mlecznobiały rozmazany obraz.

- Cholera!

Wściekły, odwrócił się tyłem do konsoli. Zerwał kilka garniturów na wieszakach i z rozmachem cisnął je na środek pokoju. Jeśli istniał jakikolwiek sposób przechytrzenia gliniarzy, koniecznie musiał go znaleźć!

Znów popatrzył na rzędy klawiszy i przełączników na pulpicie. Nie były podpisane, ale nie miał nic do stracenia. Zaczął je kolejno przestawiać na oślep. I nagle na jednym ekranie mglisty szary obraz się wyostrzył, ukazując szczegóły w świetle zapalonego reflektora. Następny klawisz włączył oświetlenie terenu wokół basenu kąpielowego, trzeci pozwolił ujrzeć mroczny kąt z boku domu, na tyłach garażu. Dostrzegł, że skonsternowani gliniarze na ulicy zaczynają pokazywać sobie palcami zapalające się światła.

Pośpiesznie wdusił kolejny klawisz i z ciemności wyłonił się graniczny mur osiedla na tyłach za basenem. Na jego szczycie siedziało dwóch policjantów w czarnych mundurach.

- O kurwa!

Dennis zawrócił i pognął schodami na dół, wrzeszcząc:

- Zbliżają się! Kev, Mars! Nadchodzą!

Przystanął w kącie przy drzwiach kuchni i ostrożnie wyjrzał na przeszklone drzwi tarasu. Z powodu oślepiającego światła zalewającego podwórze nie widać stąd było gliniarzy, wiedział jednak, że tam są i prawdopodobnie podkradają się w stronę domu.

Bez zastanowienia strzelił dwa razy w tamtym kierunku. Niemal odruchowo pociągnął za spust. Bach! Bach! Posypało się roztrzaskane szkło.

- Pierdoleni gliniarze się zbliżają! Talley, ty kutasie! Ty kłamliwy fiucie!

Podjeżdżał, że lada moment cały świat zwali mu się na głowę, z zewnątrz wpadną do środka granaty z gazem łzawiącym, z trzaskiem runą wyważone drzwi od frontu. W wyobraźni już widział, jak gromada gliniarzy rusza biegiem od ulicy z jakimś taranem.

- Mars! Kev! Musimy ściągnąć gówniarzy na dół! Pognął schodami na górę. Z salonu doleciał go okrzyk brata:

- Co chcesz z nimi zrobić?!

Nie odpowiedział. Popędził do sypialni, przeskakując po trzy stopnie naraz.

## THOMAS

Trzy minuty przed tym, jak Dennis Rooney zauważył snajperów na murze, a potem oddał dwa strzały w ich kierunku, Thomas opuścił się z wjazdu awaryjnego w suficie do pralni. Było tu tak ciemno, że zaryzykował i zapalił latarkę, zasłaniając dłonią reflektorek, by w czerwonej poświacie znaleźć bezpieczne oparcie dla nóg. Stał na dużej termie, potem na oślepiec wymacał nogą brzeg pralki i dopiero z niej zsunął się na podłogę.

Zastygł bez ruchu, nasłuchując odgłosów dobiegających zza drzwi. Pralnia znajdowała się w najdalszym rogu na tyłach kuchni, do sąsiadującej z nią spiżarni



wchodziło się z bocznego korytarzyka w holu. Rozróżniał dolatujące stamtąd glosy, chociaż nie mógł zrozumieć, o czym bandyci rozmawiają. Nagle zapadła cisza.

Wyśliznął się z pralni i przekradł do małej pracowni ojca po przeciwnej stronie kuchni. Oba pomieszczenia znajdowały się na tyłach garażu, do którego jedyna droga z wnętrza domu prowadziła właśnie przez pralnię. Kiedy ktoś z domowników wstawiał samochód do garażu, wchodził do środka tędy, przez pralnię do kuchni.

Wsunął się do pracowni i powoli zamknął za sobą drzwi, po czym znowu zapalił latarkę. Ojciec w wolnych chwilach zajmował się sklejeniem plastikowych modeli raket z okresu pierwszych wypraw w kosmos. Kupował zestawy modelarskie w centrum handlowym, składał je starannie przy niewielkim stole, lakierował i ustawiał na regale pod ścianą. Na tym samym regale, nad modelami, w blaszanym pudełku po herbatnikach trzymał także pistolet, dziewięciomilimetrowego sig sauera. Thomas wiele razy słyszał, jak rodzice kłócili się o niego. Wcześniej ojciec woził broń wetkniętą pod siedzenie jaguara, ale matka zrobiła mu tak dziką awanturę, że musiał wyciągnąć pistolet z samochodu i schować do pudełka. Stało na górnej półce. Dość wysoko.

Rozchylił nieco palce i wąskim strumieniem jaśniejszego światła omiół całe pomieszczenie. Zastanawiał się, czy gdy wejdzie z taboretu na stolik, dosięgnie pudełka z górnej półki.

Zaczął się ostrożnie wdrapywać. W domu panowała tak absolutna cisza, że gdy blat stołu zatrzeszczał pod jego ciężarem, miał wrażenie, że nastąpiło trzęsienie ziemi. Znów na chwilę zapalił latarkę, by utrwalić w pamięci położenie pudełka na regale, po czym zgasił ją i wyciągnął rękę, wspinając się na palce, ale nie dosięgnął. Musnął tylko palcami pudełko i przesunął je odrobinę bliżej końca regału.

W tej samej chwili z głębi domu doleciał okrzyk Dennisa:

- Zbliżają się! Kev, Mars! Nadchodzą!

Thomas nie wahał się ani przez chwilę, natychmiast zapomniał o pistolecie. Nie było czasu, żeby po niego sięgnąć. Opanowała go tylko ta jedna myśl, że musi natychmiast wracać do sypialni, nim bandyci odkryją jego nieobecność. Zeskoczył ze stolika i przemknął z powrotem do pralni. Nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, gdy w salonie rozległy się dwa ogłuszające wystrzały.

Wcześniej w ogóle nie myślał o torebce Jennifer. Stała na składanym stoliku przy drzwiach do garażu, na którym wszyscy zostawiali rozmaite rzeczy, wracając do

domu. Była to zwykła mała torebka ze skaju, jakie nosiła większość dziewczyn w szkole. Thomas chwycił ją bez namysłu.

Pospiesznie wdrapał się na pralkę, z niej na termę i przez klapę awaryjną wśliznął się z powrotem do tunelu na poddaszu. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed zamknięciem za sobą klapy, był okrzyk Dennisa, że trzeba ściągnąć gówniarzy z sypialni na dół.

## TALLEY

Przekazanie koledze funkcji głównego negocjatora nie było łatwym zadaniem. Talley zdążył nawiązać bliższy kontakt z Rooneyem, a teraz w pertraktacjach miał go zastąpić Maddox. Nie było pewne, jak Dennis to przyjmie, choć policja w tej sprawie nigdy nie zostawiała obiektowi wyboru. Oznaczałoby to choćby niewielką kontrolę nad sytuacją, a nie wolno było dopuścić, by bandyta poczuł, że ma jakąś władzę.

Poprowadził Maddoksa i Ellisona biegnącą łukiem uliczką i wskazał im swój posterunek przed domem, za osłoną wozu patrolowego. Zamierzał jeszcze raz omówić przebieg dotychczasowych rozmów telefonicznych z Rooneyem, by Maddox był we wszystko wprowadzony, ale nie zdążył. Dwa wystrzały, które rozległy się wewnątrz domu, w spokojnym letnim powietrzu rozbrzmiały donośnym echem niczym huk motoru bez tłumika odpalanego na dnie kanionu. Niemal natychmiast w eterze zaczęły się krzyżować meldunki:

- Padły strzały!
- Ktoś strzelał!
- Jesteśmy pod ostrzałem z budynku, przy murze na zachodnim skraju posesji!
- Proszę o zgodę na otwarcie ognia!

Wszyscy trzej w lot pojęli, co się stało. Nie musieli nawet słuchać dalszych meldunków.

- Jasna cholera! Kazała ludziom podejść za blisko! Rooney myśli, że chcemy szturmować dom!

- No to wszystko wzięło w łeb - mruknął Ellison.

Talleyowi żołądek podszedł do gardła. Pomyślał, że najczęściej właśnie w ten sposób robi się piekło i przez czyjąś lekkomyślność giną ludzie. Wystarczy chwila nieuwagi.

Maddox sięgnął po krótkofalówkę, gdy poszczególne grupy obserwacyjne zaczęły meldować o swoim położeniu. Wreszcie ponad gwar spiętych głosów wybił się nieco piskliwy tenor dowódcy grupy szturmowej, Carla Hicksa:

- Czekać na rozkazy. Musimy dokonać oceny sytuacji.

Talley nie zamierzał czekać. Szybko przestawił radio na kanał łączności grupy szturmowej i rzucił do mikrofonu:

- Wycofać się! Wycofać się! Nie otwierać ognia!

- Kto mówi? - stanowczym tonem zapytała wyraźnie zdziwiona kapitan Martin.

- Talley. Mówiłem przecież, żebyście nie wkraczali na teren posesji!

- Talley, proszę się wyłączyć.

Maddox w końcu włączył krótkofalówkę i mamrocząc pod nosem przekleństwa, wdusił przycisk mikrofonu.

- Jedyńka, tu Maddox. Niech go pani posłucha, kapitanie. Nie zbliżajcie się do domu. Nie wchodźcie na teren posesji, bo inaczej będziemy tu mieli krwawą jatkę!

- Proszę się wyłączyć! Moi ludzie są w niebezpieczeństwie!

- Nie zbliżajcie się do domu! Tylko tak będę mógł z nimi jeszcze porozmawiać!

Talley pospiesznie wyjął telefon komórkowy. Wcisnął klawisz powtórnego wybierania numeru, modląc się w duchu, żeby Rooney zechciał odebrać. Z aparatem przy uchu wskoczył do wozu Jorgensona stojącego w pierwszym szeregu, włączył megafon i sięgnął po mikrofon.

## THOMAS

Thomas przeciskał się ciasnym tunelem niczym pająk. Raz huknął głową w belkę z taką siłą, że aż przygryzł sobie język i zobaczył gwiazdy przed oczami. Ale szybko popęłznął dalej, nie zastanawiając się nawet, czy ten hałas nie przyciągnie uwagi bandytów. Wreszcie znalazł się w prostym odcinku tunelu biegnącym wzdłuż tylnej ściany domu, minął sypialnię Jennifer, przecisnął się pod oknem wykuszowym,

przeszedł nad łazienką siostry, potem swoją, aż dotarł do klapy nad szafą w swoim pokoju. Zapomniał nawet sprawdzić, czy w środku nikogo nie ma. Od razu zeskoczył na dół, wypadł z szafy i rzucił się na łóżko. Chciał jeszcze przywiązać się z powrotem do słupków, żeby wyglądało, że nie ruszał się z miejsca. Zaczął w pośpiechu owijać sobie nadgarstki kablem wyslizgującym mu się ze spoconych dłoni, kiedy z korytarza doleciały zbliżające się kroki i okrzyki.

Zostawił więc kabel tylko owinięty wokół nadgarstków, uzmysłowiwszy sobie z przerażeniem, że zapomniał o taśmie samoprzylepnej na ustach. Ale było już za późno.

## DENNIS

Dennis wpadł do pokoju. Od razu zauważył poluzowane więzy Thomasa, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia.

- Wstawaj, tłuściochu!

- Odwal się!

Dennis wetknął pistolet za pasek spodni, kolanem przycisnął chłopaka i zaczął go rozwiązywać. Z ulicy doleciał skrzekliwy głos wzmocniony przez policyjny megafon, ale tutaj nie można było zrozumieć ani słowa. Ściągnął Thomasa z łóżka, otoczył ramieniem jego szyję i pociągnął go za sobą na korytarz. Gdyby gliniarze wdarli się przez frontowe drzwi, mógł w jednej chwili wyjąć pistolet, przystawić go chłopakowi do głowy i zagrozić, że go zabije. Sam byłby za nim schowany. Zmusiłby ich w ten sposób do odwrotu. Miałby szansę wyjść z tego cało. Odzyskałby nadzieję.

- Kevin, pospiesz się! Matko Boska! Bierz dziewczynę! Ściągnął tłuściocha po schodach do gabinetu, gdzie Mars wciąż stał bez ruchu przy oknie. Wyglądał na całkiem spokojnego, jakby zabijał wolny czas w barze przed pójściem do pracy. Na widok Dennisa tylko lekko przechylił głowę na ramię i uśmiechnął się głupkowato.

- Cisza i spokój. Nic nie robią. Siedzą tam, gdzie do tej pory.

Dennis pociągnął chłopaka bliżej okna, a Mars rozchylił nieco żaluzje, żeby móc wyjrzeć na dwór. Gliniarze faktycznie wcale nie szykowali się do szturm, jak poprzednio chowali się za radiowozami.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że telefon wciąż dzwoni. A z megafonu przed domem doleciał okrzyk Talleya:

- Odbierz, Dennis. To ja, Talley. Odbierz telefon, żebyś mógł mi wyjaśnić, co się stało.

Sięgnął po słuchawkę.

TALLEY

Martin i Hicks wyłonili się biegiem zza zakrętu uliczki, bez osłony jakiegokolwiek wozu. Kapitan z takim impetem wyhamowała i kucnęła obok Talleya, że omal go nie przewróciła.

- Co pan wyrabia, do cholery?! - wrzasnęła. - Czemu postępuje pan wbrew moim rozkazom?!

- Strzelali do waszych ludzi, bo myśleli, że zaczynacie szturmować dom. To pani postępuje wbrew moim ustaleniom z bandytami przetrzymującymi zakładników.

- Teraz ja tu dowodzę. Przekazał mi pan kontrolę nad sytuacją.

- Proszę wycofać swoich ludzi, Martin, i zapanować nad nerwami, a nic złego się nie stanie.

Talley znów włączył mikrofon.

- Dennis, zachowajcie spokój. Proszę, odbierz telefon.

- Hicks!

Sierżant pochylił się i błyskawicznie wyciągnął wtyczkę mikrofonu z panelu w radiowozie.

Talleyowi serce waliło jak młotem, miał wrażenie, że ktoś mu ścisną głowę w imadle.

- Niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać, kapitanie. Proszę rozkazać swoim ludziom, by zostali na posterunkach obserwacyjnych, i dać mi parę minut na rozmowę z Rooneyem. Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, jeszcze zdąży pani zarządzić atak, ale na razie proszę mi pozwolić z nim porozmawiać. Maddox, powiedz coś.

Martin spojrzała na Maddoksa, który pospiesznie skinął głową. Wyglądał na zmieszanego.

- On ma rację, pani kapitan. Nie możemy postępować zbyt agresywnie. Jeśli Talley się z nimi dogadał, musimy honorować wynegocjowane warunki, bo w przeciwnym razie nie uda mi się zdobyć ich zaufania i znajdziemy się po uszy w gównie.

Martin zmierzyła go tak ostrym spojrzeniem, jakby oczekiwała natychmiastowej zmiany stanowiska. Później popatrzyła na Hicksa i syknęła z wściekłością:

- Podłącz z powrotem.

Sierżant z kwaśną miną wetknął wtyczkę mikrofonu na miejsce, po czym odwrócił się tyłem i zaczął przez krótkofalówkę wydawać rozkazy.

Talley znowu popatrzył na oświetlony dom i powtórzył:

- Odbierz telefon, Dennis. Nastąpiło drobne nieporozumienie, bo wcale nie zamierzamy brać was siłą. Możesz to sprawdzić. Ludzie wycofali się poza ogrodzenie. Sprawdź i odezwij się do mnie.

Wciąż trzymał aparat komórkowy przy uchu, zasłuchany w monotonne sygnały wywołania. Mimo woli zaczął je w myślach liczyć. Doliczył do czternastu, gdy w końcu Rooney podniósł słuchawkę i wrzasnął:

- Ty kutasie! Kłamliwa świnio! Właśnie trzymam pistolet przystawiony do głowy tego zasranego gówniarza! Zapomniałeś, że mamy zakładników? Jak rany, pozabijam ich wszystkich, pieprzony głąbie!

Talley odparł spokojnie, wyęzając wszystkie siły, żeby mówić głośno i wyraźnie, ale nie podnosząc tonu. Za wszelką cenę musiał sprawiać wrażenie w pełni opanowanego, nawet jeśli było zupełnie inaczej.

- Nasi ludzie się wycofują. Słyszysz? Wycofują się, Dennis. Sam popatrz. Widzisz, że wracają na stanowiska za ogrodzeniem?

Znów usłyszał szmer, jakby Rooney przechodził do drugiego pokoju. Zatem prawdopodobnie rozmawiał z aparatu bezprzewodowego i mógł w trakcie rozmowy obserwować ruchy policjantów na tyłach domu.

- Tak, chyba masz rację. Przełazą z powrotem na tamtą stronę muru.

- Wcale cię nie okłamałem, Dennis. Już po wszystkim, jasne? Nie musisz nikogo krzywdzić.

- Przysięgam, że puszcę ten pieprzony dom z dymem, jak jeszcze raz spróbujecie się zbliżyć. Mamy tu przygotowany spory zapas benzyny, Talley. Spróbujecie jakichś sztuczek, i chata stanie w ogniu.

Talley porozumiał się wzrokiem z Maddoksern. Groźba podpalenia bardzo źle wróżyła. Gdyby wytworzyła się sytuacja zagrażająca życiu zakładników, usprawiedliwiłaby tylko konieczność przypuszczenia szturm na barykadę.

- Lepiej nie rób niczego, co mogłoby zagrozić wam albo dzieciom. Opanuj się dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa niewinnych ludzi, których przetrzymujecie siłą. Takie decyzje mogą spowodować bardzo poważne konsekwencje.

- Więc trzymajcie się z dala od ogrodzenia. Powtarzam, że jeśli jeszcze raz spróbujecie wejść na teren posesji, puszcę dom z dymem.

Jeszcze zanim Dennis skończył, Talley wyłączył mikrofon aparatu i szeptem przekazał Maddoksowi wiadomość o benzynie i groźbie podpalenia. Maddox pospiesznie zameldował o tym przez radio dowódcy grupy szturmowej. Jeśli Rooney mówił prawdę, trzeba było zrezygnować z użycia pocisków z gazem łzawiącym oraz granatów ogłuszających, które mogłyby wywołać zapłon.

- Nikt nie będzie się zbliżał. Jak już mówiłem, zaszło małe nieporozumienie, to wszystko. Na miejsce przybyły nowe oddziały policyjne i ludzie dostali sprzeczne rozkazy. Wcałe cię nie okłamałem. Nigdy bym tego nie zrobił.

- Ale i tak spieprzyłeś sprawę, koleś! Niewiele brakowało...

Napięcie w głosie Rooneya powoli zanikało i Talley uświadomił sobie, że może wreszcie rozluźnić palce zaciśnięte kurczowo na aparacie. Jeśli Dennis nadal był skłonny do pertraktacji, oznaczało to, że nie zacznie od razu strzelać.

- Jaka jest sytuacja w domu? Mam nadzieję, że nikogo nie skrzywdziłeś.

- Jeszcze nie.

- Więc do czego strzelałeś? Do policjantów za ogrodzeniem?

- A kto powiedział, że strzelałem? To ty to mówisz, nie ja. Dobrze wiem, że nagrywacie tę rozmowę.

- Nikt nie potrzebuje pomocy lekarza?

- Ty będziesz jej potrzebował, jeśli jeszcze raz spróbujesz ze mną swoich sztuczek.

Talley odetchnął głęboko. Udało się po raz kolejny opanować sytuację. Spojrzał na Martin. Sprawiała wrażenie poirytowanej, ale z uwagą przysłuchiwała się rozmowie.

Odłączył mikrofon telefonu.

- Uspokaja się. Sądzę, że teraz możemy się już zamienić.

Martin zerknęła na Maddoksa.

- Jesteś gotów?

- Tak, jestem.

Skinęła głową Talleyowi.

- W porządku.

Włączył mikrofon.

- Dennis, zastanawiałeś się nad tym, o czym ostatnio rozmawialiśmy?

- Za dużo mam na głowie.

- Nie wątpię. To, co powiedziałem, to była dobra rada.

- Założmy.

- Chcesz usłyszeć coś bardzo osobistego? - zapytał cicho, jakby zamierzał wyjawiać jakąś tajemnicę, która powinna zostać między nimi.

- Co?

- Cholernie chce mi się łać.

Rooney wybuchnął śmiechem. Talley zyskał pewność, że nie napotka jego oporów wobec przekazania swojej funkcji komu innemu. Trzeba było tylko powiadomić go o tym swobodnym, wręcz przyjacielskim tonem, jakby mówiło się o rzeczach całkiem naturalnych, niepodlegających jakiegokolwiek dyskusji. Rozbawienie rozmówcy miało sprawić, że szybko rozluźni się całkowicie.

- Dennis, muszę sobie zrobić przerwę. Widziałeś, ilu nowych ludzi zjawiało się na miejscu?

- Ściągnęliście ich chyba z tysiąc. Pewnie, że widziałem.

- Chcę przekazać telefon policjantowi o nazwisku Will Maddox. Tak bardzo mnie przestraszyłeś, że będę musiał teraz się przebrać. Dlatego Maddox mnie zastąpi. Kontaktuj się z nim, gdybyś czegoś potrzebował albo chciał porozmawiać.

- Zabawny z ciebie facet, Talley.

- Oddaję mu słuchawkę, Dennis. Zachowaj spokój.



- Jestem spokojny.

Talley przekazał aparat Maddoksovi, który przedstawił się ciepłym, melodyjnym głosem.

- Cześć, Dennis. Żałuj, że nie możesz teraz zobaczyć Jeffa. Chyba naprawdę będzie musiał prać gacie.

Talley nie słuchał dłużej ich rozmowy. Teraz wszystko było w rękach Maddoksa. Klapnął ciężko na asfalt i oparł się plecami o drzwi auta. Był wykończony.

Spojrzał na Martin, która bacznie mu się przyglądała. Po chwili podbiegła przygarbiona i usiadła na krawężniku obok niego. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby z wysiłkiem próbowała dobrać odpowiednie słowa. Wreszcie uśmiechnęła się słabo.

- Miałaś rację. Za bardzo się pospieszyłam i sknociłam sprawę.

To przyznanie się do błędu zrobiło na nim wrażenie.

- Jakoś z tego wybrnęliśmy.

- Na razie.

## THOMAS

Kiedy krzyki ucichły, a Thomas uspokoił się na tyle, że mógł wreszcie pomyśleć o czymś innym niż o pistolecie przystawionym mu do głowy, groźbach Dennisa i wizji nagłej śmierci, podniósł głowę i spojrzał na Jennifer, która wpatrywała się w niego z napięciem. Mruknęła krótko:

- Nie.

Nikt poza nim tego nie słyszał. Dennis krążył nerwowo po pokoju i gadał sam do siebie, a Kevin wodził za nim spojrzeniem jak wierne psisko za swoim panem. Telewizor w gabinecie wciąż był włączony, reporterka mówiła, że przed chwilą w domu otoczonym przez policję padły strzały. Dennis przystanął, popatrzył na ekran i głośno zachichotał.

- Jezu, tak niewiele brakowało. Matko Boska...

Kevin skrzyżował ręce na piersi i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- To co robimy? Teraz nie zdołamy uciec. Pełno ich wokół domu. Są nawet na sąsiednich podwórkach.

Dennis zmarszczył brwi i fuknął ze złością.

- Sam nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Musimy coś wykombinować.

- Powinniśmy się poddać.

- Zamknij dziób!

Thomas potarł palcami obolały kark. Dennis w panice ściągnął go ze schodów, zaciskając ramię na jego gardle tak mocno, że chwilami zaczynał się dusić. Jennifer podeszła i klęknęła przy nim, jakby chciała mu rozmasować kark, ale tylko zacisnęła mu dłoń na ramieniu i ze złością syknęła nad uchem:

- Widzisz? Widzisz? O mało cię nie złapali!

Zaraz wstała i podeszła do ojca.

Mars wrócił do gabinetu z naręczem białych długich świec. Bez słowa zapalił jedną, przechylił ją nad telewizorem, żeby ściekło trochę roztopionej parafiny, po czym przykleił na obudowie. Drugą tak samo umocował na regale. Dennis i Kevin nie zwracali na to uwagi, za to Mars wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Wreszcie Dennis zauważył świece.

- Co ty wyrabiasz, do cholery?

- Mogą nam odciąć prąd - odparł, przypalając następną świecę. - Masz, weź to.

Podał Dennisowi latarkę znaną z kuchni szufladzie. Drugą rzucił Kevinowi, który z trudem złapał ją w powietrzu.

Dennis zapalił latarkę i zaraz ją zgasił.

- Te świece to dobry pomysł.

Po kilku minutach w gabinecie zrobiło się jak w kościele.

Thomas uważnie obserwował Dennisa, który był dziwnie zamyślony. Chodził za Marsem i w napięciu patrzył mu na ręce, jakby usiłował rozwiązać jakąś zagadkę. Thomas czuł do nich wszystkie obrzydzenie, myślał, że chętnie by ich pozabijał, gdyby tylko mógł ściągnąć z półki pistolet - zarówno Marsa z uporem rozstawiającego świece, jak i Dennisa niepuszczającego go z oczu oraz Kevina przyglądającego się bratu. Żaden z nich nie zwracał na niego uwagi, więc gdyby miał pistolet, mógłby go teraz wyciągnąć i szybko załatwić sprawę: Bach! Bach! Bach!

- Powinniśmy jeszcze porozstawiać jakieś garnki czy kubki pod oknami - odezwał się niespodziewanie Dennis. - Kiedy będą próbowali się zakraść do środka, przewracają je i narobią hałasu.

Mars mruknął z aprobatą.

- Zajmij się tym, jak porozstawiasz wszystkie świece, dobra? Przygotujemy pułapki na kretynów.

- A co z naszym ojcem? - zapytała Jennifer.

- Jezu, a ta znowu swoje.

- On potrzebuje lekarza, dupku! - rzuciła podniesionym głosem.

- Kevin, zabierz ich z powrotem na górę. Błagam.

Thomas omal się nie uśmiechnął. Właśnie na tym mu zależało.

- Mam ich znowu wiązać?

Dennis otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zawahał się i w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Nie, za dużo będzie kłopotu, żeby znowu rozcinać kable. Powiązaliście ich z Marsem jak egipskie mumie. Trzeba się tylko upewnić, że są dobrze zamknięci, nie tylko na zasuwkę.

Mars ustawił ostatnią świecę.

- Ja się tym zajmę. Dawaj ich na górę.

Kevin wziął Jennifer za rękę i podniósł z podłogi, ale musiał ją pociągnąć w stronę schodów. Thomas poszedł dobrowolnie, starając się maskować, jak bardzo mu zależy na powrocie do swojego pokoju. Na podeście schodów musieli poczekać na Marsa, który zjawił się po chwili z młotkiem i śrubokrętem. Wchodził na górę bez pośpiechu, słoniowym krokiem, z gracją obskurnej, brudnej i ciemnej windy w starym wieżowcu. Poprowadził ich najpierw do sypialni Thomasa na końcu korytarza. Tonęła w ciemnościach.

- Właż, tłściochu. Jak się boisz, to naciągnij sobie kołdrę na głowę.

Wepchnął go do środka, po czym klęknął przy drzwiach. Podważył śrubokrętem osłonę zamka, zdjął ją, odkręcił trzy śruby mocujące i wyciągnął klamkę ze sztyftem. W drzwiach został tylko otwór o kwadratowym przekroju. Popatrzył na Jennifer i uśmiechnął się ironicznie.

- Widzisz? Ucz się, jak zamykać dzieci w pokoju.

Pchnął drzwi i zatrzasnął je z hukiem. Thomas stał przed nimi, nasłuchując. Złowił podobne odgłosy demontowania klamki w sypialni siostry, potem trzask zamykanych drzwi. Dopiero wtedy otworzył szafę i zapalił latarkę. Myślał tylko o tym, żeby wrócić do pracowni ojca po pistolet, lecz nagle jego wzrok padł na torebkę

Jennifer. Zostawił ją w szafie, gdy w pośpiechu zeskoczył z klapy awaryjnej i popędził do swojego łóżka. Teraz otworzył ją i obrócił dnem do góry.

Ze środka wypadł telefon komórkowy.

*Piątek, 20.32*  
*Palm Springs, Kalifornia*

SONNY BENZA

Kiedy Glen Howell odebrał, Benza przełączył aparat na głośnik, a Tuzee i Salvetti natychmiast ściszyli telewizor. Sonny zdążył już opróżnić dwa opakowania gaviscomu, a i tak męczyła go nadkwasota, żółć podchodziła mu do gardła.

Howell, który dzwonił ze swojego samochodu zaparkowanego w jakimś ustronnym miejscu, gdzie jego telefon komórkowy nie łapał dobrze sygnału z przekaźnika, rzekł lekko zniekształconym grosem:

- On ma żonę i dziecko, córkę. Albo się rozwiedli, albo żyją w separacji czy coś w tym rodzaju. Żona z córką mieszkają w Los Angeles, on widuje się z małą raz na dwa tygodnie czy coś w tym rodzaju.

Tuzee, z twarzą wyraźnie pobladłą mimo silnej opalenizny, przypominający trupa w otwartej trumnie, nerwowo potarł dłonią policzek i rzucił ostro:

- Przestań!

- Co?

- Powtarzać w kółko „czy coś w tym rodzaju”. Kończysz w ten sposób każde zdanie. Cholernie mnie to wkurza. Przecież podobno zrobiłeś maturę.

Benza odchylił się na krześle i bez słowa poklepał Tuzeego po kolanie.

Ten pospiesznie ukrył twarz w dłoniach. Kiedy zmarszczył czoło, można było odnieść wrażenie, że nagle bardzo się postarzał.

- No więc widuje się z nią co dwa tygodnie, ale niekoniecznie, bo to jeszcze niesprawdzona wiadomość. Na przyszłość bądź uprzejmy dokładnie ustalać pieprzone fakty, zanim do nas zadzwonisz.

Z głośnika dolatywały trzaski i szумы, w tle coś miarowo burczało.

- Przepraszam.

- Mów dalej.

- Ma się zobaczyć z córką w ten weekend. Żona powinna mu ją przywieźć.

Benza odchrząknął, bezskutecznie próbując się uwolnić od drapania w gardle.

- To przynajmniej sprawdzona informacja?

- Na sto procent. Wiem o tym od jego sekretarki, starszej, bardzo rozmownej pani, która wyraziła z tego powodu ogromny żal, ponieważ szef jest tak miłym człowiekiem.

- Gdzie one teraz są? Mam na myśli żonę i córkę.

- Tego jeszcze nie wiem. Kazałem swoim ludziom popytać o to. Powinny jednak przyjechać dziś wieczorem. To pewne.

Benza pokiwał głową.

- Musimy się nad tym zastanowić.

Salvetti najwyraźniej podjął już decyzję. Odchylił się na oparcie fotela i skrzyżował ręce na piersi, wyciągając nogi przed siebie.

- Mało brakowało, abyśmy już siedzieli w gównie. Musimy działać błyskawicznie.

- Chodzi ci o ludzi szeryfa?

- Tak.

- Masz rację, niewiele brakowało.

Na jakiś czas zapadło milczenie, każdy pograżył się w myślach. Benza zadzwonił do Howella, jak tylko zobaczył w telewizji wjeżdżający na osiedle konwój z biura szeryfa. Kiedy zaś reporterka poinformowała, że w domu padły strzały, o mało co nie wylał zupy, przejęty myślą, że stało się najgorsze, policja przypuściła szturm i nie mają już co marzyć o odzyskaniu swoich materiałów.

- Jeszcze coś - dodał Howell.

- Co?

- Szukają pozwolenia na budowę osiedla.

- Po co im to, do cholery?

- Zawsze w podobnych sytuacjach, gdy jakiś nieobliczalny kretyn zabarykaduje się w domu, chcą mieć plany pomieszczeń. Dlatego próbują teraz dotrzeć do firm, które budowały osiedle, w nadziei, że zdobędą oryginalne plany architektoniczne.

- Cholera.

Sonny westchnął ciężko i usadowił się wygodnie. Tużee spojrział na niego i pokręcił głową. Benza był właścicielem firmy, która zbudowała ten dom i zainstalowała w nim system alarmowy. Bardzo mu się nie podobało, że sprawy toczą się w tym kierunku. Po chwili wstał z fotela.

- Muszę się trochę przejść. Daj mi znać, gdybyś mnie nie słyszał, dobra?

- Oczywiście, Sonny.

- Rozpatrzmy wszystko po kolei. Zaczniemy od naszych raportów. Patrząc na ten dom, który ciągle pokazują w telewizji, i widzę, że jest otoczony taką armią gliniarzy, jakby szykowałą się druga inwazja w Normandii. Dlatego chcę cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Czy dasz radę wysłać tam naszych ludzi?

- Do domu?

- Tak, do środka. Właśnie teraz, na oczach gliniarzy, reporterów i Bóg wie kogo jeszcze. Czy jest szansa, żeby ktoś się tam przekradł?

- Nie. Mam bardzo dobrych ludzi, Sonny, najlepszych, ale i oni nic nie wskórają w tej sytuacji. Musimy mieć gliniarzy w garści, żeby tam wejść. Potrzebuję na to co najmniej jednego, może nawet dwóch dni. Wtedy będzie to wykonalne.

Poirytowany Benza odwrócił się w stronę wielkiego telewizyjnego projektora ustawionego na dwie stacje. Pierwsza pokazywała widok domu z powietrza i bandy gliniarzy z brygady antyterrorystycznej kryjących się za wozami poustawianymi ciasno na ulicy, druga nadawała wywiad z jakąś blondynką o krótkich włosach zaczesanych do tyłu, ubraną po męsku.

- Na pewno nie da się tam podejść już teraz, bez wywierania nacisków na gliniarzy?

Howell zamyślił się na krótko.

- W porządku. Nie mam telewizora, więc nie wiem, co teraz widzicie, jasne? Ale znam dom Smitha jak własną kieszeń, orientuję się też w jego najbliższym sąsiedztwie. Powiedzmy, że byłoby to wykonalne, że dałoby się wejść do środka już teraz.

Benza popatrzył na Tuzeego i Salvettiego.

- Co byś powiedział, żeby go spalić? Właśnie teraz, jeszcze tej nocy. Wyślij paru ludzi z kanistrem dobrego przyspieszacza. I tak będzie dla wszystkich jasne, że to

podpalenie, więc niech się nie pieszczą, zrobią porządne ognisko i wypalą chałupę aż do fundamentów.

Rozłożył szeroko ręce, spoglądając z nadzieją na kompanów.

Salvetti z obojętną miną wzruszył ramionami.

- I tak nie będzie pewności, że dyskiety uległy zniszczeniu. Możesz mi wierzyć, że jeśli Smith zdążył je zamknąć w salce systemu bezpieczeństwa, przetrwają każdy pożar. Wtedy i tak byłoby po nas.

Benza wbił wzrok w podłogę, zawstydzony, że wpadł na tak głupi pomysł.

Tuzee osunął się jeszcze niżej w fotelu i popatrzył w sufit.

- Dobra, posłuchaj, jak ja to widzę. Gdyby te szczeniaki zamierzały się poddać, już by to zrobiły. Zatem coś ich trzyma w domu. Nie wiem jeszcze co, ale na pewno coś dla nich ważnego. A im więcej gliniarzy gromadzi się wokół domu, tym bardziej staje się prawdopodobne, że zechcą go wziąć szturmem.

Salvetti wyprostował się nagle i podniósł rękę, jak uczeń w klasie zgłaszający się do odpowiedzi.

- Chwila. Może to głupie, ale co powiecie, żebyśmy sami spróbowali ich uspokoić? Możemy na własną rękę dogadać się z tymi kutasami.

Przez szmery przedarł się stłumiony głos Howella:

- Wszystkie linie telefoniczne są zablokowane. Policja tak zarządziła.

- Może zwykle, naziemne linie Smitha, ale nie nasze, za które przecież wyłożyliśmy dodatkową forszę.

- Jak zamierzasz się z nimi dogadać? - wtrącił Tuzee.

- Można wyjaśnić tym kretynom, z kim zadarli. Sądzą, że mają na pieńku z glinami, ale nie wiedzą, jakie kłopoty czekają ich z naszej strony. Zaproponujmy im, powiedzmy, pięćdziesiąt kawalków za to, żeby się poddali, a my ściagniemy dla nich najlepszych adwokatów.

- Aha. Już widzę, jak na to pójdą.

- Czemu nie?

- Naprawdę zamierzasz wciągać trzech pieprzonych smarkaczy w nasze sprawy? Jezu, Sally!

Salvetti zagryzł wargi i spuścił głowę.

Benza pochwyił pełne rezygnacji spojrzenie Tuzeeego.



- O co chodzi, Phil?

Ten poruszył się niespokojnie w fotelu. Jego mina wyrażała skrajne obrzydzenie.

- O rodzinę Talleya.

- Musimy się nad tym jeszcze dobrze zastanowić.

- Tak, wiem. Już się zastanawiam. Jak raz pójdziemy tą drogą, nie będzie już odwrotu.

- Ale chyba wiesz, dokąd ona prowadzi, prawda?

- Przecież sam zaproponowałeś, żeby na oczach całego świata spalić ten cholerny dom z sześcioma ludźmi w środku.

- Zgadza się.

- Musimy coś zrobić. Parę minut temu omal wszystko się nie spieprzyło i teraz główniarze będą uważniej pilnować całego terenu wokół domu. Sytuacja robi się coraz gorsza, ale mnie bardziej martwią chłopcy z Nowego Jorku. Boję się, że nie damy rady dłużej trzymać tego w tajemnicy.

- Na razie jeszcze panujemy nad sytuacją. Całkowicie ufam naszym ludziom, którzy są na miejscu.

- Ja też im ufam, ale stary Castellano prędzej czy później o wszystkim się dowie. Nie da się tego uniknąć.

- Minęło dopiero parę godzin.

- Tak czy owak, musimy sprawę wyprostować, zanim się o niej dowiedzą. Jak stary o nią zapyta, dobrze byłoby go zapewnić, że z naszej strony absolutnie nic mu nie zagraża. Powinniśmy wtedy już śmiać się z całej historii przy drinkach i cygarach, bo inaczej dobierze nam się do tyłków.

Benza westchnął ciężko, ale jednocześnie poczuł ulgę. Groźba pomogła mu podjąć decyzję.

- Glen?

- Słucham, Sonny.

- Czy gdybyśmy już teraz zdecydowali się przycisnąć Talleya, masz kogoś, kto sobie z tym poradzi?

- Tak, oczywiście.

- Na pewno zrobi wszystko, co będzie trzeba? Od początku do końca?

- Jasne. Nawet z przyjemnością. Wszystkim się zajmę.

Benza spojrzał na Phila Tuzeego, który energicznie pokiwał głową. Przeniósł wzrok na Salvettiego i ten skinął tylko raz, ale stanowczo.

- W porządku, Glen. Do roboty.

*Piątek, 23.40 czasu wschodniego*

*2.0.40 czasu pacyficznego*

*Nowy Jork*

## VIC CASTELLANO

Jego żona miała lekki sen, toteż Vittorio „Vic” Castellano musiał wyjść z sypialni, chcąc porozmawiać przez telefon. Naciągnął gruby frotowy szlafrok z wyhaftowanym na plecach napisem NIE ZAWRACAJ MI DUPY, który dostał na urodziny od dzieci, machnął ręką na Jamiego Beldone'a trzymającego w ręku telefon komórkowy i pokuśtykał do kuchni. Dzwonił gość, którego wynajęli, by miał oko na interesy w Kalifornii. Vic, liczący sobie siedemdziesiąt osiem lat i dwa tygodnie, z wstawioną protezą stawu biodrowego, nalał do szklaneczki soku pomarańczowego, ale nie mógł się zmusić, by go wypić. I tak paliło go w żołądku.

- Jesteś pewien, że to poważna sytuacja?

- Policja otoczyła dom, w którym znajdują się wszystkie raporty finansowe Benzy, w tym także księgi rozchodów pozwalające go powiązać z nami.

- Sukinsyn. Co jest w tych księgach?

- Zestawienia wpłat na nasze konto. Nie jestem pewien, czy w rozdzieleniu na poszczególne działki, ale pewnie tak, bo przecież Benza musi pilnować, żeby odpowiedni procent przeznaczyć dla nas. Gdyby wpadły w ręce federalnych, łatwo byłoby na ich podstawie oskarżyć pana o oszustwa podatkowe.

Vic wylał sok do zlewu, nalał do szklanki wody z czajnika i pociągnął łyk. Była ciepła.

- Od jak dawna trwa ten cyrk?

- Mniej więcej od pięciu godzin.

Castellano spojrział na zegar.

- Benza już wie, że zostaliśmy zawiadomieni?

- Nie.

- Tchórzliwy sukinsyn. Bał się zadzwonić i ostrzec mnie jak prawdziwy mężczyzna. Chyba wołał, żeby mnie przyłapali z zaskoczenia, zamiast dać mi trochę czasu na jakieś pieprzone przygotowania.

- Taki gówniany człowieczek, szefie. To wszystko.

- Zrobił coś w tej sprawie?

- Wysłał swoich ludzi. Zna pan Glena Howella?

- Nie.

- To sprzątac Benzy. Całkiem dobry.

- Mamy tam swojego człowieka?

Beldone skinął głową, wskazując telefon.

- Jest właśnie na linii. Czeka na pańskie rozkazy.

Vic upił jeszcze łyk ciepłej wody i westchnął ciężko. Zapowiadała się długa noc. Mimo woli już się zastanawiał, co powiedzieć swoim adwokatom.

- Może powinniśmy wysłać tam naszych ludzi? Beldone wyduł wargi i po krótkim namyśle pokręcił głową.

- Za długo by to trwało. Trzeba by zebrać grupę i wyprawić w pięciogodzinną podróż samolotem. Nie ma na to czasu, Vic. Trzeba zostawić to przedstawienie Sonny'emu i Howellowi.

- Nie mogę uwierzyć, że ten palant mnie nie ostrzegł. Co on sobie myśli?

- Pewnie zamierza dać nogę, jak smród się rozejdzie. Podejrzewam, że bardziej boi się pana niż federalnych.

- No i dobrze.

Vic znowu westchnął, po czym ruszył do wyjścia. Czterdzieści lat kierowania najbardziej wpływową organizacją przestępczą na Wschodnim Wybrzeżu nauczyło go, że należy się martwić tylko tym, na co ma się wpływ, i pozwolić innym martwić się o to, co pozostaje poza sferą wpływów.

Przystanął w drzwiach i odwrócił się do Jamiego.

- Sonny Benza to nieudolny, skończony palant, tak samo, jak jego cholerny ojciec.

- Syndykat spod znaku Myszkki Miki. Tam wszyscy mają porażenie mózgowe od nadmiaru słońca.

- Jeśli smród się rozejdzie, Sonny Benza ma nie mieć szans, żeby dokądkolwiek zwać. Rozumiemy się?

- Tak jest.

- Jeśli spieprzy sprawę, będzie musiał zapłacić.

- I zapłaci, szefie.

- Wracam do łóżka. Daj mi znać, jak coś się zmieni.

- Tak jest.

Vic Castellano znów się położył, ale nie mógł już zasnąć.

TALLEY

Talley zaprowadził ludzi szeryfa do domu pani Peña, gdzie przy kawie - bardzo mocnej i aromatycznej, jeśli wierzyć gospodyni, brazylijskiej, z brunatnym cukrem i prawdziwą śmietanką, choć wcale o nią nie prosili - obejrzeni jeszcze raz kasetę wideo z minimarketu.

Talley wskazał trzymanym w dłoni kubeczkim ekran telewizora.

- Ten pierwszy to Rooney, za nim do środka wchodzi Krupchek. Kevin pojawi się na końcu.

Martin oglądała zapis z obojętną miną, w skupieniu znamionującym doświadczonego oficera. Talley wbrew sobie częściej spoglądał na nią niż na ekran. Ciekawiło go, jakim sposobem kobieta zaszła aż tak wysoko, do stopnia kapitana w brygadzie antyterrorystycznej.

Po chwili ruchem głowy wskazała telewizor.

- Co on ma na głowie? Tatuaz? Mówię o tym olbrzymie.

- To Krupchek.

- No właśnie, Krupchek.

- Ma wytatuowany napis SPAL TO. Wprowadziliśmy go jako znak szczególny do przeszukiwania policyjnych baz danych.

Pokrótkie zrelacjonował wszystko, czego dowiedział się na temat Krupcheka oraz braci Rooneyów od Brada Dilla, nadmieniając przy tym, że wysłał Mikkelson i Dreyera, by przeprowadzili wstępne rozmowy z dozorcami i sąsiadami bandytów.

- Czy oni nie mają nikogo z bliższej rodziny, kogo dałoby się tu ściągnąć? - zapytał Ellison. - Raz mieliśmy do czynienia z chłopakiem, który trzymał nas w szachu przez dwanaście godzin, dopóki nie przyjechała jego mama. Złapała słuchawkę, zrugła go, na czym świat stoi, kazała mu zabierać dupsko z cudzego domu i gość wyszedł, zanosząc się płaczem jak dziecko.

Talley także miał do czynienia z podobnymi obiektami.

- Rooney prawdopodobnie ma tylko ciotkę w Bakersfield, a na temat Krupcheka Dill nie umiał nic powiedzieć. Jeśli dotrzemy do dozorca i jego sąsiadów, może dowiemy się czegoś o bliższej rodzinie. Jak chcecie, przekażę mojemu zastępcy, Larry'emu Andersowi, polecenia, żeby na bieżąco przekazywał dowódcy waszej grupy wywiadowczej zdobyte informacje.

Maddox ze zmarszczonym czołem pokiwał głową.

- Być może dojdzie do sytuacji, że sam będę chciał porozmawiać z Dilem i resztą ludzi. Nie masz nic przeciwko temu?

- Znam tę robotę. Jak zajdzie potrzeba, tylko powiedz Andersowi, a przywiezie ci tu, kogo zapragniesz.

Jako główny negocjator Maddox ponosił odpowiedzialność za określenie charakterystyki behawioralnej obiektu. Na jego miejscu Talley postępowałby dokładnie tak samo.

Martin podeszła bliżej telewizora. Doszli do momentu, w którym Krupchek przechylił się nad ladą.

- Co on robi?

- Przygląda się.

Maddox stanął obok niej i zapatrzył się na ekran. Skrzyżował ręce na piersi w sposób, który Talleyowi kojarzył się z postawą obronną.

- Matko Boska, on się przygląda, jak człowiek umiera.

Przytaknął ruchem głowy.

- Odniosłem takie samo wrażenie.

- Sukinsyn. Jeszcze się uśmiecha.

Talley dopił kawę i odstawił kubeczek. Nie musiał tego oglądać po raz drugi.

- Przekazaliśmy technikom z dochodzeniówki informację o miejscu, gdzie położył dłoń. Widzicie, jak się opiera? Powinni znaleźć na ladzie kompletny zestaw czytelnych odcisków palców. Ale nie kontaktowałem się z nimi, więc nie wiem, czy go zdjęli.

Martin spojrzała na Ellisona.

- Sprawdźcie te odciski, może są w kartotekach, jeśli był wcześniej aresztowany lub sądzony.

- Tak jest.

Metzger podeszła do Talleya i wzięła go za rękę.

- Mogę prosić na chwilę, szefie?

Przeprosił zebranych w saloniku i wyszedł za nią do drugiego pokoju. Metzger obejrzała się na grupę skupioną przed telewizorem i przekazała tajemniczym szeptem:

- Sarah prosi, żeby pan natychmiast zadzwonił. Mówi, że to bardzo ważne. Powiedziała nawet, że bez względu na wszystko mam pana siłą zaciągnąć do telefonu, jeśli to będzie konieczne.

- Ale dlaczego szepczesz?

- Bo to takie ważne. Ma pan zadzwonić do biura, a nie wywoływać ją przez radio.

- Dlaczego?

- Bo ktoś mógłby usłyszeć waszą rozmowę przez krótkofalówkę. Powtarzała z naciskiem, żeby pan zadzwonił.

Talleya zalała fala gorąca, przyszło mu do głowy, że coś złego stało się Jane i Amandzie. Wyjął telefon komórkowy i pospieszenie wcisnął klawisz automatycznego łączenia z biurem. Maddox odwrócił się od telewizora i spojrzał na niego zatroskanym wzrokiem.

Sarah odebrała już po pierwszym sygnale.

- To ja. Co się dzieje?

- Dzięki Bogu, że tak szybko. Mam na linii chłopca, który twierdzi, że nazywa się Thomas Smith i dzwoni z otoczonego domu.

- To jakaś lipa. Spław go.

Warren Kenner, jeden z dwóch sierżantów miejscowej policji pełniący funkcję szefa komisariatu, odezwał się z drugiego aparatu:

- Szefie, moim zdaniem to naprawdę jeden z zakładników. Sprawdziłem w centrali sieci komórkowej numer aparatu, z którego dzwoni. Rzeczywiście jest zarejestrowany na Waltera Smitha.

- Też rozmawiałeś z tym chłopakiem?

- Tak. Zdaje mi się, że mówi prawdę. Opowiedział o trzech bandytach, którzy ich uwięzili w domu, o swojej siostrze i ojcu. Twierdzi, że ojciec jest ranny, leży nieprzytomny.



Talley w zamyśleniu przygryzł wargi, czując, że serce zaczyna mu bić szybciej.

- Wciąż macie go na linii?

- Tak jest. Sarah rozmawia z nim z drugiego aparatu. Podobno zamknęli go w pokoju. Twierdzi, że przypadkiem znalazł telefon komórkowy siostry.

- Zaczekajcie chwilę.

Talley podszedł do drzwi. W holu i kuchni kręciło się kilku funkcjonariuszy z drogówki i brygady antyterrorystycznej, popijali kawę i częstowali się naleśnikami pani Peña. Szybko przywołał do siebie Martin, Maddoksa oraz Ellisona i wprowadził ich w głąb pokoju, jak najdalej od pozostałych.

- Chyba mamy coś ważnego - rzekł półgłosem. - Chłopak na linii twierdzi, że nazywa się Thomas Smith i dzwoni z zabarykadowanego domu.

Martin zmarszczyła czoło i wyduła wargi. Po chwili zapytała:

- Mówi prawdę czy kłamie?

Talley uniósł telefon do ucha.

- Warren? Kto jeszcze o tym wie?

- Tylko my, szefie. Ja i Sarah. A teraz także pan.

- Jeśli kontakt okaże się prawdziwy, wiadomość o nim nie może się przedostać do prasy. Zrozumiałeś? Przekaż to Sarze. To znaczy, że nie wolno wam absolutnie z nikim rozmawiać na ten temat, nawet z innym policjantem. Nie wolno wam pisać ani słówka, nawet przyjacielowi w luźnej pogawędce.

Spojrzał na Martin, która z uznaniem skinęła głową.

- Gdyby Rooney czy któryś z jego kompanów dowiedzieli się z telewizji, że mamy kontakt telefoniczny z zakładnikami, aż trudno sobie wyobrazić, co by zrobili.

- Rozumiem, szefie. Zaraz powiem o tym Sarze.

- Przełączcie go.

W słuchawce pstryknęło i rozległ się cichy, napięty głos, w którym nie wyczuwało się jednak strachu.

- Halo? Szef policji?

- Tak, mówi szef Talley. Jak się nazywasz, synu?

- Thomas Smith. Jestem w tym domu, który pokazują w telewizji. Dennis uderzył mojego tatę w głowę i on nie chce się ocknąć. Musicie go jakoś stąd wyciągnąć.

Dopiero na wspomnienie ojca w głosie chłopaka zabrzmiał nieco piskliwy ton przerażenia. Mimo to Talley wciąż nie miał pewności, czy może mu wierzyć.

- Najpierw muszę ci zadać kilka pytań, Thomas. Kto jest w domu oprócz ciebie?

- Tych trzech łobuzów, Dennis, Kevin i Mars, który zagroził, że wyrwie mi serce i je zje.

- A oprócz nich?

- Mój ojciec i siostra. Musicie nakłonić Dennisa, żeby odesłał mojego ojca do lekarza.

Wszystkie te informacje chłopak mógł zdobyć z telewizji. Talley skojarzył szybko, że jak dotąd nikt nie znał miejsca pobytu matki chłopaka. Jego ludzie wciąż usiłowali ją namierzyć.

- A co z twoją mamą?

Odparł bez wahania:

- Wyjechała na Florydę do cioci Kaie.

Talley poczuł silne ukłucie w sercu. A więc chłopak nie kłamał. Na migi dał znać Martin, że trzeba będzie notować. Kapitan spojrzała na Ellisona i ten błyskawicznie wyjął notatnik i długopis.

- Jak się nazywa twoja ciocia, chłopcze?

- Kate Toepfer. Ma długie blond włosy.

Powtórzył te informacje, a Ellison je zapisał.

- Gdzie mieszka?

- W West Palm Beach.

Talley nawet nie zakrył dłonią mikrofonu.

- To na pewno on. Zdobądźcie numer tej kobiety, Kate Toepfer z West Palm Beach. Jest u niej jego matka.

Maddox i Ellison zamienili szeptem parę słów, których nie miał szans wyłować. Martin przysunęła się bliżej i delikatnie odciągnęła jego prawą rękę, żeby słyszeć całą rozmowę.

- Gdzie jesteś, synu? Nic ci nie jest? Nie przyłapią cię na rozmowie przez telefon?

- Zamknęli mnie w mojej sypialni. Rozmawiam z telefonu komórkowego siostry.

- A gdzie znajduje się twoja sypialnia?

- Na piętrze.

- Rozumiem. A gdzie jest twój tata i siostra?

- Tata leży w gabinecie. Ułożyli go na kanapie. Potrzebny mu lekarz.

- Został postrzelony?

- Dennis uderzył go kolbą pistoletu i teraz tata nie może odzyskać przytomności. Moja siostra powtarza, że potrzebny mu lekarz, ale Dennis nie chce o tym słyszeć.

- Czy twój ojciec krwawi?

- Już nie. Ale nie może się ocknąć. Naprawdę boję się o niego.

- A co z twoją siostrą? Nic jej się nie stało?

Maddox przybliżył się i rzekł półgłosem:

- Zapytaj, czy zna lokalizację obiektów.

Talley uciszył go, podnosząc dłoń, gdyż chłopak tłumaczył coś na temat siostry.

- Co mówiłeś, Thomas? Przepraszam, nie usłyszałem. Nic jej nie jest?

- Mówiłem, że nie chce ze mną wyjść. Próbowałem ją nakłonić do wyjścia, ale powiedziała, że nie zostawi ojca samego w domu.

Martin trąciła go w ramię.

- Czy to znaczy, że on może stamtąd wyjść? Zapytaj go, czy wie, jak się wydostać z domu.

Talley pokiwał głową.

- W porządku, Thomas. Wyciągniemy was stamtąd najszybciej, jak to będzie możliwe, ale chcę się jeszcze upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Jesteś sam w swoim pokoju na piętrze, zgadza się?

- Tak.

- Czy dałbyś radę wyjść przez okno i ześliznąć się po murze, żebyśmy cię złapali?

- Pozabijali wszystkie okna gwoździami. Nawet gdyby nie to, i tak by mnie zobaczyli.

- Zobaczyliby, jak wychodzisz przez okno na tyłach, mimo że jesteś sam w pokoju?

- Mamy system alarmowy z kamerami. Na monitorach w sypialni rodziców można obserwować wszystkie pomieszczenia w domu i całe otoczenie. Was także by zobaczyli, gdybyście chcieli się podkraść pod sam dom.

- W porządku, synu. Jeszcze jedno. Dennis mówił mi, że mają naszykowaną benzynę i są gotowi podpalić dom. Czy to prawda?

- Tak. Zostawili pełne wiadro w holu przy drzwiach. Widziałem je, gdy sprowadzali mnie na dół. Cuchnie jak diabli.

W słuchawce rozległy się jakieś szmery i chłopak rzucił pospiesznie ściszone głośnie.

- Nadchodzą.

- Thomas? Nic ci nie grozi?

Ale połączenie zostało przerwane.

- Co się stało? - zapytała Martin.

Talley jeszcze przez chwilę wsłuchiwał się w napięciu, lecz na linii panowała cisza.

- Powiedział, że nadchodzą, i rozłączył się.

Kapitan wzięła głęboki oddech i ze świstem wypuściła powietrze.

- Myślisz, że go przyłapali?

Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- Nie sądzę. W jego głosie nie słyszałem paniki. Nic nie wskazuje na to, żeby został przyłapany. Po prostu musiał nagle przerwać rozmowę.

- Zatem Rooney mówił prawdę na temat benzyny?

- Tak.

- Cholera. To nas stawia w trudnej sytuacji. Cholernie trudnej. Brakuje tylko tego, żeby dom stanął w ogniu.

- Chłopak powiedział, że mają w domu system alarmowy z kamerami. To dlatego Rooney zauważył waszych ludzi przekradających się na teren posesji.

Martin odwróciła się do Ellisona.

- Niech wywiad sprawdzi, czy nie ma dostępu do tego systemu alarmowego za pośrednictwem linii telefonicznej. Trzeba ustalić, która firma go montowała, żebyśmy wiedzieli, co to za system.

Talley chciał wtrącić, że jego ludzie już to sprawdzali i nie zdobyli żadnych informacji, ale ugryzł się w język. On na miejscu kapitan także by zarządził powtórna kontrolę.

- Chłopak twierdzi, że jego ojciec jest ranny. Zadzwoił głównie po to, żeby przekazać, że potrzebny mu lekarz.

Martin znów się zasepiła. Nie słyszała tej części rozmowy.

- Najpierw ta cholerna benzyna, a teraz to. Jeśli gospodarz domu jest poważnie zagrożony, trzeba będzie podjąć ryzyko wzięcia barykady siłą.

Maddox niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Jak mamy planować szturm, skoro obiekt musi zobaczyć, że się zbliżamy, i naszykował benzynę, żeby podpalić dom? Zginą ludzie.

- Ale nie możemy czekać obojętnie, jeśli ktoś tam umiera.

Talley uniósł obie ręce i zrobił krok do przodu, jakby chciał ich rozdzielić.

- Chłopak wcale nie mówił, że ojciec umiera, tylko że jest ranny i potrzebuje lekarza.

Dokładnie powtórzył, co Thomas mówił o stanie Waltera Smitha. Martin słuchała ze spuszczoną głową, ale od czasu do czasu zerknęła na Maddoksa i Ellisona, jakby oceniała ich reakcję. Kiedy Talley skończył, pokręciła głową.

- No cóż, to nie są zbyt precyzyjne informacje.

- Nie.

- W porządku. Przynajmniej wiemy, że nie chodzi o ranę postrzałową. Raczej nie grozi Smithowi wykrwawienie się na śmierć.

- Z opisu wygląda to na wstrząśnienie mózgu.

- W każdym razie uraz jest dość poważny, choć nie mamy co do tego żadnej pewności. Na pewno nie możemy zapytać Rooneya wprost o stan gospodarza. Mógłby nabrać podejrzeń, że któreś z dzieci zdołało nawiązać z nami kontakt.

Talley musiał jej przyznać rację.

- Przede wszystkim należy chronić chłopca. Gdy będzie miał okazję jeszcze raz zadzwonić, na pewno to zrobi.

Maddox skinął głową.

- Podczas następnej rozmowy z Rooneyem postaram się wymusić od niego dokładne informacje, jak wszyscy się czują. Może zdołam w ten sposób dowiedzieć się czegoś o stanie ojca.

Uzgodnili szybko, że w tej sytuacji najlepiej będzie dać Rooneyowi i jego kompanom trochę czasu, by się uspokoił. Martin odwróciła się do Talleya.

- Jeśli chłopak będzie jeszcze raz dzwonił, pewnie znów połączy się z pańskim biurem?

- Raczej tak. Musiał dostać numer mojego departamentu w informacji. - Domyślił się, o co jej chodzi, i dodał: - W moim biurze jest całodobowy dyżur. Jeśli zadzwoni, dostane wiadomość na pager i każę połączyć go z wami.

Martin spojrzała na zegarek i przeniosła wzrok na Maddoksa.

- Musimy się brać do roboty. Razem z Ellisonem zajmijcie posterunek przed domem i przygotujcie się do łamania oporu tych dupków.

Talley świetnie wiedział, co to oznacza. Mieli rozpocząć akcję mącenia spokoju - dzwonić regularnie do Rooneya przez całą noc, żeby nie dać mu zasnąć, i wykorzystując narastające zmęczenie, spróbować go nakłonić do zmiany stanowiska. Często nękania w ten sposób obiekt w końcu się poddawał.

Martin odwróciła się do niego i uśmiechnęła lekko. Po chwili wyciągnęła rękę. Z ociąganiem uściśnął jej dłoń, zwróciwszy uwagę, że nie był to już tak twardy, męski uścisk, jak poprzednio.

- Bardzo dziękuję za pomoc, szefie. Odwalił pan kawał dobrej roboty, utrzymując sytuację pod kontrolą.

- Dziękuję, pani kapitan.

Zamyśliła się na krótko, po czym dodała:

- Pewnie chciałby pan już zwolnić swoich ludzi. Proszę działać według uznania. Chciałabym mieć do dyspozycji tylko czterech funkcjonariuszy jako łączników z lokalnymi władzami, to wszystko. Zdaję sobie sprawę, że nie dysponuje pan żadnymi rezerwami.

- Wszyscy jesteśmy do waszej dyspozycji, pani kapitan. Ma pani numery telefonów. Gdybym był potrzebny, proszę dzwonić. Jeśli nic specjalnego się nie wydarzy, złapię parę godzin snu i wrócę tu rano.

- Doskonale.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, przez co jej rysy stały się łagodniejsze i dużo bardziej atrakcyjne. Odeszła pośpiesznie. Talley pomyślał, że zapewne ten jeden uśmiech kosztował ją sporo wysiłku, choć niekiedy ludzie potrafili się uśmiechać w znacznie poważniejszych, wręcz zaskakujących sytuacjach. Maddox i Ellison poszli za nią.

Wziął swój kubeczek, zaniósł go do kuchni, jeszcze raz podziękował pani Peña za gościnność i ruszył do swojego samochodu. Połączył się jeszcze z Larrym Andersem i kazał mu się pospieszyć, dopiero wtedy spojrzął na zegarek. Był ciekaw, czy Jane i Amanda są jeszcze w którymś lokalu na mieście, czy zdążyły wrócić do domu.

Nie dawało mu jednak spokoju, dlatego Martin uściśnęła mu dłoń na pożegnanie.

## KEN SEYMORE

Ekipy reporterskie rozdzielały między sobą przywieziony przez kogoś prowiant, duże blaty pizzy, paczki tanich chipsów, wielkie papierowe kubki z kawą i torby pączków. Ken Seymore na szczęście w tym nie uczestniczył, bo z pewnością nie zwróciłby uwagi, że Talley wyjeżdża z osiedla.

Mimo że był głodny, siedział spokojnie w swoim samochodzie, fordzie explorerze zaparkowanym niedaleko bramy. Wyjazdu strzegło dwóch gliniarzy. Kiedy jeden z nich zapytał go, co tu robi, odparł, że czeka na fotografa, który ma przyjechać z Los Angeles, żeby zrobić parę ujęć chłopcom czuwającym wokół domu opanowanego przez bandytów. To wystarczyło. Więcej o nic nie pytali.

Kiedy Seymore zobaczył wóz Talleya skręcający na ulicę, sięgnął po telefon komórkowy i wcisnął klawisz.

- Właśnie wyjeżdża - rzekł.

Nie musiał nic więcej mówić.

JANE

Serce jej biło jak szalone, wargi lekko piekły od namiętnego pocałunku, a w głowie wciąż kołatały się jego słowa, wyszeptane wprost do ucha, po ciemku, w samochodzie stojącym przed jej domem:

- Dobrze byłoby nam ze sobą. Myślę o tobie od paru miesięcy i wydaje mi się, że idealnie do siebie pasujemy, jak dwa kawałki układanki.

Pracowali razem w szpitalu. Był lekarzem, świeżo po rozwodzie, i miał dwóch synów w średniej szkole, jednego o rok starszego od Mandy, drugiego o rok młodszego.

- Sama wiesz, że byłoby nam ze sobą dobrze.

- Niewykluczone.

Imponował jej swoim twardym, męskim charakterem, pełnym ciepła i czułości - tego, za czym od tak dawna tęskniła. Uwielbiała, kiedy ją przytulał do swojej szerokiej piersi. Do tego był przystojny, nawet bardzo. Mieli niemal identyczne poczucie humoru i trochę zwariowane, ironiczne podejście do życia.

- Pojedź dziś ze mną do mojego domu. Tylko na krótko. Po raz pierwszy umówiła się z mężczyzną od czasu odejścia Jeffa i jego przeprowadzki do Bristo, czyli prawie od roku. Wciąż jednak nie mogła zapomnieć, że tak bardzo zamknął się przed nią, jakby nagle wyzbył się wszelkich uczuć; wycofał się, całkowicie od niej odciął, niemalże zniknął. Mimo to nie mogła się pozbyć wrażenia, że go zdradza.

- Sama nie wiem...

- Szkoda by było już teraz zakończyć ten cudowny wieczór. Przecież nie musimy nic robić. No, przynajmniej przez pierwszych pięć minut.

Zaśmiała się mimowolnie.



Pocałował ją jeszcze raz, a ona odwzajemniła ten pocałunek, zmysłowy taniec warg i języków. W głowie jej się kręciło, jakby była pijana. Czuła się nadzwyczaj pobudzona.

- Umówiłam się z Amandą, że wrócę właśnie o tej porze.

- Zaraz się popłaczę. Gorzej. Będę rozpaczał. A kiedy rozpaczam, staję się nieznośny.

Uśmiechając się szeroko, przytknęła dłoń do jego policzka i delikatnie odsunęła go od siebie.

Westchnął ciężko i błyskawicznie spowaźniał.

- W porządku. Świetnie się bawiłem.

- Ja również.

- Zatem do zobaczenia jutro w pracy. Zejdę na dół, żeby się z tobą zobaczyć.

- Jutro mam wolne. Pojutrze także.

- A więc do czwartku. Zobaczymy się za dwa dni. Jakoś to przeboleję.

Pocałowała go jeszcze raz, króciutko, chociaż chciał dłużej, po czym wysiadła i pobiegła do domu. Pustego, bo Amanda nocowała u swojej przyjaciółki, Connie. Nie powiedziała jej nawet, że zamierza gdzieś wyjść tego wieczoru, więc tym bardziej nie mogła obiecać, że wróci o tej porze. Po prostu skłamała.

Nazajutrz przefarbowwała włosy. Specjalnie dobrała taką ciemną farbę, niemal czarną z lekkim czerwonawym odcieniem, mając nadzieję, że choć trochę się odmłodzi. A susząc włosy, zastanawiała się, co o ich barwie powie Jeff.

Bo nie mogła się uwolnić od myśli, że poprzedniego wieczoru go zdradziła.

- Halo! Ziemia do mamy!

Wyrwana z zamyślenia popatrzyła na córkę.

- Przepraszam.

- O czym tak myślałaś?

- Zastanawiałam się, czy twojemu tacie spodoba się kolor moich włosów.

Amanda skrzywiła się pogardliwie.

- Daj spokój. Jakby naprawdę cię to obchodziło.

- Dobra. Zastanawiałam się, czy ta sprawa z zakładnikami nie przerodzi się w coś poważniejszego. To ci bardziej pasuje?

Wstąpiły do Le Chine, wietnamsko-tajskiej restauracji w centrum handlowym przy autostradzie. Zamówiły *pho ga*, która okazała się zupą ryżową z makaronem, oraz pikantne krewetki, które okazały się bardzo pikantnymi krewetkami. Często tu jadały, niekiedy w towarzystwie Jeffa. Tym razem jednak Jane nie miała apetytu. Pogrzebała trochę w ryżu na sypko podanym do krewetek, szybko jednak zrezygnowała i odłożyła widelec.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Nie możemy po prostu wracać do domu? Nie chce mi się tu siedzieć. Już nieraz mu to mówiłam.

- Tylko nie „mu”. Jest twoim ojcem.

- Co to zmienia?

- Przeżywa trudne chwile.

- Trudne chwile przeżywał rok temu, a teraz to już jest tylko nudne.

Jane miała serdecznie dość podtrzymywania tej fikcji, ciągłego udawania czulej i opiekuńczej matki, cierpliwego czekania, aż Jeff się pozbiera, podczas gdy w rzeczywistości miała ochotę wyć z rozpacz. Niekiedy nawet to robiła, wciskała głowę w poduszkę i wrzeszczała, ile sił w płucach. Dlatego i teraz ogarnęła ją złość. Pomyślała, że jeśli Mandy jeszcze raz teatralnie wzniesie oczy do nieba, chyba złapie widelec i ją ukłuje.

- Naprawdę muszę ci coś powiedzieć. Ta sytuacja jest bardzo trudna dla nas wszystkich, dla ciebie, dla mnie i dla niego. To nie jego wina, wszystko przez tę jego cholerną pracę.

- Jak zawsze winna jest tylko praca.

Jane poprosiła o rachunek. Była tak podenerwowana, że nie miała odwagi spojrzeć córce w oczy. Właścicielka lokalu, starsza kobieta o imieniu Po, która wiedziała, że są rodziną Jeffa Talleya, jak zwykle chciała zapisać obiad na koszt firmy. I Jane jak zwykle zapłaciła w pośpiechu, gotówką, po czym wstała i ruszyła do wyjścia, nie czekając na resztę.

- Idziemy.

Wyszła na parking, nie oglądając się na Amandę. Stukot jej obcasów o chodnik rozchodził się głośnym echem niczym wystrzały. Usiadła za kierownicą, ale nie uruchomiła silnika. Amanda pospiesznie zajęła miejsce obok niej i zatrzasnęła drzwi. W wieczornym powietrzu krzyżowały się zapachy szaławii, czosnku i miejskiego kurzu.

- Dlaczego nie jedziemy?

- Bo staram się zapanować nad sobą, żeby cię nie zabić. Jeszcze przez chwilę dobierała w myślach odpowiednie słowa, wreszcie wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Cholernie się boję, że twój ojciec w końcu się podda i do reszty ze mną zerwie. Dziś wieczorem dostrzegłam taką chęć w jego spojrzeniu. Bo doskonale wie, jak obie to przeżywamy. Przecież nie jest głupi. Kiedy rozmawiamy ze sobą, mówi, że czuje pustkę w sercu, a ja nie wiem, jak ją zapełnić. Mówi, że czuje się martwy, a ja nie mam. pojęcia, jak tchnąć w niego życie. Myślisz, że nie próbuję? I tak brniemy dalej, on sobie i my sobie. Czas upływa, a on tylko pogrąża się coraz bardziej w tej przeklętej depresji. Domyślam się, że będzie chciał to zakończyć dla naszego dobra. Zatem, panienko, pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie chcę, by cokolwiek się stało dla mojego dobra. Dokonałam takiego świadomego wyboru. Twój ojciec był kiedyś pełnym życia, niezwykle odpornym człowiekiem, a ja pokochałam tego niezwykle człowieka o wiele bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Nie chcesz słuchać o jego pracy? Proszę bardzo. Ale tylko człowiek tak wielkiej dobroci jak twój ojciec mógł zostać tak silnie okaleczony przez swoją pracę jak on. Jeśli sądzisz, że próbuję go przed tobą tłumaczyć, proszę bardzo. Jeśli uważasz mnie za idiotkę, bo cierpliwie czekam na jego powrót, niech i tak będzie. Mogłam mieć innych facetów, ale ich nie chciałam. Nie wiem nawet, czy on mnie jeszcze kocha, ale muszę ci powiedzieć, że ja kocham go bardzo, wciąż mi na nim zależy i dlatego też cholernie mnie obchodzi, czy jemu spodoba się kolor moich włosów, czy nie.

Jane otarła łzy z twarzy i dopiero teraz zauważyła, że Amanda również płacze. Grube miodowe łzy spływały jej po policzkach. Wyprostowała się szybko w fotelu i odchyliła głowę do tyłu, opierając ją o zagłówek.

- Cholera - syknęła.

Stukanie w okno przestraszyło ją tak, aż podskoczyła na miejscu.

- Proszę pani? Wszystko w porządku?

Jane opuściła szybę na kilka centymetrów. Mężczyzna sprawiał wrażenie zaniepokojonego, pochylił się do okna z jedną ręką opartą o dach, a drugą o drzwi auta. Z jego twarzy można było wyczytać, że chciałby jakoś pomóc.

- Przepraszam. Wiem, że to nie moja sprawa, ale usłyszałem płacz i...

- Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Dziękuję.

- No cóż, jeśli na pewno...

- Tak. Dziękuję.

Sięgnęła do kluczyków, kiedy nagle szarpnięciem otworzył drzwi i pchnął ją silnie na Amandę. Do środka wdarł się słodki zapach pączków.

Później Jane miała poznać nazwisko obcego: Marion Clewes.

## TALLEY

Niebo wydawało się dziwnie puste bez czerwonych i zielonych gwiazd światel pozycyjnych helikopterów. Talley wyłączył krótkofalówkę, opuścił do końca szyby i głęboko wciągnął w płuca jedwabiste powietrze, wciąż jeszcze przesycone ciepłem bijącym od ziemi oraz intensywną wonią juki. Już nie był uczestnikiem przedstawienia, więc nie potrzebował radia. Musiał się zastanowić.

Droga biegnąca na wprost i dalej prowadząca zakosami wśród gór była jasno oświetlona snopami reflektorów aut nadjeżdżających w jego kierunku. Wydarzenia ostatnich sześciu godzin zlewały się w jego pamięci w ciąg błyskawicznych wypadków przypominających karambol na autostradzie, gdzie auta zderzają się, wpadają na siebie z takim impetem, z jakim od dłuższego czasu w ogóle nie miał do czynienia. Przyjmował to z lękiem, a jednocześnie z podziwem. Wspominając miniony dzień, dopiero teraz uświadomił sobie, że odczuwa satysfakcję. Nadal potrafił zaskakiwać samego siebie. Miał wrażenie, że jakaś uspiona dotychczas częśćka jego duszy budzi się do życia.

Rozgrzane nocne powietrze przywiodło mu na myśl Jane.

W podróż poślubną wybrali się na pustynię. Nie było to zaraz po ślubie, bo wtedy nie mieli pieniędzy. Dopiero później, gdy jego półroczny staż w policji dobiegł końca, zdołali wziąć po dwa dni urlopu, żeby na przedłużony w ten sposób weekend pojechać do Las Vegas. Plan był wspaniały, tym bardziej że chcąc uniknąć podróży w upale, wyjechali po zachodzie słońca. Ale czterogodzinna jazda samochodem okazała się ponad ich siły. W połowie trasy zatrzymali się, żeby coś zjeść, w małym miasteczku na skraju kalifornijskiej pustyni. I tam już zostali. Tę pierwszą noc w podróży poślubnej spędzili w motelu przy autostradzie, za dwadzieścia dolarów. Na obiad zjedli tanie steki w barze Sizzlera, po czym wyruszyli na zwiedzanie miejsciny. Teraz za kierownicą Talley przypomniał sobie właśnie pustynny żar tamtej nocy. I przerażenie,

jakie wzbudziła w nim Jane, kiedy wysunęła się przez otwarte okno i usiadła na krawędzi drzwi auta, gdy jechali wyboistą pustynną boczną drogą.

Od lat nie wracał pamięcią do tamtych czasów i poczuł się nieswojo wobec tych dawnych wspomnień, które uważał za bezpowrotnie stracone. Zaciekawilo go, co jeszcze kryje się w najdalszych zakamarkach jego pamięci.

Skreślił na teren osiedla. Z daleka rozpoznał samochód Jane stojący na jednym z dwóch miejsc parkingowych zarezerwowanych dla niego. Ustawił wóz tuż przy nim i zapatrzył się na swój domek, podenerwowany czekającą ich rozmową. Jane w końcu poruszyła sprawę ich przyszłości, musiał więc stawić czoło tej kwestii. Koniec z wykrętami, wymówkami i chowaniem głowy w piasek. Mógł albo do niej wrócić, albo ją stracić. Dzisiejszy wieczór miał przynieść rozwiązanie tej prostej kwestii.

Dopiero wysiadając z samochodu, zwrócił uwagę, że parking tonie w ciemnościach. Dwie najbliższe latarnie się nie paliły. Wsunął kluczyk do zamka, żeby zamknąć wóz, gdy na tonącym w mroku chodniku prowadzącym w kierunku jego domu pojawiła się jakaś kobieta.

- SzeF Talley? Czy mogłabym zamienić z panem słowo?

W pierwszej chwili pomyślał, że to któraś z sąsiadek. Wiele osób na osiedlu wiedziało, że jest komendantem policji, i zaczepiało go ze swoimi problemami bądź skargami.

- Jest już późno. Czy ta sprawa nie może zaczekać do jutra?

Była dość atrakcyjna, choć niezbyt ładna, elegancko ubrana, z krótkimi ciemnymi włosami uczesanymi z przedziałkiem pośrodku. Nie mógł jej sobie przypomnieć.

- Bardzo bym chciała, szefie, ale musimy o tym porozmawiać jeszcze dzisiaj.

Talley usłyszał za plecami czyjeś kroki, żwir zachrząścił pod stopami. Nagle ktoś złapał go ramieniem za szyję, wygiął do tyłu tak mocno, że omal nie podniósł z ziemi, i przystawił pistolet do głowy.

- Widzisz to? Widzisz pistolet? Przyjrzyj się dobrze.

Talley odruchowo zacisnął palce na ręce napastnika, który go dusił, ale ujrzawszy przed nosem broń, natychmiast znieruchomiał.

- Tak już lepiej. Chcemy tylko porozmawiać, nic więcej. Ale zabiję cię, jeśli będę musiał.

Mężczyzna powoli rozluźnił uścisk i przestał go dusić. Ktoś inny otworzył drzwi samochodu. Trzeci napastnik zaczął go pospiesznie obmacywać w pasie i zaglądać pod poły bluzy mundurowej.

- Gdzie twój pistolet?

- Nie noszę go.

- Gówno prawda. Gdzie go masz?

Poczuł, że tamten obmacuje mu nogi nad kostkami.

- Nie noszę go. Jestem komendantem policji. Nie muszę nosić broni.

Wepchnęli go z powrotem za kierownicę. Dostrzegał tylko niewyraźne sylwetki ludzi, nie umiał powiedzieć, ilu ich jest, trzech czy może nawet pięciu. Ktoś z tylnego siedzenia roztrzaskał kolbą pistoletu lampkę pod sufitem i mocno wbił mu lufę w kark.

- Zapal i wyjeżdż tyłem. Musimy pogadać w ustronnym miejscu.

- Kim jesteście?

Chciał się obejrzeć, ale napastnik brutalnie wykręcił mu głowę na wprost. Zdążył jednak zauważyć, że dwaj mężczyźni na tylnym siedzeniu mają na głowach kominiarki i są w rękawiczkach.

- Zapalaj i wyjeżdżaj z parkingu.

Zrobił, jak mu kazali. Snopy świateł przesunęły się po chodniku. Kobiety już nie było. Przy wyjeździe z parkingu czekał drugi samochód, paliły się tylne czerwone światła pozycyjne.

- Widzisz tamten wóz? Jedź za nim. To nie będzie długa podróż.

Talley szybko zbliżył się do auta, najnowszego modelu forda mustanga, ciemnozielonego z kalifornijską rejestracją. 2KLX561. Kilkakrotnie powtórzył numer w myślach, żeby go zapamiętać, po czym spojrział we wsteczne lusterko. Tuż za nimi pojawiło się kolejne auto.

- Kim jesteście?

- Prowadź.

- Czy to ma coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami?

- Jedź i nie gadaj. Wszystkiego się dowiesz.

Mustang powoli wyjechał na Flanders Road i niespełna kilometr dalej skręcił na placyk przy pawilonie handlowym. Wszystkie sklepy były pozamykane, na

parkingu nie stał ani jeden samochód. Talley wjechał za przewodnikiem w alejkę prowadzącą na tyły. Ford zatrzymał się przy wielkim pojemniku na śmieci.

- Podjedź bliżej. Zupełnie blisko. Stań zderzak w zderzak.

Aż lekko potrącił mustanga.

- Zgaś silnik i oddaj mi kluczyki.

Talleya obleciał dobrze mu znany strach, który niejednokrotnie odczuwał podczas służby w brygadzie antyterrorystycznej, jeszcze zanim został negocjatorem - jego przyczyną nie był konkretny człowiek, lecz świadomość nadchodzącej walki, podsycana przez ciężar ekwipunku oraz uzbrojenia i bliskość tak samo przygotowanych kolegów z oddziału. Tym razem jednak lęk budziła konkretna sytuacja i konkretni ludzie. Dobrze wiedział, że w podobnych okolicznościach dochodzi do zabójstw, po których znajduje się zwłoki w takich pojemnikach na śmieci.

Przekręcił kluczyk, ale nie wyjął go ze stacyjki. Drugi samochód z tyłu podjechał równie blisko, skutecznie blokując jego wóz. Talley uznał, że to dobry znak. Przeciwnicy chcieli mu tylko uniemożliwić ucieczkę. Gdyby zamierzali go zabić, nie zawracaliby sobie tym głowy.

- Dawaj te cholerne kluczyki!

Wyciągnął je i uniósł do ramienia. Mężczyzna wyrwał mu je z dłoni.

Otworzyły się prawe drzwi i do środka wszedł trzeci mężczyzna, także w kominiarce i rękawiczkach. Miał na sobie czarną sztruksową sportową wiatrówkę, a pod spodem bawełnianą koszulkę i dżinsy. Kiedy lewy rękaw kurtki nieco się podwinął, błysnęła pod nim koperta złotego roleksa. Obcy nie był zbyt mocnej budowy, mniej więcej wzrostu Talleya, jakieś osiemdziesiąt kilo wagi, dość barczysty. Przez otwory kominiarki widać było wokół ust i oczu mocno opaloną skórę. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

- W porządku, szefie. Wiem, że się boisz, ale możesz mi zaufać, nic ci się nie stanie, dopóki nie będziesz próbował czegoś głupiego. Dlatego panuj nad sobą, jasne? Rozumiemy się?

Próbował sobie przypomnieć numer rejestracyjny mustanga. Jakie tam były litery? KLX czy KLS?

- Nie gap się tak na mnie, szefie. Musimy w końcu dojść do porozumienia.

- Czego chcecie?



Mężczyzna machnął trzymanym aparatem komórkowym w kierunku tylnego siedzenia, znów ukazując na krótko kosztowny zegarek. Talley w myślach na swój użytek nazwał go Nadzorcą.

- Człowiek siedzący z tyłu za chwilę przytrzyma cię na fotelu. Nie wyrywaj się. To dla twojego dobra, jasne? Nic ci nie zrobi, tylko cię przytrzyma.

Znów poczuł ramię zaciskające się na szyi. Mężczyzna złapał go za lewą rękę i wykręcił ją za siedzenie. Drugi zrobił to samo z prawą ręką. Tworzyli niezły duet. Talley ledwie mógł oddychać.

- O co wam chodzi?

- Posłuchaj.

Nadzorca przybliżył mu aparat komórkowy do ucha.

- No, przywitaj się.

Nie mógł sobie wyobrazić, kim są i czego od niego chcą. Czuł się tak, jakby zakneblowali mu usta wielkim kłębkim waty. Dotykająca mu ucha obudowa telefonu wydawała się lodowato zimna.

- Kto tam? - odezwała się Jane roztrzęsionym, przerażonym głosem. - Jeff? To ty?

Szarpnął się odruchowo, próbując uwolnić się od kurczowego uścisku mężczyzny i oswobodzić rękę, ale nie dał rady. Minęło parę sekund, zanim uzmysłowił sobie, że Nadzorca coś do niego mówi.

- Tylko spokojnie, szefie. Doskonale cię rozumiem. Ale na razie posłuchaj, dobrze? Nic jej nie jest. Twojej córce także nic się nie stało. Więc uspokój się, weź głęboki oddech i posłuchaj. Jesteś gotów? Pamiętaj, od tej pory wszystko zależy od ciebie i tylko od ciebie. W twoich rękach jest ich życie. Chcesz jeszcze posłuchać żony? Chcesz z nią porozmawiać i przekonać się, że nic jej nie jest?

Mimo uścisku zdołał skinąć głową i wychrypieć:

- Ty sukinsynu.

- Kiepski początek, szefie, ale jak powiedziałem, świetnie cię rozumiem. Sam jestem żonaty. Co prawda, nawet bym wolał, żeby ktoś porwał moją staruszkę, ale nie wszyscy muszą myśleć tak samo. W każdym razie proszę.

Nadzorca znowu przytknął mu aparat do ucha.

- Jane?

- Co się dzieje, Jeff? Co to za ludzie?

- Nie wiem. Wszystko w porządku? Co z Mandy?

- Boję się, Jeff.

Jane zaczęła szlochać.

Nadzorca cofnął telefon.

- Wystarczy.

- Kim jesteś, do cholery?!

- Możemy cię puścić? Wygląda na to, że minął ci pierwszy szok, więc chciałbym wiedzieć, czy nie zrobisz niczego głupiego, jak cię puścimy.

- Puszczajcie.

Nadzorca zerknął do tyłu i Talley odzyskał swobodę ruchów. Tamten pochylił się, ciekawie zajrzał mu w oczy i rzekł z naciskiem:

- W domu Waltera Smitha znajdują się dwie dyskietki komputerowe, które należą do nas. Nie łam sobie głowy nad tym, dlaczego nam na nich zależy. Może lepiej w ogóle o tym nie myśl. W każdym razie chcemy je odzyskać, a ty zatroszczysz się o to, by do nas wróciły.

Talley nie miał pojęcia, o czym on mówi. Pokręcił głową.

- Jak mam to rozumieć? O co tu chodzi?

- Musisz z powrotem przejąć dowodzenie akcją.

- Teraz kierują nią ludzie szeryfa.

- Już nie. Znowu ty. Przejmiesz je z powrotem, zrobisz w tym celu wszystko, co będzie konieczne, gdyż absolutnie nikt - podkreślam to z całą mocą - absolutnie nikt nie ma prawa wkroczyć do tego domu, zanim nie wejdą tam moi ludzie.

- Chyba sam nie wiesz, czego żądasz. Nie dam rady tego zaaranżować.

Nadzorca uniósł wyprostowany palec, jak nauczyciel tłumaczący coś krnąbrnemu uczniowi.

- Dokładnie wiem, o co mi chodzi. Trwa skoordynowana akcja mieszanych sił policyjnych, w której oprócz zespołu z biura szeryfa biorą udział twoi ludzie z departamentu policji w Bristo. Za parę godzin w York Estates pojawi się też grupa moich ludzi. Powiesz wszystkim zainteresowanym, że to oddział taktyczny FBI. Oni już zrobią swoje, są specjalistami od wykonywania tego typu zadań. Czy teraz rozumiesz, czego od ciebie żądam?

- Nadal nie mam pojęcia, jak to sobie wyobrażasz. Nie dowodzę akcją, a tym bardziej nie mam wpływu na to, co dzieje się w otoczonej domu.

- To lepiej szybko zacznij się orientować. Twoja żona i córka bardzo na to liczą.

Talley nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Odruchowo wodził dłońmi po kolanach, próbując zebrać myśli.

- Co mam konkretnie zrobić?

- Wprowadzić moich ludzi na teren i poczekać w spokoju na wiadomość ode mnie.

Nadzorca podał mu telefon.'

- Kiedy ta komórka zadzwoni, masz odebrać. To będę ja. Powiem ci, co masz zrobić.

Zapatrzył się na aparat.

- Gdy nadejdzie pora, żeby wkroczyć do domu, moi ludzie muszą być pierwsi. Niczego, powtarzam: absolutnie niczego nie wolno wam stamtąd wynieść, dopóki moi ludzie nie skończą swojego zadania. Zrozumiałeś?

- Nie mam wpływu, na to, co zrobią te dzieciaki. Być może już się poddali. A może wywiązała się strzelanina. Ludzie szeryfa mogli już zająć dom.

Nadzorca uderzył go otwartą dłonią w czoło. Talleyowi głowa odskoczyła do tyłu.

- Nie panikuj. Powinieneś pamiętać to, co wiedzą wszyscy z brygad antyterrorystycznych: panika zabija.

Talley oburącz chwycił telefon komórkowy.

- W porządku. Rozumiem.

- Przestań wreszcie kombinować, co mogę zrobić, a czego nie. Jesteś policjantem, więc to oczywiste, że myślisz, jak zawiadomić FBI albo wciągnąć ludzi szeryfa i dorwać mnie, zanim cokolwiek stanie się twojej żonie i córce. Lepiej, szefie, weź pod uwagę, że mam swoich ludzi w York Estates, tuż pod twoim nosem, meldujących o wszystkim, co się tam dzieje. Więc jeśli kogokolwiek wprowadzisz w sprawę, jeśli zrobisz cokolwiek sprzecznego z moimi zaleceniami, dostaniesz z powrotem żonę i córkę pocztą. Jasne?

- Tak.

- Gdy dostanę to, na czym mi zależy, uwolnię je. Nie ma obaw. Tak samo nie wiedzą, kto je porwał, jak i ty nie wiesz, kim jesteśmy. Niewiedza to błogosławieństwo.

- Na czym ci zależy? Na tych dyskietkach? Chodzi ci o dyskietki komputerowe? Gdzie one są?

- Zgadza się. Chodzi o dwie dyskietki, trochę większe od normalnych. Nazywa się je zip-dyskami. Są podpisane: dysk pierwszy i dysk drugi. Na razie nie wiemy dokładnie, gdzie ich szukać w domu. Tylko Smith to wie.

Nadzorca otworzył drzwi, ale zawahał się jeszcze i popatrzył na telefon.

- Lepiej odbierz, szefie, gdy zadzwoni.

Kluczyki wylądowały na jego kolanach. Trzasnęły jedne i drugie tylne drzwi. Został sam, w mrocznej alejce na tyłach pawilonu handlowego na obrzeżach miasta. Mustang ruszył i zniknął za zakrętem. Drugi wóz wycofał się tyłem, zawrócił i także zniknął. Talley przez jakiś czas siedział bez ruchu za kierownicą, oddychając głęboko, niezdolny do tego, żeby się poruszyć, jakby jego umysł oddzielił się od ciała i tylko był świadkiem przygody, która spotkała kogoś innego.

Sięgnął po kluczyki, uruchomił wóz i zawrócił na pełnym gazie, aż spod kół trysnęły strugi żwiru. Włączył światła i syrenę, jak według kodu trzeciego, wrócił pod dom, ale nie wprowadzał auta na miejsce, tylko zostawił je u wylotu parkingu i pognął do środka, niemal w transie, jakby się spodziewał, że mimo wszystko zostanie tam żonę i córkę.

Dom był jednak pusty, wypełniająca go cisza zdawała się huczeć mu w uszach. Zawołał raz i drugi, nie mając pojęcia, co robić:

- Jane! Amanda!

Jedynym śladem ich obecności były kluczyki od samochodu Jane leżące na stole w jadalni, zostawione tam jakby na pamiątkę zagrożenia.

Wrzucił je do kieszeni. Pobiegł na górę, stanął przy swoim biurku i zapatrzył się na zdjęcia. Jane i Amanda, trochę młodsze, spoglądały na niego sprzed bramy Disneylandu, spod parasola w ogródku przed restauracją w Adventurelandzie, obejmując się nawzajem w pasie i szczerząc zęby do obiektywu; na jednym jadły tosty i zapiekanki, na innym *salsę*, tak łagodną, że do dzisiaj żartowały na ten temat, jakby trojgu naiwnym Angelenos można było serwować wyłącznie zupę pomidorową

Campbella z puszki, która i tak ludziom z Minnesoty czy Wisconsin wydawała się pikantna. Poczul silne ukłucie w sercu na to wspomnienie. Wyjął fotografię z ramki i wsunął ją do tej samej kieszeni, gdzie miał kluczyki. Otworzył szafę, ściągnął z górnej półki granatową nylonową torbę sportową i przeniósł ją na łóżko. Wyjął z niej pistolet, który pamiętał jeszcze jego służbę w brygadzie antyterrorystycznej, kolta model 1911 kalibru 11,43 milimetra, ustawionego i wyregulowanego przez zbrojmistrza jego oddziału. Był wielki i ciężki, ale nadzwyczaj groźny. W magazynku mieściło się tylko siedem nabojów, ale w brygadzie używano tej broni, gdyż masywne pociski zwały z nóg nawet najsilniejszego przeciwnika. Żadna broń mniejszego kalibru nie miała takiej siły rażenia. To był pistolet prawdziwych zabójców.

Wyciągnął pusty magazynek, załadował do niego siedem kul, po czym wsunął na miejsce. Z dna torby wygrzebał czarną nylonową kaburę. Zdjął mundur i przebrał się w dżinsy i tenisówki. Umocował kaburę na pasku i ułożył ją na biodrze, po czym zakrył luźną czarną koszulką. Służbową odznakę także przyczepił do pasa.

Telefon komórkowy, który dostał od Nadzorcy, leżał na biurku. Zapatrzył się na niego. A gdyby teraz zadzwonił? Gdyby porywacz kazał mu natychmiast wdrzeć się do domu Smithów, przez co zginęliby niewinni ludzie? Gdyby podniósł go do ucha i usłyszał paniczne krzyki mordowanej Jane albo Amandy?

Przysiadł na brzegu łóżka, wymyślając sobie w duchu od głupców. Powinien natychmiast zawiadomić zarówno biuro szeryfa, jak i FBI, nie bacząc na to, czy Nadzorca się o tym dowie, czy nie. To byłby najlepszy sposób wybrnięcia z tego galimatiasu, i pewnie by to zrobił, gdyby nie był przeświadczony, że porywacze faktycznie mają informatora w York Estates, więc szybko spełniliby swoje groźby. Obleciał go strach. Łatwo jest mówić, jak należy postąpić, gdy sprawa dotyczy kogo innego. Dlatego nakazał sobie w myślach ostrożność. Pod jednym względem Nadzorca miał rację: panika rzeczywiście zabija. Dokładnie tak głosiło hasło wiszące w korytarzu akademii policyjnych oddziałów specjalnych. Instruktorzy wielokrotnie je powtarzali. Niezależnie od sytuacji trzeba było najpierw myśleć, a potem działać szybko i skutecznie. Bardzo łatwo traci się zdrowy rozsądek, a nic tak nie przyspiesza tego procesu, jak trwoga. Trzeba myśleć.

Wsunął telefon komórkowy Nadzorcy do kieszeni i pojechał do biura.

Departament policji Bristo Camino zajmował dwupiętrowy budynek przy głównym centrum handlowym, w którym mieścił się kiedyś salon zabawkarski. Funkcjonariusze między sobą nazywali go żartobliwie „obórką”. O tej porze parking

centrum handlowego był całkiem pusty, przed wejściem do komendy stał tylko jeden radiowóz, jeśli nie liczyć prywatnych aut ludzi pełniących nocną służbę. Talley zostawił samochód przy krawężniku. Na piętrze znajdowała się pojedyncza cela aresztu, sala odpraw, łazienka oraz szatnia. Najpoważniejszymi przestępcami, jakich tu przetrzymywano, było dwóch szesnastolatków, którzy przyjechali skradzionym porsche aż z Santa Monica, tylko po to, żeby w Bristo roztrzaskać go na palmie. Zazwyczaj cela pełniła funkcję izby wytrzeźwień, w której zamykano pijanych kierowców. Większą część parteru zajmowała dyżurka z masywnym biurkiem oficera dyżurnego za okratowanym kontuarem. Sarah, jeśli tylko nie miała nic do roboty w centrali łączności, często dyżurowała tu sama, chociaż nie była oficerem, nie była nawet policjantką, a jedynie pracownicą cywilną. W głębi mieścił się gabinet Talleya, jednakże jego komputer nie był podłączony do krajowej sieci telekomunikacyjnej służb wymiaru sprawiedliwości. W komendzie był tylko jeden terminal z dostępem do wszystkich baz danych i tylko Sarah miała prawo go obsługiwać.

Siedzący za biurkiem oficera dyżurnego Kenner ze zdumienia zmarszczył brwi na jego widok.

- Hej, szefie. Wydawało mi się, że zgłosił pan siódemkę.

Kod siódmy oznaczał przerwę na posiłek, ale powszechnie był używany także do sygnalizowania zakończenia służby. Talley otworzył furtkę w kontuarze i przeszedł do części służbowej dyżurki, nie patrząc na kolegę. Nie miał ochoty na rozmowę.

- Muszę załatwić pilną sprawę - burknął.

- Co się dzieje wokół barykady?

- Ludzie szeryfa przejęli kontrolę.

Sarah pomachała mu ręką zza centralki łączności. Była emerytowaną nauczycielką z ognistorudymi włosami, która z wielką ochotą wykonywała swoje obowiązki. Talley skinął jej głową, ale nie zatrzymał się jak zwykle, żeby zamienić kilka słów. Podeszedł od razu do komputera podłączonego do sieci krajowej.

- Myślałam., że pojechałeś do domu - zagadnęła Sarah.

- Mam pilną robotę.

- Czy to nie smutne, co spotkało tego chłopca? Co się z nim stanie?

- Wpadłem tylko na krótko, żeby coś sprawdzić w bazie danych. Zaraz wracam na osiedle.

Celowo zachowywał się obcesowo, żeby ją zniechęcić do dalszej rozmowy.

Wprowadził do komputera numer rejestracyjny mustanga, 2KLX561, i uruchomił przeszukiwanie baz Kalifornijskiego Wydziału Pojazdów Motorowych.

- Szefie, i ja chciałbym dostać tam służbę. No, wie pan, przed domem.

Talley spojrzął na Kennera, który stanął nad nim i spoglądał z nadzieją w oczach. Pochylił się, żeby zasłonić ekran przed jego wzrokiem.

- Skontaktuj się z Andersem. Powiedz mu, że zarządziłem rotację i masz następną służbę na osiedlu.

Odwrócił się do komputera.

- Myśli pan, szefie, że mógłbym przejąć któryś posterunek obserwacyjny przy ogrodzeniu?

Talley znowu zasłonił przed nim ekran i obejrzał skrzywiony ze złości.

- Brakuje ci mocniejszych wrażeń? O to chodzi?

Kenner wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Powiedziałem, rozmawiaj z Andersem.

Odprowadził go wzrokiem do stanowiska oficera dyżurnego i dopiero wtedy wrócił do przerwanej pracy. Na ekranie pojawił się już wynik przeszukiwania: numer rejestracyjny 2KLX561 nie był obecnie używany. Talley wpisał imię i nazwisko: Walter Smith, po czym uruchomił sprawdzanie Krajowego Rejestru Osób Karanych, zawężając poszukiwania do białych mężczyzn ze stanów południowego zachodu karanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Komputer wyliczył sto dwadzieścia osiem pozycji. Za dużo. Łatwiej byłoby jeszcze zawęzić poszukiwania, wprowadzając drugie imię Smitha, ale go nie znał. Ograniczył więc przedział czasowy do ostatnich pięciu lat i w efekcie otrzymał trzydzieści jeden pozycji. Przejrzał je pobieżnie. Dwadzieścia jeden osób spośród aresztowanych w tym okresie nadal odsiadywało kary więzienia, a pozostałych dziesięć było zdecydowanie za młodych. Na podstawie danych zgromadzonych w krajowej bazie należałoby uznać Waltera Smitha mieszkającego w York Estates za uczciwego, praworządnego obywatela, tyle że miał on w domu coś, za co inni gotowi byli zabijać.

Talley wyczyścił ekran i zaczął przywoływać z pamięci możliwie najwięcej szczegółów dotyczących kobiety oraz trzech mężczyzn, którzy napadli go na parkingu przed domem. Ona miała ciemne włosy do ramion, jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, była szczupła, ubrana w jasną bluzkę i spódnicę. W mroku nie

dało się spostrzec nic więcej. Wszyscy trzej mężczyźni mieli na sobie eleganckie sportowe kurtki, na głowach kominiarki i byli w rękawiczkach. Nie zauważył żadnych znaków szczególnych. Usiłował sobie przypomnieć, czy w trakcie rozmowy z Jane nie słyszał jakichś hałasów w tle, czegoś, co pomogłoby mu zlokalizować miejsce jej przetrzymywania, ale nic takiego nie wpadło mu do ucha.

Wyjął telefon Nadzorcy, zastanawiając się, czy nie zajrzeć mu pod obudowę. Była to nowiutka czarna nokia. Wskaźnik akumulatorów pokazywał pełne naładowanie. Obleciał go nagle strach, że baterie się rozładują i już nigdy nie usłyszy głosu Jane czy Amandy. Aż wstrząsnął nim dreszcz grozy, odegnał więc od siebie podobne myśli. Telefon był jedynym środkiem łączności z ludźmi, którzy porwali jego żonę i córkę, zatem mógł go do nich doprowadzić. Jeśli Nadzorca dzwonił do człowieka, który ich pilnował, numer powinien się znajdować w pamięci aparatu. Serce zabiło mu mocniej. Wcisnął klawisz powtórnego wybierania numeru, ale nic się nie stało. Sprawdził podręczny spis telefonów, lecz nie było w nim ani jednego zapisu. Myśl! Może to człowiek pilnujący Jane dzwonił do Nadzorcy i można się było z nim skontaktować przez połączenie zwrotne. Pospiesznie wcisnął gwiazdkę, potem 6 i 9. Nic się nie stało. Serce waliło mu coraz mocniej. Miał ochotę roztrzaskać ten cholerny telefon, cisnąć nim o ścianę i zmiażdżyć butem. Myśl, do jasnej cholery! Ktoś przecież musiał kupić ten aparat i płacić rachunki. Talley wyłączył go i włączył z powrotem. Na ekranie ukazał się numer: 555-1367. Miał ochotę skakać pod niebo z radości. Szybko zapisał go na kartce. To był jego jedyny trop.

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie jedyny. Był jeszcze Walter Smith. Na pewno potrafił zidentyfikować tych ludzi, skoro miał w domu to, na czym im zależało. Być może nawet wiedział, gdzie tamci przetrzymywali Jane i Amandę. Smith znał odpowiedzi na wiele pytań. Trzeba było je tylko z niego wydusić.

A wcześniej wyciągnąć z otoczonego przez policję domu.

Na pięć minut przed dotarciem do osiedla zadzwonił do Larry'ego Andersa i kazał mu czekać w pojedynkę przy południowej bramie. Ruch na Flanders Road wyraźnie zelżał, ale tłum ciekawskich wokół wjazdu na teren York Estates znacznie utrudniał przejazd. Talley na krótko włączył syrenę, żeby zrobić sobie wolną drogę, po czym machnął ręką policjantom pilnującym bramy.



Anders zaparkował swój wóz przy krawężniku kilkanaście metrów dalej. Stał za nim i mrugnął światłami. Anders wysiadł, podszedł i pochylił się do otwartego okna. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- O co chodzi, szefie?

- Gdzie jest Metzger?

- Z ludźmi szeryfa, na wypadek, gdyby czegoś potrzebowali. Zrobiłem coś nie tak?

- Wsiadaj.

Odczekał niecierpliwie, aż Anders obejdzie maskę auta i wciśnie się na prawy fotel. Nie był najstarszy wiekiem w komendzie, ale miał najdłuższy staż i najwyższy stopień, cieszył się powszechnym szacunkiem. Talley przypomniał sobie, jak zamaskowany napastnik ostrzegł, że ma swoich ludzi na terenie osiedla, i zaczął się zastanawiać, czy Larry Anders mógłby być jednym z nich. Przypomniał sobie też zdjęcie zamieszczone w „Los Angeles Times”, zrobione tamtego dnia, podczas akcji w przedszkolu, ukazujące Spencera Morgana, człowieka przetrzymującego jako zakładników małe dzieci, stojącego przed wejściem z pistoletem przystawionym do głowy Talleya. Pomyślał o zaufaniu, jakim obdarzył wtedy zaprzyjaźnionego Neala Craimonta, który w tej dramatycznej chwili z ukrycia celował bandycie między oczy.

Anders zmarszczył brwi.

- Matko Boska. Czemu pan tak mi się przygląda, szefie?

- Mam dla ciebie zadanie. Nie wolno ci zdradzić nikomu, czym się zajmujesz, ani Metzger, ani nikomu innemu, także ludziom szeryfa. Absolutnie nikomu. Gdyby cię pytano, powiedz, że poprosiłem o sprawdzenie pewnych informacji, tylko nie mów jakich. Rozumiemy się, Larry?

Zamyślił się na chwilę.

- Chyba tak.

- Nie chcę żadnego wahania. Albo obiecasz, że będziesz trzymał gębę na kłódkę, albo nie. To bardzo ważne.

- Nie chodzi o nic nielegalnego, prawda, szefie? Naprawdę podoba mi się służba w policji. Nie chciałbym się zajmować niczym nielegalnym.

- To policyjna robota, nie żadna fucha. Chcę, żebyś dowiedział się absolutnie wszystkiego na temat Waltera Smitha.

- Właściciela tego domu?

- Podejrzewam, że prowadzi jakąś nielegalną działalność albo jest powiązany z przestępcami. Muszę wiedzieć, o co chodzi. Porozmawiaj z sąsiadami, tylko zachowaj maksymalną ostrożność. Nikomu nie mów, jakich informacji poszukujemy i co podejrzewamy. Postaraj się wyciągnąć absolutnie wszystko, skąd pochodzi, czym się zajmuje, jakich przyjmuje klientów. Spróbuj coś na niego znaleźć. Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy znali jego drugie imię. Gdy skończysz rozmawiać z ludźmi, wracaj do biura i sprawdź jego personalia w krajowym rejestrze skazanych oraz bazie danych FBI. Sprawdziłem wpisy z ostatnich pięciu lat, ale trzeba zapuścić przeszukiwanie z dwudziestu.

Anders odchrząknął. Najwyraźniej czuł się postawiony w kłopotliwej sytuacji.

- Dlaczego mam to robić w tajemnicy przed wszystkimi? Cemu nie można nikomu o tym powiedzieć?

- Bo jak tak zarządziłem, Larry. Mam ku temu ważne powody, tyle że nie mogę ci ich ujawnić w tej chwili. Ufam jednak, że potrafisz dotrzymać słowa.

- Jasne, szefie. Tak jest.

Talley podyktował mu numer czarnej nokii.

- Na początku sprawdź jednak ten numer. Możesz to zrobić telefonicznie, z samochodu. Dowiedz się, na kogo są wystawiane rachunki. Gdyby w centrali zażądali nakazu sędziego, dzwoń do sądu okręgowego w Palmdale. Tam jest całodobowy dyżur sędziowski. Sarah poda ci numer.

Anders spojrzał na swój notatnik.

- Sędzia pewnie będzie chciał wiedzieć, po co nam ten nakaz, prawda?

- Powiesz mu, że naszym zdaniem te informacje mogą zaważyć na życiu lub śmierci jednej z osób przebywających w otoczonej domu.

Anders smutno pokiwał głową, zdając sobie sprawę, że będzie musiał kłamać.

- Dobra.

Talley zamyślił się, próbując sobie przypomnieć, czy jest jeszcze coś, co ułatwiłoby mu identyfikację porywaczy.

- Kiedy wrócisz do biura, sprawdź też w bazach policyjnych, czy nie skradziono ostatnio ciemnozielonego mustanga, model tegoroczny. Prawdopodobnie pochodzi z niedawnej kradzieży, może nawet dzisiejszej.

Anders zapisał to w notesie.

- Nie zna pan numerów rejestracyjnych?

- Już sprawdzałem, były fałszywe. Gdybyś się na coś natknął, zwróć uwagę, skąd go skradziono. Kto zajmuje się poszukiwaniem zezwolenia na budowę osiedla?

- Cooper.

- Popędź go trochę.

- Już późno.

- Gdybyś nawet musiał wyciągnąć miejskiego architekta z łóżka, zrób to. Powiedz, że ludziom z biura szeryfa bardzo zależy na oryginalnych planach architektonicznych. To sprawa życia i śmierci. Musicie stanąć na głowie, żeby się dowiedzieć, kto zbudował ten dom.

- Tak jest.

- Będziesz miał mnóstwo roboty aż do świtu, Larry. To cholernie ważne.

- Nie szkodzi.

- Melduj o wszystkim, co uda ci się znaleźć, bez względu na porę. I nie korzystaj z radia. Dzwonź na moją komórkę. Znasz numer?

- Tak jest.

- No to do roboty.

Talley przyglądał się, jak Anders odjeżdża, powtarzając sobie, że można mu ufać. W końcu złożył los swojej żony i córki w jego rękach.

Zaparkował przed domem pani Peña i podszedł do ruchomego centrum dowodzenia. Tylne drzwi wozu były otwarte, na ulicę padała słaba czerwona poświata palących się wewnątrz świateł. Przy ekspresie do kawy Martin siedziała w towarzystwie Hicksa oraz dowódcy grupy wywiadowczej.

Zapukał w otwarte drzwi i wskoczył do środka. Martin obejrzała się i powitała go zaskakująco szerokim uśmiechem.

- Myślałam, że wrócił pan do domu.

- Przejmuję z powrotem dowodzenie akcją.

Na chwilę zapadła cisza pełna konsternacji. Kapitan błyskawicznie spoważniała i zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. Przecież sam zażądał pan naszej pomocy. Nie mógł się pan doczekać, żeby przekazać mi dowodzenie.

Talley miał gotowe wytłumaczenie.

- To prawda, pani kapitan, ale chodzi o jurysdykcję. Władze miasta zażądały, by akcją kierowała miejscowa policja. Przykro mi, ale musimy się podporządkować tej decyzji. Zatem od tej chwili ja kieruję dalszymi działaniami.

Hicks uderzył się pięścią w kolano.

- To jakaś cholerna pipidówkowa bzdura!

Talley tylko obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Nie wolno podejmować żadnych działań taktycznych bez mojej zgody. Jasne?

Martin wstała, podeszła i zatrzymała się tuż przed nim. Była prawie równa mu wzrostem.

- Wyjdź. Musimy to przedyskutować.

Nie ruszył się. Dobrze wiedział, że zespoły z biura szeryfa dość często muszą działać pod nadzorem władz lokalnych, pełniąc jedynie funkcje doradcze i pomocnicze. Martin zachowywała pełną kontrolę nad swoimi ludźmi, tyle że musiała mu się podporządkować w zakresie kierowania akcją.

- Nie ma o czym rozmawiać, pani kapitan. Nie zamierzam dyktować, jak ma pani wykonywać swoje obowiązki. Potrzebuję was i jestem wdzięczny, że przyjechaliście. Ale to na mnie spoczywa odpowiedzialność za wszystko, co się tu wydarzy, dlatego powtarzam, że nie będzie żadnych działań taktycznych bez mojej zgody.

Już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Popatrzyła mu prosto w oczy. Talley wytrzymał jednak to przenikliwe spojrzenie, chociaż czuł się zakłopotany i przestraszony. Podejrzewał, że ona domyśla się prawdy.

- A jeśli ci idioci stracą panowanie nad sobą? Naprawdę mam wtedy pana szukać i tracić czas, by prosić o zgodę na ratowanie życia zakładników?

Ledwie zdołał dobyć z siebie głosu.

- Nie dojdzie do tego.

- A skąd pan to wie? W każdej chwili może się rozpętać prawdziwe piekło.

Odsunął się o krok. Miał straszną ochotę odwrócić się i zeskoczyć na ulicę.

- Chcę porozmawiać z Maddoksem. Jest na posterunku przed domem?

Martin jeszcze przez chwilę świdrowała go wzrokiem, po czym zapytała cicho:

- Co się stało, szefie? Wygląda na to, że coś pana trapi.

Odwrócił głowę.

- Tak musi być i koniec. Jestem zobowiązany podporządkowywać się decyzjom władz miejskich.

Wciąż mierzyła go uważnym spojrzeniem. Znów się zbliżyła i powiedziała bardzo cicho, żeby Hicks i dowódca grupy wywiadowczej nie słyszeli:

- Maddox opowiadał mi trochę o panu. W czasie służby w Los Angeles był pan w gorącej wodzie kąpany.

- To było dawno temu.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko, choć już nie tak szeroko, jak wcześniej.

- Wcale nie tak dawno.

- Muszę się zobaczyć z Maddoksem.

- Jest na ulicy przed domem. Uprzedzę go, że pan nadchodzi.

- Dziękuję, że nie pogarsza pani bardziej sytuacji.

Jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem i odwróciła się bez słowa.

Maddox i Ellison czekali na niego przy swoim samochodzie stojącym za zakrętem uliczki dojazdowej.

Ellison wyglądał na zaskoczonego.

- Dobrego nigdy za wiele, co, szefie?

- No pewnie. Stawiali jakieś żądania?

Maddox pokręcił głową.

- Cisza. Dzwonimy co piętnaście albo dwadzieścia minut, żeby nie dać im zasnąć, ale poza tym nic się nie dzieje.

- W porządku. Chcę podjechać bliżej.

Maddox otworzył drzwi od strony kierowcy.

- I chcesz przejąć z powrotem funkcję negocjatora?

- Zgadza się. Ruszajmy.

Zanim wsiadł do wozu, sprawdził jeszcze, czy telefon Nadzorca na pewno jest włączony. Podjechali do wylotu alejki prowadzącej do garażu.

## JENNIFER

Jennifer kiwała się na krześle, to zapadając w krótką nerwową drzemkę, to budząc się, zasłuchana w monotonny łoskot krążących nad domem helikopterów i przytłumiony gwar rozmów policjantów na ulicy, z którego nie mogła wyłowić ani słowa. Miała wrażenie, że docierają do niej przez sen. Chociaż leżała na łóżku, na pościeli, było jej strasznie niewygodnie ze związanymi rękami. Poza tym w zamkniętym pokoju zrobiło się tak duszno, że czuła się coraz bardziej oblepiona potem. Ilekroć była bliska zaśnięcia, w gabinecie na dole zaczynał dzwonić telefon, którego natrętny dźwięk napełniał jej głowę niespokojnymi myślami o ojcu i bracie zdolnym przekradać się sobie tylko znanymi przejściami, kręcić się po całym domu i kombinować coś głupiego.

Szybko usiadła na łóżku, gdy otworzyły się drzwi pokoju. W słabym blasku przedostającym się z korytarza ujrzała zwalistą sylwetkę Marsa. Ciarki jej przeszły po plecach, gdy skojarzyła, że swoim gadzim spojrzeniem obrzuca ją leżącą na łóżku. Przekręciła się i spuściła nogi na ziemię.

- Nie możemy uruchomić mikrofalówki - mruknął.
- Co?
- Jesteśmy głodni. Musisz nam coś przygotować.
- Ani mi się śni. We łbach się wam poprzewracało.
- Przygotujesz nam coś do zjedzenia.
- Pieprz się!

Rzuciła to odruchowo, bez zastanowienia.

Mars podszedł bliżej i popatrzył jej w oczy, jak poprzednio, gdy była jeszcze przywiązana do krzesła: najpierw w jedno, potem w drugie. Chciała się odsunąć, ale błyskawicznie złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie. Powtórzył cichutko, ledwie słyszalnie:

- Powiedziałem ci, że to niewłaściwe podejście.
- Puszczaj!

Zacisnął mocniej palce i szarpnął ją za włosy.

- Przestań!

Jeszcze bardziej przyciągnął ją do siebie. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, malowało się na niej tylko coś w rodzaju drobnego zaciekawienia. Ból był

nie do zniesienia. Głowę musiała tak odchyłać do tyłu, że aż zaczęły jej dygotać wszystkie mięśnie.

- Mogę zrobić z tobą wszystko, co zechcę, zła dziewczyno. Nie zapominaj o tym. Więc lepiej się zastanów.

Pchnął ją w stronę drzwi i powlókł korytarzem do schodów. W kuchni paliło się światło, które po długim pobycie w mrocznej sypialni wydało jej się oślepiające. Mars przeciął taśmę, którą miała skrepowane ręce, zerwał ją i zgniótł w kulę. Wcześniej nie widziała jego noża. Był zakrzywiony i ząbkowany na szczycie. Kiedy odwrócił się do lodówki, zerknęła w stronę drzwi na taras, siłą powstrzymując instynktowne pragnienie rzucenia się do ucieczki, mimo że wcześniej odmówiła, choć Thomas bardzo nalegał. Na blacie obok otwartej na oścież kuchenki mikrofalowej leżały dwie mrożone pizze.

- Przygrzej je.

Obejrzała się, ale wciąż stał przy lodówce, zwrócony do niej plecami. Przypomniała sobie o nożyku do jarzyn, który wcześniej ukryła za robotem kuchennym. Zerknęła w tamtą stronę, usiłując go dojrzeć. Kiedy znów spojrzała na Marsa, mierzył ją uważnym wzrokiem, trzymając w rękach kartonowe opakowanie z jajami. Odniosła wrażenie, że potrafi czytać w jej myślach.

- A dla mnie zrób jajecznicę i hot-doga.

- Do pizzy?

- Lubię jajka na maśle z ostrym sosem.

Kiedy zaczęła wyciągać z szafek patelnię, miseczkę i resztę potrzebnych sprzętów, w przejściu stanął Dennis. Miał szkliste, podkrążone oczy.

- Przygotuje nam coś?

- Tak, jajecznicę.

Mruknął z aprobatą, odwrócił się i wyszedł. Mimo woli odprowadziła go w myślach życzeniem rychłej śmierci.

- Kiedy nas wreszcie puścicie?

- Zamknij się. Nikt cię nie prosił, żebyś gadała, tylko przygrzała pizzę.

W pojemniku było dziewięć jajek. Wybiła wszystkie do szklanej miseczki i zapaliła gaz pod patelnią. Nie dodała do jajek ani soli, ani pieprzu. Zależało jej, by smakowały jak najgorzej.

Mars przeszedł do salonu, lecz obserwował ją przez otwarte drzwi.

- Nie gap się tak na mnie, bo przypalę jajecznicę.

Odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia na taras.

Miał ciężki, rozkołysany chód, jakby dźwigał ciężary. Odprowadziwszy go wzrokiem, odetchnęła z ulgą. Roztrzepała jajka, roztopiła na patelni łyżkę masła i wylała jajka na gorący tłuszcz. Wyjęła z lodówki ostry sos chili i zerknęła w kierunku salonu. Mars stał przy drzwiach balkonowych, opierając się prawą ręką o szybę, i wyglądał na zewnątrz. Obficie zlała jajka sosem, aż zrobiły się pomarańczowe. Miała nadzieję, że się nimi strują. Przyszło jej do głowy, że mogłaby dodać prawdziwej trucizny. Matka zażywała tabletki nasenne, poza tym w garażu powinna być trutka na szczury i jakiś środek przeciwko chwastom. Thomas pewnie byłby w stanie zakraść się do sypialni rodziców i wyciągnąć te tabletki nasenne z apteczki. Gdyby musiała szykować następny posiłek, mogłaby je dosypać do jedzenia.

Jeszcze raz zerknęła na Marsa, obawiając się, że naprawdę potrafi czytać w jej myślach i znów nie spuszcza z niej oka. Ale zniknął, chyba przeszedł w drugi koniec salonu. Zaczęła się więc rozglądać za nożem do jarzyn. Leżał na miejscu, jego trzonek wystawał zza obudowy robota kuchennego stojącego na blacie tuż przy kuchni. Po raz kolejny zerknęła przez ramię. Mars wrócił na poprzednie miejsce. W ciemnościach nie mogła dostrzec jego twarzy, a jedynie zwalistą sylwetkę na tle drzwi balkonowych. Niewykluczone, że gapił się na nią. Nie była tego pewna. Podeszła do wiszącej szafki i wyjmując z niej talerze, jednocześnie sięgnęła po nożyk. Nie miała odwagi wyjrzeć do salonu, bała się, że jeśli napotka spojrzenie Marsa, on natychmiast wszystkiego się domyśli. Pospiesznie schowała nożyk pod bluzkę, odciągnęła pasek szortów, wetknęła go pod majtki od kostiumu, układając poziomo, by leżał płasko w dolnej części brzucha.

- Co ty tam robisz?

- Szykuję talerze.

- Przypalasz jajecznicę. Czuję wyraźnie.

Ustawiła talerze na blacie, zdjęła patelnię i zgasiła gaz. Nóż uwierał ją pod brzuchem, ale pocieszała się myślą, że teraz, gdy któryś z nich odwróci się do niej plecami, będzie miała go czym zadźgać.

W gabinecie znowu zadzwonił telefon.



TALLEY

Zespół z biura szeryfa przygotował odrębne połączenie telefoniczne dla negocjatorów. Aparat komórkowy w radiowozie Maddoksa był sprzężony z centralką łączności w wozie dowodzenia połączoną kablem z telefoniczną listwą rozdzielczą w studziencie pod ulicą. Zapewniało to negocjatorom swobodę ruchów, a jednocześnie umożliwiało nagrywanie rozmów w punkcie dowodzenia. Martin, Hicks i wszyscy, którzy w nim przebywali, mogli się przysłuchiwać każdemu słowu. Talleyowi było to nie na rękę.

Wyjął swój aparat, ale zapomniał numeru Smitha i musiał o niego zapytać.

Maddox obrzucił go krytycznym spojrzeniem i mruknął:

- Przecież mamy stałe połączenie.

Talley go zignorował.

- Wolę rozmawiać ze swojego aparatu. Możesz mi podać ten numer?

Ludzie szeryfa nie zmienili rozporządzeń i centrala sieci komórkowej nadal łączyła z numerem Smitha wyłącznie rozmowy z jego telefonu. Ellison podyktował mu numer z notesu, podczas gdy Maddox wciąż obserwował go uważnie. Pewnie obaj myśleli, że zachowuje się dziwnie, ale to nie było jego największe zmartwienie.

- Dlaczego to robisz?

- Co?

- Wracasz ni stąd, ni zowąd i przejmujesz kontakt z obiektem. Każda rozmowa musi mieć jakiś cel. Więc do czego zmierzasz?

Talley przerwał wybieranie numeru, żeby zebrać myśli. Żywił szacunek dla Maddoksa i miał ochotę powiedzieć mu prawdę, ale strach powstrzymywał go przed tym. Chciał dostać Smitha. Tylko to się teraz liczyło. Tajemniczy księgowy był powiązany z ludźmi, którzy więzili jego żonę i córkę. Spojrzał na oświetlony dom, jakby chciał przeniknąć wzrokiem zamknięte masywne drzwi, i znów popatrzył na

Maddoksa. Musiał gorączkowo znaleźć jakieś wytłumaczenie, które przeciągnęłoby negocjatora na jego stronę.

- Boję się, że Smith nie żyje. Sądzę, że zdołam nakłonić Rooneya do wyjawienia prawdy, nie zdradzając, iż mieliśmy kontakt telefoniczny z uwięzionym chłopakiem.

- Gdyby tak było, Rooney i tak nie pisałby słowa na ten temat, a chłopak powiedziałby, że ojciec nie żyje.

- Więc co mamy robić? Chcesz siłą opanować dom?

Maddox uparcie patrzył mu w oczy, dopiero po chwili obejrzał się na barykadę i pokiwał głową.

- W porządku. Dzwon.

Talley wybrał numer i przystawił aparat do ucha. Fronton i boki domu były skąpane w strugach światła reflektorów porozstawianych przez zespół z biura szeryfa, tak jaskrawych, że rozmywających wszelkie kolory i zamieniających teren w czarno-biały. Wydłużone czarne cienie krzaków rosnących na trawniku przed domem upodabniały je do nagrobków na cmentarzu. Rooney odebrał po czwartym sygnale.

- To ty, Talley? Widziałem, że wróciłeś.

Przez długie trzy sekundy nie był w stanie odpowiedzieć. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, teraz jednak potrzebował więcej czasu, żeby uwolnić się od wściekłości i nadać swemu głosowi obojętne, spokojne brzmienie. Nie mógł okazać nawet cienia słabości, która wydałaby się Rooneyowi podejrzana i skłoniła go do wzmożenia czujności.

- Talley?

- Cześć, Dennis. Obserwujesz nas przez okno w gabinecie?

Żaluzje rozchyliły się na krótko i z powrotem zamknęły.

- Widzę, że tak. Stęskniłeś się za mną?

- Nie spodobał mi się ten nowy, Maddox. Uważa mnie za głupka. Dzwoni co piętnaście minut, żeby zapytać, czy wszystko w porządku, i myśli, że nie wiem, iż zależy mu tylko na tym, by nie dać mi zasnąć. Nie jestem idiotą.

Już ta wstępna wymiana zdań sprawiła, że Talley odzyskał wcześniejszy spokój. Poprzednio brzydził się koniecznością rozmowy z bandytą, ale teraz świadomość, że znalazł się w dobrze znanej sytuacji, dodała mu pewności siebie. Był tylko on, telefon i obiekt. Świat się zawęził do rozmiarów stołu, przy którym toczy się słowna gra z przeciwnikiem na drugim końcu linii. Jego samego zaskoczyło to opanowanie,

którego nie doświadczał od lat, powiązane z dogłębnym przecuciem, że jeśli zdoła zachować kontrolę nad tym światem ograniczonym do linii telefonicznej, zdoła ją też przenieść na świat realny. Spojrzał na krążące w górze helikoptery, które po ciemku przypominały mrugające czerwonymi i zielonymi światełkami anioły.

- Wróciłem, ponieważ wyniknął tu spory problem.

Jak należało oczekiwać, Rooney się zawahał, rozmyślając gorączkowo. Talley świetnie wiedział, że to, co chce powiedzieć, na pewno zaskoczy Maddoksa i Ellisona, obejrzał się więc na nich i przytknął palec do warg, po czym stanowczo, zatroskanym głosem, rzucił w ciszę zalegającą na linii:

- Musisz pozwolić mi porozmawiać z panem Smithem.

- Już to przerabialiśmy, Talley. Daruj sobie.

- Tym razem nie mogę sobie darować, Dennis. Ludzie, którzy otoczyli teren, antyterrorysty z biura szeryfa, uważają, że nie chcesz dać do telefonu pana Smitha ani jego dzieci, ponieważ oni nie żyją. Myślą, że zabiliście zakładników.

- Gówno prawda!

Maddox i Ellison poruszyli się niespokojnie, patrząc na niego z uwagą. Talley czuł na sobie ich spojrzenia, ale starał się nie zwracać na to uwagi.

- Jeśli nie pozwolisz mi porozmawiać z panem Smithem, będą zakładać, że on naprawdę nie żyje, i rozpoczną przygotowania do szturm na dom.

Rooney zaczął przeklinać i wrzeszczeć, że w takim razie wszyscy zginą, a dom spłonie. Talley spodziewał się takiej reakcji i spokojnie dał mu się wykrzyzczyć.

Maddox chwycił go za rękę.

- Co ty wygadujesz, do cholery?! Nie wolno ci posuwać się tak daleko.

Talley podniósł rękę i odsunął go od siebie. Czekał cierpliwie, aż Rooney odzyska panowanie nad sobą.

- Dennis? Posłuchaj mnie. Ja mogę ci wierzyć na słowo, ale oni nie chcą. To już nie zależy ode mnie, synu. Ja ci wierzę. Ale dopóki nie dostanę konkretnego dowodu na to, żeby ich przekonać, będą planować szturm. Dlatego lepiej daj mi z nim porozmawiać.

Podejmował olbrzymie ryzyko. Jeśli Smith był przytomny i mógł rozmawiać, nic nie stało na przeszkodzie, żeby Rooney dał go do telefonu. Gdyby tak się stało, Talley mógłby go zapytać wprost o ludzi, którzy go napadli, chociaż nie wierzył, że uzyskałby jasną odpowiedź. Dlatego też pokładał nadzieję, że mężczyzna rzeczywiście

jest nieprzytomny. Gdyby zaś Rooney przyznał otwarcie, że tak jest, należało podjąć próbę uwolnienia zakładnika i oddania go pod opiekę lekarską.

- Mam w dupie i ciebie, i ich! - wrzasnął Rooney. - Jeśli spróbujecie dostać się tu siłą, dzieciaki zginą!

- Pozwól mi z nim porozmawiać, Dennis. Proszę. Jeśli nie zdołam ich przekonać, że on żyje, przystąpię do szturmu.

- Kurwa mać!

W głosie Rooneya brzmiała skrajna frustracja. Talley spokojnie czekał. Na jakiś czas zapadła cisza, oznaczająca, że Dennis się zastanawia. Nie mógł dać Smitha do aparatu, ale jednocześnie bał się przyznać, że mężczyzna jest ranny. Talleya zaczęło ogarniać podniecenie, musiał je maskować. Starając się przybrać ton łagodny, pełen współczucia, rzekł:

- Czyżby coś tam się stało? Jest jakiś powód, dla którego nie pozwalasz mi porozmawiać ze Smithem?

W słuchawce panowała cisza.

- Powiedz coś, Dennis.

Minęła prawie cała minuta, zanim w końcu nadeszła odpowiedź:

- Jest nieprzytomny. Nie może się ocknąć.

Talley wolał nie pytać, jak do tego doszło, bo Rooney musiałby się tłumaczyć, a tego należało unikać. Ale zagadka się wyjaśniła, można więc było podjąć próbę wyciągnięcia Smitha. Maddox, wciąż bacznie mu się przyglądając, pytająco uniośł brwi. Przynął więc ruchem głowy, odkładając szersze wyjaśnienia na później.

- Mówisz więc, że pan Smith jest tylko nieprzytomny. W porządku. Cieszę się, że to powiedziałeś, Dennis. To wiele wyjaśnia. Spróbujmy teraz znaleźć wyjście z tej sytuacji.

- Lepiej, żeby oni nie próbowali nas atakować. Oni! A nie wy!

- Sądzę, że da się to załatwić. Czy mamy do czynienia z poważnym urazem głowy? Nie pytam, jak to się stało, tylko czy z panem Smithem jest bardzo źle.

- To był wypadek.

- Czy on jeszcze oddycha?

- Tak, ale jest całkiem zimny. Nie może mówić.

Talley postanowił, że może przenieść rozmowę na wyższy poziom. Musiał znaleźć sposób na to, żeby dostać się do środka albo wyciągnąć stamtąd Smitha.

- Teraz już rozumiem, Dennis, dlaczego nie chciałeś dać go do telefonu. Ale wynika stąd, że przetrzymujesz człowieka, który powinien jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Pozwól mi go zabrać.

- Wybij to sobie ze łba! Dobrze wiem, co knujecie, łobuzy. Chcecie siłą opanować dom.

Rooney był przerażony. Zżerał go śmiertelny strach.

- Mylisz się. Nic takiego nie zrobimy.

- Odpieprz się, Talley! Nie pozwolę ci tu wejść!

Postanowił mocniej przycisnąć. Powinien zaproponować, żeby Dennis wpuścił lekarza czy choćby tylko sanitariusza, ale nie chciał, by ktokolwiek obcy wchodził do domu przed nim. Musiał więc sam wyciągnąć stamtąd Waltera Smitha.

- Jeśli nie chcesz nikogo wpuścić do środka, wystarczy, że wyniesiecie rannego na zewnątrz, za drzwi.

- Nie jestem głupi! Nie mam zamiaru wychylać nosa z domu, gdy na ulicy snajperzy tylko czekają na taką okazję!

Talley złowił kątem oka, że Maddox i Ellison wymienili między sobą kilka zdań. Chwilę później za jego plecami zatrzeszczało radio w samochodzie Maddoksa i negocjator zażądał, by podstawiono bliżej karetkę.

- Nikt nie będzie do ciebie strzelał. Po prostu wyniesiecie pana Smitha z domu, a my go zabierzemy sprzed drzwi. Jeśli ocalisz mu życie, będzie to kolejny element przemawiający na twoją korzyść przed sądem.

- Nie!

- Przecież to nic wielkiego. Wyniesiecie go przed dom.

- Nie! - rzucił Rooney podniesionym głosem.

- Uratuj go.

- Nie! - wrzasnął jeszcze głośniej.

- Pozwól sobie pomóc.

Dennis cisnął słuchawkę na widelki.

- Dennis?

Cisza. Połączenie zostało przerwane.

- Dennis?!

Maddox i Ellison patrzyli na niego w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- I co?

Talleyowi przemknęło przez myśl, że był już tak blisko, ale za szybko chciał osiągnąć cel. Za mocno naciskał i dlatego mu się nie udało.

DENNIS

Dennis cisnął słuchawkę na widełki, ale zaraz ją podniósł i z impetem trzasnął nią o biurko.

- To kutas! Pieprzony palant! Chciał mnie wystawić snajperom!

Ogarniała go niepokonowana wściekłość, puls łomotał w skroniach. Kevin przedefilował przed telewizorem z rękoma skrzyżowanymi na piersi, demonstracyjnie okazując zdenerwowanie. Podszedł do kanapy i popatrzył na leżącego Waltera Smitha.

- Powinniśmy go im oddać. Coraz gorzej z nim.

- W dupie to mam! Nie dali nam helikoptera, prawda?

- Co to ma wspólnego? Tylko mu się przyjrzyj, Dennis! Chyba ma atak konwulsji.

Smith wciąż leżał sztywny jak trup, lecz nagle silne drgawki wstrząsnęły całym jego ciałem, jakby zatrząsł się z zimna. Dennis nie mógł na to patrzeć.

- A skąd ty możesz wiedzieć, że to konwulsje? Nie odróżniłbyś ich od wrzodu na dupie.

- Sam popatrz. To chyba wstrząs mózgu.

Dennis rozchylił żaluzje i zerknął przez okno. Na zewnątrz wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak poprzednio. Od dłuższego czasu nic się nie zmieniło. Uliczka była zastawiona radiowozami, przy których kręcili się gliniarze. Z godziny na godzinę było ich chyba coraz więcej. Bał się przyznać bratu, że diabelnie się boi. Do tego był głodny i zmęczony, a intensywny smród benzyny dolatujący z holu przyprawiał go o mdłości. Kieszenie spodni miał powypychane paczkami banknotów.

Kevin podszedł do niego.

- Dennis, on umiera. I tak jest kiepsko, że postrzeliliśmy tamtego Chińczyka i gliniarza przed domem. Jak ten facet umrze, będziemy mieli na sumieniu trzecie morderstwo.

- Zamknij się wreszcie! Jezus, Maria...

- Powinniśmy porozmawiać z adwokatem, jak radził ten glina. Potrzebujemy adwokata, żeby się jakoś dogadać. Możemy zwalić całą winę na Marsa.

- Ciesz się, że tego nie słyszał.

- Mam to gdzieś, czy słyszał, czy nie!

- Uspokój się, Kevin. Cały czas nad tym myślę. Muszę tylko coś zjeść. I chciałbym trochę odpocząć. Na pewno coś wymyślimy. Ta dziewczyna już szykuje kolację.

- Jak możesz teraz myśleć o żarciu?! Mnie się chce rzygać!

- Widziałem w łazience fiolkę gaviscomu. Weź kilka tabletek.

- I chce mi się spać.

- Mógłbyś zamknąć wreszcie gębę, do cholery?! Jak cię wpakują do więzienia, będziesz spokojnie przespiać każdą noc do końca życia!

Świetnie wiedział, że Kevin ma rację, ale odpędzał od siebie tę myśl. W każdym planie, jaki dotąd obmyślił, były ogromne luki, a teraz jeszcze gliniarze grozili wyważeniem drzwi. Walter Smith znowu szarpnął się i zadygotał konwulsyjnie. Można było odnieść wrażenie, że powoli zamarza na śmierć, gdyż trząsał się tak, jakby leżał na lodzie, a nie na kanapie. Dennis poczuł, jak ze strachu łyzy cisną mu się do oczu. Miał walizkę wypakowaną milionem dolarów, ale zupełnie nie wiedział, co dalej robić.

Kiedy Mars i dziewczyna wnieśli do gabinetu podgrzaną pizzę, przyszło mu do głowy, że gdy coś zje, łatwiej będzie mu zebrać myśli. Ale gdy Jennifer ujrzała, w jakim stanie jest jej ojciec, upuściła pizzę na podłogę i podbiegła do kanapy.

- Co mu jest?! Tato!

Dennis pomyślał, że za chwilę głowa mu pęknie. Jennifer uklękła i pochyliła się nad ojcem, ale nie miała odwagi go dotknąć.

- Tylko popatrz, jakie ma drgawki! Dlaczego tak się trzęsie? Nie zamierzasz mu jakoś pomóc?

Kevin wydał wargi, robiąc minę cykora.

- Jemu naprawdę jest potrzebny lekarz.

Dennis miał ochotę walnąć brata w łeb.

- Nie.

Dziewczyna spojrzała na niego i wrzasnęła:

- Jest zimny jak lód! Nie widzisz tego? Nie rozumiesz, że on umiera?!

Kevin podszedł bliżej i popatrzył na brata błagalnym wzrokiem.

- Proszę, Dennis. Jeśli on umrze, zostaniemy oskarżeni o jeszcze jedno morderstwo. I tak mamy dość na sumieniu.

Dennis był coraz bardziej przerażony. Wcale nie chciał, żeby ten sukinsyn tu skończył. Nie chciał być oskarżony o kolejne zabójstwo.

Kevin podniósł słuchawkę.

- Zadzwoń do nich. Niech go zabiorą.

- Nie.

- Zyskasz w oczach policji, jeśli zgodzisz się mu pomóc. Może nawet wpłynie to na skrócenie wyroku. Zastanów się, Dennis. Przemyśl to. - Podszedł jeszcze bliżej i dodał błagalnym szeptem: - Jak antyterrorysty wyważą drzwi, nie będziesz miał szans, żeby wyjść stąd z forsą.

Dennis zerknął na Marsa, który siedział na podłodze z talerzykiem jajecznicy na kolanach, otoczony kawałkami pizzy, i spokojnie zajadał. Kiedy pochwycił jego spojrzenie, jak zwykle uśmiechnął się tajemniczo, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że uważa go za tchórza, któremu brak odwagi, żeby rozegrać sprawę twardo, po męsku.

Pieprzony Mars. .

A Dennisowi zależało na pieniądzach.

Wziął od brata słuchawkę i wybrał numer Talleya.

TALLEY

Talley podłączył swój aparat komórkowy do gniazdka zapalniczki w radiowozie Maddoksa, żeby go naładować, kiedy rozległ się dzwonek. Poczł ukłucie strachu, pomyślawszy w pierwszej chwili, że dzwoni nokia Nadzorcy.

- To twój telefon - rzekł Maddox.



Włączył go.

- Talley.

- Dobra, Talley - odezwał się Rooney. - Możesz go zabrać, jeśli chcesz. Ale tylko ty sam.

Jeszcze chwilę wcześniej ogarnęły go czarne myśli, że to koniec, że zawalił okazję wyciągnięcia Smitha, ale oto Dennis godził się wypuścić rannego. Talley poczuł się, jakby zmartwychwstał. Wciąż miał szansę uwolnienia Jane i Amandy!

Klęknął na siedzeniu i wyjrzał nad dachem auta. Szybko wyłączył mikrofon i syknął do Maddoksa:

- Ściągnij karetkę. Wypuszczą go.

- Sukinsyn - mruknął Ellison.

Maddox pospiesznie sięgnął po krótkofalówkę. Talley ponownie włączył telefon.

- W porządku, Dennis. Jestem gotów. Uzgodnijmy plan działania.

- Nie ma czego uzgadniać, do cholery. Chodź tu i zabierz go. Tylko trzymaj resztę gliniarzy z dala od domu. To mój warunek.

- Nie dam rady sam go wynieść. Muszę wziąć kogoś do pomocy.

- Pieprzony łgarz! Zależy ci tylko na tym, żeby mnie załatwić!

- To nieprawda, Dennis. Możesz mi zaufać. Będę tylko ja i drugi człowiek z noszami. To wszystko.

- Pieprz się, Talley! Słyszysz? Niech cię szlag trafi! Dobra! Ty i ktoś drugi, ale nikt poza tym! I macie się rozebrać! Słyszysz? Chcę, żebyście byli w samych gaciach, żebym widział, że nie macie broni!

Talley spojrział na Maddoksa i palcem zakręcił młynka w powietrzu, pokazując mu na migi, że karetka będzie potrzebna jak najszybciej.

- W porządku, Dennis. Zrobimy tak, jak sobie życzysz.

- Masz trzymać całą resztę z dala od domu. To mój warunek. Jasne? Przyjmujesz go?

- Tak, przyjmuję.

- Przysięgam na Boga, że jeśli te łobuzy będą coś kombinować, zabiję dzieciaki! Wszyscy zginiemy!

- Tylko spokojnie. Działajmy zgodnie z ustaleniami, a nikt nie zginie.

- Niech cię szlag!

Połączenie zostało przerwane. Trzask odkładanej słuchawki zabrzmiał w uszach Talleya niczym wystrzał.

Jeszcze raz popatrzył na dom. Dopiero po paru sekundach opuścił telefon. Panował nad drżeniem rąk, ale ucho go piekło od kurczowego przyciskania aparatu. Koszulkę miał mokrą od potu, a kolt wetknięty za pasek wpijał mu się w brzuch. Czuł się odrętwiały.

Maddox przyglądał mu się z uwagą. Ellison powtórzył z uśmiechem:

- Sukinsyn.. Udało ci się. Wspaniała robota, chłopie. W białych rękawiczkach.

Odwrócił się bez słowa i wysiadł. Rozebrał się na tylnym siedzeniu, został w samych bokserkach i butach. Czekając na przyjazd karetki, pomyślał, że w poprzednim wcieleniu pewnie byłby z siebie dumny, ale teraz nie czuł nawet cienia dumy. Bo nie robił tego wszystkiego dla dobra Waltera Smitha. Ryzykował i jego życie, i swoje, a pewnie także dwojga dzieci pozostających w domu. Robił to wyłącznie dla siebie, dla Amandy i Jane.

## TALLEY

Martin kręciła się wokół nich jak wściekła osa. Przyjechała przed dom karetką razem z doktorem Klausem z pełniącego ostry dyżur szpitala okręgowego Canyon Country.

- Włóż kamizelkę kuloodporną. Zapnij ją na nagim ciele. I tak będą widzieli, że nie masz broni.

- Postawił warunek, że mamy być w samych gaciach. Nie chcę zawieść jego zaufania.

Klaus był młodym, szczupłym mężczyzną, nosił okulary w czarnej oprawce. Przedstawił się i uściśnął mu dłoń na powitanie.

- Podobno oprócz poważnego urazu głowy jest niebezpieczeństwo ran postrzałowych.

- Miejmy nadzieję, że nie, doktorze.

Zakłopotany Klaus uśmiechnął się boleśnie.

- Chyba wypadło na mnie, bo przez dwa lata pracowałem w szpitalu Martina Luthera Kinga w dzielnicy południowo-centralnej. Nie takie rzeczy się tam widziało.

Jeden z sanitariuszy, barczysty i gruby Bigelow, zgodził się na ochotnika pójść z Talleyem. Śmiesznie wyglądał, gdy wyszedł zza karetki tylko w pasiastych bokserkach, rozczłapanych szpitalnych tenisówkach i czarnych podkolanówkach. Jego koleżanka z ekipy, Colby, przyniosła nosze.

- Gotowi? - zapytał Talley.

- Tak jest. Możemy ruszać.

Martin była poirytowana.

- Wiesz, jaką głupotą z twojej strony było przejście takich warunków. Służyłeś w brygadzie antyterrorystycznej.

Powinieneś pamiętać, że nigdy nie należy bez jakiegokolwiek zabezpieczenia wychodzić na otwartą przestrzeń. Może to się skończyć dwoma kolejnymi trupami.

- Wiem.

Wolał jej nie przypominać akcji w przedszkolu. Zawinał kolta w bawełnianą koszulkę i razem z resztą ubrań zostawił na tylnym siedzeniu wozu Maddoksa, po czym dołączył do Bigelowa. Chciał załatwić sprawę, zanim Rooney zmieni zdanie.

Ze swojego telefonu połączył się z numerem Smitha. Dennis odebrał już po pierwszym sygnale.

- W porządku. Możecie go wynieść przed dom. Jesteśmy rozebrani, więc zobaczycie, że nie mamy przy sobie broni. Zaczekamy na podjeździe. Nie zbliżymy się do drzwi, dopóki nie zamkniecie ich za sobą.

Rooney bez słowa odłożył słuchawkę.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Martin. - Ludzie z grupy uderzeniowej powinni wynieść stamtąd rannego.

Talley zlekceważył ją i spojrzał na Bigelowa.

- Ruszamy. Ja pójdę przodem i zajmę pozycję od strony drzwi. Kiedy ułożymy go na noszach, po prostu się odwrócimy i je podniesiemy. W ten sposób ja będę z tyłu, plecami do budynku. Zgoda?

- Nie musi pan tego robić.

- Wszystko będzie dobrze.

Obeszli maskę samochodu i wkroczyli na jaskrawo oświetlony teren. Talley poczuł się tak, jakby wychodził zza kurtyny na środek sceny. Zerknął przez ramię. Na uliczce dostrzegł kilka niewyraźnych mglistych sylwetek ludzi, które szybko zniknęły mu z oczu. Zatrzymali się na środku podjazdu. Czuł strach bijący od Bigelowa, któremu widocznie zapadło w pamięć to, co powiedziała Martin.

- Wszystko będzie w porządku - powtórzył.

- Tak, jasne. Jestem tego pewien.

- Będziemy głupio wyglądać na zdjęciach w gazetach.

Sanitariusz uśmiechnął się nerwowo.

Talley nie spuszczał oczu z domu. Najpierw rozchyliły się żaluzje, jakby zaspany olbrzym rzucił okiem spod powiek. To musiał być Rooney, który sprawdzał, czy są w samej białiznie i bez broni. Chwilę później uchyliły się drzwi najpierw na centymetr, potem szerzej. Talley niemalże czuł napięcie emanujące od policjantów

zebranych za wozami na ulicy. Ucichły odgłosy kroków, nikt nie odchrząknął ani nie zakasłał. Monotonny terkot jednego z helikopterów w górze nagle zmienił natężenie, strumień dodatkowego światła z reflektora przesunął się po frontonie domu. Dennis Rooney nie wychylił jednak nosa na dwór. Zamiast niego w drzwiach pojawili się Kevin i Mars Krupchek, którzy wytaszczyli Smitha na zewnątrz, położyli go na podjeździe jakieś dwa metry od drzwi i zniknęli z powrotem w środku.

- Dobra. Do roboty.

Talley podszedł do nieprzytomnego. Był to nierzucający się w oczy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w koszulkę polo, wytarte dżinsy, na nogach miał kapcie. A jednak nieznani ludzie gotowi byli zamordować Jane i Amandę za coś, co miał w swoim domu. Rozległa rana na skroni była widoczna z daleka.

- Proszę mnie przepuścić bliżej niego - mruknął Bigelow.

Talley odsunął się, pozwalając sanitariuszowi rozstawić nosze i zaklinować wsporniki. Miał wielką ochotę obejrzeć się i popatrzeć na okno za plecami, wolał tego jednak nie robić. Przyglądał się więc Smithowi, próbując wypatrzeć pierwsze oznaki powrotu do przytomności. Ale stan mężczyzny budził poważne obawy. Wstrząsały nim silne drgawki, które jak gdyby rozchodziły się od klatki piersiowej na wszystkie strony. Talley pomyślał z przerażeniem, że mężczyzna może na dłużej pozostać w śpiączce.

- Jak to wygląda?

Bigelow odchylił powiekę rannego, poświecił mu ołówkową latarką w źrenicę i mruknął z dezaprobatą. - To na pewno coś poważnego.

Przytknął Smithowi palce do szyi, żeby wyczuć tętno, ale musiało być w normie, gdyż uśmiechnął się lekko i rzekł:

- Dobra. Zabieramy go. Nie będę mu unieruchamiał karku. Chwyć go pod ramiona, podtrzymując głowę, a pan niech weźmie pod kolanami za biodra. Na pewno okaże się cięższy, niż można by sądzić, więc proszę uważać. Na trzy. Raz, dwa, trzy...

Przenieśli Smitha na nosze. Bigelow zaczął zapinać pas mocujący przez pierś, lecz Talley go powstrzymał.

- To zbędne. Zabierajmy go stąd, póki to jeszcze możliwe.

Dźwignęli nosze i ruszyli podjazdem w kierunku świateł bijących z ulicy. Za pierwszym wozem natychmiast otoczyli ich ubrani na czarno policjanci z grupy Hicksa. Podbiegł Klaus i od razu warknął na Bigelowa:

- Dlaczego ten człowiek nie jest unieruchomiony?
- Nic nie wskazuje na uraz części szyjnej kręgosłupa.
- Do diabła, i tak trzeba mu było założyć szyny.

Colby przejęła nosze od Talleya, by razem z Bigelowem wstawić je do karetki. Ellison przyniósł mu ubranie i Talley zaczął wciągać spodnie, nie spuszczać z oczu Smitha ładowanego do auta. Razem z Klausem wskoczył do środka.

- Muszę z nim porozmawiać.
- Nie tak szybko.

Klaus, który wcześniej sprawiał wrażenie zawstydzonego i zagubionego, teraz pewnie i energicznie przystąpił do działania. Odchylił jedną powiekę Smitha i poświecił mu w oko, dokładnie tak samo jak Bigelow, po czym zajrzał pod drugą powiekę.

- Źrenice nierówne i rozszerzone - rzekł. - W najlepszym razie to tylko silne zamroczenie, ale trudno wykluczyć poważne wstrząśnienie mózgu. Oprócz prześwietlenia trzeba będzie zrobić tomografię komputerową, żeby postawić diagnozę.

- Proszę go ocucić. Muszę z nim porozmawiać.

Klaus nawet nie podniósł głowy, mierząc puls pacjenta.

- Nawet nie zamierzam próbować go cucić.
- Wystarczy mi parę minut rozmowy. Tylko dlatego podjąłem ryzyko i go stamtąd wyniosłem.

Klaus założył stetoskop i zaczął osłuchiwać Smitha.

- Trzeba go natychmiast zawieźć do szpitala. To może być wylew podczaszkowy albo pęknięcie czaszki, może nawet jedno i drugie. Istnieje niebezpieczeństwo wylewu krwi do mózgu, a wtedy byłoby bardzo źle.

Talley pochylił się obok lekarza, chwycił nieprzytomnego za szczękę i lekko potrząsnął jego głową.

- Smith! Ocknij się!

Klaus złapał go za rękę i próbował odepchnąć.

- Co pan wyrabia, do cholery?! Proszę go zostawić!

Talley mocniej potrząsnął głową Smitha.

- Ocknij się, do diabła!

Mężczyzna zatrzepotał powiekami i nieco otworzył jedno oko. Patrzył nim jednak wprost przed siebie, toteż Talley pochylił się niżej. Odniósł wrażenie, że Smith spojrział na niego.

- Kim jesteś? - zapytał szybko.

Klaus jeszcze raz próbował go odepchnąć.

- Zostaw go, sukinsynu! Mogę wnieść przeciwko tobie oskarżenie!

Smith z powrotem zamknął oko. Talley złapał Klausa za rękę i przyciągnął, chcąc mu pokazać, że pacjent odzyskuje przytomność.

- Proszę użyć soli trzeźwiących czy zastosować jakikolwiek inny sposób. Muszę z nim zamienić parę słów.

Colby uruchomiła silnik. Talley huknął pięścią w ściankę karetki i wrzasnął:

- Nie waż się ruszyć tej budy z miejsca!

Klaus i Bigelow popatrzyli na niego jak na wariata. Doktor powoli przeniósł spojrzenie na dłoń Talleya zaciśniętą kurczowo na jego rękę.

- Powtarzam, że nie zamierzam go cucić. Nawet nie mam pojęcia, jak miałbym to zrobić. Więc proszę mnie puścić.

- Od tego może zależeć życie innych ludzi. Niewinnych ludzi. Chcę mu tylko zadać parę pytań.

- Proszę mnie puścić!

Talley zmierzył Klausa ostrym spojrzeniem, z wściekłości omal nie zgrzytając zębami. Kark mu zeszywniał. Wciąż kurczowo zaciskał palce na ręku lekarza, myśląc o pistolecie ukrytym w koszulce.

- Tylko jedno pytanie. Proszę.

Doktor odwzajemnił mu się równie bezlitosnym spojrzeniem.

- Przecież on nie odpowie na żadne pytania.

Talley przeniósł wzrok na leżącego bez ruchu Smitha. Nie mógł zrezygnować, był tak blisko.

Klaus znowu popatrzył na jego palce, lecz Talley tylko zacisnął je mocniej.

- Proszę mnie puścić, do pioruna. Musimy jechać do szpitala.

Martin przyglądała się temu bacznie zza otwartych drzwi karetki. Za nią stali Ellison i Metzger. Talley w końcu puścił rękę lekarza.

- Kiedy odzyska przytomność?

- Nie wiem, czy w ogóle ją odzyska. W przypadkach krwawienia podczaszkowego ciśnienie krwi w głowie może wzrosnąć do tego stopnia, że stanie się przyczyną obumarcia mózgu. Na razie niczego nie można wyrokować. A teraz proszę wysiąść albo zająć miejsce w szoferce, musimy jechać.

Talley jeszcze raz spojrzął na Smitha, walcząc z poczuciem bezsilności. Wyskoczył z ambulansu i odciągnął Metzger na bok.

- Kto tu jeszcze został? Na kogo z naszych ludzi mogę liczyć?

- Na pewno jest Jorgy, może także Campbell...

- W takim razie niech Jorgenson przejmie twoje zadania. Ty nie odstępуй rannego na krok. Masz mnie powiadomić co do sekundy, kiedy odzyska świadomość. Powtarzam, co do sekundy.

Metzger odwróciła się i zaczęła przez radio wywoływać Jorgensona.

Talley zawrócił do radiowozu Maddoksa po resztę swoich rzeczy. Kłuło go w sercu. Był wściekły i załamany. Zaryzykował wszystko, ale i tak nie dowiedział się niczego od Smitha. Nikt nie mógł z niego niczego wyciągnąć. Popatrzył jeszcze na dom skąpany w blasku reflektorów, ale tu nie miał już nic do roboty.

Poczuł rosnącą w duszy nienawiść do Dennisa Rooneya, miał ochotę go zabić.

Obejrzał się. Martin nadal bacznie się temu przyglądała. Nic go to nie obchodziło.

## DENNIS

Wszystko wydawało mu się nierzeczywiste: Talley i ten drugi facet w samych gaciach, taszczący Smitha na noszach; sanitariusze ładujący go do karetki; snopy światła reflektorów telewizyjnych śmigłowców przecinające się w powietrzu niczym gigantyczne szable walczących szermierzy. Teren wokół domu był tak jasno oświetlony, że wszelkie barwy rozmywały się w tym blasku; gliniarze na ulicy przypominali szare cienie, karetka zdawała się jasnoróżowa, asfalt był niebieski. Przyglądał się, jak karetka, lawirując, powoli odjeżdża zastawioną autami ulicą. Nie mógł się uwolnić od myśli, że on także powinien odjechać tą karetką - postawić Talleyowi ostrzejsze warunki, zabrać walizkę z forszą, taśmą samoprzylepną przymocować pistolet z jednej strony sobie do ręki, z drugiej do głowy Smitha, a



później porwać samochód i ruszyć na południe, w kierunku granicy. Dlaczego zwykle tak jest, że najlepsze pomysły przychodzą człowiekowi do głowy po fakcie?

Mars stanął obok niego i obrzucił go takim samym wzrokiem, jakim patrzył na pracujących Meksykanów, wzrokiem, który mówił: mogę cię przejrzeć na wylot; wiem, o czym myślisz; nie masz przede mną żadnych tajemnic.

- Zabiliby cię, jak tylko byś wsiadł do karetki. Lepiej, że tu zostałeś.

Zerknął na niego z ukosa, odwrócił się i odszedł, wściekły, że jego myśli są tak bardzo czytelne. Mars coraz bardziej naprzykrzał mu się niczym wrzód na tyłku. Dennis usiadł w fotelu przy biurku Smitha i położył na nim nogi.

- Siedzenie tutaj zaczyna mnie wkurzać. Może tobie się to podoba, Mars, ale ja cholernie chciałbym się stąd wynieść. Zyskaliśmy trochę czasu, więc trzeba go wykorzystać na znalezienie wyjścia. Macie jakiś pomysł?

Przeniósł wzrok z Marsa na Kevina, ale żaden z nich się nie odezwał.

- Cudownie. Po prostu kurewsko cudownie. Gdyby któryś zdecydował się mi pomóc, raczcie mnie o tym zawiadomić.

Odwrócił głowę, popatrzył na dziewczynę i rozłożył ręce.

- Teraz w porządku? Twój stary pojechał do szpitala. Cieszysz się?

- Dziękuję.

- Zdycham z głodu. Wracaj do kuchni i przygotuj jeszcze coś do żarcia. Tylko teraz nie wywal wszystkiego na podłogę. I zaparz kawę, mocną. Musimy być na chodzie całą noc.

Mars wziął Jennifer za rękę i pociągnął do kuchni. Odprowadzając ich wzrokiem, Dennis zauważył, że Kevin uważnie mu się przygląda.

- Czego?

- Nie wyjdziemy już stąd.

- Na miłość boską! Błagam!

- Marsa i mnie forsa nie obchodzi. Tylko ty nie chcesz się z nią rozstać i dlatego wciąż tu jesteśmy. Nie ma żadnego sposobu, żebyś ją stąd wyniósł. Jesteśmy otoczeni. Pokazują nas w pieprzonej telewizji. Mamy przesrane.

Dennis tak szybko poderwał się z fotela, że Kevin aż odskoczył do tyłu. Miał po dziurki w nosie wiecznego pesymizmu brata.

- Mamy przesrane, dopóki nie znajdziemy stąd wyjścia, kretynie! Wtedy będziemy już tylko bogaci!

Energicznie obszedł biurko i ruszył do salonu. W powietrzu wisiał tu duszący smród benzyny stojącej w wiadrze w holu, ale on musiał się napić. Ten pokój podobał mu się najbardziej. Ciemna boazeria i obite skórą meble sprawiały, że czuł się otoczony luksusem, jak w lobby ekskluzywnego hotelu. Sam bar był wyjątkowo piękny. Okucia z klepanej blachy miedzianej połyskującej szlachetną czerwienią sprawiały wrażenie tysiącletnich. Stożące na półkach kryształowe szklanki i kieliszki oraz naczynia z nierdzewnej stali rozsiewały setki odblasków. Dennis wyszukał butelkę czystej wódki, Stolicznej, wybrał szklaneczkę z ciemnego szkła i wsypał do niej garść kostek lodu z podręcznej lodówki. Pierwszą porcję wychylił prawie duszkiem, po czym wyszedł zza baru i usiadł przed nim na wysokim stołku. Wyjął z kieszeni paczkę banknotów studolarowych, wyciągnął jeden spod opaski i zamaszystym gestem położył na kontuarze.

- Reszty nie trzeba - mruknął.

Wypił pozostałą wódkę ze szklanki, uradowany tym, że pali go w gardle, grzeje w brzuchu i szybko zaczyna iść do głowy. Nalał sobie drugą porcję. Ostry zapach alkoholu drażnił w nosie, aż łzy napłynęły mu do oczu. Potarł je palcami, ale łzawienie tylko się nasiliło.

Zajmowali dwupokojowe mieszkanie nad stacją obsługi Exxonu. On miał wtedy jedenaście lat, Kevin był dwa lata młodszy. Zostali sami z matką, Flo Rooney. Nie wiedział, ile miała lat. Nie wiedział tego do dzisiaj. Ojciec, Frank Rooney, odszedł wiele lat wcześniej. Był prostakiem, mechanikiem naprawiającym skrzynie biegów. Nigdy nie płacił na utrzymanie dzieci. Zresztą nie byli małżeństwem, żyli w konkubinacie.

Dennis popychał brata w stronę drzwi sypialni. Kevin miał oczy wielkie jak spodki, niemal wyłaziły mu z orbit, i opierał się, bo był śmiertelnie przerażony. Powinni już dawno obaj spać. W mieszkaniu było ciemno.

- No, idź. Robią to.

- Nie chcę. Przestań.

- Co, nie słyszysz? Robią to najwstrętniejsze. Idź, zobacz.

Dennis nawet nie potrafił spamiętać, ile razy się przeprowadzali. W jednym mieszkaniu byli tylko tydzień czy dwa, w innym cały rok. Ale zawsze były to obskurne

nory z zaplamionymi sufitami i przeciekającymi kiblami. Flo Rooney zwykle znajdowała jakąś pracę, czasami nawet dwie, ale często nie miała żadnej. Zawsze brakowało im pieniędzy. Była niska i gruba, podobna do kuli bilardowej z krótkimi serdelkowatymi nogami i pryszczami na całym ciele. Zapijała się ginem i wiecznie śmierdziało od niej noxzemą<sup>3</sup>. Kiedy za dużo wypila i popadała w zły humor, zaczynała rozpaczać, że nie ma dość pieniędzy, by ich porządnie wychować, że powinna ich oddać do sierocińca. Kevin zawsze wybuchał wtedy płaczem, ale Dennis tylko modlił się w duchu: „Tak, proszę, oddaj mnie do tego cholernego sierocińca”. Zawsze chodziło tylko o pieniądze.

Mocniej pchnął brata w kierunku drzwi pokoju matki. Obaj starali się być cicho, ponieważ była z mężczyzną, którego przyprowadziła z baru. W jednym miesiącu pracowała jako kelnerka, w następnym chwytala się innego zajęcia, ale zawsze przyprowadzała mężczyzn do domu. Nazywała ich swoimi „drobnymi przyjemnościami”. Dennis w myślach nazywał ich pijakami.

- Nie chcesz zobaczyć, jak to robią?

- Nie!

- Przecież mówiłeś, że chcesz zobaczyć! Tylko posłuchaj, co on jej robi!

- Przestań, Dennis! Boję się!

W powietrzu zawsze czuć było kwaśny męski pot i zapach seksu, za to Dennis najbardziej nienawidził matki. Był zazdrosny, że poświęca mężczyznom tak dużo czasu, i czuł się upokorzony tym, co pozwalała im ze sobą robić i co sama im robi. Wstydził się tego, ale zarazem bardzo go to podniecało. Jej pojękiwania i stłumione krzyki przyciągały jego uwagę.

Jeszcze raz pchnął Kevina, teraz już delikatniej.

- No, idź. Będiesz wiedział.

I Kevin poszedł, podkradł się na palcach do drzwi. Dennis obserwował go z tapczanu. Nie umiał powiedzieć, czemu tak bardzo chciał, żeby brat też to zobaczył. Może pragnął w nim wzbudzić nienawiść, którą sam odczuwał. Kiedy ojciec odszedł, a Flo wychodziła do pracy, musiał się o niego troszczyć, szykować mu śniadanie i wyprawiać go do szkoły, a po południu przyprowadzać do domu i robić obiad. Uważał, że skoro musi pełnić rolę ojca i matki Kevina, w domu nie ma już miejsca dla innego mężczyzny. A może po prostu chciał w ten sposób poniżyć matkę?

---

<sup>3</sup> Popularny antybakteryjny krem przeciwtrądzikowy (przyp. tłum.).

Kevin stanął przy drzwiach i spojrział przez szparę. Dennis domyślał się, co się dzieje w sypialni, gdyż słyszał, jak facet tłumaczy Flo, co ma robić. Jak zawsze nie zadała sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi.

Kevin przyglądał się przez jakiś czas, wreszcie otworzył szerzej drzwi i stanął w przejściu.

- Kev! - przywołał go głośnym szeptem.

Ale Kevin chlipnął raz i drugi, po czym zaczął płakać. Z głębi sypialni doleciał okrzyk faceta:

- Jasna cholera! Wynocha stąd!

Kevin cofnął się niepewnie, ale w przejściu stanął obcy facet, całkiem nagi, z wielkim, sterczącym, wilgotnym członkiem. W rękę trzymał swoje dzinsy.

- Zaraz cię oduczę podglądania, gówniarzu!

Był wielki i barczysty, z mocno owłosionymi, czarnymi łapskami, tatuażami na ramionach i wydatnym obwisłym brzuchem. Oczy miał zaczerwienione od alkoholu i prochów. Wyciągnął ze szlufek dzinsów szeroki skórzany pasek i machnąwszy nim w powietrzu, ruszył za Kevinem. W powietrzu świsnęła masywna, owalna, mosiężna sprzączka z wielkim turkusowym kamieniem. Kevin dziko wrzasnął, trafiony nią w plecy.

Dennis z całym impetem rzucił się na intruza. Zaczął na oślep zadawać ciosy, które nie robiły na nim żadnego wrażenia. Odskoczył, kiedy dostał pasem, ale to nie wystarczyło. Razy spadały na niego jeden za drugim, tak długo, dopóki nie zabrakło mu łez.

Matka nawet nie wyjrzała z pokoju. Czekwała cierpliwie, aż mężczyzna do niej wróci. Był przecież jej „drobną przyjemnością”.

- Dennis?

Pospiesznie otarł łzy i zsunął się ze stołka.

- Cicho bądź. Przecież nie wyjdę stąd sam, dopóki nie wymyślę sposobu na wyniesienie forsy.

Wrócił do gabinetu i odłączył telefon. Nie było sensu rozmawiać z gliniarzami, dopóki nie miał pojęcia, co im powiedzieć. Bardzo zależało mu na pieniądzach.

## KEN SEYMORE

Wóz telewizyjny kanału ósmego stał na skraju pustego parkingu. Dyżurnym reporterem był bardzo przystojny młody chłopak, najwyżej dwudziestosześcioletni, który przechwalał się wszystkim swoim dyplomem Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Co i rusz wtrącał różne mądre powiedzonka mające świadczyć o jego erudycji, które Seymore traktował jak dęte bzdury. Przez cały wieczór dziennikarze zebrani wokół osiedla uskarżali się na brak toalety. Miejscowi gliniarze obiecywali sprowadzić przenośną, ale do tej pory tego nie zrobili.

Zapytał reportera, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby poszedł za furgonetkę wypuścić jaszczurkę na spacer.

Chłopak zaśmiał się głośno i odparł, że oczywiście może, tylko niech uważa, bo mogą tu grasować zawodowi łowcy jaszczurek. Palant. Seymore pomyślał, że zapewne należy do tych, którzy w barze zamawiają czekoladowe martini.

Wysiadł z wozu, obszedł go i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, pospiesznie zaaplikował sobie podwójną działkę hery. Od razu uderzyła mu do głowy jak gwałtowny powiew zimnego powietrza. Oczy go zapiekły, ale dzięki temu zdołał odegnąć senność. Wcześniej już dwukrotnie otrzeźwiał się w ten sposób, zresztą nie tylko on stosował podobne metody. Zwrócił uwagę, że azjatycka piękność ze zgrabną dupcią także od czasu do czasu daje nura do swojego samochodu i wyciąga ze skrytki elegancki zestaw do zażywania białego proszku. Ona również miała w nosie bliską obecność gliniarzy i kolegów po fachu.

Kiedy wyszedł z auta, jego reporter rozmawiał z producentem i kamerzystą kanału ósmego, byczkiem o szerokich muskularnych barach. Obaj wyglądali na podekscytowanych.

- Dzięki, kolego - rzucił, podchodząc bliżej.

- Nie ma sprawy. Słyszałeś? Policja wyciągnęła jednego z zakładników.

Seymore zastygł w pół kroku.

- Naprawdę?

- Podobno właściciela domu. Jest ranny.

Ledwie doleciało ich wycie syreny, od razu rozpoznali sygnał karetki. Wszyscy kamerzyści czuwający pod murem osiedla rzucili się do bramy, mając nadzieję na

sensacyjne ujęcia, ale karetka musiał opuścić teren z drugiej strony. Odgłos syreny nagle zaczął cichnąć, oddalać się, wreszcie umilkł.

W tej samej chwili zadzwonił telefon Seymore'a. Odwrócił się od pozostałych i odchodząc, włączył aparat i odpowiedział ściszym głosem, w którym mimo jego starań dało się słyszeć irytację. Rozmówca nawet się nie przedstawił, ale nie było takiej potrzeby. Od razu wyskoczył ostro:

- Dlaczego, do jasnej cholery, muszę się o wszystkim dowiadywać z radia?! Na miłość boską, przecież wywieźli stamtąd pierdolonego Smitha, a ja dowiaduję się o tym ostatni!

- Myślisz, że mogę dzwonić o każdej porze i w dowolnym momencie? Dokoła kręci się kupa ludzi, muszę zachowywać ostrożność.

- Dobra. Jasne. Powiedz mi, czy zaczął gadać. W radiu mówili, że jest ranny.

- Nie wiem. Nie mogłem się do niego zbliżyć.

- Miał przy sobie dyskietki? Może był na tyle przytomny, żeby je zabrać?

- Nie wiem.

Seymore był coraz bardziej poirytowany. Tego typu wpadki innych bardzo drogo kosztowały.

- Więc kto miałby to wiedzieć jak nie ty, do jasnej cholery?! Za co ci płacę?

- Wiozą go do szpitala okręgowego Canyon Country. Odpieprz się.

Połączenie zostało przerwane.

Seymore nie chciał tracić czasu, by dać upust swojej wściekłości. Od razu wybrał numer Glena Howella.

**Część trzecia**

**GŁOWA**

*Piątek, 23.36*  
*Pearblossom, Kalifornia*

## MIKKELSON I DREYER

Było już bardzo późno, gdy Mikkelson i Dreyer odnaleźli przyczepę mieszkalną Krupcheka, dziesięciometrowy zdezelowany caravan, zaparkowany na samym końcu bocznej brukowanej drogi w pobliżu Pearblossom, miasteczka sadowników i robotników najemnych położonego wśród łagodnych zboczy otaczających dolinę Antelope Valley. Kiedy po długich poszukiwaniach zatrzymali wreszcie przy niej wóz, Mikkelson mruknęła, że na tym cholernym bezludnym zadupiu przyczepa wygląda jak pustynna ropucha czekająca na owada.

Dreyer włączył szperacz umocowany przed prawymi drzwiami i skierował na przyczepę strumień światła. Spod grubej warstwy kurzu miejscami wyłaniał się niebieski lakier, gdzie indziej plamy rdzy.

Z natury ostrożniejszy, zapytał niepewnie:

- Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać na ludzi z Palmdale?

Mikkelson, która aż się paliła, żeby wejść do środka, odparła:

- Po co mamy zawracać sobie głowę i niepotrzebnie tracić czas? Nie musimy na nic czekać. Zostaw zapalony reflektor.

Brukowana droga, przy której stała przyczepa Krupcheka, biegła dnem płytkiego wąwozu między niewysokimi wzniesieniami. Nie było ulicznych latarni, telewizji kablowej, bieżącej wody. Dociągnięto tylko prąd i linię telefoniczną. Po zachodzie słońca panowały tu nieprzeniknione ciemności.

Mikkelson pierwsza wygramoliła się z auta. Była wysoka i mocno zbudowana, zawsze prowadziła wóz, tłumacząc, że robi jej się niedobrze, gdy Dreyer siada za kierownicą. On, drobny i kościsty, wyskoczył z drugiej strony, pospiesznie obszedł maskę i stanął przy niej. Żwir chrzęścił pod stopami. Oboje uzbrojeni w mocne latarki stali jeszcze przez jakiś czas, w nerwowym napięciu spoglądając na przyczepę.



- Myślisz, że ktoś jest w środku?

- Zaraz się przekonamy.

- To jego samochód?

- Sprawdzimy numery rejestracyjne, ale najpierw rozejrzyjmy się w przyczepie.

Stojąca obok toyota camry, która pamiętała jeszcze lata osiemdziesiąte, była tak samo grubo pokryta kurzem i przeżarta rdzą jak przyczepa.

Przybyli na miejsce późno, gdyż wcześniej odwiedzili mieszkanie braci Rooneyów, gdzie musieli się najpierw użerać z marudnym gospodarzem domu, a potem z szurniętą sąsiadką mieszkającą nad nimi, głupią krową, która bez przerwy się dopytywała, czy pokażą ją w dzienniku telewizyjnym. Mikkelson miała ochotę dzielić ją w łeb. Kiedy wreszcie dojechali do Pearblossom, okazało się, że odnalezienie przyczepy po ciemku wcale nie jest łatwe, ponieważ większość brukowanych uliczek w miasteczku w ogóle nie ma nazw. Musieli się więc zatrzymywać i pytać mieszkańców o drogę. Na szczęście trafili w końcu do domu Meksykanina z Zacatecas, stajennego w posiadłości jakiejś bogatej kobiety, który znał mieszkającego w pobliżu Krupcheka i wskazał im miejsce, gdzie stoi jego przyczepa. Kiedy zaczęli wypytywać drobnego ruchliwego mężczyznę o sąsiada, z domu wysypała się szóstka czy siódemka jego dzieci i równie drobna ruchliwa żona. Meksykanin powiedział, że Krupchek stroni od ludzi, nie hałasuje i nie przysparza żadnych kłopotów. Miał z nim okazję rozmawiać tylko raz, gdy ktoś podrzucił na werandę ich domu serce wyrzeźbione z kości zwierzęcej. Poszedł z nim wieczorem do sąsiada, żeby zapytać, czy to jego sprawka. Ale Krupchek nie przyznał się i zamknął mu drzwi przed nosem. Meksykanin nic więcej nie wiedział.

- Chodźmy - mruknęła Mikkelson.

Zbliżyli się do przyczepy i powoli przeszli wzdłuż niej, bacznie się przyglądając. Wyglądało na to, że nie mają ochoty nawet tknąć jej palcem, jakby czegoś się obawiali.

- Jak chcesz się dostać do środka? - zapytał Dreyer. - Mamy szukać klucza czy jak?

- Nie wiem.

Zawczasu ściągnęli nakaz rewizji, tylko nie mieli jak jej przeprowadzić, bo w przyczepie nikogo nie było. O tym nie pomyśleli.

Mikkelson załomotała latarką w drzwi i zawołała:

- Jest tu ktoś? Policja.

Nikt nie odpowiedział. Zawołała jeszcze raz i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Przyjrzała się zamkowi, który sprawiał solidniejsze wrażenie, niż można by z pozoru sądzić.

- Chyba da się je wyważyć.

- Może lepiej poszukajmy właściciela terenu i każmy mu otworzyć.

Meksykanin powiedział, że cały ten wąwóz należy do niejakiego Brennerta, który przyszykował stanowiska dla przyczep i wynajmował miejsca, głównie robotnikom sezonowym.

- Cholera, to zajmie kupę czasu. Proponuję wyważyć te diabelne drzwi i na nic się nie oglądać.

Dreyer jak zwykle zrobił kwaśną minę.

- Wolałbym później nie płacić za zniszczenie czyjejś własności.

- Przecież mamy sądowy nakaz, za nic nie będziemy musieli płacić.

- Dobrze wiesz, że ten łobuz może nas zaskarżyć. Mam na myśli Brennerta, nie Krupcheka. Wiesz, jacy są ludzie.

- A, do diabła z tym.

Dreyer zawsze tak marudził. Przerażała go myśl, że ktoś poda go do sądu. Ciągle mówił o tym, jak w obecnych czasach ludzie zaskarżają policjantów na lewo i prawo tylko za to, że wypełniają swoje obowiązki. Snuł nawet plany przepisania wszystkiego, co się da, na żonę, by uchronić majątek przed ewentualnymi zakusami adwokatów.

Mikkelson wyciągnęła z bagażnika łyżkę do opon, wsunęła ostry koniec w szczelinę drzwi na wysokości zamka i napała na nią ramieniem. Musiała powtórzyć to kilkakrotnie, gdyż zamek rzeczywiście był solidniejszy, niż na to wyglądał. Wreszcie go wyważyła.

Ze środka buchnął smród gnijących jarzyn.

- Jezu. Czy on tu nigdy nie sprząta?

Mikkelson ciekawie zajrzała do przyczepy. Była z siebie dumna, gdyż po raz pierwszy włamywała się do czyjegoś mieszkania, czując się do tego w pełni uprawniona, i sprawiało jej to ogromną satysfakcję.

- Jest tu ktoś? Puk, puk, puk. To wasz uroczy przyjacielski patrol policyjny.

- Nie wygłupiaj się.

- Spokojnie. Przecież nikogo nie ma.

Wymacała kontakt, zapaliła światło i weszła do przyczepy. Ciasna, zaśmiecona przestrzeń mieszkalna była zastawiona starymi poobijanymi gratami w bliżej nieokreślonym kolorze. Od blaszanych ścian było jeszcze skumulowane w ciągu dnia ciepło.

- W porządku - bąknął Dreyer. - I co dalej?

Ale on zauważył to pierwszy, ledwie zajrzał do kuchni.

- Matko Boska! - jęknął. - Tylko popatrz!

Pewnie wybuchnęliby śmiechem, gdyby nie było tego aż tak dużo. Widok kilku lub kilkunastu pustych pudełek Mikkelson skwitowałaby jakąś ironiczną uwagą, ale ich stopy robiły przytłaczające wrażenie, a nasuwający się wniosek o obłądzie gospodarza przyprawiał o ciarki. Dopiero później technicy z grupy dochodzeniowej z biura szeryfa mieli je przeliczyć. W ciasnej kuchni znajdowało się dokładnie siedemset szesnaście opakowań po płatkach Count Chocula<sup>4</sup> - pustych, starannie poskładanych i spłaszczonych, powiązanych sznurkiem, poustawianych na podłodze pod ścianami, na blatach i szafkach w wysokie kolumny. Każde pudełko zostało okaleczone dokładnie w taki sam sposób, wydrukowany na nim wampir Chocula miał na czubku nosa poczerniałą, wypaloną papierosem skazę. Jeszcze później śledczy mieli zrozumieć przyczynę powstania tych śladów.

Dreyer, który najwyraźniej nie wyciągnął z tego żadnych wniosków, zapytał ze złośliwym uśmieszkiem:

- Myślisz, że liczy na jakąś nagrodę za zebranie aż tylu opakowań?

- Włóż rękawiczki.

- Co?

- Rękawiczki. Musimy zachować ostrożność.

- Przecież to tylko pudełka po płatkach, na miłość boską!

- Włóż rękawiczki i nie gadaj.

- Myślisz, że on je wszystkie zjadł?

- Co?

- Te płatki. Sądzisz, że je zjadł? A może tylko kupował i wyrzucał, żeby mieć pudełka? Na pewno skusił się na jakiś promocyjny konkurs z nagrodami.

---

<sup>4</sup> Popularne w USA, zwłaszcza wśród dzieci, czekoladowe płatki śniadaniowe sprzedawane w kartonowych pudełkach z rysunkiem uśmiechniętego wampirka (przyp. tłum.).

Przyczepa była podzielona na trzy części. Na prawo od wejścia znajdowała się kuchnia, środkową część zajmował salonik, po lewej była sypialnia. Wszędzie panował straszny bałagan, walały się śmieci, bezpłatne gazety, opakowania po batonikach, brudne ciuchy, puszki po piwie. Większą część przedziału kuchennego zajmował nieduży zlew, kuchenka elektryczna i średniej wielkości lodówka.

Ignorując ciche spekulacje Dreyera, Mikkelson poszła do sypialni, wciągając po drodze jednorazowe winylowe rękawiczki. Postanowiła znaleźć źródło przykrego zapachu. Zatrzymała się w przejściu, zapaliła latarkę i powiodła strumieniem światła po zaplamionej, zsuniętej na kupę pościeli, gazetach oraz ubraniach porzrzucanych na podłodze i słojach pod ścianą.

- Dreyer? Chyba musimy o tym zameldować.

Po chwili zjawił się obok niej i także poświecił latarką w głąb pomieszczenia. - Cholera. Co to jest? - mruknął stłumionym głosem.

Mikkelson weszła nieco głębiej i wyciągnęła latarkę przed siebie. Były to duże trzylitrowe słoje, chyba po ogórkach konserwowych. Ciągnęły się rzędem wzdłuż ściany pod oknem zamkniętym na głucho, żeby świeże powietrze nie przedostało się do środka. W wypełniającej je żółtej cieczy coś pływało. W niektórych słojach ciemne kształty były poupychane tak ciasno, że prawie nie było w nich płynu.

- Jasna cholera. To chyba szczury.

- Matko Boska.

Mikkelson kucnęła, żeby się lepiej przyjrzeć. Z trudem opanowywała chęć zakrycia dłonią ust. Miała ochotę włożyć maskę gazową czy w jakikolwiek inny sposób zabezpieczyć się przed wdychaniem zatrutego powietrza.

- Nie, do pioruna. To wiewiórki. Kolekcjonował martwe wiewiórki.

- Do diabła. Idę zameldować o tym.

Dreyer odwrócił się i wyszedł. Przez otwarte drzwi przyczepy doleciały trzaski z jego krótkofalówki.

Mikkelson cofnęła się do przejścia i obrzuciła wzrokiem salonik, zastanawiając się, co robić. Powinna przejrzeć rzeczy osobiste Krupcheka, poszukać dokumentów tożsamości, notesu z telefonami najbliższej rodziny, wszystkiego, co mogłoby pomóc Talleyowi kierującemu akcją przy barykadzie. Powoli wróciła do kuchni, rozglądając się za telefonem i układając w myślach plan poszukiwań.

Znalazła go szybko, podeszła do blatu, ale jej wzrok przykuł piekarnik kuchenki. Jak miała później zeznać, kierowała się niejasnym przeczuciem, że to wszystko musi się ułożyć w jakąś logiczną całość: dokuczliwy fetor, wiewiórki w słojach i przypalone papierosami pudełka. Zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby miała skoczyć do lodowatej wody, i szybko otworzyła piekarnik.

Był po brzegi wypchany dalszymi pudełkami po płatkach Count Chocula.

Zaśmiała się z siebie. A czego ty się spodziewałaś, głupia?

Rozluźniona, zaczęła kolejno zaglądać do szafek. Wszystkie były wypakowane pudełkami, tak samo przypalonymi papierosem i powiązаныmi sznurkiem. Wróciła do telefonu, ale znów się zawahała i po krótkim namyśle popatrzyła na lodówkę.

- Idziesz wreszcie? - zawołał przez drzwi Dreyer.

- Za chwilę.

- Kazali nam tu zaczekać na przyjazd ekipy dochodzeniowej z biura szeryfa

- Dreyer?

- Co?

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że lodówka przypomina ustawioną w pionie trumnę?

- Jezus, Maria. Może jednak lepiej wyjdź stamtąd.

Drzwi lodówki otworzyły się bezszelestnie, ukazując puste i dziwnie czyste wnętrze w porównaniu z resztą pomieszczeń. W środku nie było absolutnie niczego, żadnych napojów, puszek z piwem czy resztek jedzenia. Białe ścianki sprawiały wrażenie wyszorowanych do połysku. Jak Mikkelson miała później zeznać, była to najczystsza rzecz w całej przyczepie.

W górnej części znajdowała się dorobiona z blachy osłona z drzwiczkami, tworząca wokół wymiennika ciepła prowizoryczny zamrażalnik. Bez zastanowienia otworzyła drzwiczki i zajrzała do środka. W pierwszej chwili pomyślała, że to zamrożona główka sałaty owinięta folią i zapakowana w hermetyczny woreczek plastikowy. Ale kiedy się dokładniej przyjrzała, błyskawicznie zamknęła drzwiczki i nakazała sobie w duchu nigdy więcej, pod żadnym pozorem nawet nie zbliżać się do lodówki.

Wyszła na dwór i głęboko odetchnęła rozgrzanym nocnym powietrzem. Bez słowa stanęła, obok Dreyera, by razem z nim zaczekać na śledczych z biura szeryfa. W głowie kołatała jej się tylko jedna myśl: Niech oni sami się tym zajmą.

*Piątek, 23.40*  
*Santa Clarita, Kalifornia*

GLEN HOWELL

Howell wynajął trzy pokoje w Comfort Inn, wszystkie na parterze w tylnej części budynku, z oddzielnymi wyjściami. W pierwszym Marion Clewes pilnował kobiety i dziewczynki, którym związał ręce i nogi oraz pozaklejał taśmą usta i oczy. Howell zajrzał tam, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, po czym wrócił do swojego pokoju, chociaż wypełniał go intensywny, niezbyt przyjemny zapach nowej wykładziny podłogowej i środków czyszczących. Ale wolał już to niż przebywanie w towarzystwie Clewesa.

Siedział na łóżku, kiedy zadzwonił Ken Seymore. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi na wiadomość, że Walter Smith został uwolniony i wywieziony z domu.

- Gliny wkroczyły do środka? Co się tam dzieje, do jasnej cholery?!

- Nikt nie wszedł, tylko zabrano Smitha.

- Po prostu wyszedł stamtąd?

- Wynieśli go. Jest ogłuszony. Jeden z tych kutasów musiał go walnąć czymś ciężkim. Odwieźli go karetką.

Howell przez chwilę usiłował zebrać myśli. Jeśli Smitha zabrali, a dzieciaki zostały w domu same, sytuacja mogła się jeszcze bardziej skomplikować. Ale Smith w szpitalu, gdzie z pewnością musiał być naszprycowany różnymi świństwami, przedstawiał sobą dodatkowy problem.

- Wynieśli coś poza nim?

- W wiadomościach nie było na ten temat ani słowa. Howell rozłączył się, natychmiast zadzwonił do informacji i poprosił o numer telefonu oraz adres szpitala okręgowego Canyon Country. Później połączył się ze szpitalem i zapytał, któredy się tam dostać z autostrady. Sprawdził lokalizację szpitala i podany dojazd na planie, wreszcie z aparatu komórkowego zadzwonił do Palm Springs.

Odebrał Phil Tuzee. Howell przedstawił mu najświeższe wiadomości i czekał niecierpliwie, aż Tuzee przedyskutuje pewne sprawy z pozostałymi. Po dłuższym czasie słuchawkę przejął Sonny Benza.

- Cholernie źle się stało, Glen.

- Tak, wiem.

- Smith ma przy sobie dyskietki?

- Tego nie wiem. Dowiedziałem się o całej historii dopiero dwie minuty temu. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Chcę wysłać kogoś do szpitala.

- Dowiedz się, czy ma dyskietki, i sprawdź, czy już z kimś rozmawiał. Byłoby niedobrze, gdyby zaczął gadać. Jego dzieciaki nadal są w domu?

- Tak.

- Szlag by to trafił.

Howell świetnie wiedział, że wszyscy teraz myślą o tym samym: zdesperowany facet w celu ratowania dzieci mógł puścić farbę.

- Podobno został ogłuszony na dobre - rzekł, siląc się na optymistyczny ton. - Nie wiem niczego na pewno, Sonny, lecz jeśli wciąż jest nieprzytomny, to nie mógł zacząć gadać. Wśród dziennikarzy krążą wieści, że doznał poważnego urazu głowy i pewnie ma wstrząs mózgu. Wynikałoby stąd, że facet jest w śpiączce.

- Nie zawracaj mi głowy żadnymi niesprawdzonymi informacjami. Podcieram sobie tyłek plotkami. Lepiej się spręż, pogoń swoich ludzi i zajmijcie się tą sprawą.

- Jesteśmy gotowi.

- Te kutasy pewnie wypuściły go dlatego, że jest ranny. Może dopisze nam szczęście i ten palant się przekręci.

- Talley ich namówił, żeby go wypuścili.

- Wiesz co, Glen? Wydaje mi się, że wcale nie jesteście tacy gotowi, jak mówisz. Wygląda na to, że pieprzycie wszystko, do czego się weźmiecie. Chcesz, żebym sam tam przyjechał?

- To zupełnie zbędne, Sonny. Panuję nad sytuacją.

- Chcę mieć z powrotem te przekłete dyskietki!

- Tak jest.

- I nie chcę, żeby Smith kimkolwiek gadał. Zrozumiano?

- Tak, oczywiście.

- Na pewno wiesz, o czym mówię?

- Tak, wiem.

- W porządku.

Benza odłożył słuchawkę. Howell pomyślał, że tylko czekali na taką właśnie decyzję. Odwrócił się do aparatu hotelowego i zadzwonił pod numer trzeciego pokoju.

- Chodźcie tutaj. Mam dla was robotę.



## TALLEY

Talley spojrzął na zegarek, po czym wyjął nokię Nadzorcy i sprawdził stan naładowania akumulatorów. Po głowie tłukła mu się szalona myśl, żeby przystawić pistolet do głowy lekarza i zmusić go, by ocucił Smitha. Tylko od niego mógł się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi i kto więzi jego żonę i córkę. Krążył nerwowo po uliczce przed domem, rozmyślając na przemian to o Amandzie i Jane, to znów o Rooneyu. Znowu zostawił negocjacje w rękach Maddoksa i Ellisona, ale Dennis uparcie nie odbierał telefonów, jakby po prostu wyłączył aparat. Talley przeczuwał, że próbuje obmyślić jakiś plan, nie umiał jednak zgadnąć, do czego zmierza.

Kiedy usłyszał sygnał, znowu sięgnął najpierw po czarną nokię, ale i tym razem dzwonił jego telefon.

- Szefie? - odezwał się Larry Anders. - Możemy porozmawiać?

Mówił półgłosem, jakby bardzo mu zależało, żeby nikt inny go nie słyszał. Talley mimo woli odpowiedział równie cicho, chociaż nikogo w pobliżu nie było:

- Mów, Larry.

- Jestem z Cooperem w biurze architekta okręgowego. Ależ ten facet się wściekł. W ogóle nie chciał wyjść z domu.

Talley wyciągnął notatnik.

- Najpierw powiedz, czy udało ci się sprawdzić ten numer telefonu. Wiesz już, do kogo należy?

- Tak. Musiałem w tej sprawie uruchomić oficjalne znajomości, bo numer jest zastrzeżony i w centrali sieci komórkowej nie chcieli mi podać żadnych informacji.

Te „oficjalne znajomości” oznaczały, że Anders skontaktował się z sędzią okręgowym i wyciągnął od niego nakaz ujawnienia poufnych danych.

- Rozumiem.

- Telefon jest zarejestrowany na firmę Rohiprani Bakmanifelsu i spółka. To wytwórca biżuterii z Beverly Hills. Chce pan, żebym się z nimi skontaktował?

- Nie trzeba. To ślepa uliczka.

Od razu się domyślił, że telefon był skradziony albo miał wpisany do pamięci fikcyjny numer. Skoro Bakmanifelsu nie zażądał jego dezaktywacji, oznaczało to, że nikt jeszcze nie wie o pirackiej aktywności obciążającej rachunek firmy, czyli że nastąpiło to już po zakończeniu poprzedniego okresu rozliczeniowego.

- A co z mustangiem?

- Nic. Sprawdziłem wszystkie zgłoszenia kradzieży najnowszego modelu z ostatnich dwóch lat. W sumie zginęło szesnaście takich aut, z których żadnego dotąd nie odnaleziono, ale żadne też nie było zielone.

- Czy któreś skradziono dzisiaj?

- Nie. Nawet w ostatnim miesiącu nie było takiego wypadku.

Zatem to również była droga donikąd.

- W porządku. Więc co z tym zezwoleniem na budowę?

- Do tej pory jeszcze nie udało się go znaleźć, ale być może wcale nie będzie potrzebne. Architekt zna inwestora, który zaplanował York Estates. To niejaki Clive Briggs. Wcześniej na tym terenie był tylko sad awokado.

- Rozumiem.

- Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon. Powiedział, że wykonawca, który stawiał dom Smithów, prawdopodobnie siedzi w Terminal Island.

Chodziło o więzienie federalne w San Pedro.

- Co to znaczy: prawdopodobnie?

- Briggs nie był tego pewien, ale dobrze zapamiętał przedsiębiorcę. Facet nazywa się Lloyd Cunz. Zapamiętał go, ponieważ tak bardzo mu się podobała robota i staranne wykończenie budynku, że chciał go zatrudnić przy budowie innego osiedla, ale Cunz odmówił. Tłumaczył się, że prowadzi firmę budowlaną w Palm Springs i tylko wyjątkowo podjął się wykonawstwa w innej okolicy.

- Ściągnęli murarzy aż z Palm Springs?

- Nie tylko murarzy, ale całą ekipę, betoniarzy, hydraulików, elektryków, nawet cieśli. Nie zatrudnili nikogo z miejscowych. Cunz tłumaczył, że to dlatego, by zapewnić odpowiednio wysoką jakość robót. Trzy lata później Briggs znowu chciał

nając Cunza i dowiedział się, że firma już nie istnieje, a jej szef został aresztowany i skazany za szantaże i wymuszenia.

Talley świetnie wiedział, że żaden wykonawca nie ściągałby z tak daleka całej ekipy budowlanej, chyba że miał postawić coś, co powinno zostać tajemnicą dla miejscowej ludności. Domyślał się już, do czego to wszystko prowadzi. Mieli do czynienia z przestępczością zorganizowaną.

- Sprawdziłeś już tego Cunza w rejestrze skazanych?

- Nie, jestem jeszcze w biurze architekta.

- Jak tylko wrócisz na komendę, sprawdź to nazwisko. Ciekawe, co z tego wyniknie.

- Podejrzewa pan, że chodzi tu o przestępczość zorganizowaną, prawda?

- Zgadza się, Larry. Dokładnie tak myślę. Informuj mnie, jeśli jeszcze na coś trafisz.

- Nie powiem nikomu innemu.

- Bardzo dobrze. Niech to zostanie między nami.

Talley wyłączył telefon i popatrzył w głąb uliczki. Był prawie pewien, że Walter Smith należał do jakiejś grupy przestępczej. Niewykluczone, że Nadzorca był jego współnikiem, a zapisy na dyskietkach mogły stać się materiałem dowodowym przeciwko nim. Czuł się pod tak silną presją, że miał wrażenie, jakby w jego piersi wciąż się powiększał powoli nadmuchiwany balon. Zdawał sobie sprawę, że traci kontrolę nad sytuacją, i był świadom, do czego to doprowadzi. Po przybyciu fałszywych agentów FBI miał jeszcze bardziej stać się biernym obserwatorem wydarzeń, co stanowiło olbrzymie zagrożenie dla zakładników. Nadzorca nie troszczył się o to, czy ktoś zginie. Jemu zależało wyłącznie na dyskietkach.

Talleyowi też na nich zależało. Chciał wiedzieć, co na nich jest. Zamaskowani bandyci nie odważyliby się porwać jego żony i córki, gdyby zapisy na dyskietkach nie stanowiły dla nich śmiertelnego zagrożenia. Bardziej obawiali się ujawnienia tych zapisów niż śledztwa w sprawie dokonanego porwania. Widocznie uznali, że jakoś przetrwają dochodzenie, natomiast dostanie się dyskietek w niepowołane ręce musi oznaczać dla nich katastrofę. Wynikałoby stąd, że w zapisach figurowały nazwiska ludzi kierujących organizacją.

Talley był więc przekonany, że jego żona i córka, jak również on sam, nie przeżyją tej nocy. Bandyci musieli mieć świadomość, że policja podejmie śledztwo w

celu wyjaśnienia całej sprawy. Inaczej nie podejmowałoby takiego ryzyka. Stąd też było dla niego oczywiste, że gdy tylko Nadzorca otrzyma dyskietki, każe zabić ich troje. Dlatego chciał zdobyć je pierwszy. I wydawało mu się, że wie, jak to zrobić.

Ruszył uliczką i dołączył do Maddoksa i Ellisona siedzących w samochodzie.

- Nadal nie odbiera telefonów?

Ellison pociągnął łyk kawy ze styropianowego kubeczka.

- Nie. Dostaliśmy wiadomość z centrali, że odłączył aparat.

- Macie megafon?

- Nie. A o co chodzi?

Talley bez słowa wsiadł do ostatniego wozu patrolowego policji z Bristo, jaki pozostał przed domem. Zdjął mikrofon z uchwytu i przełączył go na megafon. Maddox podszedł i obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Co robisz?

- Chcę przekazać wiadomość. Włączył urządzenie.

- Tu Talley. Zadzwoń do mnie.

Jego głos zadudnił donośnym echem po okolicy. Policjanci stojący na chodniku popatrzyli w jego kierunku.

- Jest bezpiecznie. Zadzwoń.

Wcale nie oczekiwał, że Dennis posłucha jego wezwania. To nie z nim chciał rozmawiać.

I wcale go nie zdziwiło, gdy z głębi domu doleciał okrzyk Rooneya:

- Pieprz się!

Ellison zachichotał.

- I to by było na tyle.

- Dlaczego powiedziałeś, że jest bezpiecznie? - zaniepokoił się Maddox.

Talley nie odpowiedział. Rzucił mikrofon na siedzenie, wycofał się do zakrętu uliczki i usiadł na krawężniku między dwoma samochodami. Chciał rozmawiać z chłopakiem. Miał nadzieję, iż Thomas zrozumie, że zwracał się właśnie do niego.

Telefon zadzwonił niemal natychmiast.

- Talley.

Odezwała się Sarah, była niezwykle podniecona.

- Szefie, to znowu ten chłopak!

Serce zaczęło mu bić mocniej. Jeśli Smith nie był w stanie mu powiedzieć, kto porwał jego żonę i córkę, być może mógł się tego dowiedzieć od chłopaka.

- Thomas? Wszystko w porządku, synu?

- Nie byłem pewien, czy mówi pan do mnie - odparł spokojnie. - Z moim tatą wszystko dobrze?

Był opanowany, ale mówił bardzo cicho, ledwie słyszalnym szeptem. Talley ustawił na maksimum głośność aparatu, lecz i tak ledwie mógł wyłowić jego słowa.

- Tak. Jest już w szpitalu okręgowym Canyon Country. A co u ciebie i twojej siostry? Nic wam nie jest?

- Nie. Na razie zabrali Jennifer z pokoju i sprowadzili na dół. Myślałem, że chcą jej zrobić coś złego, ale nie wiedzieli tylko, jak uruchomić kuchenkę mikrofalową.

- Czy w tej chwili zagraża ci jakieś niebezpieczeństwo?

- Aha.

Talley popatrzył w głąb uliczki. Ludzie z grupy uderzeniowej czuwali na swoich pozycjach za osłoną radiowozów. Hicks i Martin zapewne siedzieli w centrum dowodzenia i czekali, aż coś się wydarzy. Przypomniawszy sobie nagle swój pierwszy dzień służby w brygadzie antyterrorystycznej, kiedy sierżant tłumaczył, że podstawowymi zadaniami grupy szturmowej jest siedzieć, czekać i pertraktować. Znowu łzy napłynęły mu do oczu, a w sercu zakłuł strach. Pomyślał o dzieciach uwięzionych w domu. Gdyby nabrał podejrzeń, że Thomasowi lub Jennifer zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, natychmiast kazałby przystąpić do szturm. Uczyniłby tak bez wahania. Wierzył jednak, że nie będzie to konieczne.

- Ile jeszcze wytrzymają akumulatory w twoim telefonie komórkowym?

- Wskaźnik pokazuje połowę mocy, może trochę mniej. Wyłączam go, gdy z niego nie korzystam.

- Bardzo dobrze. Nie możesz go podładować, kiedy skończymy rozmowę?

- Wszystkie ładowarki są na dole. Mama się tym zajmuje, bo wszyscy zapominają.

Talley zaniepokoił się, że z tak głupiej przyczyny straci z nim kontakt. Ale nie mógł w tej sprawie zrobić.

- W porządku. Wyłącz telefon, gdy skończymy, i postaraj się maksymalnie oszczędzać energię.

- Jasne.

- Twój tata pracuje na zlecenia. Czy wiesz, kim są jego wspólnicy?

- Aha.

- Wymieniał jakieś nazwiska?

- Nie pamiętam.

- Czy dzisiaj też pracował w swoim gabinecie?

- Aha. Spieszył się, chciał skończyć robotę, bo klient miał przyjechać i ją odebrać.

Talley zawahał się, niechętnie wciągał w to chłopaka, ale zdawał sobie sprawę, że Thomas jest teraz jedyną szansą na uratowanie jego żony i córki.

- Posłuchaj, potrzebna mi twoja pomoc w pewnej sprawie. Nie wiem, czy nie będzie to niebezpieczne. Ludzie, którzy was przetrzymują, mogą cię skrzywdzić, jak się dowiedzą. Więc jeśli podejrzewasz, że coś ci grozi, powiedz wprost, wtedy zrezygnujemy. Dobrze?

- Jasne!

W głosie chłopaka dał się słyszeć entuzjazm. Ucieszyła go perspektywa współpracy z policją, choć z pewnością nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

- Twój tata ma dwie dyskietki komputerowe. Nie jestem pewien, gdzie je trzyma, ale chyba w gabinecie, w szufladzie biurka albo w teczce. Prawdopodobnie korzystał z nich dzisiaj podczas pracy. To dyskietki nazywane zip-dyskami. Wiesz, jak wyglądają?

Thomas prychnął z pogardą.

- Używam zip-dysków od lat, szefie. Kurde. Są duże i grube. Można na nich zapisać dużo więcej niż na zwykłych dyskietkach.

- Te dwie, o których mówię, są podpisane „Dysk pierwszy” i „Dysk drugi”. Czy masz szansę zajrzeć do biurka taty, kiedy przy najbliższej okazji będziesz w gabinecie? Dałbyś radę niepostrzeżenie uruchomić komputer i spróbować odczytać, co na nich jest?

- Nie. W ogóle nie dopuszczają mnie do biurka. Gdy sprowadzają mnie do gabinetu, Dennis każe mi siedzieć na podłodze.

Talleya ogarnęła rezygnacja. Wątpła nadzieja, którą się kierował, prysła jak bańka mydlana. Ale Thomas zaraz dodał:

- Mogę się jednak zakraść do gabinetu, kiedy ich nie będzie w pobliżu. Wtedy mógłbym je zabrać i odczytać tu, na górze, w moim komputerze.

- Myślałem, że jesteś zamknięty w sypialni.

- Jestem, ale wiem, jak się stąd wydostać.

- Naprawdę? !

Thomas opowiedział mu szczegółowo o wyjściach awaryjnych w pokojach i ciasnej przestrzeni pod dachem, którą może się przedostać do różnych części domu.

- I na pewno mógłbyś się tamtędy przekraść do gabinetu?

- Nie do samego gabinetu, ale do korytarzyka za kuchnię albo do salonu. Jest tam kłapa awaryjna w przejściu do piwnicy na wino. To dokładnie na wprost gabinetu taty. Moja mama mówi, że zawsze wie, kiedy tata przemyka się z gabinetu do baru, żeby nalać sobie drinka.

W sercu Talleya odżyła nadzieja, choć jeszcze większym niepokojem napawała go świadomość, że nie powinien narażać chłopaka.

- Wydaje mi się, że to zbyt niebezpieczne.

- Wcale nie, jeśli mnie tylko nie złapią. Mars spędza większość czasu w gabinecie, ale Kevin w salonie obserwuje wyjście na taras. Dennis krąży po całym domu. Często zagląda do salki systemu alarmowego w sypialni rodziców i obserwuje teren na monitorach. Jak już dostanę się za bar, wystarczy, że prześlizgnę się na drugą stronę korytarza do gabinetu i będę przy biurku taty. Zajmie mi to tylko parę sekund.

Talley usiłował pozbierać myśli, starając się, by jego pragnienia nie zwały zdrowego rozsądku. Musiałby odciągnąć uwagę trzech bandytów od tej części domu. Poza tym dobrze byłoby oślepić kamery na wypadek, gdyby któryś z nich czuwał przed monitorami systemu alarmowego.

- Sądysz, że gdybym zdołał wyciągnąć Rooneya i pozostałych z gabinetu, dałbyś radę zabrać dyskiety po kryjomu, żeby cię nie złapali?

- Bez problemu.

- I mógłbyś to zrobić po ciemku?

- Przekradam się po ciemku prawie każdej nocy.

Thomas aż zachichotał z radości. Talleyowi nie było jednak do śmiechu. Powinien ze wszech miar pomagać zakładnikom, a tymczasem sam domagał się od chłopaka pomocy. Bo też i sam czuł się jak zakładnik, był w bardzo podobnej sytuacji, jak Thomas czy Jane. Miał nadzieję, że zdoła sam sobie wybaczyć to, co zamierzał zrobić.

- W porządku, synu. Omówmy w takim razie szczegóły.

\*

Nocne powietrze było tak klarowne, że całe otoczenie, domy, auta i policjanci, sprawiało wrażenie zatopionego w szkle. Światła, w oknach, uliczne latarnie i czerwone ogniki papierosów ostro odcinały się na ciemnym tle; helikoptery krążące po rozgwieżdżonym niebie przypominały jastrzębie dryfujące w powietrzu i wypatrujące ofiary. Talley spojrzał na zegarek, ogarnięty lękiem, że lada chwila zadzwoni Nadzorca. Thomas siedział spokojnie w swojej sypialni na górze, jego siostra w kuchni szykowała bandytom jedzenie, ale w każdej sekundzie wszystko mogło się odmienić. Nie było czasu do stracenia.

Odnalazł Jorgensona i poszedł z nim do technika z Wydziału Wodociągów i Energetyki. Był to młody chłopak z gładko wygoloną głową i wypielegnowaną ciemną bródką. Spał wyciągnięty na ławce na skrzyni furgonetki. Talley potrząsnął go za nogę.

- Mógłbyś odciąć dopływ prądu do tego domu?

Technik potarł dłońmi zaspane oczy.

- Tak, pewnie, jestem gotów.

- Jeszcze nie teraz. Czy jeśli odetniesz zasilanie, to nie będzie prądu w całym domu, a nie tylko w jakiejś jego części?

Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd, podobnie jak Thomas.

Technik zeskoczył z furgonetki na chodnik. Kłapa kanału była już zdjęta, mroczny otwór otaczały przenośne aluminiowe barierki.

- Nie tylko w tym jednym domu nie będzie prądu, ale we wszystkich przy tej ulicy. Rozgałęzia się tu główna magistrala zasilania. Jak odłączę gałąź, w całej okolicy nie będzie prądu. Mógłbym odłączyć zasilanie tylko tego jednego domu w następnej studziennie, za zakrętem, ale kazali mi przygotować wszystko tutaj.

- W porządku. Ile zajmie ci odcięcie prądu?

- Chwilę. Wystarczy przestawić stycznik.

- Telefony na tym nie ucierpią?

- Łączą telefoniczne są gdzie indziej.

Zostawił Jorgensona z technikiem, wywołał przez radio Martin i poprosił, by razem z Hicksem i Maddoksem spotkała się z nim przy centrum dowodzenia. Odpowiedziała napuszczonym tonem:



- Proszę posłuchać. Doceniam to, że namówił pan Rooneya na uwolnienie Smitha, ale później oddalił się pan bez słowa. Jeśli chce pan dalej kierować akcją, musimy być w stałym kontakcie. Gdybym nagle potrzebowała pańskiej zgody na rozpoczęcie szturmu, miałabym kłopoty, żeby pana znaleźć.

Jej zarzuty były słuszne, lecz Talleya ogarnęła złość, że musi ich wysłuchiwać właśnie teraz, kiedy nie ma czasu do stracenia.

- Wcale się nie oddaliłem. Byłem z Maddoksem i Ellisonem, a potem musiałem przeprowadzić parę rozmów telefonicznych.

Wolał jej nie mówić, że rozmawiał z Thomasem.

- Pan kieruje tą akcją, ale proszę nie podejmować więcej żadnych działań bez porozumienia ze mną. Jeśli zależy panu na mojej współpracy, muszę o wszystkim zawczasu wiedzieć.

- O co pani chodzi?

- Słyszałam, jak przez megafon wzywał pan Rooneya, żeby do pana zadzwonił. Od tego mamy negocjatorów.

- Przecież Maddox był tuż przy mnie.

- Twierdzi, że zrobił pan to bez porozumienia z nim.

- Czy możemy to odłożyć na później, pani kapitan? Na razie chciałbym się dogadać z Rooneyem.

Zgodziła się w końcu ściągnąć Hicksa i Maddoksa na spotkanie z nim. Gdy Talley zjawiał się na miejscu, zachował w tajemnicy swoje kontakty z Thomasem, nie wyjawiał też prawdziwych powodów, dla których podejmuje kolejne działanie.

- Wiemy, że Rooney jest bardzo czuły na punkcie wchodzenia na teren posesji. Chcę odciąć dopływ prądu i użyć petard, żeby zmusić go do podjęcia negocjacji.

Miał na myśli specjalne ładunki odpalane z karabinków, zawierające od siedmiu do dwunastu petard rozrywających się jedna po drugiej jak seria wystrzałów z karabinu maszynowego. Używano ich w takich sytuacjach, by dezorientować uzbrojonych przeciwników.

Hicks skrzyżował ręce na piersi.

- Chce pan odpalić petardy w środku, kiedy w domu stoją otwarte pojemniki z benzyną?

- Nie, na zewnątrz. Zależy mi na przyciągnięciu ich uwagi. Kiedy ostatnio wasi ludzie próbowali się przedostać przez ogrodzenie, nie trzeba było dzwonić do Rooneya. Sam to zrobił.

Martin spojrziała na Maddoksa, a ten skinął głową. Tak samo zaaprobował ten pomysł Hicks.

Kapitan wzruszyła ramionami i popatrzyła na Talleya.

- No cóż, to pan dowodzi akcją.

Można było zacząć przygotowania.

## THOMAS

Thomas przystawił ucho do drzwi. W korytarzu panowała cisza. Przekradł się więc pod ścianą do szafy i wczuł na strych przez klapę wyjścia awaryjnego. Popęłznął powoli, nasłuchując przy każdym otworze. Jennifer wciąż przebywała w kuchni, ale nie był w stanie zlokalizować bandytów. Wystarczyłoby jedno słowo, kasznięcie czy kichnięcie, żeby od razu się zorientował, gdzie przebywają, ale w domu panowała martwa cisza.

Budynek stał na planie niskiej i szeroko rozwartej litery U, z frontonem u podstawy zwróconym ku uliczce i krótkimi skrzydłami wyciągniętymi w stronę basenu. Ciasny tunel pod dachem prowadził od końca jednego skrzydła do końca drugiego po wewnętrznej stronie, ale nad holem odgałęział się krótki boczny odcinek prowadzący do klapy nad wejściem do piwnicy na wino. Thomas zawsze uważał, że głupotą jest nazywanie tego pomieszczenia piwnicą, skoro chodzi o niewielki pokoik za barem na tym samym poziomie co salon.

Niełatwo było się tam dostać. Piwniczka na wino miała własną odrębną klimatyzację, masywna sprężarka zwieszała się spod belek stropowych na łańcuchach i zajmowała niemal całą szerokość wąskiego odgałęzienia na strychu. Thomas musiał się pod nią przecisnąć, żeby dotrzeć do klapy nad drzwiami piwnicy, nie dało się jej okrążyć. Raz już kiedyś tego dokonał, ale był wtedy mniejszy. Ułożył się teraz na plecach i zaczął powoli wsuwać się pod sprężarkę. Usiłował jak najbardziej się rozpląszczyć, a mimo to niemal wodził czubkiem nosa po płaskiej żeliwnej obudowie śmierdzącej wilgocią i smarami.

Kiedy wreszcie dotarł do kłapy, był cały mokry od potu. Wszechobecny kurz mazał mu się smugami po rękach. Doczołganie się do tego przejścia zajęło mu znacznie więcej czasu, niż myślał.

Znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Po kilku sekundach ostrożnie uchylił kłapę. W piwniczce było ciemno. Po obu stronach długiego wąskiego pomieszczenia ciągnęły się od podłogi do sufitu regały, na których butelki wina leżakowały w stałej temperaturze jedenastu stopni Celsjusza. Zapalił latarkę, ułożył ją na regale, opierając między dwiema butelkami, po czym spuścił nogi do środka, wymacał pod stopami półkę i po kilku sekundach zręcznie zszedł na podłogę.

Uchylił drzwi na centymetr. W salonie paliły się wszystkie światła. Złowił dźwięki włączonego telewizora w gabinecie ojca po drugiej stronie korytarza i odgłosy krzątania Jennifer w kuchni. Doleciał go też czyjś stłumiony głos, ale nie zdołał rozpoznać, Dennisa czy Marsa, bo był raczej pewien, że nie Kevina.

W obszernym, wyłożonym boazerią saloniku ojciec przyjmował swoich zleceniodawców i palił cygara. Pośrodku stały dwie obite ciemną skórą kanapy, a między nimi stolik do kawy. Pod ścianą ciągnął się regał zastawiony książkami, bardzo lubianymi przez ojca starymi powieściami podróżniczymi i wczesnymi wydaniem książek fantastyczno-naukowych, które, jak utrzymywał, były warte prawdziwą fortunę dla kolekcjonerów i miłośników gatunku. Przeciwną część pokoju zajmował bar z czterema wysokimi stołkami. Salon był jedynym pomieszczeniem w domu, gdzie mama pozwalała ojcu palić, chociaż zawsze prosiła, by zamykał za sobą drzwi, jeśli zamierza „kopcić lulki”. Ojcu bardzo podobało się to określenie. Thomas aż się uśmiechnął, gdy je sobie przypomniał.

Żeby dostać się stąd do gabinetu ojca, wystarczyło tylko wyjść zza baru, podkraść się do otwartych dwuskrzydłowych drzwi i przeskoczyć na drugą stronę holu. Na prawo znajdowały się drzwi frontowe, w lewo odchodził korytarz prowadzący do kuchni i na tyły domu.

Thomas wyjął telefon komórkowy i włączył go.

Wybrał numer Talleya.

TALLEY

Talley włączył krótkofalówkę.

- Jorgenson?

- Słucham, szefie.

- Zostań na nasłuchu.

Był na tyłach posesji z podoficerem grupy uderzeniowej, kapralem Hobbsem, uzbrojonym w karabinek snajperski Remingtona, model 700, z celownikiem noktowizyjnym, ale z pustym magazynkiem. Talley trzymał strzelbę załadowaną granatem z petardami.

- Daj popatrzeć.

Wziął od Hobbsa karabinek i nakierował lunetkę na przeszklone drzwi balkonowe prowadzące z salonu na taras. Ostrożnie wyglądali znad szczytu muru ogrodzenia już prawie od sześciu minut, czekając na wiadomość od Thomasa. Jennifer i Krupchek byli w kuchni. Kevin, jak się wydawało, czuwał przy oknie w bawialni. Dennis w tym czasie dwa razy przeszedł przez kuchnię, wreszcie przed trzema minutami skierował się do sypialni rodziców i był tam do tej pory. Prawdopodobnie obserwował na monitorach systemu bezpieczeństwa otoczenie budynku.

Wreszcie telefon zadzwonił. Talley, mimo że na niego czekał, aż się wzdrygnął, zaskoczony.

- Spokojnie - szepnął Hobbs.

Wręczył mu z powrotem karabinek, włączył aparat i odezwał się półgłosem:

- Talley.

Thomas odpowiedział szeptem:

- Cześć, szefie. Jestem w salonie za barem.

Talley jeszcze raz spojrział ponad murem na drzwi tarasu.

- W porządku, kolego. Jesteś gotów? Tak, jak się umawialiśmy?

- Tak. Na pewno mnie nie złapią.

- Gdybyś się poczuł zagrożony, gdyby coś się stało, wracaj natychmiast do swojej sypialni.

Nawet mówiąc te słowa, czuł się jak ostatni kłamca. Przecież cała ta eskapada narażała chłopaka na olbrzymie niebezpieczeństwo.

- Możemy zaczynać.

Talley sięgnął po mikrofon krótkofalówki.

- Goście światła.

Dom pogrążył się nagle w ciemności.

## DENNIS

Dennis siedział przy biurku Waltera Smitha i oglądał telewizję. Kevin był w salonie, obserwował drzwi na taras, a Mars pilnował dziewczyny w kuchni. Wszystkie stacje telewizyjne wróciły do nadawania normalnych programów, tylko na dwóch kanałach lokalnych co parę minut dawano jeszcze przebitki z aktualną sytuacją w York Estates. W sieciach ogólnokrajowych w ogóle nie wspomiano o nich ani słowem. Rozczarowany tym Dennis przełączył się na MTV i ściszył odbiornik. Nadawano wideoklip, na którym czarnoskórzy wykonawcy z włosami ufarbowanymi na blond udawali gangsterów. Wymierzył pistolet w ekran, myśląc: Spróbowalibyście tego naprawdę, imbecyle.

Przestawił się z wódki z lodem w szklaneczce na czystą wódkę z butelki, wciąż usiłując wymyślić jakiś sposób wydostania się stąd z walizką wyładowaną pieniędzmi. Był wściekły, a jednocześnie zaczynał się coraz bardziej obawiać, że Kevin ma rację - nigdy nie zdołają się stąd wymknąć z forsą, a jak dobrze pójdzie, wylądują za kratkami do końca życia. Pociągnął kolejny łyk wódki, rozmyślając posepnie, że prędzej wolałby umrzeć. Może jednak mimo wszystko powinien spróbować ucieczki, z kieszeniami wypchanymi forsą, po podpaleniu domu, jak radził Mars, wymknąć się przez okienko w kiblu za garażem i pod osłoną oleandrów pognać przed siebie, ile tchu w piersi. Pewnie by go zastrzelili, nim zdołałby zrobić dziesięć kroków, ale to już było mniej ważne, skoro nie musiałby gnić w więzieniu.

- Cholera - syknął.

Wyszedł z gabinetu i w sypialni położył walizkę na łóżku. Otworzył ją i zapatrzył się na paczki z forsą. Musnął palcami zużyte, wygniecione, miękkie banknoty. Tak bardzo pragnął je mieć, że aż odczuwał dreszcze na ich widok.

Samochody, kobiety, ciuchy, prochy, ekskluzywne bary, złote roleksy, najlepsze żarcie, jachty, wille, wolność, szczęście. Każdy pragnął być bogaty. Każdy, niezależnie od tego, kim był, skąd pochodził i jaki majątek już posiadał, chciał mieć więcej. To było spełnienie marzeń każdego Amerykanina. Forsa.

Kiedy tak patrzył na pieniądze w walizce, nagle tknęła go myśl równie elektryzująca, co działka ekstazy: Gliniarze słabo zarabiają, a także chcieliby być bogaci, jak wszyscy. Więc może warto było podzielić się łupem z Talleyem, wykupić sobie bezpieczną ucieczkę do Meksyku, wykombinować taki sposób, żeby inni gliniarze się o tym nie dowiedzieli, na przykład załatwić wymianę zakładników na szefa policji, z którym następnie mogliby razem spokojnie stąd odjechać, zaśmiewając się po drodze w głos, podczas gdy reszta glin nie odważyłaby się strzelać, gdyż oznaczałoby to zagrożenie życia komendanta policji. Mógłby nawet dorzucić do zakładników Kevina i Marsa, żeby mieli kogo obwiniać za śmierć Chińczyka ze sklepu. Podniecała go ta perspektywa. Przecież wszyscy wiedzą, że gliniarze ledwie wiążą koniec z końcem. Na jakie ustępstwa Talley byłby gotów pójść za sto tysięcy? Na jakie za dwieście tysięcy? A za pół miliona?

Postanowił natychmiast zadzwonić do komendanta. Był już w połowie drogi do gabinetu, zastanawiając się, jak najlepiej przekonać Talleya, że może być bogaty, kiedy nagle pogasły wszystkie światła, umilkł telewizor, ścichł wszechobecny szum wypełniający wszystkie domy.

- Dennis? Co się stało? - zawołał Kevin z drugiego końca salonu.

- To sprawka glin! Ściągaj te pieprzone bachory! Utraciwszy nagle orientację w ciemnościach, rzucił się z powrotem do salonu. Wydawało mu się, że lada moment rozlegnie się trzask wyłamywanych drzwi, toteż jedyną szansę ratunku widział w zasłonięciu się dziewczyną albo jej spasionym braciszkiem.

- Kevin! Mars! Biercie dzieciaki!

Pokój rozjaśniał mleczy poblask wpadający przez oszklone drzwi z tarasu. Kevin krył się za kanapą. Mars był w kuchni, trzymał przed sobą dziewczynę za włosy. I uśmiechał się szeroko, walnięty palant. Jakby doskonale się bawił.

- Mówiłem, że wyłączą nam prąd.

Głos Talleya wzmocniony przez megafon zadudnił donośnym echem w całym domu. Tym razem jednak nie dochodził z ulicy, lecz z podwórka na tyłach.

- Dennis?! Dennis Rooney?!

Nie mógł zrozumieć, co Talley robi po tej stronie domu.

- Dennis! Najwyższa pora, żeby porozmawiać.

Nagle podwórze na tyłach eksplodowało, szybka seria wybuchów zatrzęsała szybami w oknach i zmarszczyła powierzchnię wody w basenie, przypominała głośny terkot karabinu maszynowego. Jaskrawe rozbłyski oświetliły cały taras niczym sztuczne ognie w czasie chińskiej parady noworocznej. Rozpętało się istne piekło.

Dennis dał nura za kontuar rozdzielający kuchnię i jadalnię, żeby poczekać, aż wszystko się uspokoi.

## THOMAS

Thomas wyśliznął się z piwniczki na wino, gdy tylko pogasły światła. Podkraść się do końca baru i w dwóch susach dopadł dwuskrzydłowych drzwi. Dennis i Kevin coś krzydzeli do siebie, ich głosy dobiegały z drugiego końca salonu. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał za dużo czasu.

Na czworakach ostrożnie wyjrzał na korytarz. Gabinet ojca naprzeciwko rozświetlały tańczące płomyki świec. Wychylił się trochę dalej i popatrzył w głąb przejścia. W korytarzu nikogo nie było.

Nie dla tchórzy chwała, pomyślał.

Przeskoczył przez korytarz do gabinetu dokładnie w tej samej chwili, gdy od strony tarasu doleciał dudniący, wzmocniony przez megafon głos Talleya. Podejrzewał, że szef odciągnie uwagę bandytów jakimiś hałasami, toteż starał się nie zwracać na nie uwagi. Całkowicie skupił się na nasłuchiowaniu zbliżających się kroków.

Staął przed komputerem na biurku ojca. Przyniósł ze sobą latarkę, ale nie musiał jej zapalać, w blasku świec było wystarczająco jasno. Na biurku leżały rozrzucone papiery, lecz nigdzie nie było widać dyskietek. Sprawdził czytnik zip-dysków w komputerze, był jednak pusty. Zaczął zaglądać pod papiery i klawiaturę, ale nie mógł ich znaleźć.

Seria donośnych wybuchów wstrząsnęła szybami w oknach. Przyszło mu do głowy, że to Dennis strzela z pistoletu. Kevin znowu coś krzyknął, ale Thomas nie zrozumiał ani słowa. Był przerażony, że tamci lada moment tu wrócą. Podbiegł do drzwi, gotów przeskoczyć pędem do salonu, ale zatrzymał się w korytarzu i nadstawił

ucha. Serce waliło mu tak głośno, że prawie nic poza nim nie słyszał. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby się zbliżali.

Talley przykazał mu uciekać z gabinetu najwyżej po dwóch minutach. Nie było więc czasu. I tak zmarnował go już bardzo dużo.

Jeszcze raz rzucił okiem przez otwarte drzwi w głąb salonu, po czym obejrzał się na biurko. Przypomniawszy sobie jak przez mgłę, że wcześniej, zaraz po strzelaninie przed domem, ojciec próbował namówić Dennisa, żeby się poddali, obiecując załatwić im najlepszego adwokata. Podszedł wtedy do biurka, zamknął czarne etui z dwiema dyskietkami i schował je do szuflady. Na pewno chodziło o te właśnie dyskietki!

Biegiem zawrócił do biurka.

DENNIS

Głośne wybuchy i rozbłyski wstrząsały całym podwórkiem na tyłach, jakby oddział komandosów ćwiczył tam desant na plaży. Dennis zauważył gliniarzy wyglądających ponad murem oświetlonym przez ich własne reflektory, lecz wcale nie szykowali się do szturmowania domu.

O co im chodzi, do jasnej cholery? - pomyślał.

Z podwórza na tyłach znów doleciał dudniący głos Talleya:

- Musimy porozmawiać, Dennis. Tylko my dwaj. W cztery oczy. Chcę, żebyś wyszedł. Sam. Spotkamy się przed domem i porozmawiamy.

Kevin błyskawicznie przedostał się do kuchni na czworakach, niczym postać z kreskówki.

- Co oni wyprawiają? Co się dzieje?

Dennis nie umiał odpowiedzieć. Sam był przestraszony i skonsternowany, miał coraz gorsze podejrzenia.

- Mars! Te kutasy chcą nas oślepić! Sprawdź, co robią od frontu!

Przejął od niego dziewczynę, tak samo chwytając ją za włosy, gdy tymczasem Mars poderwał się z podłogi i nisko pochylony dał nura do korytarza.



## THOMAS

Czarne skórzane etui miało rozmiary pudełka z płytą kompaktową. Blask świec okazał się niewystarczający, żeby oświetlić zawartość szuflady, więc Thomas zapalił latarkę i osłaniając reflektorek dłonią, skierował do niej wąski strumyk światła.

Leżało na samym wierzchu.

Otwierało się jak notes, z każdej strony były dwie kieszenie na dyskietki. Te, o które chodziło Talleyowi, podpisane „Dysk pierwszy” i „Dysk drugi”, znajdowały się w prawej części etui, lewa była pusta. Thomas pospiesznie zasunął szufladę, gdy nagle w korytarzu rozległy się czyjeś kroki.

Chciał rzucić się do ucieczki, ale było za późno.

Kroki zbliżały się szybko!

Kierowały się właśnie do gabinetu!

Były tuż za drzwiami!

Zgasił latarkę i dał nura pod biurko. Zwinął się w kłębek, podciągając kolana pod brodę, i wstrzymał oddech.

Ktoś wszedł do pokoju.

Biurko było prawdziwym dębowym molochem, ciężkim, starym i wielkim jak okręt. Zresztą ojciec żartobliwie nazywał je „Lexingtonem” od nazwy lotniskowca, na którym kiedyś służył. Stało na masywnych pałkowatych nóżkach, na szczęście bardzo krótkich. Thomas dostrzegł czyjeś nogi. Wydawało mu się, że to Mars, ale nie był pewien.

Bandyta podszedł do okna.

Rozległ się szelest rozchylanych żaluzji i do pokoju wpadło trochę światła z zewnątrz. Po chwili znów stuknęły żaluzje.

Mars nie ruszył się jednak od okna. Prawdopodobnie wyglądał przez szpary na ulicę.

- I co tam się dzieje, do cholery?! - wrzasnął Dennis z głębi domu.

Zatem to na pewno Mars był w gabinecie. Wciąż tkwił bez ruchu pod oknem.

- Kurwa mać! Odezwij się wreszcie!

Mars odsunął się w końcu od okna, ale nie wyszedł z pokoju. Odwrócił się w stronę biurka. Thomas zaczął żałować, że nie może się bardziej skulić. Tak silnie obejmował nogi podciągnięte do brzucha, że aż bolały go ręce.

Nogi zrobiły krok w jego kierunku.

- Mars! Co tam robisz, do pioruna?!

Zatrzymały się u szczytu biurka. Thomas chciał zamknąć oczy albo odwrócić głowę, ale był jak sparaliżowany. Wpatrywał się w te dwa widoczne spod biurka fragmenty nóg, jakby miał przed sobą szykujące się do ataku jadowite kobry.

- Mars!

Bandyta wreszcie odwrócił się i wyszedł. Thomas nasłuchiwał, ale kroki przemierzyły całą długość korytarza i ucichły w bawialni.

Wysunął się spod biurka i zakradł do drzwi. Ostrożnie wyjrzał na korytarz i szybko przeskoczył do salonu. Usłyszał jeszcze padające przez megafon słowa komendanta Talleya, nim po cichu zamknął za sobą drzwi piwniczki na wino, błyskawicznie wdrapał się po regale, podciągnął przez otwór wyjścia awaryjnego, opuścił klapę i odetchnął z ulgą.

## TALLEY

Talley domyślał się, że Rooneya i jego kumpli ogarnie panika. Musieli to odebrać jak zapowiedź zbliżającego się szturmu, toteż Dennis lub któryś z pozostałych powinien zająć posterunek od frontu, żeby obserwować ludzi szeryfa. Musiał więc za wszelką cenę przyciągać ich uwagę, kierować ją na tylne podwórze i na siebie.

- Nadal jest w kuchni?

Hobbs patrzył przez lunetkę celownika noktowizyjnego.

- Tak, razem z dziewczyną. Próbuje nas dojrzeć, ale oślepiają go reflektory. Ten wielki poszedł korytarzem w głąb budynku. Tylko nigdzie nie widzę młodszego brata.

Talley ponownie włączył megafon.

- Nie zamierzamy szturmować domu, Dennis. Musimy porozmawiać. Tylko my dwaj, w cztery oczy. Idę nad basen.

Martin i Hicks ruszyli w ich stronę wzdłuż ogrodzenia posesji. Kapitan miała kwaśną minę.

- Jak to: w cztery oczy? O tym nie było mowy.

- Idę.

Położył megafon na ziemi i błyskawicznie wspiął się na mur, żeby nie musieć jej dłużej słuchać. Zależało mu na tym, aby odciągnąć uwagę Rooneya od frontowej części domu. W tym celu był gotów nawet sam zostać zakładnikiem.

Zza muru dogonił go okrzyk Martin:

- Do diabła, Talley! Nic nie osiągniesz poza tym, że narazisz swoje życie!

Śmiało ruszył w kierunku basenu, wołając:

- Jestem nieuzbrojony. Nie będę się rozbierał tym razem, więc musisz mi uwierzyć na słowo. Nie mam broni i przychodzę sam.

Rozłożył szeroko ręce i obrócił dłonie do przodu. Przeciął trawnik i skręcił, żeby obejść basen. Na wodzie dryfował dmuchany materac. Przy krawędzi leżał rozłożony ręcznik, stojące obok radio, które wcześniej grało, teraz milczało, widocznie wyczerpały się baterie.

Zatrzymał się przy końcu basenu. Na podłodze w kuchni leżała zapalona latarka, wyglądało na to, że stoczyła się ze stołu. Talley jeszcze wyżej podniósł ręce. W snopach reflektorów jego wydłużony cień, który kładł się na kafelkach, przypominał w zarysie sylwetkę ukrzyżowanego Chrystusa.

- Wyjdź, Dennis. Chcę z tobą porozmawiać.

- Całkiem ci odpieprzyło! - doleciał z głębi domu okrzyk Rooneya, stłumiony przez zamknięte drzwi balkonowe.

- Mylisz się. Jestem po prostu zmęczony.

Ruszył powoli w stronę domu.

- Nikt cię nie skrzywdzi, dopóki wy nie skrzywdzicie przetrzymywanych dzieci.

Obszedł róg basenu i stanął na wprost drzwi, skąd mógł już wyraźnie widzieć Dennisa i Jennifer. Jedną ręką trzymał dziewczynę za włosy, a w drugiej ścisnął pistolet. Gdzieś z lewej, w drugim końcu salonu, poruszył się jakiś cień. Talley rozpoznał drobną sylwetkę Kevina. On też był jak dziecko. Po drugiej stronie kuchni, na wprost bawialni, mroczny korytarz prowadził w głąb budynku. Po chwili w słabej smudze światła padającej z boku, przez otwarte drzwi, zarysowała się wielka ciemna postać. To musiał być Krupchek. Talley poczuł ogromną ulgę. Niezależnie od tego,

gdzie teraz znajdował się Thomas, ci trzej go nie złapali. Ale nadal trzeba było odciągać ich uwagę. Jeszcze szerzej rozłożył ręce i zrobił krok w stronę domu.

- Czekam, Dennis. Widzę cię. Wyjdź, żebyśmy mogli porozmawiać.

Znów usłyszał stłumione głosy. Dennis przywołał Kevina do kuchni. Krupchek stanął u wylotu korytarza, na skraju oświetlonej przestrzeni. Trzymał coś w ręku, pistolet albo latarkę. Trudno było to dojrzeć.

Dennis wstał z podłogi i podszedł do drzwi balkonowych. Zerknął ponad jego ramieniem na mur ogrodzenia, po czym rozejrzał się na boki, podejrzewając chyba, że natychmiast zostanie obezwładniony, jak tylko otworzy drzwi. Talley przemówił spokojnie:

- Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Daję ci na to moje słowo.

Rooney położył pistolet na podłodze, odsunął drzwi i wyszedł przed dom. Talleya uczono, że ludzie na zdjęciach zazwyczaj sprawiają wrażenie większych i mocniej zbudowanych niż w rzeczywistości, lecz mimo to zaskoczyło go, że Rooney jest dużo niższy i szczuplejszy, niż można by sądzić na podstawie zapisu wideo z minimarketu. Wyglądał bardzo młodo.

Uśmiechnął się, lecz Dennis popatrzył na niego z poważną miną.

- Jak się miewasz?

- Bywało lepiej.

- To muszę ci przyznać, wszyscy mamy za sobą bardzo długi dzień.

Dennis ruchem głowy wskazał mur od ulicy.

- Ustawieś tam snajpera, żeby mnie zastrzelił?

- Pewnie by to zrobił, gdybyś próbował mnie wciągnąć do środka. W przeciwnym wypadku nic ci nie grozi. Już dawno byśmy cię zastrzelili, gdyby nam tylko na tym zależało.

Rooney zamyślił się na chwilę.

- Więc mogę wyjść dalej i podejść bliżej?

- Oczywiście. Właśnie o to mi chodzi.

Wynurzył się na taras i podszedł do Talleya stojącego nad basenem. Zadarł głowę, patrząc na gwiazdy, wziął głębszy oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Dobrze jest na dworze.

- Domyślam się. Czy mogę już opuścić ręce?

- Jasne.

Popatrzył na Kevina stojącego z dziewczyną w kuchni i Krupcheka tkwiącego nieruchomo u wylotu korytarza. Chłopak był gdzieś w głębi, mógł bezpiecznie rozejrzeć się za dyskietskami. Pozostawało mieć nadzieję, że nie zajmie mu to wiele czasu.

- To wszystko trwa już dość długo. Na co jeszcze czekacie?

- A ty na naszym miejscu byś się spieszył, wiedząc, że na resztę życia wylądujesz w więzieniu?

- Nie, ale robiłbym wszystko, by uzyskać maksymalne złagodzenie kary. Udowodniłbym wszystkim, że jestem gotów do współpracy, i jak najszybciej załatwiłbym sobie adwokata. Poza tym uświadomiłbym sobie, że dom jest otoczony przez policję i nie ma szans się z niego wydostać bez okazania dobrej woli.

- Chcę mieć helikopter.

Talley pokręcił głową.

- Już mówiłem, że tu nie ma nawet gdzie wylądować. Zresztą nie mogę spełnić tego żądania. Wybij to sobie z głowy.

- W takim razie dajcie mi samochód, którym dojadę do Meksyku, policyjną eskortę i swobodę przekroczenia granicy.

- O tym też już rozmawialiśmy.

Rooney najwyraźniej do czegoś się szykował. Szeroko rozłożył ręce w geście zniecierpliwienia.

- To jaki z ciebie pożytek, do cholery?

- Staram się uratować ci życie.

Dennis odwrócił głowę. Talley przyglądał mu się uważnie, wypatrując oznak przemęczenia. Wreszcie Rooney spojrział mu prosto w oczy i zapytał cicho:

- Jesteś bogaty?

Talley nie odpowiedział. Nie umiał rozsądzić, do czego Rooney zmierza. Doświadczenie nauczyło go, by w takich rozmowach brać rzeczy dosłownie, odkładając na bok jakiegokolwiek domysły.

Dennis poklepał się po kieszeni.

- Mogę do niej sięgnąć, żeby coś ci pokazać?

Skinął głową.

Rooney podszedł o krok bliżej. Talley w pierwszej chwili nie zauważył, co trzyma w rękę, dopiero gdy ją podniósł, rozpoznał paczkę banknotów. Wyglądało na to, że specjalnie przysunął się tak blisko, by nikt więcej tego nie widział.

- Tu jest pięćdziesiąt studolarówek, szefie. Pięć tysięcy dolarów. W domu mam pełną walizkę takich paczek. - Pospiesznie wsunął pieniądze do kieszeni. - Ile byś chciał za to, żeby mnie stąd wyciągnąć? Sto tysięcy? Moglibyśmy razem pojechać do Meksyku, tylko we dwóch. Nikt by się nie domyślił prawdy, gdybyś powiedział swoim kolegom, że zawarłeś ze mną ugodę, nie wspominając ani słowem o forsie. Ja też nikomu bym nie powiedział. W tym domu jest kupa gotówki, szefie. Więcej, niż kiedykolwiek w życiu widziałeś na oczy. Moglibyśmy się nią podzielić.

Talley pokręcił głową.

- Wybrałeś niewłaściwy dom, żeby się w nim ukryć.

- Dwieście tysięcy, w gotówce, z ręki do ręki. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Zamyślił się na dłużej. Coraz bardziej go ciekawiło, co w tej spokojnej, cichej, zapewniającej anonimowość społeczności Bristo Camino robił Walter Smith, który miał w domu tyle gotówki, że ten dzieciak gotów był dla niej umrzeć, oraz informacje, za które inni ludzie gotowi byli zabijać niewinne kobiety i dzieci. Czy naprawdę tak dobrze znamy swoich sąsiadów?

- Poddaj się, Dennis.

Rooney zagryzł wargi. Znów zerknął ponad jego ramieniem na mur i popatrzył mu w oczy.

- Chcesz podbić cenę? W porządku, trzysta tysięcy. Słyszysz? Trzysta tysięcy dolarów. Zarobisz kiedykolwiek taką forsę? Będziecie mogli sobie wziąć Marsa i Kevina. Mam ich gdzieś. Dorzucę ci ich do naszej umowy.

- Naprawdę nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Za żadne pieniądze nie kupisz sobie drogi do wolności.

- Przecież wszystkim zależy na forsie! Wszystkim! Nie zrezygnuję z niej!

Talley przyglądał mu się, rozmyślając, do czego to doprowadzi. Gdyby Rooney już teraz się poddał, Amanda i Jane mogłyby na tym ucierpieć. Ale z drugiej strony on zdobyłby dyskietki. Po przybyciu ludzi Nadzorcy jego szanse na ich przejęcie musiały spaść prawie do zera.

- Naprawdę nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Myślisz, że zwykły przeciętny człowiek trzymałby w domu taką gotówkę?

- Tam jest milion dolców, może nawet dwa miliony! Oddam ci połowę!
- Ten facet, którego karetka zabrała do szpitala, Walter Smith, to kryminalista.

Pieniądze należą do niego.

Rooney zaśmiał się krótko.

- Kłamiesz. Zmyślasz na poczekaniu.

- I miał współników. To ich dom, będą chcieli odzyskać wszystko, co się tam znajduje. To, co ci proponuję, to dla was jedyne wyjście.

Dennis popatrzył na niego w milczeniu i nerwowo potarł dłonią policzek.

- Pieprz się, Talley. Mam cię gdzieś. Uważasz mnie za idiotę?

- Mówię ci prawdę. Poddaj się. Pójdź na współpracę, a przynajmniej uratujesz życie.

Rooney westchnął ciężko, a w jego oczach pojawił się głęboki cień smutku.

- A ile ono jest warte?

- Tyle, na ile sam je wycenisz.

- Wracam do środka. Muszę to wszystko przemyśleć. Jutro dam ci moją odpowiedź.

Talley świetnie wiedział, że to kłamstwo. Nauczył się już wyczuwać, którzy przestępcy zamierzają się poddać, a którzy nie. Na swoje nieszczęście Rooney zdobył coś, z czego za nic nie chciał zrezygnować.

- Proszę, Dennis.

- Spieprzaj.

Wycofał się tyłem, wszedł do domu i zasunął drzwi. Chwilę później zniknął w zalegającym tam mroku, jakby się zanurzył w mętnej wodzie.

Talley odwrócił się i ruszył w stronę muru ogrodzenia, modląc się w duchu, żeby Thomas zdążył odszukać dyskietki i wrócić bezpiecznie do swojego pokoju. Jeśli tak się stało, to nie tylko Rooney zdobył coś, czego za żadną cenę nie chciał stracić.

## THOMAS

Thomas ociekał potem. Kolana miał podrapane od łażenia na czworakach po surowych deskach strychu i w tych miejscach, gdzie strużki potu spływały po rozciętej skórze, czuł bolesne pieczenie. Nie zważał na to. Był podekscytowany i szczęśliwy. Mimo silnego zmęczenia dumą napawała go myśl, że właśnie dokonał największego wyczynu w swoim życiu, o wiele ważniejszego niż wszystko, co dotąd działali z Duane'em Fergusem.

Prąd był wyłączony, nie musiał się więc martwić, że ktoś go zauważy na monitorze systemu alarmowego. Kiedy zeskoczył do swojej szafy, nie kryjąc się, podszedł do komputera stojącego na biurku. Pospieszenie go zdemontował i przeniósł wszystkie elementy na podłogę w kącie za łóżkiem, będącym poza zasięgiem obiektywu kamery. Ręce miał wilgotne od potu i ciężki monitor wysliznął mu się z palców, ledwie zdążył kolanem zamortyzować jego upadek na podłogę.

Nagle znowu zapaliły się światła. Naszły go obawy, że bandyci będą chcieli sprawdzić, co robi w sypialni, toteż włączył komputer i błyskawicznie załadował do czytnika pierwszą dyskietkę.

Na ekranie ukazała się nieznana mu ikona bez podpisu. Kliknął ją i otworzył plik. Wyświetlił się spis firm, których nazwy nic mu nie mówiły. Wybrał jedną na chybił trafił. Pojawiła się tabela z liczbami. Przestraszył się, że zabrał z gabinetu niewłaściwe dyskietki, chociaż innych nie było w szufladzie biurka. Zestawienia liczbowe nie miały dla niego żadnego sensu, lecz skoro właśnie na tych dyskietkach zależało Talleyowi, pewnie wiedział, czego te dane dotyczą.

Obejrzał się na drzwi i wyteżył słuch, ale w korytarzu panowała cisza.

Włączył telefon komórkowy. Wskaźnik akumulatorów pokazał mniej niż połowę stanu naładowania, a po chwili na wyświetlaczu zgasła jeszcze jedna kreska. Zostało mu bardzo mało energii.



Wcisnął klawisz powtórnego wybierania numeru, żeby połączyć się z komendantem policji.

TALLEY

Kiedy Talley wdrapał się na mur ogrodzenia, ujrzał po drugiej stronie Martin i Hicksa. Kapitan była rozwścieczona.

- To było idiotyczne posunięcie. Co chciał pan przez to osiągnąć?

Odszedł bez odpowiedzi. Nie chciał, aby Martin była przy nim, gdy zadzwoni Thomas. Przez radio pokrótce streścił Maddoksowi przebieg swojej rozmowy z Rooneyem, skręciwszy na sąsiednią posesję, żeby skrócić sobie drogę. Nie wspomniał ani słowem o dużej sumie w gotówce, która według Dennisa znajdowała się w domu, gdyż wywołałoby to wiele pytań i niepotrzebnie wzbudziło zainteresowanie Walterem Smithem. Czuł się z tego powodu nieswojo. Wciąż uważał się za negocjatora, a w tej akcji drugi negocjator całkowicie polegał na przekazywanych przez niego informacjach, tymczasem on świadomie nie mówił mu całej prawdy. Przede wszystkim z tego powodu zdał tylko krótką relację, brzydził się tym, co robi.

Telefon zadzwonił, gdy był już przy uliczce od frontu. Pospiesznie zawrócił na podjazd i stanął przy kępie krzewów, żeby nie być widocznym z domu.

- Mam je! - rzucił chłopak.

Talley ledwie zdołał nad sobą zapanować. W końcu nie zyskał jeszcze żadnych informacji.

- Świetna robota, synu. Zdążyłeś wrócić do swojego pokoju, prawda? Jesteś bezpieczny?

- Ten olbrzym Mars mało mnie nie złapał, ale się ukryłem. Co to było, co pan odpalił na tylnym podwórku? Huknęło jak się patrzy!

- Jak to wszystko dobiegnie końca, pozwolę ci samemu odpalić taki ładunek, jeśli będziesz chciał. Ale nie teraz, dobrze? Na razie muszę się dowiedzieć, co jest na tych dyskietkach.

- Zestawienia liczbowe. Podejrzewam, że dane do wyliczenia podatków.

- Udało ci się otworzyć pliki?

- Przecież mówiłem, że to nic wielkiego.

Martin i Hicks wyszli z podjazdu posesji po przeciwnej stronie i dołączyli do grupy policjantów stojących pod osłoną radiowozów na ulicy. Kapitan natychmiast skierowała się do Maddoksa. Talley schował się głębiej za krzakiem.

- Wcale nie wątpię, że to potrafisz. Dyskietki były podpisane?

- Aha. Tak, jak pan mówił. „Dysk pierwszy” i „Dysk drugi”.

- Powiedz mi, co dokładnie zobaczyłeś po otwarciu pliku.

- Właśnie mam go przed sobą.

- W porządku. Więc co widzisz na ekranie?

Talley wymacał w kieszeni notes i długopis, szykując się do robienia notatek.

Thomas zaczął cytować nazwy firm figurujących w spisie na pierwszym ekranie. Wydawały się tajemnicze i mało mówiące, takie jak Southgate Holdings czy Desert Entertainment. Talley słyszał je po raz pierwszy. Wreszcie padły dwie budzące skojarzenia: Palm Springs Ventures i The Springs Winery. Przynajmniej miały coś wspólnego z Palm Springs, skąd pochodziła również ekipa budowlana stawiająca dom Smitha. Poprosił chłopaka, żeby wyświetlił dane Palm Springs Ventures, ale według jego opisu nie było tam nic poza tabelami liczb przypominającymi księgowy bilans okresowy albo zestawienie wydatków, kosztów, zysków i strat. Nigdzie nie występowało żadne nazwisko, Talley zanotował sobie jednak nazwy obu firm.

- Otwórz drugi plik i zobacz, czy tam również nie ma jakichś nazwisk.

Po kilku sekundach Thomas odpowiedział:

- Nie, tylko zestawienia liczbowe. To chyba kwoty pieniędzy.

- W porządku. Załaduj drugą dyskietkę i powiedz mi, co na niej jest.

Kilkusekundowa przerwa na wymianę dyskietek wydawała się ciągnąć w nieskończoność, bo Talley cały czas bardzo się bał, że chłopak zostanie nakryty. Ale kiedy Thomas odczytał pozycje figurujące w początkowym spisie, serce zabiło mu mocniej: „Czarne”, „Białe”, „Wpływy”, „Wydatki”, „Transfery”, „Źródła”, „Pokwitowania”, „Inne”. Talley nie czekał nawet, aż chłopak odczyta pełną listę.

- Wystarczy - przerwał mu. - Otwórz plik o nazwie „Czarne”.

- To następny spis.

- Co w nim jest?

- Symbole, chyba skróty stanów. CA, AZ, NV, FL... Czy NV to Nevada?

- Tak, zgadza się. Otwórz Kalifornię.

Thomas opisał wielostronicową tabelę, w której znajdowały się nic niemówiące Talleyowi nazwiska. Były przy nich daty i sumy wpłat. Ogarniała go coraz większa nerwowość. To trwało za długo.

- Przeczytaj jeszcze inne nazwy plików.

Chłopak wymienił sześć czy siedem dalszych pozycji z listy, kiedy Talley znowu mu przerwał:

- Otwórz to ostatnie, „Podatki”.

- Znów same liczby. Ale to chyba lata. Dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery...

- Otwórz ten rok.

- Aha, jest taki formularz podatkowy, jaki tata przygotowuje dla urzędu skarbowego.

- Na pierwszej stronie powinny się znajdować dane podatnika, imię i nazwisko albo nazwa firmy.

W słuchawce panowała cisza.

- Thomas?

- Szukam.

Talley wyjrzał na ulicę. Martin patrzyła w tę stronę. Przez chwilę mierzyła go surowym spojrzeniem, po czym rzuciła kilka słów Hicksowi i nisko pochyłona, nie wystawiając głowy nad dachy aut, ruszyła ku niemu szybkim krokiem.

- Tu jest napisane: „Przedsięwzięcia rodzinne”.

- Nie ma żadnego nazwiska?

- Nie.

Miał straszną ochotę samemu przejrzeć zapisy na dyskietkach. Miał nadzieję, że dużo prędzej odnalazłby jakieś informacje, gdyby nie musiał polegać na opisie dziesięcioletniego chłopca.

- Poszukaj rubryki zatytułowanej „prezes zarządu” albo „odpowiedzialny płatnik”, czegoś w tym rodzaju.

Martin wyłoniła się zza szeregu pojazdów. Po zejściu z linii strzału wyprostowała się i zwolniła kroku. Talley wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Musimy porozmawiać - rzekła stanowczo.

- Za chwilę.

- To bardzo ważne.

- Jak skończę rozmawiać przez telefon! - rzucił ostro i odwrócił się do niej tyłem.

Jego ton przyniósł skutek. Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i cofnęła się parę kroków.

- Już mam - odezwał się Thomas.

- Znalazłeś jakieś nazwisko?

- Tak. W rubryce zatytułowanej „płatnik podmiotu gospodarczego” jest wymieniony jeden facet.

- Kto?

- Charles G. Benza.

Talley spuścił głowę i zaczerpnął głęboko powietrza, jakby nagle zabrakło mu tchu. Spojrzał na dom, potem przeniósł spojrzenie na kapitan Martin. Bardzo się pomylił. Walter Smith nie był zwykłym kryminalistą przechowującym w domu wartościowe rzeczy, lecz księgowym organizacji Sonny'ego Benzy. To wyjaśniało, skąd się wzięły u niego dyskietki z danymi finansowymi mafii. I tłumaczyło też, dlaczego ich ujawnienie mogło być tak groźne dla Benzy i współpracujących z nim gangsterów. Tuż pod jego nosem, w spokojnym Bristo Camino, urzędował księgowy mafii.

Westchnął ciężko, jakby miał nadzieję, że wraz z wypuszczeniem powietrza zdoła się uwolnić od wielkiego ciężaru, jaki spoczął na jego barkach. Już wiedział, dla jakich informacji wynajęci ludzie gotowi byli porywać i zabijać innych. Przez Smitha mogli wypaść z interesu. Znał ich tajemnice i mógł je ujawnić. A więc ludzie, którzy go napadli, pracowali dla mafii. Szef najgroźniejszej przestępczej rodziny na Zachodnim Wybrzeżu trzymał jako zakładniczki Jane i Amandę.

Thomas niespodziewanie rzucił półgłosem:

- Ktoś idzie. Muszę kończyć.

W słuchawce zapadła cisza. Rozwścieczona Martin oparła dłonie na biodrach.

- Więc jak?! Możemy wreszcie porozmawiać?

- Nie.

Talley popędził susami do swego samochodu. Jeśli zapisy na dyskietkach mogły wyłączyć Benzę z gry, takim samym zagrożeniem był dla niego Walter Smith. W biegu połączył się przez radio z Metzger czuwającą w szpitalu.

## THOMAS

Thomas usłyszał, że ktoś wyciąga gwóźdź, którym były zabite drzwi sypialni. Natychmiast wyszarpnął wtyczkę komputera z kontaktu i rzucił się na łóżko. Ledwie zdążył wepchnąć telefon komórkowy pod kapę, gdy drzwi się otworzyły. Do środka wszedł Kevin z dwoma kawałkami pizzy na papierowym talerzyku i puszką dietetycznej coli.

- Przyniosłem ci coś do zjedzenia.

Thomas wsunął dłonie między skrzyżowane nogi, chcąc ukryć brak więzów w nadgarstkach. Poniewczasie uświadomił sobie, że taśma samoprzylepna, którą miał skrepowane ręce, leży na podłodze na środku pokoju. Kevin zatrzymał się nagle, ujrzawszy ją, po czym mruknął z uśmiechem:

- Ty przebiegły gnojku. Powinienem ci skopać tyłek.

- Wrzynała mi się w skórę.

- Nie chrań. Zresztą to i tak nie ma znaczenia.

Thomas odetchnął z ulgą, ujrzawszy, że Kevin nawet nie jest za bardzo zły na niego. Podał mu pizzę i colę, po czym sprawdził, czy okno nadal jest zabite gwoździami. Thomas przestraszył się, że zwróci uwagę na brak komputera na biurku, ale tamten był pogrążony we własnych myślach.

Po sprawdzeniu okna stanął oparty ramieniem o ścianę, jakby z trudem trzymał się na nogach. Powiódł dookoła zaciekawionym spojrzeniem. Z wyraźną zazdrością popatrzył na książki i zabawki na regale, biurko pod oknem, brudne ciuchy rzucone w kąt na kupę, plakaty na ścianach, rozbity telefon na podłodze, telewizor, wieżę stereo, nawet na komputer stojący pod łóżkiem, który na szczęście nie wzbudził jego podejrzeń.

Wreszcie utkwiał spojrzenie w Thomasie.

- Jesteś pieprzonym szczęściarzem - rzekł.

Oderwał się od ściany i ruszył do wyjścia.

- Kiedy się wreszcie stąd wyniesiecie? - rzucił za nim Thomas.

- Nigdy.

Wszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Thomas czekał cierpliwie.

Po chwili usłyszał głośny stukot młotka. Później zatrzeszczała podłoga pod ciężarem Kevina.

Po raz kolejny próbował liczyć do stu, ale przerwał po pięćdziesięciu i bez namysłu przekradł się pod ścianą do szafy. Pragnął się dowiedzieć, co oni planują. I chciał zabrać pistolet.

*Sobota, 0.02*

*Szpital Canyon Country, Kalifornia*

## MARION CLEWES

Szpital Canyon Country stojący między dwoma pasmami wzgórz tonął w powodzi jaskrawego niebieskawego światła. Był to nowoczesny niski budynek, w najwyższym miejscu mający trzy piętra, którego skrzydła wrzynały się daleko w rozległy parking. Zjeżdżając estakadą z autostrady i spoglądając na oświetlony gmach z beżowego piaskowca, z lustrzanymi szybami w oknach, Marion pomyślał, że bardzo przypomina siedziby bogatych firm softwarowych, także usytuowane na pustkowiach z dala od miast.

Okrażył cały szpital i odnalazł na tyłach wejście do izby przyjęć. W piątkową noc, tuż po północy, na parkingu nie było żywej duszy. Było to o tyle dziwne, że w tym samym czasie szpitale w dużych miastach musiały wzmacniać dyżurny personel, a krzyki z izby przyjęć słychać było kilka przecznic dalej. Pomyślał więc, że dobrze byłoby zamieszkać w dolinie Santa Clarita. Do tej pory wszystko mu się tu podobało.

Na miejscach parkingowych przed wejściem oprócz karetek stały tylko trzy samochody, ale w cieniu pobliskiego skrzydła budynku zauważył cztery wozy reporterskie. Spodziewał się tego, więc ten widok wcale go nie zaskoczył. Ustawił wóz jak najbliżej izby przyjęć, przodem do wyjazdu, i skierował się do drzwi.

Dziennikarze stali w zbitej gromadce przy kontuarze rejestracji i rozmawiali ze strapioną kobietą w białym fartuchu. Szybko się zorientował, że to kierowniczka dyżurującego zespołu izby przyjęć, doktor Reese, która omawia badania, jakim poddano Waltera Smitha. Za kontuarem stały dwie młode ładne pielęgniarki, obie miały czarne oczy Indianek. Z zaciekawieniem przysłuchiwały się temu, co mówi lekarka. Z pewnością były bardzo podekscytowane obecnością aż tylu przedstawicieli mediów.

Marion podszedł do automatu w rogu niewielkiej poczekalni i kupił sobie kubek czarnej kawy. Siedząca na krzeselku policjantka także uważnie przysłuchiwała się wyjaśnieniom doktor Reese. Naprzeciwko niej młody Latynos kołysał w ramionach niemowlę, starsze dziecko drzemało z głową na jego kolanach, przycupnięte na samym brzeżku sąsiedniego krzesła. Mężczyzna miał zatroskaną minę, której powodem, jak należało się domyślać, był stan jego żony. Marion współczuł mu z całego serca.

- Wygląda na to, że całkiem o panu zapomnieli, co nie?

Latynos popatrzył na niego z wdzięcznością. Marion uśmiechnął się, pomyślawszy, że tamten pewnie nie zna angielskiego.

- To przykre - dodał.

Odwrócił się i wyszedł z poczekalni. Krótki korytarzyk za wahadłowymi drzwiami prowadził do obszernej sali ogólnej z kilkoma stanowiskami, które oddzielały niebieskie parawany. Na jej przeciwległym końcu znajdowały się takie same drzwi wahadłowe. Martin stanął w przejściu, a gdy przez drzwi wyszedł salowy, uśmiechnął się do niego wstydliwie i rzekł:

- Bardzo przepraszam. Doktor Reese powiedziała, że ktoś mi pomoże.

Chłopak spojrział w kierunku lekarki wciąż rozmawiającej z dziennikarzami w drugim końcu poczekalni.

- Jestem sąsiadem Waltera Smitha. Kazali mi zabrać jego ubrania i rzeczy osobiste.

- Chodzi o tego faceta, który był zakładnikiem?

- Tak. Czy to nie straszne?

- Niewiarygodne, że zdarzają się takie rzeczy, prawda?

- Nigdy nic nie wiadomo. Bardzo się wszyscy martwimy. Jego dzieci wciąż są przetrzymywane przez bandytów.

- Współczuję.

- Proszono mnie, żebym zabrał jego rzeczy do domu.

- Dobra. Zobaczą, co da się zrobić.

- Jak on się czuje?

- Lekarze jeszcze sprawdzają wyniki tomografii komputerowej. Niedługo będzie wiadomo.



Marion odprowadził wzrokiem salowego, a gdy zniknął za drzwiami po drugiej stronie sali, wszedł do niej po cichu i oddalił się na tyle, by nie widziały go pielęgniarki z rejestracji. Chwilę później salowy przyniósł dużą zieloną torbę papierową.

- Proszę. Trzeba było mu porozcinać ubrania, więc są do niczego. Ale nie było innej rady.

Marion wziął od niego torbę. Wyczuł na dnie buty.

- Muszę coś podpisać?

- Nie, to zbytęczne. Nie przestrzega się tu zbyt ściśle formalności. Wcześniej pracowałem w szpitalu przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Tam trzeba było kwitować wszystko. Tu jest zupełnie inaczej. Życie w małych miasteczkach jest cudowne.

- Bardzo dziękuję. Czy jest drugie wyjście z tej strony? Nie chciałbym przechodzić obok dziennikarzy. Są tacy napastliwi i zadają mnóstwo pytań.

Salowy wskazał wahadłowe drzwi na końcu sali.

- W korytarzu proszę skrócić w lewo. Zobaczy pan czerwoną tablicę kierującą do wyjścia awaryjnego. Boczny korytarzem dostanie się pan do głównego holu i wyjścia od frontu.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Postawił torbę na podłodze i zaczął wyjmować z niej rzeczy. Nawet nie próbował się z tym kryć. W środku były džinsy, skórzany pasek, czarny skórzany portfel, białe bokserki z salonu Calvina Kleina, koszulka polo, szare skarpety, czarne sportowe reeboki i zegarek marki Seiko. Wszystkie ubrania poza skarpetami były poprzecinane na pół. Pomacał kieszenie spodni, lecz znalazł jedynie białą chusteczkę do nosa. Nie było żadnych dyskietek. Pan Howell będzie rozczarowany, pomyślał.

Spakował wszystko z powrotem i z torbą pod pachą ruszył przez salę ogólną. Wszystkie łóżka były puste. Zaczął się zastanawiać, gdzie może być żona Latynosa siedzącego w poczekalni, ale natychmiast o niej zapomniał, zobaczywszy Smitha w izolatce. Lewą część głowy miał zakrytą dużym opatrunkiem, a z nosa wystawały mu plastikowe rurki doprowadzające tlen. Przy jego łóżku kręciły się dwie pielęgniarki, jedna ruda, a druga czarna. Rozstawiały po obu stronach aparaturę, zapewne monitory EEG i EKG. Zdawało się to potwierdzać, że pacjenta dopiero niedawno przywieziono tu po zakończeniu badania tomograficznego, nad którego wynikami

wciąż jeszcze debatowali lekarze. Dzięki temu Marion miał trochę czasu. Wiedział, że gdy w końcu postawią diagnozę, Smith zostanie przewieziony albo na salę operacyjną, albo do pokoju na którymś oddziale. W tym drugim wypadku byłoby mu łatwiej wykonać zadanie, obawiał się jednak, że stan księgowego może wymagać natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Dlatego szybko podjął decyzję.

Znalazł zaciszne miejsce w końcu korytarza, pod samymi drzwiami, gdzie pod ścianą stał wózek do transportu chorych. Postawił na nim torbę, wyjął z kieszeni strzykawkę oraz fiolkę z lidokainą i włożył je do środka, na ubrania Smitha. Zawsze woził to ze sobą w samochodzie.

Zza rogu pojawił się wysoki młodzieniec pchający pusty wózek inwalidzki. Sprawiał wrażenie na wpół przytomnego.

Marion uśmiechnął się do niego wyrozumiale.

- Ciągłe sobie powtarzam, że trzeba w końcu przywyknąć do pracy o tej porze, ale to chyba niewykonalne.

Tamten odpowiedział skąpym uśmiechem i mruknął:

- Mnie pan to mówi?

Kiedy się oddalił, Marion w torbie, żeby nikt nie widział, rozerwał opakowanie strzykawki, zdjął osłonę igły, wbił ją w gumowy korek fiolki i naciągnął pełną strzykawkę lidokainy. Był to jeden z jego ulubionych środków. Wstrzyknięta człowiekowi o zdrowym sercu powodowała wstrzymanie jego pracy. Ułożył strzykawkę na wierzchu ubrań, by mieć ją pod ręką, zakrył brzegiem torby i uzbroił się w cierpliwość.

Po kilku minutach czarnowłosa pielęgniarka wyszła z pokoju Smitha. Nieco później wyszła też druga.

Marion wśliznął się do środka. Teraz nie miał już czasu do stracenia, ale nie potrzebował go dużo. Postawił torbę na łóżku. Smith zatrzepotał powiekami, rozchylił je nieco, po czym zacisnął silnie, jakby miał za chwilę odzyskać przytomność. Marion uderzył go lekko w twarz.

- Ocknij się.

Uderzył go po raz drugi.

- Walter?

Smith otworzył szkliste i zamglone oczy, trudno było powiedzieć, czy cokolwiek widzi. Marion uderzył go trzeci raz, trochę mocniej. Policzek nieprzytomnego wyraźnie się zaczerwienił.

- Dyskietki są nadal w twoim domu?

Smith wydał z siebie nieartykułowany pomruk. Marion chwycił go za brodę i energicznie potrząsnął jego głową.

- Odezwij się, Walter. Powiedziałeś komuś, kim jesteś?

Smith jeszcze raz zatrzepotał powiekami, wreszcie otworzył szeroko oczy i spojrzał na niego z pozoru przytomnym wzrokiem.

- Walter?

Pacjent z powrotem zamknął oczy.

- Jak sobie chcesz. Jeśli nie chcesz mówić, to twoja sprawa.

Marion zdecydował, że najwyższa pora wykonać zadanie. Był przekonany, że może zameldować zleceniodawcom, iż dyskietki pozostały w domu Smitha, a on sam nie był w stanie nikomu nic powiedzieć od chwili, gdy zabrała go karetka. Bossowie z Palm Springs powinni być zadowoleni. A jeszcze bardziej powinna ich ucieszyć wiadomość o śmierci Waltera Smitha.

- To nie będzie bolało. Obiecuję.

Uśmiechnął się, z trudem powstrzymując wybuch gromkiego śmiechu.

- Chociaż to chyba nie do końca prawda. Podobno atak serca boli jak jasna cholera.

Rozchylił torbę i sięgnął po strzykawkę.

- Co pan tu robi? - W drzwiach stała ruda pielęgniarka. Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem i podeszła do łóżka pacjenta. - Tu nie wolno wchodzić obcym osobom.

Marion uśmiechnął się do niej. Była drobna i szczupła, miała cienką szyję. Nie wyjmując ręki z torby, wypuścił strzykawkę i odchylił trochę ubrania, żeby stoczyła się na dno. Nie spuszczał pielęgniarki z oczu i ani na chwilę nie przestał się uśmiechać. Dobrze wiedział, że ma uroczy uśmiech. Słodki, jak mawiała matka.

- Tak, wiem. Przyszedłem po jego rzeczy, ale przyszło mi do głowy, żeby zostawić jakiś drobiazg na szczęście. A nie miałem kogo zapytać.

Wymacał w torbie portfel, wyciągnął go i otworzył. Szybko wyjął ze środka wymięte zdjęcie Waltera z żoną oraz dziećmi i pokazał je pielęgniarce.

- Mógłbym mu to zostawić? Proszę. Na pewno by się ucieszył.

- Lepiej nie. Mogłoby zginąć.

Obejrzał się na drzwi. W korytarzu nikogo nie było. W drugim końcu pokoju znajdowały się drugie drzwi, pewnie prowadziły do łazienki. Gdyby zatkał jej usta i podniósł ją w górę, trwałoby to najwyżej parę sekund.

- Wiem, ale...

- W porządku. Proszę je wsunąć pod poduszkę i wyjść stąd. Nie wolno panu tu przebywać.

Do sali wróciła też czarnowłosa i bez słowa podeszła do monitora na stojaku. Marion zamknął torbę.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby pan zostawił rodzinne zdjęcie? - zapytała ruda. - Należy do pacjenta.

- Na pewno zginie i potem będzie awantura. Ciągle tu giną różne drobiazgi.

Marion wsunął zdjęcie do kieszeni i uśmiechnął się do rudej.

- Trudno. W każdym razie dziękuję.

Był bardzo cierpliwy. Chciał zaczekać, aż Smith znowu zostanie w pokoju sam, ale gdy wyszedł na korytarz, sprzed budynku doleciał odgłos syreny, a przed wejściem do izby przyjęć zobaczył umundurowaną policjantkę. W pierwszej chwili pomyślał, że mówi sama do siebie, ale zaraz pojął, iż składa meldunek przez radio. Odgłos policyjnej syreny przybrał na sile. Dziennikarze wysypali się na zewnątrz, kierując w jej stronę mikrofony. Posypały się pytania. Kobieta bez słowa precyzyjnie się między nimi i weszła do poczekalni. Marion uznał, że w tej sytuacji nie może czekać.

Wyszedł na parking, zły, że sprawy przybrały taki obrót. W Palm Springs na pewno nie będą zadowoleni, kiedy o tym zamelduje. Ale przecież nic nie mógł na to poradzić, przynajmniej w tej chwili.

Zza rogu budynku wyjechały dwa radiowozy. Popatrzył, jak gliniarze energicznie przepchnęli się przez gromadkę dziennikarzy do wejścia, ignorując wykrzykiwane przez nich pytania, po czym zadzwonił do Glena Howella.

## TALLEY

Talley wywołał Metzger przez radio, jeszcze zanim dobiegł do swego samochodu. Rzucił pospiesznie, że życie Smitha może być zagrożone, i kazał jej stanąć na straży przed drzwiami jego pokoju. Wyciągnął z domu pani Peña Jorgensona oraz Campbella i kazał im jechać za sobą.

Jechał do szpitala na syrenie, z włączonym migaczem. Zdawał sobie sprawę, że ludzie Benzy natychmiast się o tym dowiedzą, co może dodatkowo narazić jego żonę i córkę, ale nie mógł dopuścić, by wykonali wyrok śmierci na księgowym. Poza tym nie wiedział, co innego mógłby jeszcze zrobić.

Kiedy zajechał pod szpital, zobaczył gromadę dziennikarzy biegnących w jego stronę od wejścia do izby przyjęć. Wyskoczył z wozu i podbiegł do Jorgensona i Campbella.

- Nie odpowiadajcie na żadne pytania. Powtarzajcie tylko: bez komentarza. Jasne?

Byli wyraźnie zmieszani i zaskoczeni. Reporterzy błyskawicznie ich otoczyli.

- Idziemy - rzucił.

Po wejściu do szpitala zaczął się uważnie rozglądać, wypatrując głębokiej opalenizny, błysku złotego roleksa na rękę, ubrań podobnych do tych, jakie nosili ludzie, którzy go napadli na parkingu. Wszyscy wydawali mu się podejrzani. Wszyscy byli potencjalnymi zabójcami. Każda z osób obecnych w poczekalni mogła go doprowadzić do Amandy i Jane.

Jobs, potężnie zbudowany szef ochrony szpitala, czekał na nich przy kontuarze rejestracji razem z Klausem i kierowniczką izby przyjęć, starszą lekarką, która przedstawiła się jako doktor Reese. Poprosił ich o rozmowę w jakimś zacisznym miejscu. Weszli przez wahadłowe drzwi do krótkiego korytarza prowadzącego do sali ogólnej. Talley dostrzegł Metzger stojącą na posterunku przed drzwiami pokoju w drugim jej końcu. Poprosił doktor Reese i pozostałych, żeby zaczekali, i podszedł do niej.

- Wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście. Co się dzieje?

Zajrzał do pokoju. Smith leżał sam w izolatce. Poruszył głową, która zsuwała mu się z poduszki. Talley zerknął na Metzger i rzekł:

- Zaraz wrócę.

Kazał Jorgensonowi i Campbellowi poczekać przy niej, po czym wyjaśnił personelowi szpitala:

- Mamy powody przypuszczać, że ktoś będzie próbował dokonać zamachu na życie Smitha. Zamierzam ustawić swoich ludzi przed drzwiami jego pokoju i przed wejściem do izby przyjęć.

Klaus wydał wargi i zmarszczył brwi.

- Zamachu na jego życie? Podobnego, jak pan sam usiłował dokonać w karetce?

Reese obrzuciła go ostrym spojrzeniem,

- My tu ratujemy ludziom życie, szeryfie. Musimy działać szybko. Nie mogę dopuścić, by pańscy ludzie nam przeszkadzali.

- Nie jestem szeryfem, tylko komendantem policji z Bristo.

- Rozumiem. Czy moim pracownikom też coś zagraża?

- Nie, proszę pani. Będą pod ochroną policji.

- To jakaś bzdura - wtrącił Klaus. - Kto chciałby zamordować tego człowieka?

Talley nie zamierzał kłamać. Wzruszył ramionami.

- Musimy traktować to zagrożenie z pełną powagą.

Szef ochrony, Jobs, ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Na świecie pełno jest czubków.

Talley zaproponował, aby któryś z jego funkcjonariuszy stale czuwał przed drzwiami pokoju razem ze szpitalnym ochroniarzem. Gdyby Smitha trzeba było przenieść do innej sali, należało to zrobić pod eskortą policjantów z Bristo. Ledwie skończył mówić, gdy Metzger zameldowała przez radio:

- Szefie. On odzyskał przytomność.

Klaus odwrócił się i pobiegł do pokoju. Talley ruszył za nim. Smith miał oczy szeroko otwarte i przytomne, choć był wyraźnie zdezorientowany. Wymamrotał coś, po czym odchrząknął i zapytał:

- Gdzie jestem?

Język mu się trochę plątał, ale dało się go zrozumieć.

Klaus wyjął z kieszeni ołówkową latarkę, odchylił pacjentowi powiekę i poświecił mu w źrenicę, najpierw jedną, potem drugą.

- Nazywam się Klaus i jestem lekarzem szpitala Canyon Country. Leży pan na izbie przyjęć. Pamięta pan, jak się pan nazywa?

Pacjent przez chwilę milczał, jakby miał trudności ze zrozumieniem pytania, wreszcie oblizął wargi i rzekł cicho:

- Smith. Walter Smith. Co się stało?

Klaus zerknął na monitory.

- Nie pamięta pan?

Smith zamyślił się na krótko, lecz zaraz oczy mu się rozszerzyły. Dźwignął się na łokciach, ale Klaus delikatnie położył go z powrotem.

- Spokojnie. Proszę się nie ruszać, bo może pan znów stracić przytomność.

- Gdzie moje dzieci?

Doktor obejrzał się na Talleya, ten odparł szybko:.

- W domu.

Smith popatrzył na niego. Talley uniósł brzeg koszulki, pokazując swoją odznakę przypiętą do paska.

- Nazywam się Jeff Talley, jestem komendantem policji z Bristo. Pamięta pan, co się stało?

- Jacyś ludzie wtargnęli do mojego domu. Było ich trzech. Co z moimi dziećmi?

- Nadal są w domu. Z tego, co mi wiadomo, czują się dobrze. Próbujemy ich uwolnić.

Klaus skinął głową.

- To właśnie szef Talley wyniósł pana do karetki.

Smith popatrzył na niego i znów przeniósł wzrok na Talleya.

- Dziękuję.

Głos mu wyraźnie słabł. Powoli odwrócił głowę i zamknął oczy, aż Talley nabrał obaw, że znów straci przytomność.

Klausowi widocznie nie podobały się wskazania monitorów, gdyż znowu wyjął wargi i zmarszczył brwi.

- Lepiej go nie przemęczać.

Talley odciągnął go na bok i zapytał półgłosem:

- Czy mógłbym mu zadać parę pytań? Na ten temat, o którym przed chwilą rozmawialiśmy.

- Boję się, że nie wpłynie to dobrze na jego stan. Nie można go denerwować.

Talley obejrzał się na Smitha i pomyślał, że już wie, jak dopiąć swego. Postawa Klausa była dla niego tak jasna i czytelna, jak zachowanie przestępców przetrzymujących zakładników.

- On ma pełne prawo znać prawdę, doktorze. Świetnie pan o tym wie. Proszę tylko o parę minut rozmowy na osobności.

Klaus skrzywił się, ale wyszedł z pokoju.

- Smith.

Pacjent otworzył oczy, choć już nie tak szeroko, jak poprzednio. Talley spojrział w nie uważnie, wypatrując oznak przytomności, szybko pochylił się i rzekł cicho:

- Wiem, kim pan jest.

Smith otworzył szerzej oczy.

- Sonny Benza porwał moją żonę i córkę.

Księgowy utkwiał w nim nieruchomy wzrok, ale z jego twarzy nie dało się nic wyczytać, nie był ani zaskoczony, ani przestraszony. Talley wyczuwał jednak, co kryje się pod tą wystudiowaną pozą.

- Chce odzyskać swoje księgi finansowe. Porwał moją żonę i córkę, by mieć pewność, że zrobię wszystko, co mi każe. Potrzebuję pańskiej pomocy, Smith. Muszę wiedzieć, jak się do niego dostać.

Jakaś kropla spadła na ramię leżącego. Talley zamrugał szybko, nim uświadomił sobie, że mimowolnie łzy napłynęły mu do oczu.

- Proszę mi pomóc.

Smith oblizął wargi i pokręcił głową.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Szybko zamknął oczy.

Talley pochylił się jeszcze niżej i dodał chrapliwym głosem:

- Na pewno już wydał rozkaz, żeby cię zabić, sukinsynu.

Klaus wszedł z powrotem.

- Wystarczy.

- Proszę mi dać jeszcze chwilę.



- Powiedziałem: wystarczy!

Talley rozmieścił strażę i wyszedł ze szpitala. Wracił z opuszczonymi do końca szybami, rozwścieczony i przybity. Walił pięścią w kierownicę i kłął pod nosem. Nie chciał wracać na osiedle. Pragnął wyważyć jedne drzwi po drugich do czasu, aż odnajdzie Amandę i Jane. Kierowała nim bezsilna złość. Wyciągnął z kieszeni czarną nokię i położył ją na siedzeniu. Wiedział, że niedługo zadzwoni. Nadzorca potrzebował go do realizacji swojego planu, a on nie miał innego wyjścia, jak posłusznie wykonywać polecenia.

Telefon zadzwonił.

Wyhamował i zatrzymał wóz na poboczu. Był mniej więcej w połowie drogi ze szpitala Canyon Country do Bristo, na autostradzie prowadzącej przez jałowe, kamieniste pustkowia. Mijały go prawie same ciężarówki, których kierowcy chcieli zdążyć do Palmdale przed świtem. Wcisnął klawisz odbioru i uniósł aparat do twarzy, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Nadzorca wrzasnął:

- Spierdoliłeś sprawę, policyjny tępaku! Bardzo kiepsko to rozegrałeś!

Talley bez zastanowienia wrzasnął w odpowiedzi:

- To ty ją spierdoliłeś, sukinsynu! Myślisz, że z założonymi rękami pozwolę ci mordować ludzi?!

- Chcesz usłyszeć inny krzyk?! O to ci chodzi?! Chcesz się przekonać, jak wyje twoja córeczka, gdy będę jej przypalał twarz lampą lutowniczą?!

Talley zaczął raz za razem walić pięścią w deskę rozdzielczą. W ogóle nie czuł bólu.

- Mam cię w garści, skurwysynu! Mam cię! Jak tylko tkniesz którąś z nich, jeśli choć jeden włos spadnie im z głowy, natychmiast każę zaatakować dom! Dostanę się do środka, odnajdę te pieprzone dyskiety i obejrzę sobie, co na nich jest! Chcesz się o tym dowiedzieć z gazet?! A może wolisz, żebym je przekazał prawdziwemu FBI?! Na pewno tego nie chcesz, popierdolony skurwysynu! I mam też Smitha! Nie zapominaj o tym, kutasie! Mam Smitha!

Ręce mu się trzęsły z wściekłości. Dokładnie tak samo czuł się przez kilka pierwszych minut po zakończeniu każdej akcji brygady antyterrorystycznej. Krew kipiała mu w żyłach do tego stopnia, że tylko przelanie czyjejś krwi mogło go uspokoić.

Po kilku sekundach Nadzorca odezwał się stonowanym głosem:

- Wygląda na to, że obaj mamy coś, na czym. drugiemu zależy.

Talley próbował się uspokoić. Przede wszystkim musiał zyskać na czasie.

- Pamiętaj o tym, do cholery. Nie zapominaj o tym ani na chwilę.

- W porządku. Postawiłeś straż przed pokojem Smitha. Niech ci będzie. I na niego przyjdzie jeszcze kolej. Na razie chcemy odzyskać naszą własność.

- Pamiętaj. Jak którejs z nich spadnie choć jeden włos z głowy, dopadnę was wszystkich, łajdacy.

- Skończ z pogrozkami, Talley. To strata czasu. Lepiej zatroszcz się o to, byśmy odzyskali dyskietki, w przeciwnym razie nie tylko jeden włos spadnie komuś z głowy.

- Więc co dalej?

- Moi ludzie są gotowi do działania. Wiesz, kogo mam na myśli?

- Tak. FBI.

- Będzie ich sześciu w dwóch samochodach. Jeśli coś spieprzysz, zrobisz nie tak, jak powinieneś, dostaniesz swoją rodzinę z powrotem pocztą.

- Przecież robię wszystko, co mogę, do cholery! Powiedz tylko, czego dokładnie chcesz.

- Masz im zapewnić wszystko, czego zażądają, i robić to, co ci każą. Pamiętaj, że od tego, czy dostanę dyskietki, zależy los twojej rodziny.

- Jezu, człowieku. Jak sobie wyobrażasz akcję bandy płatnych morderców? Dom jest otoczony przez policyjnych zawodowców. Uważasz ich za idiotów?

- Ja też nie jestem idiotą, Talley. Moi chłopcy dobrze wiedzą, co i jak trzeba załatwić. Też będą się zachowywać jak zawodowcy. Zostaw ludzi szeryfa na posterunkach obserwacyjnych wokół ogrodzenia posesji, tylko trzymaj grupę uderzeniową z dala od domu. Dowódca mojej grupy wyda odpowiednie rozkazy. Powiesz, że oddział FBI był przypadkiem w pobliżu na wspólnym szkoleniu służb celnych i agentów federalnych. Dowiedział się o sprawie i zadzwonił do ciebie z propozycją pomocy, a ty ją chętnie przyjąłeś.

Talley świetnie wiedział, że Martin nie kupi takiej bajeczki. Był przekonany, że mistyfikacja się wyda.

- Nikt w to nie uwierzy. Dlaczego miałbym chętnie przyjmować pomoc FBI, skoro ludzie szeryfa są już na miejscu?

- Ponieważ dowiedziałeś się od agentów federalnych, że Walter Smith jest objęty programem ochrony świadków.

- Naprawdę?

- Nie udawaj głupiego. Moi ludzie to potwierdzą przed ludźmi szeryfa. Dowódca grupy będzie wiedział, jak to załatwić. Wystarczy, że nie będziesz im przeszkadzał. Chcesz jeszcze raz usłyszeć swoją żonę?

- Tak.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, potem doleciały go stłumione męskie głosy, wreszcie Jane przeraźliwie krzyknęła.

- Jane?!

Zacisnął obie dłonie na aparacie i krzyknął na cały głos, zapominając, gdzie się znajduje i co robi:

- Jane!

- Słyszałeś ją, Talley - odezwał się Nadzorca. - Teraz zajmij się szykowaniem gruntu na przyjazd moich ludzi.

Połączenie zostało przerwane. Talley był zlany potem, ręce mu silnie dygotały. Wprowadził w telefonie kod wywoływania połączenia zwrotnego, ale nic to nie dało. Znowu urwał się kontakt i z Jane, i z Nadzorcą. W głowie mu się zakręciło, jakby był pijany. Musiał się wziąć w garść. Odłożył telefon, uruchomił silnik i ruszył w kierunku miasta.

DENNIS

Kiedy Dennis wrócił z basenu, Mars nie odezwał się ani słowem, ale Kevin popatrzył na brata z nadzieją i zapytał:

- Co powiedział? Zaproponował coś?

Dennis był otepiały. Nie czuł już ani desperacji, ani strachu, a jedynie mętlik w głowie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Talley odrzucił propozycję przyjęcia tak dużej sumy pieniędzy, jakby z założenia mu nie wierzył. Pewnie podejrzewał, że kłamie na temat ilości znalezionej gotówki, podobnie jak sam kłamał, że ten dom należy do mafii.

- Co się stało, Dennis? Postawił ci ultimatum?

Dziewczyna, która opadła na czworaki w kuchni, podniosła głowę i popatrzyła na niego.

- Czy twój stary należy do mafii?

- Co ci strzeliło do łba?

Nie wątpił, że ona nie ma o niczym pojęcia. Sam pomysł był niedorzeczny, a on jak głupi zapytał o to wprost.

- Mars. Zabierz ją stąd. Zaprowadź ją z powrotem do jej pokoju.

Ruszył do gabinetu po butelkę z wódką i przeszedł z nią do salonu. Światła zapaliły się, zaledwie usiadł na obitej skórą kanapie.

Kevin stanął w przejściu.

- Zamierzasz w końcu powiedzieć, co się stało?

- Nie powinienem mu mówić o forsie. Teraz będzie chciał zatrzymać wszystko dla siebie.

- Powiedział ci to?

- Chciałem odpalić mu działkę. W końcu jest tego cholernie dużo. Myślałem, że uda mi się kupić drogę na wolność. I to był mój błąd. Jak tylko mu powiedziałem, że

mamy tu kupę forsy, pewnie od razu zaczął kombinować, jak ją zgarnąć dla siebie. Chrzanić to. Jeśli nie uda nam się uciec, powiem na przesłuchaniu o forsie. Wszyscy trzej musimy to zeznać, żeby Talley dostał za swoje, jeśli będzie próbował ją zgarnąć.

Dennis na dłużej przyssał się do butelki, gdyż znowu wzbierała w nim złość. Był wściekły na tego przekłętą łobuza, który chciał ukraść jego pieniądze.

- On nas wszystkich pozabija, Kev. Mamy przesrane.

- Nie wygłupiaj się. Nie może nas pozabijać.

Kevin był tak cholernie naiwny.

- Będzie musiał nas pozabijać, idioto. Nie dopuści, żeby ktokolwiek się dowiedział o forsie. Będzie mógł ją zgarnąć dla siebie tylko wtedy, gdy nikt się o niej nie dowie. Podejrzewam, że pozbędzie się nas, jeszcze zanim gliniarze zdążą odczytać nam nasze prawa. Pewnie już teraz kombinuje, jak to załatwić.

Kevin podszedł bliżej, pochylił się i objął go ramieniem.

- To koniec, Dennis. Musimy się poddać.

- Przestań pieprzyć! Forsa jest moja!

Poczuł, że przestaje nad sobą panować, więc pociągnął jeszcze łyk wódki. Od kiedy pamiętał, Kevin zawsze pełnił tę samą rolę, zawsze go udupiał, zatrzymywał w miejscu jak kotwica, nie pozwalając wypłynąć na szerokie wody.

- Przez ciebie i te pieniądze wszyscy zginiemy - mruknął Kevin, ściskając go za ramię. - Talley nie będzie się z nami patyczkował. Kiedy gliny się znudzą czekaniem, aż się poddamy, włamią się tu i wszystkich nas pozabijają.

Dennis uniósł butelkę i wzruszył ramionami.

- W takim razie możemy zginąć bogaci.

- Nie!

Kevin wytrącił mu butelkę z ręki i Dennis zerwał się z kanapy. Nie panował już nad sobą, rządziła nim wściekłość i poczucie bezradności. Pchnął silnie brata na stolik do kawy i skoczył za nim. Kevin jęknął głucho, padając, i uniósł obie ręce, żeby się zasłonić, ale Dennis błyskawicznie odsunął je lewą ręką, a prawą wyprowadził cios, potem drugi i trzeci.

- Przestań!

Z całej siły okładał brata pięściami.

- Przestań się wreszcie mazać, do cholery! - Walnął go prosto w szczękę. - Przestań beczeć!

Kiedy się odsunął, Kevin szybko podciągnął kolana do brzucha, Ręce miał zakrwawione i skamlał cicho. Dennis go nienawidził. Tak samo nienawidził ojca i matki, nienawidził obskurnej nory, w której musieli mieszkać, brutalnych tępaków, których matka sprowadzała do domu, swojej zasranej roboty na budowie, Mrówczej Farmy, jak też każdego dnia swojego nędznego życia. Ale głównie nienawidził brata za to, że przypomina mu o tym wszystkim, ilekroć na niego spojrzy.

- Pieprzony kretyn, - Podniósł się z podłogi, ciężko dysząc z wysiłku. - Ta forsa jest moja. Nie ruszę się stąd bez niej. Wbij to sobie wreszcie do głowy. Nie zamierzam się poddać!

Kevin odtoczył się na bok, skowycząc jak zbity pies.

Dennis schylił się po butelkę z wódką i zobaczył Marsa, który stał w drzwiach i spoglądał na nich z obojętnym wyrazem twarzy. Temu sukinsynowi także miał ochotę przyłożyć.

- Czego? Chcesz coś powiedzieć?

Mars dalej stał w milczeniu. W półmroku zalegającym salon trudno było dojrzeć wyraz jego oczu.

- No?! Czego?

- Mnie się tu podoba, Dennis - odparł posepnym głosem. - Ja też nie zamierzam się stąd ruszyć.

- No jasne. Zostajemy.

Na wargach Marsa pojawił się niewyraźny uśmiezek, ale i tak niczego nie dało się wyczytać z jego miny.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Już ja się tym zajmę.

Dennis odwrócił się i pociągnął duży haust wódki z butelki.

- Świetnie. Zajmij się.

Mars odszedł korytarzem.

Dennis beknął głośno. ..

Stuknięty łobuz, pomyślał.

## TALLEY

Wokół York Estates panował spokój. Ruch na Flanders Road prawie całkiem ustał, przed bramy osiedla zniknął sznur samochodów ciekawskich i łowców sensacji, toteż pilnujący wjazdu policjanci z drogówki nie mieli nic do roboty. Wokół posesji za murem ludzie z biura szeryfa siedzieli w samochodach bądź czuwali na posterunkach obserwacyjnych. Umilkły nawet rozmowy, wszyscy cierpliwie czekali.

Talley zatrzymał wóz przy krawężniku na wprost domu pani Peña i wyłączył silnik. Popatrzył na ruchome centrum dowodzenia. Teraz, gdy nic się nie działo, Maddox i Ellison zapewne czuwali przed domem na zmianę, dyżurując przy telefonie, żeby drugi mógł się zdrzemnąć czy to na składanej koi w tym furgonie, czy na tylnym siedzeniu swojego auta. On także odczuwał zmęczenie. Kark go bolał od ciągłego napięcia, a ból zdawał się promieniować wzdłuż kręgosłupa na całe plecy. W głowie mu szumiało do tego stopnia, że zaczynał wątpić w swoją zdolność logicznego myślenia.

Wszedł do domu na kubek kawy, ale wrócił z nim do samochodu. W kuchni zastał trzech techników ze służb miejskich i dwóch ludzi szeryfa, ale nie miał ochoty z nimi rozmawiać. Usiadł na krawężniku obok auta i położył przed sobą na asfalcie oba telefony, swój i czarną nokię. Pociągnął łyk kawy, rozmyślając o Amandzie i Jane, wyobrażając sobie, jak siedzą przytulone do siebie na jakiejś kanapie w pokoju, w którym umieścili ich porywacze. W myślach widział je żywe, całe, zdrowe i bezpieczne. Tylko w ten sposób mógł nad sobą zapanować.

Z głośnika krótkofalówki przytroczonej do pasa rozległo się wezwanie:

- Szefie, tu Cooper.

- Słucham.

- Jestem przy południowej bramie. Przyjechała grupa agentów FBI i pyta o pana.

Nie odpowiedział. Musiał złapać oddech. Kiedy popatrzył na wóz dowodzenia, na sznur policyjnych radiowozów stojących w uliczce, i siedzących w nich funkcjonariuszy, obleciał go strach i naszyły wątpliwości. Musiał ich wszystkich okłamać. Czuł się jak wartownik zmuszony do wpuszczenia wroga na teren obozu. W końcu miał okłamać nie kogo innego, tylko ludzi, którzy pragnęli pomóc i jemu, i zakładnikom przetrzymywanym w domu.

- Szefie? Mówią, że pan ich oczekuje.

- Przepuście ich.

Powoli ruszył ulicą do skrzyżowania. Nie wiedział, czego się spodziewać, wolał więc spotkać się z przybyłymi tutaj z dala od reszty. Stał pod latarnią, żeby zobaczyli go z daleka. Zresztą, sam też chciał się dobrze przyjrzeć najemnikom.

Zza rogu wyłoniły się dwie identyczne szare furgonetki. W pierwszej jechało czterech mężczyzn, w drugiej dwóch. Talley podniósł rękę i zatrzymał grupę. Wszyscy w furgonetkach mieli krótko ostrzyżone włosy i byli ubrani w czarne mundury polowe charakterystyczne dla oddziałów prewencyjnych FBI. Jeden z mężczyzn w drugim aucie miał na głowie czapkę z daszkiem z dużym żółtym napisem: FBI.

- Pan jest Talley? - zapytał kierowca.

- Tak.

Siedzący obok niego mężczyzna wysiadł i obszedł maskę furgonetki. Był wyższy i mocniej zbudowany od Talleya. Dobrze pasował do swojej roli. Oprócz munduru polowego miał czarne policyjne buty terenowe i kaburę na szelkach pod lewą pachą, z której wystawała kolba ciężkiego czarnego pistoletu.

Stał przed nim, popatrzył na szereg aut ludzi z biura szeryfa, po czym spojrzał mu w oczy i rzekł stanowczo:

- W porządku, szefie. Chciałbym zobaczyć pańską legitymację, żeby mieć pewność, z kim rozmawiam.

Talley uniósł brzeg koszulki i pokazał odznakę przy pasku.

- To nic nie znaczy. Proszę pokazać legitymację ze zdjęciem.

Wyciągnął portfel i pokazał mu swoją legitymację służbową. Tamten przyjrzał się fotografii, po czym wyjął swoją odznakę.

- W porządku. A to moja legitymacja. Agent specjalny Jones.

Talley pochylił się nieco. Według dokumentów najemnik nazywał się William F. Jones i był agentem specjalnym Federalnego Biura śledczego. Zdjęcie wyglądało na autentyczne, podobnie jak cała legitymacja.

- Nie przejmuj się, jeśli ktoś zapyta o nasze dokumenty. Wszyscy moi ludzie mają takie legitymacje.

- I wszyscy mają na nazwisko Jones?

Najemnik z trzaskiem zamknął portfelik i schował go do kieszeni.



- Nie próbuj być dowcipny, szefie. Nie stać cię na to.

Klepnął otwartą dłonią maskę furgonetki i skinął głową kierowcy. Jak na komendę drzwi obu samochodów się otworzyły, pozostała piątka wyskoczyła na ulicę i zebrała się na tyłach drugiego auta. Podobnie jak Jones wszyscy byli świetnie przygotowani do odegrania swoich ról. Zaczęli wkładać kamizelki kuloodporne z wielkim napisem FBI na plecach.

- Za kilka minut odbierzesz telefon - rzekł Jones. - Wiesz, co to oznacza. Więc spróbujmy wcześniej ustalić parę rzeczy. Słuchasz mnie?

Talley przyglądał się ludziom. Dopinali kamizelki i ochraniacze na biodra z wprawą prawdziwych zawodowców. Któryś wyciągał z furgonetki i rozdawał pozostałym resztę sprzętu, czarne kominiarki, hełmy, granaty oślepiające. Składali kominiarki na pół i wsuwali pod lewy naramiennik munduru, by mieć je później pod ręką. Granaty bez zastanowienia przypinali do właściwych zaczepów uprząży. Hełmy na razie rzucali na siedzenia albo kładli na dachu auta. Talley doskonale znał ten bieg przygotowań, które sam musiał niejednokrotnie przeprowadzać podczas służby w brygadzie antyterrorystycznej. Ci ludzie także robili to przedtem wiele razy.

- Tak, słucham. Widzę, że służyliście kiedyś w policji.

- Lepiej nie łam sobie głowy nad tym, kim jesteśmy albo byliśmy. Masz większe zmartwienia.

Popatrzył na niego.

- Naprawdę myślicie, że uda się wam ta akcja? Jest tu cały zespół z biura szeryfa. Będą wściekli, że przejmujecie ich robotę. Na pewno zasypią was pytaniami.

- Dam sobie radę z ludźmi szeryfa i wszystkim, co może wyniknąć. Jak się nazywam?

Talley nie wiedział, o co mu chodzi.

- Słucham?

- Pytałem, jak się nazywam. Przed chwilą miałeś pod nosem moją legitymację. Więc jak się nazywam, do cholery?

- Jones.

- W porządku. Agent specjalny Jones. Wbij to sobie do głowy, żebyś czegoś nie pochrzanił. Nie martw się, potrafię załatwić swoje sprawy. A twoja żona i córka modlą się teraz, żebyś i ty potrafił.

Talleyowi huczało w głowie, a ból karku stawał się nieznośny. Zdołał jednak skinąć głową.

Jones odwrócił się i popatrzył na sznur samochodów.

- Kto nimi dowodzi?

- Kapitan Martin. To kobieta.

- Mówiłeś jej już o nas?

- Nie. Nie wiedziałem, jak to wytłumaczyć.

- To dobrze. Im mniej będzie miała czasu na zadawanie pytań, tym lepiej. Powiedz mi jeszcze, czy facet, z którym rozmawiałeś przez telefon... wiesz, o kogo mi chodzi. Czy powiedział ci, jak uzasadnić naszą obecność?

- Tak. Smith jest objęty programem ochrony świadków.

- Zgadza się. To świetnie tłumaczy nasze zainteresowanie rozwojem wypadków. Powtórz jeszcze, jak się nazywam.

Talley aż zazgrzytał zębami z wściekłości. Wszystko wydawało mu się surrealistyczne, całkowicie wyjęte spod kontroli - zarówno to otoczenie skąpane w pomarańczowym świetle ulicznej latarni, o którą tłukły się wielkie ćmy, jak i ta grupa gliniarzy, którzy nie byli gliniarzami.

- Jones. Nazywasz się Jones, chociaż wolałbym znać twoje prawdziwe nazwisko.

- Wróćmy do rzeczy, szefie. Przez jakiś czas musimy ze sobą współpracować. Jestem więc dowódcą jednostki operacyjnej do zadań specjalnych, która była niedaleko na wspólnych ćwiczeniach ze strażą graniczną, kiedy Waszyngton dowiedział się o zaistniałej sytuacji. Zadzwonili do pana z centrali, wyjaśnili sprawę i poprosili o współpracę. Smith jest naszym świadkiem, mamy obowiązek go chronić i osłaniać, dlatego pan się zgodził. Zamierzam to wyjaśnić kapitan Martin, a pańskim zadaniem będzie tylko przytakiwać. Jasne?

- Tak.

- Na pewno jej się to nie spodoba, ale będzie musiała pójść na współpracę, uzyskawszy te informacje.

- A jeśli zechce je sprawdzić? Jeśli na przykład ma znajomych w biurze FBI w Los Angeles?

- Jest piątek, po północy. Jeśli nawet zadzwoni do biura, połączy się tylko z zaspanym agentem dyżurnym, który musiałby sprawdzić informacje w centrali, na co

z pewnością nie będzie miał ochoty. Dużo bardziej prawdopodobne jest to, że wyrwany ze snu agent każe jej poczekać do jutra z potwierdzeniem wiadomości w stolicy, ponieważ nikt, absolutnie nikt nie będzie miał powodów, żeby wątpić w nasze wyjaśnienia. A my przecież nie zamierzamy tu siedzieć do jutra.

Jones podał mu wizytówkę z wytłoczonym w rogu emblematem FBI i waszyngtońskim numerem telefonu dowództwa operacji specjalnych, bez wątpienia fałszywym.

- Gdyby jednak wbiła sobie do głowy, że musi koniecznie nas sprawdzić, proszę jej powiedzieć, że to kontakt do oficera z centrali, który z panem rozmawiał. Z nim będzie mogła sobie rozmawiać do woli.

Talley schował wizytówkę do kieszeni, zachodząc w głowę, czy podane na niej nazwisko agenta FBI jest prawdziwe. Trudno było to wykluczyć i ta myśl go przeraziła. Odebrał to jak ostrzeżenie o ogromnym zasięgu władzy mafii.

Jeszcze raz spojrzął na fałszywych agentów. Byli już gotowi do akcji. Człowiek z drugiej furgonetki rozdzielał między nich pistolety MP5, karabinki CAR-15 oraz magazynki z amunicją.

- Co zamierzacie zrobić?

- My dwaj załatwimy najpierw sprawy z zespołem z biura szeryfa. Dwóch moich ludzi pójdzie na zwiady i zbada teren wokół domu. Później zajmiemy dogodną pozycję i będziemy czekali na telefoniczny rozkaz. Ty masz swój telefon, a ja swój. Jak dostanę wiadomość, ruszymy do szturm. Jeśli w domu wydarzy się coś, co spowoduje wcześniejszy atak, nie będziemy czekali. Ale musimy przejąć kontrolę nad sytuacją, nim przystąpimy do rozpoznawania celu. Później dom będzie wasz.

Talley zamyślił się nad tym, co usłyszał. Podobnego słownictwa mogli używać oficerowie wojska, na przykład ze zwiadu czy jednostek specjalnych.

- Nie będę w stanie powstrzymać ludzi szeryfa przed wtargnięciem do środka. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. A gdy oni ruszą za wami, wejdę razem z nimi.

Jones spojrzął mu w oczy i pokręcił głową.

- Posłuchaj, człowieku. Jeśli ci to pomoże, nie zamierzamy nikogo zabijać, nawet tych trzech kutasów, którzy narobili bigosu. Chcemy tylko przejąć pewne rzeczy znajdujące się w środku. Ale wiemy, że w czasie ataku może zdarzyć się wszystko. Będziemy musieli zabezpieczyć teren, nim przystąpimy do poszukiwań tego, na czym nam zależy. Załatwimy to gładko i szybko, Talley. Jesteśmy zawodowcami.

Zadzwonił telefon w kieszeni Talleya. Schował jeden aparat do jednej, a drugi do drugiej, ale nie pamiętał, który gdzie jest. Sięgnął na oślep do lewej kieszeni i wyjął czarną nokię. To ona dzwoniła.

- Lepiej odbierz, szefie.

Talley wcisnął klawisz i uniósł telefon do ucha.

- Talley.

- Czy pan Jones jest już z tobą?

- Tak, jest tutaj.

- Daj mi go.

Bez słowa podał Jonesowi nokię. Ten rzucił krótko swoje fikcyjne nazwisko, żeby Nadzorca wiedział z kim rozmawia. Talley obserwował go uważnie. Najemnik miał oczy jasnoniebieskie albo szare, trudno było dostrzec ich odcień w słabym oświetleniu. Wyglądał na czterdzieści parę lat, wzięwszy pod uwagę, że musi zachowywać wysoką sprawność fizyczną. Słuchając rozmówcy, zerkał nerwowo w stronę pojazdów ludzi szeryfa. Można było odnieść wrażenie, że czegoś się boi. Na jego miejscu każdy zdrowy na umyśle człowiek byłby zdjęty strachem, mając przed sobą tak niebezpieczne zadanie. Talleya zaciekawilo, czy i na niego Nadzorca coś ma, czy tylko dobrze mu płaci.

Jones skończył rozmowę, wyłączył aparat i oddał mu go.

- Ruszajmy, szefie. Pora przystąpić do działania.

- Co on ma na ciebie?

Najemnik spojrzał na niego, ale szybko odwrócił głowę. Nie odpowiedział.

- Ja wiem, dlaczego to robię. A co ciebie skłoniło, żeby się w to wplątać?

Jones pospiesznie dociągnął paski kamizelki kuloodpornej, zapinając ją ciaśniej, niż było to konieczne.

- Gównu wiesz - mruknął, ruszając ulicą.

Talley poszedł za nim.

KEVIN

W zamkniętej przestrzeni holu przy drzwiach frontowych powietrze było tak przesycone oparami benzyny, że aż szczypało w oczy i drapało w gardle, zostawiając

na języku metaliczny posmak. Kevinowi żołądek podszedł do gardła. Nie zdołał przełknąć z powrotem kwaśnej treści pokarmowej i wymiotował w kącie pod ścianą. Na szczęście Dennis był zbyt zajęty w salonie opróżnianiem butelki wódki, żeby to słyszeć.

Mieli tutaj zginąć.

Ta konkluzja przypomniała Kevinowi czytanekę ze szkoły podstawowej, opisującą sposób, w jaki mieszkańcy afrykańskiego wybrzeża chwytają będące ich przysmakiem małe małpki mieszkające nad wodą. Wiercą dziury w orzechach kokosowych na tyle duże, by zwierzę mogło wsunąć przez nie łapkę, i wkładają do środka orzeszek ziemny oblany miodem. Zwabiona zapachem małpka sięga po niego, tyle że nie jest w stanie wyciągnąć z powrotem łapki zaciśniętej w pięść. Dopóki trzyma orzeszek, jej łapka pozostaje uwięziona w kokosie. Dla tych małpek orzeszek w miodzie jest tak wielkim przysmakiem, że nie chcą go wypuścić i uwolnić się z pułapki, nawet kiedy sprytni myśliwi zarzucają już na nie sieci. Dennis przypominał mu właśnie taką małpkę, która znalazła się w potrzasku, w otoczonym przez policję domu, lecz ciągle nie zamierzała wypuścić orzeszka.

Wszedł do małej łazienki na końcu holu i ochlapał sobie twarz zimną wodą. Miał spuchniętą wargę i podbite oko po laniu spuszczonego przez brata. Zmył krew z ust, po czym opłukał całą twarz, mocząc także włosy i szyję. Po strzelaninie w minimarkecie, która napełniła go przerażeniem, krótkiej ucieczce i całodziennym koszmarze w tym domu wiedział już, jak powinien postąpić. Nie zamierzał umierać razem z bratem. Bez względu na to, co ich łączyło w dzieciństwie, na bolesne razy szerokim skórzanym pasem, które Dennis zbierał za niego, nie czuł się już z nim związany. Bo Dennis był gotów zginąć dla pieniędzy, chociaż nie mógł ich mieć na własność, a Kevinowi wcale się nie spieszyło, żeby umierać razem z nim. Postanowił uwolnić rodzeństwo i razem z nimi wynosić się stąd do diabła. Niech Dennis z Marsem robią, co chcą.

Osuszył twarz ręcznikiem i wrócił do salonu, żeby sprawdzić, czy brat nadal tam siedzi. Podejrzewał, że Dennis i Mars będą próbowali go zatrzymać w domu. Mieli nad nim przewagę fizyczną, dlatego musiał wyprowadzić stąd dzieciaki po kryjomu. Dennis leżał na kanapie, na brzuchu, tylko stopy wystawały nad jej bocznym oparciem. Kevin zajrzał do gabinetu, szukając Marsa, ale tam go nie było. Doszedł do wniosku, że olbrzym pewnie przeniósł się do bawialni i zajął posterunek przy drzwiach balkonowych, ale gęsia skórka na całym ciele podsunęła mu myśl, iż jest w

sypialni rodziców i obserwuje go na monitorach systemu alarmowego. Wrócił na korytarz i ruszył w kierunku sypialni. Zamierzał powiedzieć Marsowi, że Dennis kazał mu obserwować teren od strony ulicy. Ale w sypialni też go nie zastał. Drzwi od szafy i sąsiadującej z nią salki były otwarte. Powiódł wzrokiem po ekranach, zobaczył policjantów na ulicy, swojego brata w salonie i dziewczynę w sypialni na górze, ale nigdzie nie mógł dostrzec Marsa. Przemknęło mu przez myśl, że powinien roztrzaskać te monitory albo znaleźć główny wyłącznik zasilania systemu alarmowego, ale doszedł do wniosku, że jeśli się pospieszy, to nie będzie miało znaczenia. W ciągu paru sekund powinien wyprowadzić rodzeństwo z domu, bo gdyby mu się to nie udało, będzie to koniec wszystkiego.

Szybkim krokiem wrócił do holu i pobiegł schodami na górę. Dwa razy puknął delikatnie w drzwi pokoju Jennifer, po czym wyciągnął gwóźdź i wszedł do środka. Leżała na łóżku z nogami podkulonymi do brzucha i szeroko otwartymi oczami, przy zapalonym świetle. Na jego widok szybko spuściła nogi i wstała.

- Czego chcesz?

- Cicho. Nie mów tak głośno.

Kevinowi serce waliło jak młotem. Był już dorosły, ale zawsze czuł się jak dziecko, ilekroć sprzeciwiał się woli brata. Czasami ogarniał go tak silny strach połączony z przemożnym pragnieniem zadowolenia Dennisa, że w ogóle nie mógł ruszyć ręką ani nogą.

- Wychodzimy stąd.

Zrobiła zdziwioną minę. Zerknęła na drzwi i z powrotem popatrzyła na niego.

- Dokąd chcesz mnie zabrać?

- Byle dalej od nich. Nie będę się dłużej trzymać Dennisa i Marsa. Zabieram was oboje i wychodzimy. Zostawimy ich samych.

Oczy jej się rozszerzyły, gdy w końcu zauważyła jego rozciętą wargę i podbite oko. Kevin poczuł, że się rumieni.

- Co ci się stało?

- Nieważne. Dennis nie zamierza się poddać. Chcę tu zostać bez względu na wszystko, ale mnie to nie odpowiada.

- Pozwolą nam odejść?

- Mars i Dennis nie mają pojęcia, co planuję. Pewnie chcieliby nas zatrzymać, więc musimy być ostrożni. Ale jak wyjdziemy, będą mogli robić, co im się podoba.

Jennifer się zawahała, jeszcze raz spojrzała w kierunku drzwi.

- Chcesz iść czy nie? - zapytał Kevin. - Proponuję ci wyjście na wolność.

- Nie pójdę bez Thomasa.

- Wiem. Pójdziemy we trójkę, tylko musimy to zrobić szybko i po cichu. Więc jak? Idziesz czy nie?

- Pewnie, że tak!

- Na razie zostań tu i udawaj, że nic się nie dzieje. Ściągnę Thomasa i wrócę po ciebie. Potem we trójkę po prostu zbiegniemy po schodach i frontowymi drzwiami wyjdziemy na ulicę. Masz białą poszewkę na poduszkę?

- Chcesz tak zwyczajnie wyjść frontowymi drzwiami?

- Jasne. Potrzebujemy tylko białej flagi, żeby gliniarze do nas nie strzelali.

Widać było jak na dłoni, że i ona jest przestraszona, ale zarazem podekscytowana, zdecydowana jak najszybciej iść razem z nim.

- W porządku. Rozumiem. Mam białą poszewkę.

- Przygotuj ją, zanim sprowadzę twojego brata. Kiedy wrócę, nic nie mów, tylko po cichu chodź za mną. Bądź gotowa. Będziemy musieli to zrobić błyskawicznie.

Energicznie pokiwała głową.

- Dobrze.

Kevin uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Było w nim ciemno, tylko trochę światła przedostawało się schodami z holu na dole. Zalegające w kątach głębokie cienie nasunęły mu myśl, że powinien wziąć ze sobą latarkę. Doleciały go stłumione głosy, jeszcze bardziej nasilając lęk. Jeśli Mars z Dennisem byli w gabinecie, musieli ich zobaczyć na schodach, daleko od drzwi.

Wyśliznął się na korytarz, zamknął za sobą drzwi i przekradł się pod ścianą w stronę schodów, nasłuchując. Dwa razy głośno zatrzeszczały deski podłogi w holu, przez co serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Ale gdy ostrożnie wyjrzał zza rogu na schody i dobrze się przysłuchał, odetchnął z ulgą. Były to głosy dobiegające z włączonego telewizora.

Zawrócił do sypialni chłopaka, nakazując sobie w duchu pośpiech i zachowanie ciszy. Musiał to zrobić teraz, był przekonany, że jeśli będzie zwlekał, opadną go wątpliwości i już nigdy nie zdobędzie się na odwagę. Zostałby w tej pułapce z Dennisem i Marsem, gdzie czekała ich śmierć. Był tak przerażony, że ledwie mógł

pozbiierać myśli. Chłopak, dziewczyna i wyjście na ulicę. Powtarzał to w duchu jak modlitwę.

W głębi korytarza coś się poruszyło w ciemności.

Kevin zastygł, wytężając wszystkie zmysły. Serce łomotało mu głośno. Pomyślał, że mimo ostrzeżeń Jennifer musiała wyjść na korytarz.

- Zostań w swoim pokoju - nakazał szeptem.

Niewyraźny cień przesunął się w mroku zalegającym pod jej drzwiami, lecz nie odpowiedział. Kevin zamrugał i wytężył wzrok, usiłując przebić bezdenne ciemności na końcu korytarza, ale niczego nie zauważył.

Nagle za jego plecami zatrzeszczała podłoga. Odwrócił się szybko.

Mars stał metr od niego, zwalista sylwetka wyraźnie odcinała się na tle poświaty wiszącej nad schodami. Kevin odskoczył do tyłu. Jego plan mógł się powieść tylko wtedy, gdy Mars był daleko od frontowego wyjścia. Przyszło mu na myśl, żeby skierować go do salki systemu alarmowego.

- Jezu, Mars. Cholernie mnie przestraszyłeś. Szukałem cię. Dennis chce, żebyś obserwował na monitorach teren na tyłach.

Olbrzym podszedł bliżej. Jego blada twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- Słyszałem, jak konspirowałeś z dziewczyną. Chcesz wyjść i się poddać.

Kevin znowu cofnął się o krok, ale Mars go nie odstępował, zachowując denerwująco bliski dystans.

- To bzdura. Nie wiem, o czym mówisz.

- Chcesz schrzanić taką wspaniałą okazję. Pożałujesz.

Kevin poczuł nagle przypływ wściekłości. Aż się cały zatrzęsł. Do diabła z tym! Jeśli nawet słyszał, nie ma to już żadnego znaczenia. Dostyc uległości i wiecznego cofania się.

- Ty możesz tu sobie zostać! Ja mam tego dość! Jesteśmy w pułapce. To koniec! Jeśli zostaniemy, gliniarze nas zabiją. Nie rozumiesz tego?

Mars wbijał w niego świdrujące spojrzenie, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wreszcie odsunął się na bok.

- Rozumiem. Skoro chcesz iść, proszę, droga wolna.



Kevin się zawahał, podejrzewając, że Mars wpadnie we wściekłość, złapie go za kark i zawlecze na dół, do Dennisa. Ale olbrzym tylko uniósł ręce i wskazał mu drogę do schodów. Rzekł cicho, łagodnym tonem:

- Możesz iść.

Kevin obejrzał się na drzwi pokoju Thomasa.

- Chcę zabrać ze sobą dzieciaki.

Mars pokiwał głową.

- Dobrze. Proszę bardzo.

Kevin jeszcze raz spojrzął mu w twarz, po czym odwrócił się i ruszył w głąb tonącego w ciemnościach korytarza.

## TALLEY

Po rozmowie z kapitanem Martinem Jonesem kazał swoim ludziom przestawić obie furgonetki na uliczkę dojazdową na wprost domu. Talley wrócił do swego wozu, usiadł za kierownicą i spoglądał obojętnie za odjeżdżającymi autami. Później Jones razem z drugim najemnikiem, ostrzyżonym na jeża blondynem w okularach w drucianej oprawce, wyruszył na zwiad wzdłuż ogrodzenia posesji.

Czuł się jak tchórz i zdrajca. Wrócił do radiowozu tylko dlatego, że nie miał śmiałości patrzeć w oczy ludziom z biura szeryfa i swoim podwładnym. Kiedy jeszcze siedział obok Jonesa w ruchomym centrum dowodzenia, nie potrafił się zmusić, żeby podnieść głowę i spojrzeć Martinowi w twarz. W ogóle się nie odzywał, pozwalając, by Jones wszystko wytłumaczył.

Kiedy dwaj najemnicy zniknęli mu z oczu, na ulicze znowu zapanował spokój.

Martin wyskoczyła z wozu na ulicę, zauważyła go za kierownicą samochodu i ruszyła w tym kierunku. Już wcześniej zdjęła kamizelkę kuloodporną i cały ekwipunek, miała na sobie tylko czarny mundur polowy i czapkę z napisem BOSS. Talley spoglądał na nią, mając nadzieję, że skreśli do domu pani Peña, ale zatrzymała się na wprost drzwi auta.

Z odległości metra obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem, wyjęła paczkę papierosów i wyciągnęła w jego stronę.

- Nie palę.

Zapaliła bez słowa. Głęboko zaciągnęła się dymem, a gdy go wydmuchnęła, utworzył drobny obłoczek powoli dryfujący w nocnym powietrzu. Tylko nieliczni policjanci z brygady antyterrorystycznej palili, bo to bardzo źle wpływało na wydolność płuc.

Po chwili odezwała się spokojnym, stonowanym głosem:

- Zechce mi pan w końcu powiedzieć, co się dzieje?

Talley popatrzył wreszcie na nią.

- Nie rozumiem.

- Ma mnie pan za idiotkę?

Nie odpowiedział.

- Wszystkie te rozmowy telefoniczne, pańska kłótnia z lekarzem w karetce i żądanie ocucenia Smitha... Już myślałam, że go pan zastrzeli. Później, po tajemniczej rozmowie z chłopakiem, popędził pan na sygnale do szpitala. Moja grupa wywiadowcza też nie próżnowała, Talley. Gdyby chodziło o zagrożenie czyjś życia, wszyscy by już o tym wiedzieli, włączając w to pańskich ludzi dyżurujących na komendzie. - Zaciągnęła się papierosem i zmierzyła go surowym wzrokiem. - A teraz zjawia się FBI z szytą grubymi nićmi bajeczką o programie ochrony świadków. Co się dzieje, szefie? Kim naprawdę jest Walter Smith?

Talley odwrócił głowę. Nie mógł wytrzymać tego przenikliwego, świdrującego spojrzenia. Ale robiło na nim wrażenie jej opanowanie i bezpośredniość. Przyszło mu do głowy, że w innych okolicznościach pewnie by ją polubił. Wyglądało na to, że jest dobrą policjantką. Wydarzenia całego dnia nagle zwały mu się na barki tak nieznośnym ciężarem, że poczuł się odrętwiały. Zbyt wiele rzeczy musiał naraz kontrolować i za dużo kłamać. Sytuacja stawała się zanadto skomplikowana, a on nie mógł dopuścić, by wymknęła mu się z rąk. Był jak zongler podrzucający jednocześnie za dużo piłeczek, więc wcześniej czy później któraś musiała spaść na ziemię. To zaś mogło oznaczać, że ktoś zginie. Za wszelką cenę musiał tego uniknąć. Nie mógł zawieść Amandy i Jane, ani dzieci wziętych jako zakładników, ani nawet Waltera Smitha.

- Potrzebuję pomocy - mruknął.

- Przecież po to właśnie tu jesteśmy, szefie.

- Zna pani niejakiego Sonny'ego Benzę?

Przez chwilę patrzyła mu uważnie w oczy, jakby próbowała w myślach skojarzyć to nazwisko. Pomylił się jednak.

- To jeden z szefów mafii. Zgadza się?

- Smith pracuje dla niego. Ma w domu coś, co mogłoby pograżyć Benzę, więc Benza chce to odzyskać.

- Matko Boska...

Talley zerknął na nią, czując, że mimo woli łyzy cisną mu się do oczu.

- Porwał moją żonę i córkę.

Martin spojrziała w bok.

Opowiedział jej o dyskietkach, Nadzorcy i Jonesie. Objął, co do tej pory zrobił i jak zamierza to rozegrać do końca. Martin słuchała w skupieniu, dopóki nie skończył. Dopiero wtedy rzuciła niedopałek na chodnik, rozgniotła go obcasem i spojrziała w kierunku dwóch furgonetek, w których czekali ludzie Jonesa.

- Powinien pan zawiadomić o wszystkim FBI.

- Nie mogę.

- No to wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. Tylko z tym, co pan już teraz ma na Benzę, można by go wyciągnąć z łóżka i wpakować do aresztu. Moglibyśmy wtedy bez przeszkód wziąć barykadę siłą, zabrać jego dyskietki i byłoby po wszystkim. Jednocześnie uratowałby pan swoją rodzinę.

- Łatwo mówić, bo to nie pani rodzina.

Popatrzyła na rozgnieciony niedopałek i westchnęła.

- Tak, ma pan rację.

- W gruncie rzeczy nie mam żadnych dowodów, znam tylko ten głos, który mi wydaje polecenia przez telefon. Nie mam pojęcia, gdzie szukać tych ludzi. Nie wiem, kto przetrzymuje moją żonę i córkę. Benza ma tu swoich informatorów, zna każdy mój krok. Mógłby sprawić, że Jane i Amanda znikną bez śladu, jeszcze zanim zdążę mu odczytać jego prawa. Zresztą na jakiej podstawie miałbym wystąpić przeciwko niemu? Widziałem tylko trzech mężczyzn, których nie umiałbym zidentyfikować, dwa ich samochody, równie trudne do identyfikacji, no i obecnego tutaj Jonesa. Ani trochę mi nie zależy, żeby rozbijać gang Benzy. Chciałbym tylko odzyskać swoją rodzinę.

Martin znów popatrzyła na dwie szare furgonetki i westchnęła. Dla nich wszystkich zapowiadała się bardzo długa noc.

- Ja z kolei nie chcę dopuścić, żeby doszło tu do zabójstwa. W żadnym wypadku na to nie pozwolę.

~ Ja także. To oczywiste.

- Więc co zrobimy?

- Nie mogę pozwolić, żeby te dyskietki zostały zaliczone do materiału dowodowego. Są moim jedynym atutem.

- A czego oczekuje pan ode mnie?

- Pomocy. Proszę mi pomóc w tajemnicy zdobyć dyskietki. Nie dopuszczę, by Jones na własną rękę wszedł do domu.

Popatrzył jej w oczy, mając nadzieję, że znalazł sprzymierzeńca. Nie mógł jej zabronić działać według własnego uznania. Pozostawało mu tylko jej zaufać. Wreszcie spojrzała na niego i skinęła głową.

- Zrobię, co będę mogła. Proszę mnie na bieżąco informować. Wolałabym nie zostać zaskoczona strzałem w plecy. I nie dopuszczę też, by ucierpieli moi ludzie.

Talley odetchnął z ulgą, od razu poczuł się lepiej, mogąc zrzucić z barków część brzemienia odpowiedzialności.

- Zależy mi tylko na tych przeklętych dyskietkach. Gdy będę je miał, zyskam poważny argument przetargowy.

Zagryzła wargi w zamyśleniu, po czym schowała papierosy do kieszeni. Talley domyślił się, co chce powiedzieć, zanim jeszcze otworzyła usta.

- Będzie pan potrzebował czegoś więcej. Za dużo wie pan o sprawkach Benzy, żeby zostawili pana przy życiu. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? Nie widzę szans, by Benza zostawił w spokoju pana, pańską rodzinę i Smitha. Zastanawiał się pan, co z tym fantem zrobić?

- Będę się dogadywał, kiedy zdobędę dyskietki. Zadzwoił jego telefon. W nocnej ciszy sygnał zabrzmiał tak głośno, że Martin aż się wzdrygnęła.

- Cholera.

Talley pomyślał, że dzwoni Thomas, okazało się jednak, że to Mikkelson. Głos miała dziwnie matowy i spięty.

- Szeffie, jesteśmy wciąż z Dreyerem przed przyczepą mieszkalną Krupcheka. Na miejscu działa już ekipa dochodzeniowa z biura szeryfa. Chciałabym zameldować o pierwszych ustaleniach.

Talley całkiem o nich zapomniał. Przez kilka sekund usiłował zebrać myśli.

- Słucham.

- Krupchek to fikcyjne nazwisko. Naprawdę nazywa się Alvin Marshall Bonnier. W lodówce trzyma odrąbaną głowę swojej matki.

**Część czwarta**

**TAKTYKA**

## TALLEY

Dwudziestosiedmioletni Alvin Marshall Bonnier, znany także jako Mars Krupchek, był ścigany listem gończym w związku z czterema zabójstwami w Tigard, w Oregonie. Na podstawie zeznań świadków i zgromadzonych dowodów tamtejsza policja zrekonstruowała następujący bieg zdarzeń: Bonnier, który w tamtym czasie mieszkał sam z matką, porwał i zgwałcił Helene Getty, siedemnastoletnią córkę sąsiadki, a następnie ukrył jej zwłoki w zarośniętym krzakami rowie melioracyjnym niedaleko domu. Była duszona i wielokrotnie dźgana nożem w pierś, brzuch i podbrzusze. Pani Bonnier, poruszająca się o lasce z powodu zaawansowanej choroby reumatycznej, szybko odkryła w sypialni syna zakrwawione majtki Helene Getty oraz jeden z jej czarnych sportowych butów, również zachlapany krwią. Kiedy spytała o to Alvina, ten zatłukł ją na śmierć w salonie, przeniósł zwłoki do łazienki i tam porąbał na kawałki. Ręce, nogi i tors owinął gazetami, zapakował w foliowe worki na śmieci i zakopał w różanym ogródku matki. Sąsiedzi zeznawali, że kiedy chłopak był mały pani Bonnier plotła pejczy z kolczastych gałązek róż i biła go nimi. Głowę matki Alvin schował w lodówce, ale po kilku dniach przeniósł ją do bagażnika samochodu, zapewne po to, by zapewnić sobie towarzystwo. W lokalnym centrum handlowym zaprzyjaźnił się następnie z szesnastoletnim Stephenem Stilwellem i namówił chłopca na przejazdżkę, prawdopodobnie kusząc go papierosami i piwem. Zawiózł go do pobliskiego kina dla zmotoryzowanych, nieużywanego od lat i zrujnowanego, gdzie nakłuwając go nożem, zmusił do stosunku homoseksualnego. Potem wrzucił Stilwella do bagażnika obok głowy matki i wrócił w to samo miejsce, gdzie wcześniej ukrył ciało Helene Getty. Kiedy się przekonał, że chłopak jeszcze żyje, poderżnął mu gardło, obciął genitalia i porzucił zwłoki w krzakach, nie zadając sobie nawet trudu, by je zamaskować. Świadkowie z centrum handlowego dość dokładnie opisali Bonniera i jego samochód. Dwanaście dni później osiemnastoletnia uczennica szkoły średniej, Anita Brooks, spóźniła się na autobus i przyjęła propozycję podwiezienia przez Alvina.

Zamiast do szkoły zawiózł ją nad pobliskie jezioro i tam udusił, a następnie okaleczył jej ciało, przypalając papierosami piersi i krocze. Znalezione ślady wskazują, że wyjął z bagażnika głowę matki i ustawił ją na stole piknikowym, czyniąc z niej świadka dokonywanego kaleczenia zwłok. Zaraz po tym wrócił do domu, ustawił samochód na zwykłym miejscu i zniknął bez śladu. Jako pierwsze zostały odnalezione zwłoki Anity Brooks. Alvin został uznany za podejrzanego o dokonanie zbrodni dwa dni później, gdy sąsiedzi donieśli o fetorze rozchodzącym się z posesji pani Bonier, a patrol policji odkrył szczątki zabitej kobiety porzucone w ogródku różanym. W ciągu następnego tygodnia odkryto również zwłoki Stephens Stilwella oraz Helene Getty. Talley słuchał relacji Mikkelson z rosnącym niepokojem. Martin musiała to wyczytać z jego miny, gdyż zapytała szybko:

- Co się dzieje, do cholery?

Uciszył ją ruchem ręki.

- Mikki, czy ludzie z dochodzeniówki są całkowicie pewni, że Bonnier i Krupchek to jedna i ta sama osoba?

- Niestety tak, szefie. Odciski palców zdjęte w sklepie Kima nie zostawiają żadnych wątpliwości. Śledczy z biura szeryfa przywiózł ze sobą kopię listu gończego wystosowanego przez policję z Oregonu. Widziałam zdjęcie. To na pewno Krupchek.

- Co tam się teraz dzieje?

- Śledczy natychmiast powiadomił FBI i kazał zapieczętować przyczepę do czasu przyjazdu agentów federalnych z biura w Los Angeles.

Talley spojrział na zegarek.

- Kiedy mają się tam zjawić?

- Nie wiem. Chce pan, żebym to sprawdziła?

- Tak.

Talley pokrótce przedstawił sprawę Martin, czekając na odpowiedź. Kapitan słuchała z rosnącym zdziwieniem i przerażeniem. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, gdy w słuchawce znowu rozległ się głos Mikkelson.

- Szefie?

- Mów, Mikki.

- Federalni powinni tu być za kilka godzin, jeszcze przed świtem. Chce pan, żebyśmy na nich zaczekali, czy mamy wracać do York Estates?



Talley kazał jej wracać i z wściekłością przerwał połączenie. Przeciągnął dłonią po włosach i popatrzył w głąb uliczki dojazdowej.

- Kurewsko wspaniale - mruknął. - Mam na karku mafię, a w domu popieprzonego Freddy'ego Kruegera.

Martin patrzyła na niego z uwagą.

- To zmienia sytuację.

- Sam wiem, że to zmienia sytuację! Próbuję ratować żonę i córkę, ale muszę też za wszelką cenę wyciągnąć stamtąd dzieci.

- Z powodu Krupcheka? Przecież są z nim pod jednym dachem już cały dzień. Kilka godzin niczego nie zmienia.

- Owszem, może zmienić wszystko diametralnie.

Zostawił Martin przy wozie dowodzenia i odszukał Jonesa, który naradzał się ze swoimi ludźmi w cieniu furgonetek. Ujrawszy go, najemnik odłączył się od grupy. Sprawiał wrażenie zatroskanego. Trzymał rękę na kolbie pistoletu maszynowego wystającego z kabury pod pachą.

- O co chodzi, szefie?

- Mamy problem. Jeden z bandytów w domu okazał się kimś innym, niż sądziliśmy. Mówię o Krupcheku. Naprawdę nazywa się Alvin Marshall Bonnier i jest ścigany listem gończym za kilka zabójstw w Oregonie.

Jones uśmiechnął się skąpo, jakby usłyszał kiepski dowcip.

- Chcesz nas pogrążyć?

- Niedługo wszyscy pogrążymy się w gównie po uszy. Prawdziwe FBI jest już w drodze. To nie żadna lipa, Jones czy jak się tam nazywasz. Technicy z dochodzeniówki zdjęli wyraźne odciski palców w minimarkecie, na który ci trzej durnie napadli, i od razu je zidentyfikowali na podstawie federalnej kartoteki poszukiwanych groźnych przestępców. Czy wiesz, co to oznacza?

Jones błyskawicznie spowaźniał, ale nie wyglądał na specjalnie zmartwionego.

- Wiem.

Talley wyjaśnił dokładniej, że ekipa dochodzeniowa z wydziału zabójstw biura szeryfa, która zabezpieczyła przyczepę mieszkalną Krupcheka, powiadomiła FBI i teraz czeka na przyjazd agentów z Los Angeles.

- Jak tylko obejrzą sobie przyczepe, na pewno przyjadą tutaj i nie dadzą się odstraszyć. Z samego rana zaroi się tu od agentów FBI, a nas zastąpi oddział do zadań specjalnych z federalnej brygady antyterrorystycznej.

- Do tej pory nas już tu nie będzie. Przystąpimy do ataku, jak tylko dostanę wiadomość telefoniczną.

- Ja chcę zarządzić szturm już teraz.

Jones pokręcił głową.

- Nie zrobisz tego, dopóki nie dostaniemy rozkazu.

Nie potrafił ocenić, czy najemnik jest aż tak podejrzliwy, czy po prostu nie rozumie powagi sytuacji.

- Posłuchaj. Wszystko się zmieniło. Już nie chodzi tylko o trzech palantów, którzy przetrzymują zakładników. Dzieci uwięzione w domu są zdane na łaskę szaleńca.

- Wszystko będzie dobrze, Talley.

- Mamy do czynienia z człowiekiem, który z zimną krwią zamordował kilka niewinnych osób. Swojej matce odrąbał głowę i trzyma ją w lodówce.

- Gównu mnie to obchodzi.

- To szaleniec, który może być nieobliczalny w sytuacjach stresowych, a przecież cały dzień był pod bardzo silną presją. Jeśli wpadnie w szal, będzie zdolny do wszystkiego.

Na Jonesie nie robiło to żadnego wrażenia.

- Ruszymy do ataku, gdy dostanę rozkaz przez telefon. Powinien przyjść niedługo.

- Pieprz się.

- Musimy czekać na telefon.

Talley odwrócił się i odszedł. Zauważył, że Martin obserwuje go uważnie, wychylając się zza otwartych drzwi wozu dowodzenia, ale nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Przypomniał sobie rozmowy z Rooneyem i doszedł do wniosku, że Dennis nic nie wie o przeszłości Krupcheka, pewnie nawet nie wie, że naprawdę nazywa się Alvin Marshall Bonnier. Gdyby Rooney świadomie zbratał się z seryjnym zabójcą, oznaczałoby to, że sam jest niebezpieczny, gdyż czerpie specyficzną satysfakcję z towarzystwa Bonniera. Był jednak do tego stopnia zakompleksiony, że z pewnością by wspominał o dokonaniach swego kompana, żeby zaimponować Talleyowi, a jednak

tego nie zrobił. Zatem o niczym nie wiedział, z czego należało wnioskować, że równie dobrze może skończyć jako kolejna ofiara szaleńca.

Obejrzał się na Jonesa, który dołączył do swoich ludzi i nadal z nimi rozmawiał, czekając na telefoniczny rozkaz przystąpienia do akcji.

Podjął decyzję, że nie będzie dłużej czekał. Musiał ostrzec Rooneya i Thomasa, a przede wszystkim uwolnić dzieci z rąk bandytów.

I właśnie wtedy z głębi domu doleciał go głośny krzyk.

DENNIS

Chcąc sięgnąć po butelkę stolicznej, Dennis zsunął się z kanapy i wylądował twarzą w kałuży rozlanej wódki. Tylko jego nogi zostały w górze, na bocznym oparciu, wymierzone niczym dwie lufy w kierunku frontowej części domu i policjantów czuwających na ulicy.

Poklepał się po tyłku i zachichotał.

- Żałujcie, gliny, że tego nie widzicie! - mruknął. - Moglibyście mnie pocałować w paskudne białe dupsko, dokładnie tutaj.

Podniósł butelkę i dźwignął się z podłogi. Przytrzymał się kanapy, żeby złapać równowagę, po czym wyciągnął pistolet zza paska spodni. Czuł się pewniej, zaciskając palce na kolbie. Na ekranie telewizora jakaś kobieta, klęcząc na podłodze, przesuwiała tam i z powrotem ciężką platformę na rolkach. Mięśnie brzucha miała wspaniale ukształtowane, jak na rysunku z atlasu anatomii. Dennis przyglądał jej się przez chwilę, ogarnięty silną tęsknotą, a następnie uniósł pistolet i przystawił go sobie do głowy.

- Bach!

Opuścił rękę.

- Cholera!

Rzucił broń na kanapę i popatrzył na pieniądze, które wcześniej przyniósł do salonu. Wzdłuż brzegu stolika ciągnął się szereg paczek banknotów studolarowych. Wyciągnął następne paczki z kieszeni, zgarnął tamte ze stołu i zaczął je tasować niczym karty do gry. Miał wrażenie, że rozważył wszelkie możliwe sposoby zatrzymania pieniędzy dla siebie, ale żaden nie wróżył powodzenia. Zażądał najpierw

helikoptera, potem samochodu, wreszcie próbował przekupić Talleya, lecz wszystko na nic. Kiedy znalazł drogę ucieczki i miał się już wymknąć przez okno, gliniarze mu ją odcięli. Dennis nie miał więcej pomysłów i dlatego zaczął się teraz zastanawiać, czy rodzice i nauczyciele nie mieli jednak racji. Był po prostu głupi. Uważali go za nieudacznika, wiecznego marzyciela żyjącego złudzeniami. Przyszła mu do głowy paniczna myśl, że powinien mimo wszystko zabrać walizkę z forszą i rzucić się do ucieczki pod osłoną wybujałych oleandrów, w głębi serca był jednak przekonany, że gliniarze zastrzelą go już po kilku krokach, a przecież nie chciał umierać. Brakowało mu na to odwagi. I choć bardzo pragnął zatrzymać pieniądze dla siebie, musiał przyznać w duchu, że jest zwyczajnym tchórzem. Żal i wstyd sprawiły, że łzy napłynęły mu do oczu. Kevin miał rację. Trzeba było się poddać.

Otarł rękawem nos i przywołał się do porządku.

- Chyba tak - mruknął. - Nie ma innego wyjścia.

Porozrywał banderole, cisnął garść banknotów pod sufit i popatrzył, jak zadrukowane na zielono papierki opadają wokół niego na podłogę, kołysząc się i trzepocząc w powietrzu.

- Kev! - krzyknął.

Ale brat nie odpowiedział.

- Mars!

Także cisza.

- Cholera!

Chwiejnym krokiem wyszedł z salonu i skierował się do kuchni. W korytarzu nadal zalegały ciemności, rozjaśniał je tylko słaby poblask z policyjnych reflektorów oświetlających taras wokół basenu kąpielowego. Dennis chciał napić się wody, a zaraz potem zadzwonić do Talleya. Miał nadzieję, że za uwolnienie któregoś z dzieci zyska możliwość rozmowy z adwokatem, który mógłby w jego imieniu ustalić z policją warunki zwolnienia drugiego zakładnika i poddania się.

- Kevin, do cholery! Gdzie jesteś?!

Ten żaloszny sukinsyn najpierw skamlał, żeby się poddać, a teraz, gdy on był gotów na to przystać, zasrany cykor gdzieś zniknął.

- Mars!

- Co ty robisz, Dennis?

Głos, który doleciał niespodziewanie z drugiego końca kuchni, całkowicie go zaskoczył. Rooney obrócił się na pięcie, z trudem łapiąc równowagę, jak smukły żaglowiec robiący nawrót pod pełnymi żaglami, i wytrzeszczył oczy.

- Gdzie jest Kevin?

- Tu go nie ma.

- To gdzie jest? Muszę się z nim zobaczyć.

Wolał najpierw ustalić pewne rzeczy z bratem, a dopiero potem powiedzieć o swojej decyzji Marsowi. Gdzieś w głębi duszy obawiał się, że Mars będzie chciał go powstrzymać.

Olbrzym wyłonił się z mrocznego kąta. Dennisa przez chwilę zaciekawiło, co mógł robić w spiżarni albo w garażu.

- Kevin wyszedł.

Poczuł przyływ złości, nie rozumiejąc, o czym on mówi.

- Myślisz, że to coś wyjaśnia? Gdzie jest? W sali systemu alarmowego czy w gabinecie? Muszę z nim porozmawiać.

- Nie chciał dłużej siedzieć w domu i wyszedł na ulicę.

Dennis z niedowierzania wytrzeszczył oczy. Był pewien, że brat nie mógł go tak po prostu zostawić i wyjść.

- Chwileczkę... Chcesz powiedzieć, że tak zwyczajnie sobie wyszedł? Wymaszerował na ulicę i poddał się glinom?

- Słyszałem, jak namawiał do ucieczki dziewczynę.

- Jasna cholera! A to kutas!

- Przykro mi, Dennis. Zszedłem na dół, żeby ci o tym powiedzieć.

Rooneyowi zrobiło się niedobrze. Jeśli Kevin rzeczywiście się poddał i wychodząc, zabrał ze sobą dzieciaki, pozbawił go jedyne atutu do dalszych negocjacji z Talleyem.

- Zabrał gówniarzy ze sobą?

- Nie wiem.

- Jezu, Mars! Biegnij na górę i sprawdź. Jeśli ich zabrał, to już po nas!

Mars bez słowa ruszył w kierunku schodów. Dennis zaczerpnął głęboko powietrza i ryknął na cały głos:

- Kevin! Ty imbecyłu!

Z takim rozmachem cisnął butelką wódki w zamrażarkę, że aż zaboląło go ramię. Chwiejnym krokiem zawrócił do salonu po drugą butelkę. Nawet kiedy postanowił już się poddać, i tak nic z tego nie wyszło.

## THOMAS

Thomas usłyszał przez system wentylacyjny, jak Rooney okłada brata pięściami. Kevin chciał się poddać, ale Dennisowi w głowie było co innego. Wiedział, co to oznacza. Jeśli ci trzej durnie w ogóle nie zamierzali oddać się w ręce policji, mogli ich trzymać pod kluczem przez wiele dni, co stwarzało niebezpieczeństwo, że któryś zechce skrzywdzić jego siostrę. Thomas już na początku zwrócił uwagę, jakim wzrokiem wodzi za nią Mars.

Krzyki szybko ucichły. Naszły go obawy, że ktoś może teraz pójść na górę, lecz w holu panowała cisza. Pomyślał, że pewnie postanowili się w końcu zdrzemnąć.

Wśliznął się do szafy i przecisnął do wąskiego tunelu na strychu. Początkowo chciał jeszcze zajrzeć do sypialni Jennifer i powiedzieć jej, co zamierza, ale zrezygnował z tego, pomyślawszy, że znów będzie próbowała go odwieść od pomysłu zabrania pistoletu ojca. Ostrożnie poczołgał się więc w głąb domu, zatrzymując się przy wylotach szybów wentylacyjnych i nasłuchując. Dolatywały go tylko odgłosy włączonego telewizora w salonie. W pozostałych częściach domu panowała głucha cisza.

Odchylił klapę wjazdu awaryjnego i opuścił się do pralni, uważnie stawiając stopy na termie, a potem na pralce. Było tu prawie całkiem ciemno, tylko odrobina światła przesączała się pod drzwiami z kuchni przez spiżarnię. Musiał skorzystać z latarki.

Zaledwie stanął na podłodze, z głębi domu doleciały okrzyki. Dennis nawoływał najpierw Kevina, potem Marsa. Musiał być gdzieś niedaleko, albo w przejściu do kuchni, albo w korytarzu przy drzwiach bawialni. Thomasa obleciał strach. Zaczął się w panice wspinać z powrotem do klapy w suficie, gdy nagle usłyszał głos Marsa. Zastygł bez ruchu. Z kuchni doleciała cicha wymiana zdań. Serce podchodziło mu do gardła, ale był już tak blisko pracowni ojca, że nie chciał drugi raz wracać bez

pistoletu. Nasłuchiwał przez chwilę. Dennis zaczął głośno kląć na Kevina, a to oznaczało, że chyba nic mu nie grozi, bo wcale go nie szukają.

Pośpiesznie przekradł się do pracowni. Oslaniając dłonią reflektor latarki, zapalił ją tylko na krótko, żeby utrwalić w pamięci to miejsce na najwyższej półce, gdzie stoi pudełko z bronią. Położył latarkę na stole i ostrożnie wdrapał się na niego.

Staął na palcach i jak najdalej wyciągnął rękę, ale nie mógł dosięgnąć pudełka. Znów na krótko zapalił latarkę i zauważył pięciolitrową puszkę farby do metalu stojącą na stole w kącie pod ścianą. Wysunął ją na środek, postawił stopę na wieczku i powoli przeniósł na nią ciężar ciała. Puszka cicho zatrzeszczała, ale wytrzymała obciążenie. Ponownie wyciągnął rękę w górę i tym razem dosięgnął pudełka. Udało się! Ściągnął je z półki, ostrożnie zszedł z puszki i zsunął się ze stołu na podłogę. Serce zabiło mu mocno z podniecenia. Pudełko było dużo cięższe, niż przypuszczał. Można by odnieść wrażenie, że w środku jest prawdziwa armata!

Otworzył je i wyjął pistolet. Ważył chyba tyle, co cegła, był wielki, ciężki i nieporęczny. Thomas nie znał się na broni, nic nie wiedział o kalibrach. Tylko raz ojciec pozwolił mu strzelić z tego pistoletu, gdy wybrali się razem na strzelnicę. Pamiętał, iż odrzut był tak potężny, że później przez tydzień bolało go ramię.

Musiał mieć wolne ręce do wspinaczki, toteż wetknął sobie pistolet za pasek spodni. Czuł się z nim bezpieczniejszy, ale zarazem odczuwał wzmożony strach. Był przekonany, że dzięki niemu zdoła ochronić siebie i Jennifer, może nawet uwolnić ich oboje, ale nie chciał nikogo skrzywdzić. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć.

Kiedy w drodze powrotnej przechodził przez pralnię, nagle pośliznął się i stracił równowagę. Omal nie upadł, ledwie zdążył w porę złapać się półki. Ostrożnie przesunął stopą po podłodze i natrafił na jakiś rozlany lepki płyn. Kiedy podniósł nogę, but odkleił się z cichym młaśnięciem. Zapalił latarkę. Na podłodze ciemniała kałuża jakiejś gęstej, oleistej cieczy. Powiódł wąskim strumykiem światła wzdłuż jej brzegów i stwierdził, że płyn wycieka spod drzwi schowka na miotły. Rozchylił nieco palce, żeby przepuścić więcej światła. Gęsta ciecz była ciemnoczerwona.

Popatrzył na drzwi, przywołując z pamięci wygląd ciasnego pomieszczenia. Miał wrażenie, że patrzy na zdjęcie zrobione przez teleobiektyw, na którym gigantyczne, masywne drzwi blokują przejście do karykaturalnie zmniejszonego schowka. Zupełnie zapomniał o pistolecie. Jego myślami całkowicie zawładnął

złowieszczy widok tych monstrualnych drzwi i wyciekającej spod nich oleistej czerwonej cieczy.

Zagapił się na nie. Miał wielką ochotę je otworzyć, ale równie mocno chciał czym prędzej stąd uciec.

Przestąpił ciemną kałużę i sięgnął do klamki, nie był jednak w stanie zacisnąć na niej palców. Wbrew jego woli zawisły w powietrzu kilka centymetrów nad nią. No, dalej! Otwórz!

Zmusił się, by położyć dłoń na klamce. Ogarnęło go przerażenie, że to złowrogie coś, które czai się za drzwiami, nie pozwoli mu ich otworzyć. Dlatego bardzo ostrożnie nacisnął klamkę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Kevin wypadł zza nich i bezwładnie zwałił się na podłogę u stóp Thomasa. Jego pozbawione władzy ręce jak gdyby wyciągnęły się do jego nóg. Miał poderżnięte gardło. Przekrzywiona w bok głowa odsłaniała w głębi szerokiej szramy białawą kość. Rozcięcie pod brodą układało się na kształt ironicznego uśmiechu. Oczy trupa były szeroko otwarte. Thomas mimowolnie krzyknął z przerażenia.

## JENNIFER

Jennifer nasłuchiwała przez drzwi, przyciskając ucho do zimnej drewnianej ramy, powodowana nadzieją, że usłyszy kroki wracającego Kevina. Miał tylko zajrzeć do sąsiedniego pokoju, żeby wyciągnąć Thomasa, lecz przeciągało się to tak bardzo, iż naszły ją obawy, że Mars lub Dennis pokrzyżowali mu plany. Czuła bolesne skurcze żołądka, toteż silnie zaciskała ręce na brzuchu w próżnym wysiłku powstrzymania dokuczliwych sensacji. Nożyk, który ukryła w majtkach, wrzynał jej się w skórę, dodatkowo nasilając ból. Pospieszenie ułożyła go inaczej, żeby nie uwierał tak mocno.

Wreszcie zatrzeszczała podłoga w korytarzu za drzwiami.

To na pewno Kevin!

Usłyszała, jak ktoś wyciąga gwóźdź z futryny. Była podekscytowana i szczęśliwa, gotowa uciekać stąd, ile sił w nogach. Bardzo chciała znowu zobaczyć ojca! Pragnęła uściskać Thomasa tak mocno, aż zajęczy! Miała nadzieję ujrzeć mamę!



Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Mars, wysoki i zwały jak niedźwiedź. Odskokczyła tak gwałtownie, że mało nie upadła.

Jego złowieszczy uśmiezek przywiódł jej na myśl głupich chłopaków, którzy podpalali mrowiska.

- Oczekiwałaś kogoś innego? - zapytał.

Cofnęła się jeszcze dalej, mając nadzieję, że Kevin wróci lada chwila i uwolni ją od towarzystwa tego odrażającego prostaka.

Zdobyła się na odwagę i spojrzała mu w oczy.

- Nie oczekuję nikogo poza policją.

Pokiwał z uznaniem głową.

- Niedługo się tu zjawi, pewnie nie będziesz już musiała długo czekać.

W duchu skłęła samą siebie za niewyparzoną gębę. Nie podobało jej się to, co mówił Mars, nie znosiła brzmienia jego głosu ani dziwnych min. Pragnęła tylko tego, żeby się stąd wyniósł.

Ale wszedł głębiej i zatrasnął za sobą drzwi. W rękę trzymał wielki zakrzywiony gwóźdź, którym były zabite. Odruchowo postukiwał nim o nogę: puk, puk, puk. Jeszcze bardziej nie podobało jej się to, że zatrasnął drzwi. Postukiwanie gwoździem działało jej na nerwy. Skrzyżowała ręce, zasłaniając w ten sposób piersi, i dumnie zadarła głowę.

- Czego chcesz?

Spoglądał na nią roziskrzonymi, rozbieganymi nerwowo oczami, jakoś niepasującymi do szeroko rozdziawionych ust. Wydawało się, że wcale nie stoi tuż przy niej, w tym samym pokoju, ale zupełnie gdzie indziej, po drugiej stronie przezroczystej ściany, i tylko zerka tu ciekawie ze swego własnego przerażającego świata.

- No? Czego chcesz?

- Kevin wyszedł bez was.

Poczuła, że się czerwieni. Tak kurczowo obejmowała się ramionami, że nieświadomie wbijała sobie paznokcie w skórę, aż chciała krzyknąć z bólu.

- Prosił, żebym ci o tym powiedział. Przemyślał wszystko i doszedł do wniosku, że byłoby zbyt ryzykowne uciekać razem z wami pod okiem Dennisa, dlatego postanowił iść sam. Prosił, żeby cię przeprosić w jego imieniu.

Jennifer pokręciła głową, nie potrafiąc rozstrzygnąć, czy może mu wierzyć. Nie wiedziała, czy rzeczywiście znał prawdę, czy tylko udawał. Przeczuwała jednak, że jej ostatnia nadzieja na wydostanie się z pułapki bezpowrotnie przepadła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Mars podszedł bliżej.

- Czyżby? Zresztą to bez znaczenia.

Prawie wszystkie światła już zgasły.

- O co ci chodzi?

Podchodził coraz bliżej, rósł w jej oczach, wypełniając sobą cały pokój. Znowu cofnęła się o krok.

- Dobrzy chłopcy zawsze gaszą światła, żeby nikt nie widział, co robią po ciemku. Moja matka zawsze mi to powtarzała.

Jennifer oparła się biodrami o kant biurka. Nie miała się już dokąd cofnąć, a Mars był coraz bliżej. Podniósł rękę i postukał gwoździem w jej pierś, puk, puk...

- Nie dotykaj mnie.

Puk, puk.

- Przestań!

Puk, puk.

- Kevin poszedł sobie. Dennis także odszedł. I twój ojciec. I ten mały tłuścioch... Możemy się teraz zabawić.

Przycisnął czubek gwoździa do jej piersi. Trochę zabolalo, ale nawet nie przebił tkaniny bluzki. Jennifer odchyliła się do tyłu, ale nie miała już dokąd uciekać. Mars powoli przeciągnął gwoździem między jej piersiami. Popatrzyła mu śmiało w oczy, w te błyszczące, utkwione w niej ślepia, ale jej wzrok szybko zamglily napływające łzy. Jego ślepia przypominały dwie ciemne kałuże, których powierzchnię marszczył tajemniczy wiatr. Doskonale zdawał sobie sprawę, że postępuje źle, zachowuje się obrzydliwie, lecz ani razu nie spojrział na czubek gwoździa. Uświadomiła sobie nagle, że czerpie satysfakcję ze strachu malującego się na jej twarzy. Ostrożnie wsunęła dłoń za pasek szortów, próbując wymacać uchwyt noża. Coraz mocniej przyciskał gwoźdź i oddychał coraz szybciej. Miała ochotę wrzasnąć na całe gardło.

- I jak ci się to podoba? - zapytał.

Jennifer wyszarpnęła nóż i na oślep zadała cios. Chciała tylko zmusić Marsa, by się odsunął. Poczula jednak, że krótkie i sztywne ostrze zgrzytnęło o coś twardego.

Zaskoczony olbrzym jęknął głucho, zaskomlił jak raniony pies. Oboje spojrzeli w dół. Nóż wbił mu się aż po rękojęść w klatkę piersiową pod lewym ramieniem.

Mars jęknął głośniejsze i skrzywił się z bólu.

Próbowała go odepchnąć, krzyknęła piskliwie, chcąc go odstraszyć, ale nie ruszył się z miejsca. Złapał ją za gardło, mocno zacisnął palce i naparł na nią biodrami, unieruchamiając przy biurku.

Lewą ręką złapał uchwyt noża, jeszcze raz zaskomlił i wyszarpnął go z rany. Na jego koszulce zaczęła się szybko powiększać plama krwi.

Znów spojrział Jennifer w oczy i podetknął jej nóż pod nos. Jeszcze mocniej zacisnął palce, w ogóle nie mogła złapać tchu.

- To ci się na pewno spodoba - mruknął.

Poczuła, że mdleje.

## DENNIS

Okrzyk, który doleciał z głębi domu i przebił się przez zamroczenie alkoholowe, bardziej zdziwił, niż zaskoczył, Dennisa. Przypominał piskliwy, histeryczny wrzask dziewczyny. Zaraz po nim rozległy się jakieś stłumione łomoty i dudnienia, dobiegające zza kuchni, od strony garażu. Sięgnął po pistolet i wrzasnął:

- Co tam się dzieje, do cholery? Co to za hałasy?

To nie mógł być Mars, który przed chwilą poszedł na górę, ani żadne z dzieciaków zamkniętych w sypialniach na piętrze, chyba że ten parszywy tchórz ich wypuścił. Czyżby zdecydował się wrócić?

- Kev? To ty, dupku?

Dennis zapalił latarkę i powiódł strumieniem światła po kuchni. Nikogo tu nie było. Nie zauważył żadnego poruszenia.

- Kto tam jest, do jasnej cholery?!

Nikt nie odpowiedział.

Cofnął się na korytarz i skierował światło latarki na drzwi balkonowe, zdjęty nagłym strachem, że policja próbuje stosować jakieś sztuczki.

- Talley?!

Cisza.

Z wyciągniętym przed siebie pistoletem ruszył przez kuchnię w kierunku przejścia do garażu.

- A może to ty, tłusciuchu?

Cisza.

- Kevin, jeśli tam jesteś, odezwij się, do pioruna. Mars mówił, że wyszedłeś.

Cisza.

Staął w przejściu obok spizarni, otworzył drzwi naprzeciwko i poświecił w głąb pralni. Dopiero po chwili zauważył na podłodze wielką czerwoną kałużę, stopniowo powiększającą się w jego kierunku. Zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, skąd się tu wzięła. Zrobił krok w bok, potem drugi... I wtedy ujrzał brata leżącego na podłodze. Opuścił pistolet i wyprostował się.

- Kevin? Co ty wyrabiasz, do cholery? Wstawaj.

Przeszył go dreszcz. Mimowolne drgawki zrodziły się gdzieś pod przeponą i błyskawicznie ogarnęły całe ciało. Zadygotał tak silnie, że aż światło latarki zatańczyło na podłodze.

- Kevin! Wstawaj!

Z ogromnym wysiłkiem zrobił jeszcze jeden krok. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Stał na samym skraju kałuży krwi i poświecił na brata. Szybkim spojrzeniem obrzucił rozplątane gardło, kość bielejącą na dnie głębokiej szramy, wytrzeszczone oczy. Szybko zgasił latarkę.

Ani tłusciuch, ani dziewczyna nie mogli tego zrobić.

Tylko Mars.

Okłamał go.

Zabił Kevina.

Dennis na miękkich nogach wycofał się do kuchni, zawrócił i pognął schodami na górę.

- Mars!

Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, ogarnięty żądzą dorwania Marsa i pomszczenia brata. Kiedy był na podeście schodów, usłyszał histeryczny wrzask dziewczyny.

- Mars!

Z rozpędem walnął ramieniem w drzwi sypialni, które odskoczyły tak gwałtownie, że aż huknęły w ścianę. Olbrzym ścisnął dziewczynę za gardło, przygwoździwszy ją ciężarem swego ciała do kantu biurka. Dennis wymierzył w niego pistolet.

- Jesteś już trupem, kutasie! .

Mars bez pośpiechu wykonał półobrót i zasłonił się dziewczyną. Dennis spostrzegł nóż w jego rękę i powiększającą się plamę krwi na koszulce.

Mars uśmiechnął się i popatrzył na niego z miną niewiniątka.

- Co się stało, koleś? Co cię tak wkurzyło?

Na twarzy dziewczyny malowało się przerażenie, wytrzeszczone oczy miała mokre od łez i zaczerwienione. Zdołała wydusić z siebie jedno słowo:

- Proszę...

Dennis uniósł wyżej pistolet. Nie chciał jej zranić, z całego serca pragnął wpakować Marsowi kulkę między oczy. Miał nadzieję, że usłyszy jego błaganie o litość.

- Ten kutas zabił Kevina. Poderżnął mu gardło. Wszędzie jest pełno krwi - powiedział takim tonem, jakby prosił ją o wybaczenie.

Dziewczyna zamknęła oczy, łzy pocięły jej w dół policzków.

Powinien być przygotowany na wszystko, ale nie był. Powinien bez zastanowienia pociągnąć za spust, lecz tego nie zrobił.

I nagle stało się za późno na cokolwiek.

Mars podniósł dziewczynę z podłogi i ruszył na niego, pokonując dzielącą ich przestrzeń w trzech krokach. Dennis zawahał się na sekundę, gdyż nie chciał zranić zakładniczki, i ta sekunda okazała się zgubna. Mars ze swoją żywą tarczą wpadł na niego z takim impetem, że poleciał do tyłu przez otwarte drzwi na korytarz. Nim zdążył się pozbierać z podłogi, olbrzym pchnął Jennifer w bok i skoczył na niego. Dennis dostrzegł tylko błysk noża uniesionego do zadania ciosu.

## THOMAS

W ogóle nie był zdolny do racjonalnego myślenia. Kierował nim wyłącznie dławiący za gardło strach, nakazujący mu uciekać przed siebie, byle dalej i prędzej. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że wrzasnął histerycznie. Znów pośliznął się w kałuży krwi, grzmotnął tyłkiem o podłogę, ale poderwał się błyskawicznie, wskoczył na pralkę, z niej na termę, jeszcze raz się pośliznął, omal nie spadł z powrotem do pralni, wreszcie zdołał się podciągnąć przez klapę wyjścia awaryjnego. Na oślep popełnił szybko na czworakach, nie bacząc na to, że kaleczy sobie dłonie i kolana o surowe deski strychu. Myśląc tylko o tym, żeby uciekać jak najszybciej, raz i drugi huknął głową o belki dachowe, aż gwiazdy pokazały mu się przed oczami. Ale miał teraz pistolet. Mógł się bronić. Wystarczyło dotrzeć do sypialni Jennifer, razem z nią zbiec schodami i wypaść przez drzwi frontowe na ulicę. Ani Mars, ani Dennis nie mogli ich już powstrzymać. Przecież miał broń!

Kiedy odchylił klapę i zsunął się do szafy, usłyszał głośny trzask otwieranych z impetem drzwi. Znieruchomiał i wyteżył słuch. Dennis zaczął krzyżeć na Marsa, który zasłonił się jego siostrą. Mierząc do niego z pistoletu, powiedział, że olbrzym poderżnął Kevinowi gardło. Thomas wyciągnął broń z za paska spodni. Ledwie mógł utrzymać ciężki i nieporęczny pistolet w dłoni. Nie wiedział, co robić. Dennis także był uzbrojony!

Nagle Mars pchnął Jennifer na Dennisa i wszyscy troje polecili na korytarz. Thomas wyszedł na środek pokoju i ostrożnie wyjrzał przez otwarte drzwi. Olbrzym, pochrzäkując jak świnia przy korycie, ze śliną skapującą mu z brody, raz za razem dźgał leżącego Dennisa nożem. Zabryzgana krwią Jennifer na czworakach próbowała się od nich oddalić.

- Jen! Uciekajmy!

Thomas wyskoczył na korytarz, minął Marsa, złapał siostrę za ramię i pociągnął ją w kierunku schodów.

- Biegiem!

Jeszcze zanim podniosła się z podłogi, Mars także zdążył wstać. W jego rozszerzonych oczach płonęły dzikie blaski. Był od nich większy, silniejszy i szybszy. Thomas w jednej chwili zdał sobie sprawę, że nie zdołają mu uciec.

Odwrócił się na pięcie i uniósł pistolet, zaciskając obie dłonie na kolbie.

- Zabiję cię!

Mars stanął w pół kroku. Ociekał krwią i ciężko dyszał. Całą twarz miał zbryzganą kroplami krwi. Jeszcze bardziej zakrwawione były ściany korytarza. Rozciągnięty na podłodze Dennis charczał i pojękiwał.

Thomas z trudem mógł utrzymać w rękach ciężki pistolet. Jego lufa tańczyła w górę i w dół, choć ze wszystkich sił starał się go trzymać prosto. Jennifer wzięła go pod ramię i roztrzęsionym szeptem powiedziała:

- Chodźmy. Uciekajmy stąd.

Zaczęli się powoli cofać w stronę schodów. Thomas myślał tylko o tym, żeby trzymać prosto broń wymierzoną w bandytę.

Mars powoli ruszył za nimi, starając się utrzymać stały dystans.

Thomas groźnie machnął pistoletem.

- Nie zbliżaj się, bo cię zastrzelę!

Mars rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć ich oboje, ale się nie zatrzymał.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy przywiązywałem cię do łóżka?

Nie mógł tego zapomnieć. Olbrzym zagroził, że wyrwie mu serce i je zje.

Stanęli na podeście schodów. Jennifer popatrzyła na hol w dole.

Mars zbliżył się o krok.

- Właśnie zamierzam ci wyrwać serce. Ale najpierw wyrwę je twojej siostrze, żebyś mógł sobie na to popatrzeć.

- Nie zbliżaj się!

Strach przeszył Thomasa niczym prąd elektryczny. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie zdołał nad sobą zapanować i posikał się w majtki. Nie chciał strzelać. Przerażała go sama myśl o naciśnięciu spustu. Wiedział, że postąpiłby źle, chociaż uczyniłby to w obronie życia. Bał się, że spotka go za to najsurowsza kara, że będzie się smażył w piekle, napiętnowany jako zły człowiek, który popełnił straszliwy niewybaczalny błąd. Ale Mars wciąż się zbliżał, a on za bardzo się go bał, żeby nie strzelić. Był przerażony widokiem noża w jego ręku i krwi ściekającej mu po twarzy, wizją tego, że spełni swe pogróżki, wyrwie serce najpierw Jennifer, potem jemu, i naprawdę je zje.

Thomas pociągnął za spust.

Trzask!

Mars znieruchomiał, zaskoczony głośnym brzękiem.

Trzask!

Pistolet nie chciał wystrzelić.

W pamięci chłopaka nagle odżyło wszystko, co ojciec na strzelnicy tłumaczył mu na temat broni. Mocniej zacisnął palce na kolbie i drugą ręką odciągnął prowadnicę do tyłu, żeby wprowadzić nabój do komory, lecz pozostała odciągnięta, nie chciała wrócić na swoje miejsce. Zerknął do wnętrza komory. Była pusta. Podobnie jak magazynek. Pistolet nie był naładowany! Nie było pocisków! Nie zabrał nabojów z pracowni!

Kiedy znów podniósł wzrok, Mars uśmiechnął się szeroko.

- Witaj w moim koszmarze.

- Uciekaj! - krzyknęła Jennifer.

Thomas rzucił pistoletem w Marsa i pognął za nią pędem w dół schodów. Powietrze w holu przesiąknięte było odorem benzyny i wymiocin. Jennifer pierwsza dopadła drzwi i szarpnęła za klamkę, ale nie dała rady ich otworzyć.

- Zrób coś!

- Są zamknięte! Gdzie klucz?

Nie było go w drzwiach. Thomas pomyślał ze zgrozą, że zapewne został na górze, w kieszeni przesiąkniętych krwią spodni Dennisa.

Mars bez pośpiechu ciężkim krokiem schodził po schodach. Był już prawie na dole. Nie mieli szans, żeby zawrócić do korytarza i uciekać przez bawialnię drzwiami balkonowymi na taras albo przez garaż. Na pewno zdążyłby ich złapać.

Jennifer pociągnęła go za rękę w bok.

- Tędy! Biegiem!

Kiedy skręcili w stronę sypialni rodziców, Thomas pojął, że siostra prowadzi do najbezpieczniejszego miejsca w domu. Ale Mars był tuż za nimi. Zeskoczył właśnie z ostatniego schodka i kierował się ich śladem do drzwi pokoju.

Rzucił się pędem za siostrą przez sypialnię do salki systemu alarmowego. Zatrzasnęli za sobą ciężkie stalowe drzwi i zdążyli zasunąć rygiel, gdy z zewnątrz rozległo się głucho łomotanie pięściami. .

Poza tym panowała tu zupełna cisza.



Objęli się i przytulili do siebie, roztrzęsieni ze strachu. Uszy Thomasa wypełniło dudnienie serca siostry i głośny szelest własnego przyspieszonego oddechu.

Mars zaczął rytmicznie dobijać się do drzwi, łomotał w nie raz za razem, a każde uderzenie rozbrzmiewało donośnym głuchym echem w ciasnym pomieszczeniu: łup... łup... łup...

Jennifer mocniej przytuliła do siebie brata i szepnęła:

- Nie ruszaj się. Tutaj nas nie dosięgnie.

- Wiem.

- Jesteśmy bezpieczni.

- Zamknij się!

Ojciec mówił im, że te drzwi są w stanie zatrzymać wszystko.

Łomotanie wreszcie ustało.

Mars przytknął do stalowej powierzchni złożone dłonie i krzyknął przez nie głośno, żeby usłyszeli:

- Jesteście niegrzeczni! Bardzo niegrzeczni! I zaraz was za to ukarzę!

Do środka przedostały się jego stłumione, ale wyraźne słowa.

Jeszcze raz huknął pięścią w drzwi i wyszedł z sypialni.

Thomas przypomniał sobie o telefonie komórkowym.

Wyciągnął go z kieszeni i włączył.

Aparat cicho pisnął, podświetlił się ekranik wyświetlacza.

- Thomas! Popatrz!

Jennifer spoglądała na monitory. Na jednym z nich widać było Marsa w holu przy drzwiach frontowych. Podniósł z podłogi wiadro i zaczął polewać ściany benzyną. Uśmiechał się przy tym szeroko.

- Och, mój Boże - jęknęła Jennifer. - On chce nas spalić żywcem.

Telefon zapiszczał po raz drugi. Thomas spojrzął na wyświetlacz. Wskaźnik stanu naładowania rytmicznie migotał. Akumulatory były na wyczerpaniu.

## MARS

Wychodząc z holu, zgasił światło. Otoczyła go nieprzenikniona ciemność. Zaczął dalej rozchlapywać benzynę, najpierw w gabinecie, potem w salonie. Tam również pogasił światła. Zdawał sobie sprawę, że gliniarze zwrócą na to uwagę i zaczną się zastanawiać, co to oznacza. Tymczasem jemu zależało, by ciemniejące kolejno okna przypominały zamykane oczy, jakby dom umierał.

Następnie skierował się do kuchni. Znalazł zapalki w słoiku przy kuchence i zgasił rząd małych lampek nad blatem. Obficie zlał benzyną palniki kuchenki oraz rurę doprowadzającą gaz. Zawrócił i skierował się do sypialni rodziców, idąc wolniej i tworząc pod ścianą szeroką ścieżkę rozlanego paliwa. Uwielbiał chodzić po domu w ciemnościach. Czuł się wtedy niewidzialny, mrok był jego sprzymierzeńcem. Żałował tylko, że już nigdy nie zobaczy swojej matki, ponieważ wielką przyjemność sprawiało mu pastwienie się nad gnijącą odciętą głową tej starej wiedźmy. Do dzisiaj miał w uszach jej słowa:

- Nie znoszę, jak chłopcy robią złe rzeczy! W ogóle nie znoszę niegrzecznych chłopców, Marshallu! Dlaczego zmuszasz mnie, bym. ciągle musiała cię karać?

- Nie wiem, mammo.

- Tylko w ten sposób możesz się stać dobrym człowiekiem!

Skoro nie znosiła, jak chłopcy robią złe rzeczy, to teraz mógł ją zmuszać, by na nie patrzyła, czasami nawet sprawiał, by sama w nich uczestniczyła. Dlatego bardzo żałował, że nie ma jej teraz przy nim. Z ogromną radością przedstawiłby ją Kevinowi i Dennisowi.

Kiedy opróżnił pierwsze plastikowe wiaderko, cofnął się po drugie, skręcił ścieżką benzyny do sypialni, po czym ochlapał nią szerokie małżeńskie łóżko, ściany oraz stalowe drzwi salki systemu alarmowego.

Wyjął z kieszeni zapalki.

THOMAS

Thomas przywołał z pamięci aparatu numer Talleya i wcisnął klawisz połączenia. Ekranik zgasł.

- Thomas!

- Baterie się wyczerpały! Nie mamy ich jak naładować!

Jennifer wyrwała mu telefon z ręki i energicznie wcisnęła klawisz włącznika. Aparat cicho pisnął, wyświetlacz rozjaśnił się na chwilę, ale zaraz z powrotem ściemniał.

Potrząsnęła nim ze złością.

- Cholerna kupo złomu!

- Myślisz, że on naprawdę chce podpalić dom?

- Nie wiem!

- Może powinniśmy stąd uciekać?

- Nie zdołamy przed nim uciec!

Popatrzył ze zdziwieniem, jak siostra wyjmuje akumulatory z telefonu. Szybko przetarła rękawem bluzki miedziane styki, polizała je i włożyła akumulatory z powrotem.

- Co ty robisz?

- Męcę się z tym diabełstwem na co dzień. Znam wszystkie sztuczki, żeby wykrzesać z niego resztki energii.

Widoczny na monitorze Mars uśmiechnął się od ucha do ucha i zapalił zapalną. Uniósł ją wysoko, żeby mieć pewność, że to widzą. Roztańczony płomyk zajaśniał na ekranie migotliwą białą plamką. Kiedy się powiększył, olbrzym przybliżył go do zamkniętych stalowych drzwi.

Thomas złapał siostrę ze rękę.

- On naprawdę nas podpala!

Jennifer włączyła telefon. Ponownie cicho pisnął, ekranik się podświetlił i tym razem nie zgasł. Wcisnęła bratu aparat w garść.

- Masz! Teraz działa!

Thomas znowu wywołał numer Talleya i spojrzał z lękiem na monitor. Mars patrzył w obiektyw kamery, jakby w ten sposób chciał im spojrzeć prosto w oczy i wejrzeć w dusze. Niewyraźnie poruszył wargami.

- Co on mówi?

Jennifer odciągnęła go od drzwi.

- Powiedział: do Widzenia.

Mars rzucił zapalniczkę na podłogę.

Pod ścianą sypialni strzeliły w górę płomienie.

## TALLEY

Kiedy Talley usłyszał przeraźliwy krzyk dobiegający z głębi domu, zajął pozycję na ulicy za osłoną wozu patrolowego drogówki. Wśród gliniarzy z brygady antyterrorystycznej czuwających u wylotu podjazdu zapanowało poruszenie, Trudno było ocenić, czy krzyknęła dziewczyna, czy raczej męski głos, w każdym razie znów zapadła cisza. W domu zapanował spokój.

Talley przysunął się bliżej policjanta z grupy szturmowej i zapytał:

- Ma pan krótkofalówkę ustawioną na wasze pasmo łączności?

- Tak jest. Słyszał pan ten przeraźliwy krzyk? Chyba stało się tam coś złego.

- Proszę mi dać swoje radio.

Pospiesznie wywołał Martin i zameldował jej o tym, co słyszał. Potwierdziła odbiór i wyłączyła się bez słowa komentarza. Przeszedł nieco dalej wzdłuż szeregu pojazdów, uważnie nasłuchując, czy z wnętrza domu nie doleczą jeszcze jakieś hałasy. Panowała jednak całkowita cisza.

Później zaczęły niespodziewanie gasnąć kolejno światła w oknach.

Zauważył, że Martin pojawiła się na ulicy, toteż zawrócił do niej. O ile ten paniczny okrzyk go przestraszył, o tyle zalegająca teraz martwa cisza przerażała go jeszcze bardziej. Jones był za daleko, żeby cokolwiek słyszeć.

Martin, również podenerwowana, fuknęła przez nos.

- Co się tam dzieje? Dlaczego we wszystkich pokojach jest ciemno?

Talley otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, gdy dostrzegł czerwony poblask przesuwający się po parterze budynku i z każdą chwilą coraz lepiej widoczny przez szpary w żaluzjach. W pierwszej chwili pomyślał, że to światło latarek.

Zadzwonił jego telefon

- Talley.

Rozpoznał tylko głos krzyczącego coś Thomasa, z trudem przebijający się przez szumy i trzaski zakłóceń.

- Nie rozumiem! Mów powoli i wyraźnie, synu! Bardzo słabo cię słyszę!

- Mars zabił Kevina i Dennisa, a teraz podpala dom! Jesteśmy w sali systemu alarmowego, ja i Jennifer! Uwięzieni jak w pułapce!

Zakłócenia przybierały na sile. Talley uświadomił sobie, że telefon chłopaka musi być na wyczerpaniu.

- W porządku, synu. Zrozumiałem. Idę po was! Ile masz jeszcze energii?

- Całkiem zdycha.

Talley spojrział na zegarek.

- Wyłącz go natychmiast i włącz z powrotem za dwie minuty, Już po was idę!

Poczuł się dziwnie nieswojo, jakby wszelkie odczucia docierały do niego z trudem, przedzierając się przez kokon, który go otaczał. Nie miał już wyboru, musiał przystąpić do działania, żeby ratować dzieci. Przestało się zupełnie liczyć to, czego chciał Nadzorca albo Jones, nawet jeśli stwarzało to zagrożenie dla Jane i Amandy. Złapał Martin pod rękę i pociągnął ją biegiem ulicą w kierunku furgonetek najemników. Krzyknął:

- Krupchek podpala dom! Proszę wezwać straż pożarną!

- A co z Jonesem?

- Lecę po niego. Musimy natychmiast wkroczyć do domu!

- Nie boisz się o życie żony?

- Proszę ściągnąć straż pożarną i trzymać swoich ludzi w pogotowiu. Jeśli Jones nie będzie chciał przystąpić do akcji, zrobimy to bez niego!

Martin zatrzymała się i odpięła mikrofon krótkofalówki. Pobiegł dalej.

- Krupchek podpala dom! - zawołał z daleka. - Musimy ruszać do ataku!

Jones z obojętną miną popatrzył w kierunku domu. Nie ulegało wątpliwości, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

- Czekamy na rozkaz.

Talley złapał go za rękę. Wyczuł, że Jones odruchowo napina mięśnie. Gdzieś za skrzyżowaniem ryknął uruchamiany silnik wozu strażackiego.

- Dom się pali, do jasnej cholery! Krupchek ścigał dzieci, więc zamknęły się w salce systemu alarmowego. Są w pułapce. Nie możemy czekać.

- Bzdura.

- To sam popatrz!

Pociągnął Jonesa w kierunku domu.

W oknach salonu od frontu widoczne już były płomienie. Z policyjnych krótkofalówek dolatywały głośnie meldunki, prowadzący obserwację gliniarze z drogówki donosili o pożarze. Na ulicy panowało zamieszanie, policjanci oglądali się na wóz dowodzenia, czekając na rozkaz do ataku. Hicks zebrał swoich ludzi z grupy szturmowej i popędził biegiem do kapitan Martin.

Jones osłupiał. Nie potrafił zdecydować, czy nadal ma się trzymać wyraźnego polecenia, żeby czekać na wiadomość telefoniczną.

Talley mocniej pociągnął go za rękę, odwracając twarzą w przeciwną stronę.

- Musimy wkroczyć do domu. Słyszysz? Idziecie czy nie?

- Ruszymy nie wcześniej, nim dostaniemy rozkaz.

- Nie możemy dłużej czekać!

- Nie zapominaj, że życie twojej żony i córki wisi na włosku.

- W domu są uwięzione dzieci!

Jones zacisnął palce na kolbie pistoletu maszynowego. Talley pospiesznie wsunął dłoń pod koszulkę i wymacał swój pistolet.

- Co? Chcesz się strzelać z komendantem policji tutaj, na środku ulicy? Myślisz, że w ten sposób zdobędziesz te cholerne dyskietki?

Najemnik obejrzał się niepewnie i wykrzywił usta. Jego plan nie przewidywał takiego obrotu spraw. Sytuacja nagle zaczęła mu się wymykać spod kontroli, toteż podobnie jak Talley nie miał innego wyjścia, musiał dać się ponieść biegowi zdarzeń.

- W porządku. Niech ci będzie - zdecydował. - Ale tylko my wchodzimy do środka. Zabezpieczamy teren i zabieramy dyskietki.

- Byle szybko. Jeśli nie pogonisz swoich ludzi, pierwsi do środka wejdą strażacy.

Zaczęli w biegu ustalać szczegóły współdziałania.

## MARS

Płomienie rozprzestrzeniały się dziwnie powoli, pięły się ku górze po drzwiach i ścianach niczym wielkie pomarańczowe kwiaty po kracie altany. Ruszył za nimi wzdłuż ścieżki rozlanego paliwa biegnącej przez hol na drugą stronę domu. Sądził, że benzyna powinna się zająć błyskawicznie na całej powierzchni, lecz widocznie była to ropa, po której ogień pełzał zdumiewająco ospale. Powietrze wypełnił gęsty dym cuchnący gorącą smołą.

Zapragnął do tego muzyki.

Poszedł do salonu, w którym wcześniej zwróciła jego uwagę piękna wieża stereo marki Denon. Ustawił radio na lokalną stację nadającą przeboje hip-hopowe i podkręcił wzmacnienie, aż kolumny zadudniły. Wziął z barku butelkę szkockiej whisky i wrócił z nią do sypialni.

Szerokie łóżko zamieniło się w wielkie palenisko, płomienie pełzały po drzwiach i ścianach, a pod sufitem kłębił się dym. Skrzywił się od buchającego zewsząd żaru. Zdjął koszulkę i pociągnął tęgi łyk z butelki. Wyciągnął magazynek pistoletu zabranego ze sklepu Chińczyka i sprawdził, że pozostało w nim dużo nabojów. Włożył go z powrotem, a palce lewej ręki zacisnął na rękojeści swego noża.

Kucnął pod ścianą w odległym końcu pokoju, jak najdalej od płomieni i poniżej kłębow dymu, po czym zapatrzył się na stalowe drzwi. Miał nadzieję, że gdy w salce systemu alarmowego zrobi się bardzo gorąco, przerażone dzieciaki wyjdą stamtąd i rzucą się do ucieczki.

Wtedy wreszcie dopnie swego.

## TALLEY

Dwóch ludzi miało wpaść do środka przez wyważone drzwi od frontu, dwóch innych z tarasu drzwiami balkonowymi. Talley i Jones postanowili wdrzeć się przez okno do pokoju gościnnego sąsiadującego z sypialnią gospodarzy. Już ze środka Jones

miał przez radio dać znać ostatniemu ze swoich najemników, który otrzymał zadanie podziurawienia kulami tylnej ściany sypialni, żeby odciągnąć uwagę Krupcheka od drzwi, którymi z korytarza mieli wskoczyć do środka. Wszyscy zostali wyposażeni w gaśnice, którymi w miarę możliwości powinni stłumić rozprzestrzeniający się ogień.

Talley nie zdążył nawet zabrać z wozu swojej kamizelki kuloodpornej. Pożyczył inną od jednego z policjantów brygady antyterrorystycznej, w pośpiechu zapiął na cienkiej koszulce, po czym zarzucił sobie gaśnicę na ramię. Strażacy już rozciągali węże na ulicy, choć dostali polecenie, aby pozostać za osłoną wozów do czasu unieszkodliwienia ostatniego bandyty i uwolnienia zakładników.

Po ustaleniu planu działania Talley zadzwonił do Thomasa. Trzaski zakłóceń były jeszcze silniejsze niż poprzednio. Stanowczo nakazał chłopakowi nie wyłączać telefonu, będąc przekonany, że automatyczne dostrajanie się aparatu do sieci i ustalanie warunków połączenia pochłania więcej energii, niż można by jej zaoszczędzić poprzez wyłączenie. Jeśli Jones miał jakieś podejrzenia co do kontaktu telefonicznego z chłopakiem, to zachował je dla siebie.

Martin stanęła tuż obok niego, obserwując, jak Jones wydaje rozkazy swoim ludziom.

- Co ja mam robić w tej sytuacji?

- Nie wiem.

- Chcesz im pozwolić bezkarnie zabrać stamtąd dyskietki?

- Sam już nie wiem, czego teraz chcę, Martin. Po prostu nie wiem. Na pewno muszę ratować dzieci.

Dociągnął sprzączki kamizelki i ustawił krótkofalówkę. Działał jak automat, szybko i pewnie, bez zbędnych ruchów czy słów. Skończywszy, obejrzał się na Jonesa.

- Gotów?

Najemnik włożył hełm na głowę i po raz ostatni poprawił uprząż z ekwipunkiem.

- Pamiętaj, Talley, jak się umawialiśmy.

- Zacznijmy wreszcie działać, do cholery.

Jones ruszył energicznym krokiem w stronę domu. Kiedy oddalił się na parę kroków, Talley spojrział na Martin.

- Gdybym stamtąd nie wyszedł, proszę nie puścić go wolno, tylko ściągnąć ekipę dochodzeniową i podjąć próbę uratowania mojej żony i córki.



- Lepiej postaraj się wrócić cały i zdrowy. Odwróciła się, nim zdążył odpowiedzieć, i zaczęła wykrzykiwać rozkazy dla swojej grupy szturmowej.

Talley dogonił Jonesa przy narożniku budynku, pod oknem pokoju gościnnego. Ze środka płonącego domu dobiegała muzyka, bardzo głośna i dudniąca. Przyjął to nawet z ulgą, gdyż razem z trzaskiem płomieni powinna zagłuszyć odgłosy wyważania drzwi. Otworzyli okiennice. Za pomocą łomu Jones błyskawicznie otworzył okno. Odsunął na bok zasłonkę i wyciągniętym ku górze kciukiem dał mu znać, że w pokoju nikogo nie ma. Wstawili do środka gaśnice i czekali niecierpliwie. Nie mogli wejść, nim reszta najemników nie zajęła swoich pozycji. Talley wyjął z kieszeni telefon i jeszcze raz wywołał chłopaka.

- Thomas?

- Jestem, szefie.

Jego głos ledwie przebijał się przez głośny szum i burzę trzasków.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Uwolnimy was za trzy, może cztery minuty. Jak tylko unieszkodliwimy Krupcheka, do akcji wkroczą strażacy.

- Tu jest coraz goręcej.

- Wiem. Czy Krupchek ciągle siedzi w sypialni?

Talleyowi zależało na tym, żeby czymś zająć chłopaka.

Wiedział, że dopóki rozmawiają, Thomas nie ma czasu myśleć o ogarniającym go śmiertelnym przerożeniu. W pewnym stopniu to samo dotyczyło także jego.

- Tak. Siedzi na podłodze przy...

Połączenie zostało przerwane.

- Thomas? Thomas?!

Cisza.

Akumulatory w aparacie chłopaka ostatecznie się wyczerpały.

Jones zerknął na niego przez ramię i zakreślił palcem młynka w powietrzu. Jego ludzie byli na pozycjach, gotowi do ataku.

- Ruszajmy, do pioruna!

Najemnik strzelił palcami w stronę otwartego okna.

- Naprzód!

Pierwszy wskoczył do środka. Talley odczekał chwilę, zanim poszedł w jego ślady. Mroczny pokój rozjaśniał jedynie poblask ognia wpadający pod drzwiami z

korytarza. Musieli nim przebiec zaledwie trzy metry do drzwi sypialni. Jones szczęknął zamkiem pistoletu maszynowego, Talley wprowadził nabój do komory swojej broni. Zapalił latarkę, spojrzał najemnikowi w twarz i skinął głową. Jones sięgnął do mikrofonu krótkofalówki:

- Teraz!

Padła krótka seria z broni maszynowej, w sąsiednim pokoju zabrzączało szkło z roztrzaskanej szyby w oknie. Niemal równocześnie rozległ się stłumiony huk i wyważone drzwi frontowe grzmotnęły o podłogę.

W sypialni padły jeden po drugim dwa kolejne strzały. Talley i Jones zdążyli wyskoczyć na korytarz, gdy huknął trzeci wystrzał. W paru susach dopadli otwartych drzwi.

Sypialnia przypominała rozszalałe piekło ognia. Najemnik, który z zewnątrz strzelał dla odciążenia uwagi bandyty, leżał pod oknem, zwijając się z bólu. Talley kątem oka dostrzegł ruch po prawej, w kącie pokoju. Ujrzał Krupcheka wstającego zza obszernego fotela, nagiego do pasa, z torsem błyszczącym w blasku płomieni i twarzą wykrzywioną w grymasie wściekłości i pogardy. Szaleniec z histerycznym wrzaskiem uniósł pistolet i zaczął strzelać na oślep, choć wcześniej trafiły go już kule zarówno Talleya, jak i Jonesa. Wreszcie zachwiał się na nogach i szeroko wymachując rękoma, poleciał do tyłu. Nie przestając wrzeszczeć, runął w płomienie buchające pod ścianą. Jones wszedł głębiej do pokoju, oddał jeszcze dwa strzały i bandyta znieruchomiał.

Obaj pospiesznie ustawili gaśnice i nakierowali dysze na ogień. W drzwiach sypialni pojawili się fałszywi agenci FBI z bronią gotową do strzału.

- Już po wszystkim! - krzyknął do nich Talley.

Jones wskazał im ich kolegę leżącego pod oknem.

- Ty i ty. Zabierzcie go do samochodu.

Talley usiłował gaśnicą zdusić płomienie buchające pod stalowymi drzwiami salki systemu alarmowego, lecz po chwili zawołał:

- Jones! Dzieci są za tymi drzwiami!

Ale ten spokojnie wydawał polecenia swojemu człowiekowi:

- Wracaj do gabinetu od frontu. Pilnuj, żeby nikt nie wchodził do holu.

- Pomóż mi uwolnić dzieci!

Wreszcie Jones przywołał ostatniego ze swoich ludzi i we trzech zaczęli gasić ogień. Gaśnice zasyczały donośnie niczym rozwścieczone smoki. Rozżarzone do

czerwoności stalowe drzwi stopniowo poczerniały, stygnąc szybko. Wreszcie Talley zastukał w nie dyszą gaśnicy.

- Thomas! To ja!

W rogu pod ścianą znów buchnęły płomienie i zaczęły się szybko rozpełzać po farbie.

- Thomas!

Kiedy szczęknął rygiel i drzwi się uchyliły, pospiesznie skierował strumień z gaśnicy do środka. Chłopak i dziewczyna stali w głębi, osłaniając twarze od żaru. Jones złapał go za ramię.

- Zajmij się nimi, Talley. My idziemy po dyskiety.

Talley nie odpowiedział. Jeszcze raz omiół gaśnicą wewnętrzną stronę drzwi, po czym wszedł do środka i wziął Thomasa za rękę.

- Musimy się pospieszyć. Chodźcie za mną.

Jennifer ostrożnie zerknęła ponad jego ramieniem w głąb pokoju.

- Czy on nie żyje?

Talleya aż zakłuło w sercu na jej widok. Była mniej więcej w tym samym wieku, co Amanda. Nawet fryzurę nosiła podobną. Tyle tylko, że nie wiedział, gdzie teraz znajduje się jego córka. Nie wiedział, czy też nie musi patrzeć w twarz innego potwora.

- Tak, nie żyje. Chodźcie. Wspaniale się spisaliście.

Wyprowadził ich na korytarz, strumieniami z gaśnicy tłumiąc płomienie w tych miejscach, gdzie przejście było za wąskie. W holu przystanął na chwilę, żeby przestawić krótkofalówkę na pasmo łączności policji miejskiej z Bristo, po czym wezwał Mikkelson.

- Mikki!

- Słucham, szefie!

- Dzieci wychodzą od frontu. Zaopiekuj się nimi. Kiedy dotarli do drzwi, zerknął w głąb gabinetu. Jones i jego ludzie przeszukiwali biurko Smitha. Pociągnął Thomasa krok do tyłu, żeby zejść im z widoku, gdyż coś mu podpowiadało, że nadarza się ostatnia okazja, by uratować swoją rodzinę. Nadzorca z pewnością już się dowiedział o wkroczeniu do domu. Powinien dzwonić do Jonesa, spodziewając się meldunku o odzyskaniu dyskietek. Talley pochylił się w stronę chłopaka.

- Czy dyskiety są nadal w twoim pokoju?

- Tak. Przy komputerze.

Wskazał Mikkelson czekającą u wylotu podjazdu i pchnął ich lekko w stronę wyjścia.

- Idźcie do niej. Biegiem!

Odprowadził wzrokiem dzieci biegnące w kierunku radiowozu i zawrócił na piętro. Powietrze było tu tak gęste od dymu, że nawet światło mocnej latarki nie było w stanie się przebić, tworząc jedynie krąg mlecznego blasku. Widoczność nie przekraczała metra. Ruszył wzdłuż ściany korytarza i natknął się na Rooneya leżącego na wprost drzwi pierwszego pokoju. Na jego piersi i ustach ciemniała zakrzepła krwista piana, przypominająca skupiska małych szklisto-purpurowych grzybów. Trudno było ocenić, czy jeszcze żyje, ale Talley nie mógł tracić czasu, by to sprawdzić. Nogą odsunął nieco dalej leżący na podłodze pistolet i zajrzał do otwartej sypialni. Jeden rzut oka pozwolił mu się przekonać, że to pokój Jennifer. Poszedł dalej. Obok musiała się znajdować sypialnia Thomasa. Wszedł do środka i szybko odnalazł komputer na podłodze przy wezłowskiu łóżka. Jedna dyskietka leżała na podłodze, druga tkwiła w czytniku. Poświecił na nie latarką i odczytał napisy. Serce zabiło mu mocniej. To były one: „Dysk pierwszy” i „Dysk drugi”. Zyskał upragniony atut, który pozwalał mu uratować Jane i Amandę.

- Talley!

Poderwał się błyskawicznie na nogi. W drzwiach stała Martin. Na głowie miała hełm. Dłoń trzymała na kolbie pistoletu wystającego z kabury na biodrze.

- Znalazłeś je?

Podszedł do niej. Dym w korytarzu gęstniał. Schody rozświetlał coraz intensywniejszy blask płomieni z holu.

- Gdzie jest Jones?

- Przekopuje ze swoimi ludźmi gabinet. Nie znaleźli dyskietek.

- Chłopak miał je w swoim pokoju.

Pokazał jej zdobycz. Zależało mu na tym, żeby wymknąć się na ulicę, unikając spotkania z Jonesem. Zrobił krok w stronę schodów, ale Martin złapała go za rękę. Odwrócił się. Wyciągnęła pistolet z kabury.

- Oddaj mi je.

Zaskoczył go jej ton. Zerknął na wymierzoną w siebie broń i spojrzął jej prosto w oczy. Dostrzegł w nich błyski chciwości.

- O co ci chodzi?

- Oddawaj dyskietki.

Jeszcze raz zerknął na pistolet, nabrawszy niezbitą pewności, że i ona została przekupiona przez Benzę. Pokręcił głową.

- Kiedy się z tobą skontaktowali?

Pchnęła kciukiem bezpiecznik broni.

- Oddawaj dyskietki, Talley. Tylko tak uratujesz swoją rodzinę.

Nie mógł jej posłuchać. Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko Benza poczuje się bezpieczny, będą musieli zginąć wszyscy ci, którzy wiedzą, jaką rolę w jego organizacji pełnił Smith.

Cofnął się o krok i wyciągnął w bok rękę, w której trzymał dyskietki. Równie dobrze wiedział, że gdy je odda, Martin pociągnie za spust. To by znacznie ułatwiło wiele spraw.

- Gdzie jest Jones?

- Na dole. On o niczym nie wie.

- Jak chcesz to załatwić? Powiesz wszystkim, że zostałem przypadkowo trafiony kulą w zamieszaniu? Obarczysz winą Krupcheka albo Rooneya?

- Jeśli będę musiała.

- Ile ci zapłacili?

- Więcej, niż przypuszczasz. - Uniosła wyżej pistolet. - A teraz dawaj dyskietki.

Zerknął przez ramię. Ogień zaczynał już trawić schody. Przez kłęby dymu widać było blask płomieni. Ale dostrzegł też ledwie zauważalny ruch w głębi korytarza.

- Oddawaj dyskietki, Talley. Nie pozwolę ci z nimi stąd wyjść.

W dymie zasnuwającym podłogę wyraźnie poruszył się cień.

- Rooney jeszcze żyje.

Tylko zerknęła w bok i błyskawicznie przeniosła wzrok z powrotem na niego. Najwyraźniej mu nie wierzyła.

- Oddawaj te przeklęte dyskietki!

Dennis Rooney zdołał się dźwignąć z podłogi. Oczy miał szkliste, ociekał krwią. Odnalazł też swój pistolet.

- Martin!

Spojrzała w bok, ale było za późno. Rooney strzelił, nim zdążyła obrócić broń w jego kierunku. Coś silnie uderzyło Talleya, aż poleciał do tyłu, z trudem łapiąc równowagę. Drugi pocisk trafił Martin w biodro. Trzeci w policzek tuż pod prawym okiem.

Impet trafienia zakręcił nią jak na karuzeli. Nie zdążyła jeszcze runąć na podłogę, gdy Talley dobył broni i nacisnął spust.

TALLEY

Ciężki pocisk z jego pistoletu cisnął Dennisa na ścianę, po której osunął się, zostawiając szeroką krwawą smugę. Talley szybko uklęknął na jego piersi, wyszarpnął mu z ręki broń i odrzucił daleko. Upewnił się, że Rooney nie żyje. Wytężył słuch, obawiając się, że ludzie Jonesa mogą już iść na górę, ale nie wyłowił żadnych hałasów poprzez trzaski i syki pożaru.

Wywołał Mikkelson.

- Macie dzieciaki?

- Słyszeliśmy strzały!

- Pytam, czy macie dzieci?!

- Tak jest. Są bezpieczne.

- Dwóch agentów FBI zabrało stąd rannego, mieli go zanieść do furgonetki.

- Tak. Widzieliśmy ich.

Zastanowił się chwilę i doszedł do wniosku, że skoro wypadki tak się potoczyły, powinien wykorzystać okazję i przejść do ofensywy. Czas był jego wrogiem. Musiał jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji z Nadzorcą, by maksymalnie wykorzystać chwilową przewagę.

- Ściągnij Jorgensona i Coopera. Jeśli Larry wrócił, zabierz i jego. Aresztujcie tych trzech. Odbierzcie im krótkofalówki i telefony komórkowe. Zakujcie w kajdanki i nie pozwólcie, żeby z kimkolwiek rozmawiali.

- Mamy aresztować agentów FBI?!

- Oni nie są z FBI. Aresztujcie ich, Mikki. Są uzbrojeni i niebezpieczni, więc zachowajcie ostrożność. Niech ktoś ich odwiezie do aresztu. Tylko pamiętaj, że nie wolno im się z nikim kontaktować. Powtarzam: absolutnie z nikim. Żadnych telefonów, dziennikarzy, adwokatów. I nie mówcie o tym nikomu. Zrozumiałaś?

- Tak. Jasne, szefie.

- Do roboty.

Teraz wszystko zależało od szybkości działania. Nawet jeśli Nadzorca dowie się o aresztowaniu jego ludzi, nie będzie wiedział ani dlaczego, ani jak do tego doszło, nie powinien więc podejmować żadnych kroków wymierzonych przeciwko Jane i Amandzie, nie znając wszystkich szczegółów. Talley bardzo na to liczył. Stawką w tej grze było życie żony i córki. Jego jedyną nadzieję na uratowanie rodziny stanowiło podjęcie akcji, zanim Nadzorca zdąży się zorientować, że cały plan wziął w łeb.

Wetknął dyskiety za kamizelkę kuloodporną i pobiegł do schodów. Ogień w holu przeniósł się już na ściany, zaczynał trawić schody. W powietrzu wirowały kłęby dymu rozświetlone pomarańczowym blaskiem. Pognał na dół, nie spuszczać oczu z wejścia do gabinetu. Dopadł drzwi na chwilę przed tym, jak jeden z najemników wyszedł na korytarz. Wymierzył mu pistolet prosto w twarz i przytknął palec do warg, nakazując zachować ciszę, po czym błyskawicznie go rozbroił, zakuł w kajdanki i popchnął z powrotem do gabinetu.

Jones gorączkowo przeszukiwał podłogę wokół biurka, próbując światłem latarki przebić kłęby dymu. Szuflady były powysuwane, ich zawartość walala się po całym pokoju. Drugi najemnik wyciągał książki z regału i sprawdzał je kolejno. Popatrzyli równocześnie w stronę wejścia, kiedy pojawił się w nim Talley i pchnął skrępowanego człowieka na podłogę.

Skierował na nich broń. Nie czuł nawet żaru wypełniającego pomieszczenia na parterze. W jego żyłach buzowała adrenalina, działał pod wpływem tak silnego strachu, że widział niemal wyłącznie tych dwóch ludzi, których miał przed sobą.

- Ręce do góry! Spleść dłonie na głowie i odwrócić się tyłem do mnie!

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - zapytał Jones.

Mężczyzna stojący przy regale błyskawicznie sięgnął po pistolet maszynowy, lecz Talley bez namysłu strzelił do niego. Masywny pocisk kalibru 11,43 milimetra bez trudu przebił kamizelkę kuloodporną. W czasie służby w brygadzie antyterrorystycznej w Los Angeles rocznie oddawał tysiąc strzałów na policyjnej strzelnicy. Posługiwał się bronią niemal odruchowo.

Pospiesznie wymierzył z powrotem w Jonesa.

- Łapy na głowę. Już!

Najemnik podniósł ręce, odwrócił się powoli i posłusznie splótł palce na czubku głowy.



- Pogrążasz się, Talley. Mają twoją rodzinę.

Mierząc do niego, rozbroił zabitego najemnika, rzucając broń na środek pokoju, sprawdził mu puls na szyi i podszedł do Jonesa. Zabrał jego pistolet maszynowy i dorzucił go do reszty uzbrojenia. Odłączył kabel zasilający komputera, kazał fałszywemu agentowi położyć się na brzuchu i skrzyżować ręce za plecami. Przytknął mu pistolet do karku i rzekł:

- Rusz się tylko, a cię zastrzelę.

Przycisnął go kolanem do podłogi i kablem związał ręce. Postanowił go wyprowadzić z domu, ale nie chciał tego robić przed obiektywami kamer telewizyjnych. Sięgnął do mikrofonu.

- Mikki?

- Jezu, szefie, nic się panu nie stało? Znowu słyszeliśmy strzały.

- Niech strażacy przystępują do akcji. A ty podjedź swoim wozem pod taras na tyłach domu, od strony Flanders Road. Tam się spotkamy.

Ekipy reporterskie w śmigłowcach powinny teraz skupić swoją uwagę na strażakach. Bardzo mu zależało, by w przekazie widoczny był tylko fronton domu, a nie tylne podwórze. Nie chciał, aby Nadzorca zobaczył go w telewizji.

- Co tam się dzieje?

- Rób, jak powiedziałem!

Pod bronią poprowadził przed sobą Jonesa i drugiego skutego najemnika korytarzem na tyły domu. Ogień rozprzestrzeniał się coraz szybciej. Tapeta na ścianach wybrzuszała się i odłaziła wielkimi płacami, z sufitu sypały się grudy tynku. Kiedy stanęli przed drzwiami balkonowymi, przestawił krótkofalówkę na pasmo łączności zespołu z biura szeryfa i rozkazał zgasić reflektory oświetlające taras i basen kąpielowy. Chwilę później tylne podwórze pogrążyło się w ciemności. Wyprowadził obu najemników przed dom i kazał im stanąć pod ścianą. Na widok skrzepowanych ludzi w mundurach połowych FBI sierżant z brygady antyterrorystycznej rozdziawił usta i wybałuszył oczy.

- Co się dzieje, do pioruna?

- Przypilnujcie tych dwóch.

Nie musiał jednak długo czekać. W tej samej chwili z alejki dojazdowej skręcił radiowóz. Wskoczyli z niego Mikkelson i Dreyer.

Zbierający się policjanci z grupy uderzeniowej patrzyli z niedowierzaniem na Jonesa i drugiego najemnika, którzy mimo wielkich żółtych napisów FBI na kamizelkach kuloodpornych mieli ręce skute kajdankami i jak aresztanci stali twarzą do ściany.

- O co tu chodzi? - zapytał po raz drugi dowódca oddziału.

Talley nie odpowiedział, tylko mruknął:

- Martin jest w środku, w korytarzu na piętrze. Dostała. Zareagowali dokładnie tak, jak tego oczekiwał: wszyscy pobiegli przez bawialnię w głąb domu.

Pchnął pierwszego więźnia w kierunku radiowozu.

- Już po tobie, Talley - rzekł Jones.

- To nie ja mam skute ręce.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jak to się musi skończyć, prawda? Czyżbyś tego nie rozumiał?

- Mam wasze dyskiety, skurwysynu. Przekonamy się teraz, jak bardzo wasz szef chce je odzyskać.

Mikkelson na widok skutych agentów FBI także wyduła wargi i głośno cmoknęła.

- Chryste. Czyżby coś mnie ominęło?

- Oni nie są z FBI.

Talley wepchnął pierwszego najemnika na tylne siedzenie samochodu, po czym złapał Jonesa za gardło, przycisnął go do błotnika i zapytał:

- Gdzie oni są?

- Nie wiem. Nie mam z nimi żadnego kontaktu.

- Więc gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Jak się nazywa?

- Nie znasz się na regułach tej gry, Talley. Dla mnie on jest tylko głosem w telefonie.

Sięgnął do kieszeni Jonesa i wyciągnął jego telefon komórkowy. Wprowadził na klawiaturze kod wywoływania połączenia zwrotnego, ale nie przyniosło to żadnego efektu.

- Cholera!

Podetknął aparat fałszywemu agentowi pod nos.

- Jaki jest jego numer?

- Wiem tyle samo co ty.

Talley wymierzył mu kolaniem cios w brzuch.

- O kurde... - jęknął Dreyer.

Talley przyciągnął Jonesa do siebie i z całej siły grzmotnął nim o samochód.

- Na pewno znasz ten pieprzony numer!

- Chcę rozmawiać ze swoim adwokatem.

Wymierzył mu kolejny cios kolaniem, aż Jones zgiął się wpół, a Mikkelson i Dreyer skrzywili się boleśnie.

- Szefie...

- Ci łajdacy porwali moją żonę i córkę.

Wyciągnął pistolet i przystawił najemnikowi lufę do głowy.

- Słyszałeś, skurwysynu? Mówimy o mojej żonie i córce. Naprawdę myślisz, że nie odważę się pociągnąć za spust?

Miał wrażenie, że już nie jest na osiedlu przy Flanders Road, ale w samym sercu strefy śmierci. Było to miejsce wypełnione białym szumem, gdzie królowały tylko emocje, zdrowy rozsądek w ogóle się nie liczył. Wściekłość i żądza stanowiły przepustkę do wszystkiego, a panika mogła ponieść w dowolnym kierunku. Ostatnie wydarzenia prowadziły go nieuchronnie właśnie do tej strefy, o której krążyły legendy w brygadach antyterrorystycznych. Zanikało w niej poczucie rzeczywistości, można było tu w jednej chwili zaprzepaścić swoją karierę, wystawić się na pewną śmierć albo, co gorsza, przyczynić się do śmierci drugiej osoby.

Talley pchnął mocniej Jonesa, wyginając go do tyłu nad bagażnikiem auta. Musiał dopaść Nadzorcę, a tylko ten człowiek wiedział, gdzie go szukać. Nie mógł czekać, aż tamten zadzwoni. Chciał go zaskoczyć zniemacka. Czas był jego najgorszym wrogiem.

- On dzwoni do mnie tak samo jak do ciebie.

Czuł łomotanie pulsu w skroniach. Coś mu podpowiadało, żeby zmusić sukinsyna do mówienia, strzelić mu w ramię, żeby wrzeszczał z bólu i zajrzał śmierci w oczy. Nagle jak przez mgłę dotarł do niego głos Mikkelson:

- Szefie?

Biały szum ucichł. Wyszedł ze strefy i znów znalazł się w realnym świecie. Opuścił pistolet. Nie potrafił posługiwać się takimi samymi metodami jak oni.

Jones odwrócił głowę. Talleyowi przemknęło przez myśl, że poczuł się zakłopotany.

- Nie znam jego telefonu - powtórzył najemnik. - To on do mnie dzwoni, tak jak do ciebie. Tylko w taki sposób jest bezpieczny. Po prostu czekaj przy aparacie. Na pewno zadzwoni.

Talley spojrzął na jego telefon komórkowy, rzucił go na ziemię i roztrzaskał obcasem. Miał swoją czarną nokię, nie zamierzał jednak odbierać, nawet jeśli zadzwoni. Gdyby Nadzorca szukał z nim kontaktu, oznaczałoby to, że czegoś od niego chce, a on nie miał najmniejszego zamiaru podporządkowywać się dłużej jego poleceniom.

- Wsadźcie ich do celi razem z tamtymi trzema.

Wydawało mu się, że akcja dobiegła końca, chociaż dla niego na dobre jeszcze się nawet nie zaczęła. Musiał dalej próbować. Jak raz się wdepnie w bagno, trzeba uparcie dalej przeć do celu, bo każdy postój może oznaczać śmierć.

Smith powinien wiedzieć więcej. Mafia powierzała mu swoje najskrytsze tajemnice. Zatem znowu wszystko było w rękach księgowego.

- Gdzie są dzieci?

- Cooper się nimi zajął, poprowadził do karetki, żeby lekarz je obejrzał. Ale nic im nie jest. W końcu udało się namierzyć ich matkę na Florydzie. Jest już w samolocie.

- Przekaż Cooperowi, żeby czekał na mnie przed szpitalem. I niech przywiezie dzieci ze sobą.

Otarł sadzę z oczu i obejrzał się na dom. Płomienie przegryzały się już przez dachówki, strzelały w wielu miejscach mimo spadających na nie srebrzystych strumieni wody pompowanej od strony ulicy. Dopiero teraz poczuł, jak mocno śmierdzi od niego spalenizną. Cuchnął niczym wygasłe palenisko.

## KEN SEYMORE

Seymore chował właśnie do kieszeni zgrabną sumkę, jaką wytargował od nowo przybyłej ekipy reporterskiej z Los Angeles za kilka tabletek adderallu, gdy z głębi osiedla doleciał stłumiony charakterystyczny odgłos serii z broni maszynowej. Producent dziennika z lokalnej stacji, żyłasty gołowąs w garniturku z muszką, niemający żadnego doświadczenia, urwał nagle w pół słowa komentarz na temat roli wyborów w napędzaniu maszyny politycznej.

- Co to było?

Ken od razu rozpoznał odgłos wystrzałów.

Wiedział, że Howell nie wydał rozkazu do ataku, bo na pewno zostałyby o tym uprzedzony. Ruszył więc szybko w stronę najbliższej furgonetki reporterskiej, żeby się dowiedzieć, co tam się dzieje. Wiedział, że siedzący w środku technik prowadzi stały nasłuch w paśmie łączności oddziałów uderzeniowych brygady antyterrorystycznej.

- Wyłapałeś coś ciekawego?

Chłopak uciszył go ruchem ręki. Zasłuchał się w meldunki, które odbierał przez słuchawki i nagrywał, gdyż jego szef zawsze żądał potwierdzenia zebranych informacji.

- Wzywają straż pożarną. Ten cholerny dom się pali.

- Kto tam strzelał?

- A to były odgłosy wystrzałów?

- Pewnie, do diabła.

Technik znów uciszył go ruchem dłoni i zaczął kręcić gałką dostrajania, przestawiając się na inną częstotliwość.

- Antyterrorystyci ruszyli do akcji... Cholera, są ofiary... Aha, wygląda na to, że uwolnili zakładników... Tak! Dzieciaki wychodzą z domu!

Ściągnął słuchawki z głowy i zaczął głośno przywoływać swojego szefa, producenta serwisu.

W snopach reflektorów krążących nad osiedlem helikopterów pojawiły się kłęby dymu. Odgłosy następnych wystrzałów rozeszły się stłumionym echem po osiedlu.

Seymore pospiesznie wyjął telefon komórkowy.

GLEN HOWELL

Z powodu pożaru lokalne stacje telewizyjne wznowiły przekaz na żywo. Od frontu ze wszystkich okien domu wysoko strzelały płomienie, ale od tyłu ogień został chyba opanowany, w każdym razie na zdjęciach nie było widać, żeby rozprzestrzeniał się również w tamtym kierunku. Strażacy polewali dach wodą z sikawek, wzdłuż ogrodzenia posesji przesuwały się szybko ledwie widoczne w ciemnościach grupy ludzi. Zdjęcia z helikoptera, bardzo niewyraźne, nie pozwalały dostrzec, kto tam biega i co się dzieje. Widać było jedynie, że niewiele da się uratować z pożogi.

- Jesteś pewien, że ludzie Jonesa ponieśli straty?

- Słyszałem meldunek, że dostał któryś z agentów FBI, a więc to musi być jeden z chłopców Jonesa. Mogę polegać jedynie na nasłuchu policyjnych kanałów łączności.

- Znaleźli dyskietki?

- Nie wiem. Akcja jeszcze trwa. Nikt nie udziela nam żadnych informacji.

- Dlaczego, do jasnej cholery, przystąpili do działania?

- Myślałem, że dałeś im zielone światło.

- Nic podobnego.

- Zaczekaj chwilę, odbieram następne meldunki... W porządku. Mówią, że ze środka wyszło dwóch agentów FBI, a potem wybiegły dzieci. Zostały uwolnione.

Howell za wszelką cenę starał się zachować spokój.

- No to kto został w tym zasranym domu?!

- Nie wiem.

- Jones ciągle tam jest?

- Nie wiem.

- A gdzie jest Talley?

- Też nie wiem.

- To za co ci płacę, do jasnej cholery?! Po diabła tam siedzisz?!

Howell z wściekłością przerwał połączenie i wybrał numer Jonesa, ale już po pierwszym sygnale mechaniczny głos z taśmy obwieścił, że abonent albo przebywa

poza zasięgiem sieci, albo wyłączył aparat. Zadzwoił więc do Martin. Odczekał piętnaście sygnałów, zanim przerwał połączenie.

- Kurwa mać!

Po chwili wybrał numer Talleya i zasłuchał się w monotonne sygnały. Tym razem rozbrzmiało ich aż dwadzieścia, nim w końcu z takim impetem zatrzaskała klapkę swojej nokia, że omal nie roztrzaskał telefonu.

## TALLEY

Całą drogę do szpitala pokonał na sygnale, z włączonym kogutem. Kiedy dotarł na miejsce, Coopera jeszcze nie było. Minęła właśnie trzecia w nocy. Parking świecił pustkami, tylko nieliczne ekipy reporterskie koczowały przed izbą przyjęć. Zatrzymał wóz na uliczce dojazdowej, żeby uniknąć pytań dziennikarzy, ale wysiadł, gdyż nie mógł usiedzieć za kierownicą. Oparł się o drzwi i z rękoma skrzyżowanymi na piersi zapatrzył się w kierunku zjazdu z autostrady. Nagłe uświadomił sobie, że nie zdjął kamizelki kuloodpornej, ściągnął ją wraz z uprzęzą i krótkofalówką, po czym cisnął na tylne siedzenie. Wyjął z kieszeni czarną nokię i położył ją na przednim fotelu.

W tej samej chwili telefon zadzwonił.

Talley zawahał się w otwartych drzwiach wozu, pomyślawszy, że do Nadzorcy dotarła w końcu wiadomość o wkroczeniu policji do domu. Zapatrzył się na aparat, bez ruchu, jakby chciał się przed nim ukryć, a każde jego poruszenie mogło przykuć uwagę Nadzorcy i zdradzić, gdzie on się obecnie znajduje. Pożałował, że nie wyłączył telefonu. Chciał bowiem, by Nadzorca poczuł się teraz niepewnie.

Dopiero klucie w sercu dało mu znać, że mimowolnie wstrzymał oddech. Sygnały nokia umilkły nagle, gdy Cooper wjechał na parking. Talley zaczerpnął głęboko powietrza i podniósł rękę, ale wóz i tak już skręcił w jego kierunku.

Przyglądał się uważnie, jak Thomas i Jennifer wysiadają z samochodu. Oboje byli bladzi i zmęczeni, ale w ich oczach migotały skry ożywienia. Zdawał sobie sprawę, że teraz, gdy emocje jeszcze nie opadły, zachowują się normalnie, ale już wkrótce mogą się pojawić senne koszmary, dręczące wspomnienia oraz inne oznaki psychicznego szoku pourazowego. Widok dziewczyny znowu przywiódł mu na myśl

Amandę. Ogarnęła go tak silna tęsknota, że zapragnął chwycić oboje w objęcia i wybuchnąć płaczem. Siłą zmusił się do tego, by przywołać na usta przyjazny uśmiech.

- Będziemy mogli zobaczyć się z tatą? - zapytała z daleka Jennifer.

- Tak. Czy posterunkowy Cooper powiedział wam o mamie? Skontaktowaliśmy się z nią na Florydzie. Jest już w drodze powrotnej.

Oboje uśmiechnęli się radośnie, a Jennifer mruknęła:

- Super.

Talley wyciągnął rękę.

- Właściwie nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. Jestem Jeff Talley.

- Jennifer Smith. Bardzo dziękujemy za wszystko, co pan dla nas zrobił.

Uścisnęła mu dłoń, lekko się rumieniąc. Thomas zrobił to z taką powagą, jakby łączyły ich nie wiadomo jakie interesy. Trzymał się blisko siostry, niemal dotykał jej ramieniem, najwyraźniej speszony. Dla Talleya nie było w tym nic niezwykłego. Ostatecznie mieli przed sobą człowieka, który uratował im życie.

- Cieszę się, że mogę cię w końcu poznać, Thomas. Bardzo mi pomogłeś, Byłeś bardzo dzielny. Oboje byliście dzielni.

- Dzięki, szefie. Ale pan jest brudny.

Jennifer uniosła wzrok do nieba, a Cooper zachichotał. Talley spojrzał na swoje ręce. Pot z sadzą utworzył na nich grube ciemne smugi. Zapewne jego twarz wyglądała podobnie.

- Masz rację. Nie zdążyłem się umyć.

- On potrafi być okropny - wtrąciła Jennifer. - Lepiej sam byś się przejrzał w lustrze. Też masz popiół na nosie.

Thomas odruchowo potarł nos palcami, nie spuszczał jednak wzroku z komendanta.

- Tata czuje się dobrze?

- Dużo lepiej. Chodźcie, zaprowadzę was do niego.

Poprowadził ich do bocznego wejścia. Szli, trzymając się za ręce. Puścili się tylko na krótko, gdy zatrzymali salowego i poprosili by wskazał im drogę do izby przyjęć. Personel szpitala odprowadzał ich wzrokiem pełnym podziwu. Nie ulegało wątpliwości, iż błyskawicznie dotrze do reporterów wiadomość, że szef policji



przywiózł do szpitala dzieci przetrzymywane jako zakładników. Jeśli ta informacja zostanie rozpowszechniona, Nadzorca szybko się o tym dowie.

Dlatego Talley poprosił salowego, by nie przechodzili przez poczekalnię i rejestrację izby przyjęć. Ten przeprowadził ich więc służbowym przejściem do laboratorium analitycznego i wskazał wyjście do korytarza izby przyjęć na drugim końcu sali. Pracowało tu parę osób. Nie było ani Klausa, ani doktor Reese, ale drogę zastąpiła im pielęgniarka, którą rozpoznał z widzenia.

- Pan jest szefem policji, prawda? Czym mogę służyć?

- Prowadzę dzieci pana Smitha na spotkanie z ojcem.

- To chyba lepiej wezwę doktor Reese.

- Oczywiście, proszę bardzo. Będziemy w jego pokoju. Gdy tylko wyszli z laboratorium, od razu się zorientował, gdzie są, i ruszył do drzwi izolatki. Naszły go obawy, że Smith może spać, ale był przytomny, leżał na wznak ze wzrokiem utkwionym w suficie. Od elektrod przyklejonych do jego ciała biegły przewody do monitorów.

- Tato? - odezwała się niepewnie Jennifer.

Smith błyskawicznie uniósł głowę. Początkowe zdumienie malujące się na jego twarzy szybko ustąpiło miejsca uldze.

Dzieci podbiegły do łóżka od tej strony, gdzie nie było przewodów, i objęły leżącego. Talley został przy drzwiach, dając im chwilę prywatności. Dopiero po pewnym czasie wszedł głębiej i stanął w nogach łóżka. Jennifer zaczęła szlochać, wtuliwszy twarz w pierś ojca. Chłopak tylko kilka razy pociągnął nosem, otarł oczy i zapytał, czy bardzo go boli.

Talley przyglądał się w milczeniu. Smith objął córkę ramieniem, tuląc ją do siebie, a drugą ręką ścisnął dłoń Thomasa. Po chwili uniósł wzrok, spojrzał komendantowi w oczy i jeszcze mocniej przytulił dzieci do siebie.

- Dzięki Bogu, że nic się wam nie stało. Bo wszystko dobrze, prawda? Nic wam nie jest?

- Mama wraca do domu.

Talley przesunął się i stanął za plecami Jennifer.

- Skontaktowaliśmy się z pańską żoną. Jest już w samolocie.

Smith ponownie spojrzał na niego, ale szybko odwrócił wzrok.

- Pańska rodzina jest bezpieczna - dodał cicho Talley.

Pacjent pokiwał głową, nie mając odwagi popatrzeć mu w oczy.

- Co się stało z tymi trzema chłopakami?

- Nie żyją.

Thomas pociągnął ojca za rękę.

- Tato, nasz dom się pali. O mało się nie spaliliśmy.

Jeszcze raz pociągnął ojca za rękę i nagle wybuchnął płaczem. Pochylił się i ukrył twarz w pościeli. Zaczynało dawać o sobie znać wiele godzin nieustannego napięcia i strachu. Smith zanurzył palce we włosach syna.

- Już wszystko w porządku, współniku. Nic ci już nie grozi. Tylko to się liczy - powiedział Talley.

Zaczekał, aż chłopak się trochę uspokoi, i położył dłoń na ramieniu Jennifer.

- Czy możecie wyjść na chwilę na korytarz? Chciałbym zamienić parę słów z waszym tatą na osobności.

Smith podniósł wzrok i przytaknął ruchem głowy, dając im znać, żeby wyszły. Jennifer wzięła Thomasa za rękę i wyprowadziła z pokoju. Smith wziął głębszy oddech, wypuścił powietrze i spojrzał na Talleya.

- Dziękuję.

Talley wyjął zza pazuchy dwie dyskietki.

Pacjent tylko zerknął na nie i szybko odwrócił głowę.

- Powiedział pan dzieciom prawdę?

- Nie. Ale na pewno będą pytały. Thomas pomógł mi je zdobyć. Otworzył pliki na swoim komputerze.

- Wątpię, by się zorientował, czego dotyczą.

- Ale na pewno sobie o nich przypomni i wcześniej czy później zacznie zadawać pytania.

Smith znowu głośno westchnął.

- Cholera.

- Ma pan bardzo dobre i kochające dzieci. A ten mały, Thomas, jest niezwykle bystry.

Księgowy zamknął oczy.

Talley obserwował go, zastanawiając się gorączkowo, jak mógłby nakłonić tego człowieka do współpracy. Prowadził negocjacje z dziesiątkami różnych ludzi i miał

zakodowany schemat postępowania: Trzeba wyczuć, co chcą usłyszeć, i powiedzieć to, żeby łatwiej znaleźć ich słaby punkt i osiągnąć swój cel. Miał jednak wrażenie, że nie pasuje on do obecnej sytuacji. Poza tym nie potrafił już dobrać odpowiednich słów. Spojrzał przez szybę na dzieci stojące w korytarzu i znów poczuł tak silne ukłucie tęsknoty, że omal sam nie wybuchnął płaczem. Był już pewien, że jeśli zdoła odzyskać Jane i Amandę, nigdy więcej się z nimi nie rozstanie.

Lekko poklepał Smitha po rękę.

- Nie obchodzi mnie, skąd pan przybył ani czym się dotąd zajmował, ale powinien pan być uczciwy wobec własnych dzieci. Odzyskał pan swoją rodzinę. Nikomu nic już nie grozi. Proszę mi teraz pomóc odzyskać moją.

Smith zamrugał szybko, wciąż gapiąc się w sufit. Pokręcił głową i silnie zacisnął powieki. Jeszcze raz westchnął ciężko, po czym uniósł głowę i również popatrzył na Jennifer i Thomasa czekających przed drzwiami pokoju.

- Cholera.

- No właśnie. Cholera.

Spojrzał na niego. W oczach miał łzy.

- Jeśli ma pan dyskiety, to chyba niczego więcej już panu nie trzeba. Dzięki nim może pan ich wszystkich wyłączyć z gry.

- Kto więzi moją żonę i córkę?

- Pewnie Glen Howell. Miał się dzisiaj ze mną spotkać. To prawa ręka Benzy, zaufany człowiek do zadań specjalnych.

Talley wskazał przegub lewej ręki.

- Tu złoty roleks? I ciemna opalenizna?

Smith pokiwał głową.

Ogarnęło go podniecenie. Miał wreszcie coś konkretnego. Odwrócił się już do wyjścia, pchany żądzą działania, ale przystanął i mruknął pod nosem:

- W porządku, Smith. Glen Howell... Do tej pory to on do mnie dzwonił, ale teraz ja muszę zadzwonić do niego. Nie wie pan, jak się z nim skontaktować?

Księgowy bez wahania podyktował mu numer telefonu.

## TALLEY

Podwoił ochronę Smitha oraz jego dzieci i pobiegł z powrotem do samochodu. Stał przy drzwiach i zamknął oczy, żeby zebrać myśli. Znów poczuł się jak negocjator. Teraz jego obiektem był Howell, natomiast Amanda i Jane zakładniczkami. Wielokrotnie znajdował się już w takiej sytuacji. Musiał dać sobie radę i teraz. Jak zawsze powinien mu wystarczyć telefon.

Zabiję tego psa!

W pomarańczowym blasku ulicznych latarni świat przybierał krwisty odcień. Zadarł głowę i popatrzył w niebo, ale z jasno oświetlonego parkingu widać było tylko parę najjaśniejszych gwiazd. Nie potrzebował jednak niczego więcej. Jane i Amanda były wciąż pod tym samym niebem. Podobnie jak Howell.

Kiedy wyrównał oddech i pokonał dotkliwy ból karku, usiadł za kierownicą. Powinien mówić ze spokojem i pewnością siebie. Przede wszystkim musiał zapanować nad sobą.

Powoli wystukał na klawiaturze nokii numer Howella. Ręce znowu zaczynały mu się trząść z emocji, toteż zaczerpnął głęboko powietrza i zamknął oczy.

Nadzorca odebrał już po drugim sygnale. Sądząc po głosie, był podenerwowany i zirytowany.

- Słucham.

- Zgadnij, kto mówi - odezwał się cicho.

Howell natychmiast go rozpoznał. Świadczyła o tym wyraźnie dłuższa chwila milczenia. Wreszcie padło pytanie:

- Skąd znasz ten numer?

- Powinno ci wystarczyć imię i nazwisko: Glen Howell.

- Spieprzaj.

- Nie boisz się, że Sonny Benza raczej tobie każe spieprzać? Mam jego księgi finansowe. Mam lipny oddział FBI. Mam kapitan Martin. I mam także ciebie, nie wspominając już Waltera Smitha.

- A ja mam twoją cholerną rodzinę! - rzucił Nadzorca podniesionym głosem. - Zapomniałeś o tym?

Talley nakazał sobie w myślach, żeby nie dać się ponieść emocjom. Wiedział, że im dłużej zachowa spokój, tym bardziej napędzi Howellowi strachu. Musiał wyrobić w obiekcie przekonanie, że ma nad nim przewagę. Wystarczyło zasiał uzasadnione podejrzenia, aby tamten sam zaczął wierzyć w ich prawdziwość. Howell powinien sobie uświadomić, że jest teraz całkowicie uzależniony od niego.

- Już wiesz, dlaczego spieprzyłeś sprawę? Gdybyś siedział spokojnie na dupie i czekał, aż wszystko się uspokoi, gdybyś nie wciągnął mnie w swoje brudne gierki i nie wysłał na miejsce pieprzonych najemników, nikt by się o niczym nie dowiedział. Nikt nawet nie zwróciłby uwagi na te dyskietki i Benza byłby bezpieczny. A teraz to ty musisz pertraktować ze mną.

- Miotasz się na głębokiej wodzie, Talley. Jesteś tylko zasranym gliniarzem, który o niczym nie ma pojęcia. Czuj się, jakbyś sam zamordował żonę i córkę, a potem popełnił samobójstwo.

- Może lepiej dam ci pięć minut, żebyś zadzwonił do Benzy. Zapytaj go, czy chce spędzić resztę życia w więzieniu.

- Zapytam go, ile razy mam przelecieć twoją córkę, zanim ją zabiję.

- No to zapytaj go też, czy mogę zatrzymać dla siebie forszę. Znów na jakiś czas w słuchawce zapadła cisza.

- Bo mam jeszcze coś, co należy do was. Znalazłem w domu trochę gotówki. Na oko to jakiś milion dolarów.

Talley wiedział z doświadczenia, że kłamcy uważają wszystkich za kłamców, złodzieje sądzą, że każdy musi kraść, a oszuści traktują innych ludzi jak oszustów. Przedłużające się milczenie oznaczało, że Howell, podobnie jak on wcześniej, stara się rozszyfrować rywala. Był podejrzliwy i niepewny siebie, ale podświadomie chciał w coś wierzyć. Miało to dla niego zasadnicze znaczenie.

- Czego chcesz, Talley? - zapytał w końcu.

- Ile forsy znalazłem?

- Milion dwieście tysięcy.

- Zaproponuję ci wymianę. Moja żona i córka, i oczywiście pieniądze, za dyskietki. Jeśli je skrzywdzisz, dyskietki natychmiast przekażę FBI, a forszę i tak zatrzymam.

Doskonale wiedział, że Howell nigdy by nie poszedł na prostą wymianę, to znaczy nie uwolniłby jego rodziny w zamian za dyskietki, ponieważ nie widział żadnego powodu, dla którego on miałby dotrzymać słowa i zachować sprawę w tajemnicy. Ale walizka z pieniędzmi wszystko odmieniała. Dla Howella chciwość była rzeczą całkowicie zrozumiałą. Gdyby spróbował się postawić na jego miejscu, uwierzyłby bez zastrzeżeń, że słabo zarabiającemu gliniarzowi wpadło do głowy, iż może się przy okazji wzbogacić.

Nie czekał na odpowiedź.

- Powiem ci, jak to załatwimy. Przyjadę z dyskietkami pod północne wejście do centrum handlowego, od strony autostrady. Ty przyprowadź moją rodzinę. Jeśli wszystko będzie w porządku, dokonamy wymiany. Gdybym nie wrócił do domu, moi ludzie wykorzystają to, że mają Smitha leżącego w szpitalu i fałszywych agentów FBI za kratkami.

- A jeśli wrócisz, to ich uwolnisz?

- Uwolnię.

- W porządku, Talley. Da się to załatwić w ten sposób.

- Tak myślałem.

- Ale nie spotkamy się w centrum handlowym. Zrobimy to w wybranym przeze mnie miejscu.

- Pod warunkiem, że nie będzie to gdzieś na odludziu.

- W Comfort Inn na zachód od Bristo.

- Wiem, gdzie to jest.

- Przyjedź tam za dziesięć minut. Ktoś będzie czekał na parkingu. Jak się spóźnisz choćby o minutę, nie będziesz miał już czego szukać.

Talley przerwał połączenie. Powoli odłożył nokię na sąsiedni fotel i zamknął oczy. Od Comfort Inn dzieliły go niespełna dwa kilometry. Wsiadł z samochodu, zdjął koszulkę i zapiał kamizelkę kuloodporną na gołym ciele, po czym wciągnął koszulkę na wierzch. Sprawdzał pistolet: był odbezpieczony, nabój tkwił w komorze. Krótkofalówkę zostawił włączoną, ale ją wyciszył. Usiadł z powrotem za kierownicą. Miał jeszcze wiele do zrobienia.

## GLEN HOWELL

Howell trząsł się cały, gdy rozmowa dobiegła końca. Talley wziął go z zaskoczenia i zmusił do przyjęcia warunków, które mogły oznaczać pułapkę. Ale nie widział innego wyjścia. Musiał wykonać swoje zadanie, którym było odzyskanie dyskietek.

Podniósł słuchawkę telefonu hotelowego i wybrał numer pokoju, w którym Duane Manelli i L.J. Ruiz czekali na rozkazy.

- Potrzebuję was obu na zewnątrz. Talley tu jedzie.
- Jakim cudem, do cholery?...
- Nie wiem, czy będzie sam. Ruszcie dupska i obserwujcie teren.
- A co z Jonesem?
- Załatwiony.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Nie miał ochoty składać kolejnego meldunku, ale i w tym zakresie nie miał innego wyjścia. Czekającej go rozmowy obawiał się jeszcze bardziej niż Talleya.

Wybrał numer Sonny'ego Benzy.

## PALM SPRINGS

- Sonny? Sonny! Obudź się.

Benza otworzył oczy i popatrzył na Phila Tuzeego. Charles Salvetti nerwowo krążył przy biurku, wyglądał na zmartwionego. Mimo że był środek nocy, wszyscy trzej nadal musieli czuwać w gabinecie, dlatego postanowił choć na krótko wyciągnąć się na kanapie. Plecy bolały go nieznośnie. Pomyślał, że musi zamówić następną wizytę u kręgarza.

- O co chodzi?
- Dzwoni Glen Howell. Zrobił się niezły bigos. Sam zobacz.

Benza usiadł, zamrugał i popatrzył na telewizor. Dom Smitha stał w płomieniach.

- Matko Boska. Co się stało?

- Pieprzona krwawa jatka. Ludzie Howella wkroczyli do środka i rozpętało się piekło. Teraz już tylko znoszą trupy.

- Odzyskaliśmy dyskiety?

Domyślił się odpowiedzi po minie Tuzee. Skrzywił się od pieczenia w żołądku.

- Nie, szefie. Ma je Talley.

- No, chodźże - zawołał Salvetti stojący przy biurku. - Howell czeka. Mówi, że nie ma czasu.

Benza podszedł do telefonu, próbując zapanować nad wściekłością.

- Co ty tam wyrabiasz, do jasnej cholery?!

Howell odchrząknął nerwowo, nie ulegało wątpliwości, że robi w gacie ze strachu. Tym bardziej mu się to nie spodobało. Glen nie należał do ludzi, których łatwo przestraszyć.

- Sprawy nie potoczyły się tak, jak planowaliśmy.

- Domyślam się, że wszystko spierdoliłeś!

Howell pokrótce wyjaśnił sytuację. Talley nie tylko zdobył dyskiety, ale miał także Smitha oraz Jonesa i jego ludzi. Benza w wyobraźni ujrzał swoje ręce zaciskające się na szyi Howella. Miał ochotę wywieźć go na pustynię i maczetą posiekać na kawałki.

- Sonny?

Opanował się z trudem, ujrawszy, że Salvetti i Tuzee bacznie mu się przyglądają. Howell ciągle mówił. Sonny poczuł tak gwałtowny przypływ strachu, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

- Glen? - przerwał mu. - Posłuchaj.

Zaczerpnął głęboko powietrza, żeby zapanować nad drzeniem głosu. Salvetti i Tuzee nie spuszczały z niego oka.

- Chcę ci coś powiedzieć, Glen, zanim podejmiesz dalszą akcję. Ufałem, że dasz sobie radę, a ty wszystko spieprzyłeś. Coraz bardziej mnie pogrążasz.

- Sonny, to prawda, że Talley ma dyskiety, ale nie straciliśmy szansy, by je odzyskać - rzucił szybko Howell łamiącym się głosem.

- Cieszę się, że masz plan wyjścia z tej sytuacji.



- Chce pieniędzy, które Smith dla nas trzymał. To milion dwieście tysięcy. Obiecał, że jak odzyska rodzinę i będzie mógł zostawić sobie forszę, odda dyskiety i każe wypuścić chłopców z aresztu.

- Chwileczkę! - wtrącił Salvetti. - Chcesz powiedzieć, że ten palant postanowił nam sprzedać dyskiety? Ośmiela się nam dyktować cenę?

- Milion dwieście to kupa forsy.

Tuzee pokręcił głową, spoglądając na Benzę, ale odezwał się do Howella:

- To pułapka. Chce cię dopaść, żeby odzyskać żonę.

- A jest inne wyjście?

Benza odpowiedział szybko, nie czekając na zdanie Tuzeego czy Salvettiego:

- Nie. Nie mamy wyboru.

Na kilka sekund zapadła cisza.

- Rozumiem - odparł wreszcie Howell.

- Zaczekaj chwilę.

Benza ściszył aparat głośnomówiący, wyprostował się i ściągnął łopatki, mając nadzieję złagodzić cierpienia, lecz ból tylko się nasilił. Usiłował zdecydować, w którą stronę pójść. Wszystko zależało od tego, czy Talley rzeczywiście chce zatrzymać dla siebie gotówkę, czy nie. Jeśli mówił tak wyłącznie po to, by zyskać dojście do Howella, w ciągu najbliższych godzin mogła się rozpętać burza. Trudno było wykluczyć, że agenci federalni już przeglądają zapisy finansowe i szykują nakazy aresztowania. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji powinien koniecznie ostrzec ludzi z Nowego Jorku, ale na samą myśl o tym zaczynały go boleć wszystkie zęby.

- Phil, zadzwoń na lotnisko i każ szykować odrzutowiec. Na wszelki wypadek niech będzie gotów do startu.

Tuzee podszedł do drugiego telefonu.

Benza z powrotem przekręcił gałkę aparatu. Nawet przed samym sobą nie chciał się jeszcze przyznać do porażki. Nie wszystko było jeszcze stracone.

- W porządku, Glen. Posłuchaj. Nie obchodzą mnie pieniądze. Gotów jestem je stracić, byle tylko zyskać na czasie.

- Tak myślałem.

- Jeśli Talley coś wykombinował, i tak już po nas.

- Uprzedzę was zawczasu.

- W dupie mam ciebie i twoje ostrzeżenia. Odbierz dyskietki i pozbądź się go. Jeśli nie dasz rady odzyskać dyskietek, będziesz miał poważne kłopoty, Glen. Zrozumiałeś?

- Nasi chłopcy pozostaną w areszcie. Talley na pewno nie zgodzi się ich wypuścić, dopóki nie odzyska żony i córki.

Benza jeszcze raz spojrzał na Tuzeego. Bardzo nie lubił wykańczać swoich współpracowników, ale czynił to już w przeszłości, gdy nie było innego wyjścia. Teraz zaś musiał się pozbyć Smitha, Talleya, Jonesa z całą grupą najemników oraz każdego, kto mógłby stanowić dla niego zagrożenie. Nie widział innego sposobu zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

- Jak załatwisz Talleya, zajmiemy się Smithem oraz Jonesem i jego ludźmi. To najlepsza metoda wyjścia z opresji. Wszyscy muszą zginąć.

- Rozumiem.

Benza przerwał połączenie i położył się z powrotem na kanapie. Salvetti podszedł i usiadł obok niego.

- To wszystko zmierza w kierunku totalnej klapy, Sonny. Musimy się z tym liczyć. Powinniśmy ostrzec Nowy Jork. Lepiej, żeby wiedzieli, co się kroi. Inaczej stary Castellano może nam pokrzyżować szyki.

Benza zamyślił się na chwilę i pokręcił głową.

- Mam go w dupie. Nie spieszy mi się, żeby kopać sobie grób.

- Jesteś tego pewien? Mamy jeszcze trochę czasu.

- Gdyby nie udało się odzyskać dyskietek, ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, byłaby rozmowa ze starym. Nawet perspektywa więzienia w porównaniu z tym wygląda zachęcająco.

Salvetti zmarszczył brwi.

- Stary ma bardzo długie ręce. Dosięgnie nas nawet za kratkami.

Benza spojrzał mu w twarz.

- Jezu, Sally. Ty to umiesz pocieszyć człowieka.

Tuzee skrzyżował ręce na piersi i wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Jak odzyskamy dyskietki, będziemy mogli zapomnieć o federalnych, a Castellano w ogóle o niczym się nie dowie. Wszystko wróci do normy.

Mimo to Benza postanowił zacząć się pakować. Na wypadek, gdyby jednak stało się inaczej.

*Sobota, 3.37*  
*Santa Clarita, Kalifornia*

## TALLEY

Talley jechał ze zgaszonymi światłami i kierował wóz na samą krawędź szosy, ilekroć mijał go jakiś pojazd nadjeżdżający z przeciwnika. Jakies sto metrów przed motelem zjechał na pobocze i zaparkował w krzakach, dziękując Bogu, że ma na sobie czarną koszulkę. Przywiązał sobie do paska rolkę szerokiej taśmy samoprzylepnej, a do kieszeni wcisnął garść plastikowych pasków do krępowania aresztowanych. Wysmarował twarz i ręce ziemią, żeby zasłonić jasną cerę, po czym z bronią w ręku ruszył ostrożnie w kierunku motelu. Księżyc świecił jasno, błyszczał niczym błękitnawa perła, zapewniając wystarczające oświetlenie.

Podjeżdżał, że Howell rozmieścił obserwatorów, którzy mają go ostrzec przed zbliżającym się policyjnym radiowozem. Podkraść się więc na skraj placu, kucnął pod osłoną krzaku manzanity o szpiczastych liściach i zaczął uważnie przyglądać się wszystkim ciemniejszym miejscom na obrzeżu oświetlonego terenu, wypatrując jakiegokolwiek ruchu bądź kształtu niepasującego do otoczenia. Dziesiątki razy zakradał się niepostrzeżenie do domów zajętych przez uzbrojonych bandytów i teraz poczuł się tak, jak podczas akcji brygady antyterrorystycznej. Motel mieścił się w długim jednopiętrowym budynku otoczonym przez rozległy parking. Od strony pokoi na parterze z oddzielnymi wejściami wozy osobowe stały ciasno jeden przy drugim. Na końcu placu były zaparkowane dwa wielkie tiry, trzeci stał u wylotu alejki dojazdowej. Talley zaczął się przekradać wzdłuż granicy oświetlonego terenu, zatrzymując się co parę kroków i uważnie nasłuchując.

Pierwszego obserwatora zauważył na wschodnim krańcu parkingu, między kołami monstrualnego osiemnastokołowca. Kilka minut później zauważył drugiego, leżącego pod mastykowcem po drugiej stronie uliczki, po zachodniej stronie. Uważnie wypatrywał kolejnych, ale wyglądało na to, że jest ich tylko dwóch.

DUANE MANELLI .

Manelli leżał rozplaszczony na ubitej ziemi i wyglądał zza pnia mastykowca na L.J. Ruiza, który wiercił się między kołami tira. Obaj mieli telefony komórkowe. Gdyby któryś zauważył nadjeżdżający radiowóz albo dostrzegł coś podejrzanego, powinien natychmiast zawiadomić kolegę, a potem Glena Howella. Manelli obserwował poczynania Ruiza z niepokojem, gdyż ciągłe zmiany pozycji oznaczały, że tamten jest znudzony, zatem łatwo mógł popełnić błąd. Dlatego uniósł telefon i szepnął:

- Zająłeś wreszcie pozycję?
- Tak, jestem na miejscu.
- To usiądź spokojnie i przestań się wiercić.
- Spieprzaj. Wcale się nie wiercę.

Nie odpowiedział. Patrzył przez chwilę na drugi koniec parkingu, ale nie zauważył więcej Ruiza, odłożył więc telefon. Tyle razy w wojsku brał udział w ćwiczeniach z nocnego zwiadu, że nauczył się wysoko cenić całkowitą ciszę radiową.

Ułożył się wygodniej na ziemi.

Ruiz powiedział coś niewyraźnie. Nie zrozumiał. Znowu podniósł telefon i szepnął:

- Powtórz.
- Cisza.
- Nie słyszałem, L.J. Co mówileś?
- Cisza.
- L.J.?

Nagle usłyszał za sobą chrzęst żwiru. Nie zdążył się jednak obejrzeć, gdy coś eksplodowało w jego głowie i przed oczyma rozlał mu się jednostajny mleczny blask.

## TALLEY

Talley wykręcił Manellemu ręce za plecy i błyskawicznie skrępował je plastikowym paskiem, dociskając z całej siły. Tak samo unieruchomił mu nogi w kostkach i dopiero wtedy przekręcił go na wznak. Zdzielił go po twarzy.

- Ocknij się.

Uderzył drugi raz, mocniej.

- Ocknij się, do cholery. Jesteś aresztowany.

Manelli zatrzepotał powiekami. Talleyowi zależało, by jak najszybciej odzyskał przytomność, podetknął mu więc lufę pistoletu pod nos.

- Wiesz, kim jestem?

- Talley.

- W którym one są pokoju?

- Nie ma ich tu. Howell kazał je stąd zabrać.

Zaklął pod nosem. Mógł się tego spodziewać, ale w głębi duszy miał nadzieję, że będzie inaczej.

- Dobra. Więc gdzie są?

- Nie wiem. Clewes się nimi zajmuje.

Nie słyszał do tej pory tego nazwiska, ale teraz nie miało to większego znaczenia. W końcu nie słyszał także o Howellu ani żadnym innym najemniku Benzy.

- Dokąd Clewes mógł je zabrać?

- Nie mam pojęcia. Zapakował je do samochodu. Howell ma go wezwać przez telefon. Nie wiem, co oni zamierzają. To sprawa wyłącznie między Clewesem i Howellem.

Talley zerknął w stronę motelu, próbując zapanować nad rosnącą paniką. Upływające sekundy zwały mu się na kark nieznośnym ciężarem niczym worki z piaskiem. Tracił tylko czas, a potrzebował ścisłego planu działania. Zmusił się do logicznego myślenia. Z jego pamięci wypłynęło hasło brygady antyterrorystycznej: Panika zabija. Jeśli Jane i Amanda były przetrzymywane gdzie indziej, powinien zmusić Howella, aby je tu sprowadził.

Spojrzał znowu na Manellego.

- Ilu ludzi ma tutaj Howell?

- Pięciu w motelu, nie licząc Clewesa.

- Jeśli wykluczyć ciebie i tego dupka pod ciężarówką, to zostaje trzech?

- Tak. No i Clewes. On ma swoich ludzi, ale nie wiem, gdzie teraz są. Mogą się tu zjawić w każdej chwili.

Zamyślił się głęboko. Miał przeciwko sobie trzech, a istniało niebezpieczeństwo, że zjawi się ich więcej. Zresztą to nie miało już żadnego znaczenia. I tak nie miał innego wyjścia.

- W którym są pokoju?

Manelli się zawahał.

Talley mocniej wbił mu lufę pistoletu pod brodę. Błotniste krople potu skapywały z jego twarzy na piersi leżącego.

- W którym pokoju?

Gangster westchnął ciężko.

- Sto dwadzieścia cztery. Mogę ci zadać jedno pytanie?

Zagryzł wargi. Nie miał na to czasu.

- O co chodzi?

- Nie jesteś zwykłym wiejskim krawężnikiem, prawda?

- Nie, nie jestem.

Taśmą samoprzylepną zakleił Manellemu usta, przemknął na drugą stronę uliczki i kryjąc się za autami, zaczął wypatrywać drzwi o numerze sto dwadzieścia cztery. Ale wcześniej zauważył zielonego mustanga prawie przy końcu parkingu, stojącego niemal na wprost szukanego pokoju. Stał przy nim mężczyzna w niebieskiej elastycznej koszulce i palił papierosa. To oznaczało, że w pokoju było tylko dwóch. Dostrzegł na jego przegubie zegarek ze srebrzystą kopertą. A więc to nie był Glen Howell.

Podkraść się najbliżej mustanga, jak tylko mógł. Kierowca rzucił niedopałek na asfalt i oparł się ramieniem o drzwi auta. Znajdował się pięć, może cztery i pół metra od niego. Talley wmówił sobie, że to nie jest zbyt duża odległość.

Drzwi otworzyły się nagle i z pokoju wyszedł silnie opalony mężczyzna.

- Miej oczy szeroko otwarte. Zaraz powinien tu być.

Talley dostrzegł na jego przegubie złotego roleksa i rozpoznał go po głosie. To był Howell.

Zabezpieczył pistolet, szykując się do błyskawicznego ataku.

- To bzdura - mruknął kierowca. - Ten zasrany tchórz wcale się nie pojawi. Powinniśmy spieprzać z tego zadupia, póki jeszcze mamy wolną drogę.

- Na pewno przyjedzie. Nie ma innego wyjścia.

Howell wszedł z powrotem do pokoju i zamknął drzwi.

Kierowca przypalił następnego papierosa. Kiedy się odwrócił, Talley skoczył w jego kierunku.

Musiał go zaalarmować odgłos kroków, ale nie zdążył nic zrobić. Talley jak maczugą huknął go mocno w skroń kolbą pistoletu, który trzymał za lufę. Mężczyzna zachwiał się i poleciał w bok, on jednak skoczył za nim, złapał go od tyłu, błyskawicznie objął ramieniem za szyję i popchnął w kierunku drzwi. Dobrze wymierzył siłę ciosu, ponieważ nie chciał go ogłuszyć, a jedynie użyć jako żywej tarczy.

Nie wahał się ani chwili. Z całej siły kopnął drzwi na wysokości klamki, rozwalając zamek i popychając przed sobą kierowcę, krzyknął:

- Policja! Jesteście aresztowani!

Nie bał się, że od razu zaczną strzelać, ponieważ miał dyskietki. W każdym razie bardzo na to liczył.

Howell błyskawicznie dobył broni i kucnął, przyjmując postawę strzelecką. Siedzący pod oknem mężczyzna z wielką głową równie szybko zsunął się z krzesła na podłogę, przewrócił je i wymierzył trzymany oburącz pistolet. Howell zerknął na niego i krzyknął:

- Nie strzelaj! Nie strzelaj!

Talley przez chwilę mierzył to w jednego, to w drugiego, kryjąc się za plecami kierowcy. Nad jego głową przelatywały muchy, zwabione światłem palącym się w pokoju.

- Gdzie moja rodzina?! - krzyknął.

Wszyscy z szumem wciągali powietrze przez nos jak automaty pneumatyczne. Nikt nie chciał pierwszy pociągnąć za spust, byli jednak świadomi, że jeden wystrzał pociągnie za sobą kanonadę. I byli też świadomi, że każda ze stron ma coś, na czym drugiej zależy. Talley doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że Nadzorca myśli podobnie. Tylko z tego powodu nie zaczęli jeszcze strzelać.



Howell nagle opuścił broń, rozluźnił uchwyt i pistolet obrócił mu się na palcu.

- Lepiej zachowajmy wszyscy spokój. Mamy sprawę do załatwienia.

- Gdzie jest moja żona i córka?!

- Masz dyskietki?

Talley wymierzył w mężczyznę z dużą głową. Miał wrażenie, że znowu jest w przedszkolu i próbuje uwolnić dzieci przetrzymywane przez uzbrojonych ludzi.

- Dobrze wiesz, że mam dyskietki, sukinsynu. Gdzie moja rodzina?

Howell wstał powoli, szeroko rozkładając ręce. Pistolet wciąż wisiał mu na palcu.

- Załatwmy to w spokoju. Nic im się nie stało. Czy mogę wyjąć z kieszeni telefon?

- Powinny tu być.

- Pozwól mi wyjąć telefon. Będiesz mógł porozmawiać z żoną. Sam się przekonasz, że są całe i zdrowe.

Talley wymierzył w niego broń, ale zaraz z powrotem obrócił ją w stronę człowieka z dużą głową. Howell wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął parę klawiszy. Kiedy uzyskał połączenie, kazał dać telefon kobiecie, sam zaś wyciągnął aparat w kierunku Talleya.

- Proszę. Porozmawiaj z nią. Nic jej się nie stało.

Talley wbił lufę pistoletu pod szczękę kierowcy mustanga i nakazał mu stać bez ruchu. Howell zbliżył się o krok i podał mu telefon, trzymając go w dwóch palcach, jak filiżankę z herbatą. Kiedy Talley chwycił go lewą ręką, natychmiast cofnął się z powrotem.

- Jane?

- Jeff! Jesteśmy...

Połączenie zostało przerwane.

- Cholera!

Howell tylko wzruszył ramionami.

- Widzisz? Są całe i zdrowe. Tylko od ciebie teraz zależy, czy tak zostanie.

Talley rzucił mu z powrotem aparat i wyjął z kieszonki dyskietkę. Nadszedł niewralgiczny moment. Stawiał wszystko na jedną szalę, chcąc wykorzystać tę jedną jedyną szansę.

- Na razie jedna. Dostaniesz drugą, jak odzyskam żonę i córkę. Nie chcę rozmawiać z nimi przez telefon, tylko je zobaczyć na własne oczy. Jak je uwolnisz, dostaniesz drugą dyskietkę. I nic mnie nie obchodzi, czy ci się to podoba, czy nie. Pamiętaj, że nawet jak mnie zabijesz, twoi ludzie pozostaną w areszcie.

Rzucił dyskietkę na łóżko.

Widział po minie Howella, że nie pasuje mu taki obrót spraw. Ale właśnie na to liczył. Chciał go zaniepokoić, wytrącić z równowagi. Postępował zgodnie z zasadami prowadzenia negocjacji. Wiedział, że tamten powinien rozważać teraz możliwe rozwiązania. Musiał się też zastanawiać, czy Talley ma przy sobie drugą dyskietkę. Gdyby tak było, mógłby go po prostu zastrzelić i szybko zakończyć sprawę. Jednakże nie miał pod tym względem żadnej pewności. Gdyby go zabił i okazało się, że nie ma przy sobie drugiej dyskietki, byłby to jego koniec. Dlatego nie mógł go zastrzelić, przynajmniej jeszcze nie teraz. To z kolei stwarzało Talleyowi szansę wymuszenia na nim, aby ujawnił miejsce pobytu Amandy i Jane.

Przyglądał się w napięciu minie Howella, z której świetnie można było wyczytać emocje towarzyszące analogicznemu tokowi rozumowania.

W końcu Howell podniósł dyskietkę.

- Muszę sprawdzić, czy jest autentyczna.

- Jest.

- Ale ja muszę mieć pewność.

Na nocnym stoliku stał przenośny IBM z dołączonym zewnętrznym czytnikiem zip-dysków. Howell usiadł na brzegu łóżka, wsunął dyskietkę w szczelinę czytnika, otworzył katalog i mruknął z zadowolenia.

- W porządku. To jedna z tych, o które mi chodzi. Gdzie jest druga?

- Najpierw moja żona i córka. Jak je zobaczę, dostaniesz drugą dyskietkę. Inaczej nie mamy o czym rozmawiać.

Czuł, jak pot spływa mu po włosach i ścieka strumykiem po karku. Miał wrażenie, że mrówki chodzą mu po plecach. Nie był pewien, czy Howell podejmie to wyzwanie, ale nie miał innego wyjścia. Wszystko sprowadzało się do pytania, który z nich wyłamie się pierwszy.

Byli jak zawodnicy tuż przed bezpośrednim starciem.

Czekał spokojnie, aż Howell podejmie decyzję, chociaż znał ją z góry. Nie zostawił mu wyboru. Nadzorca sięgnął po telefon.

## GLEN HOWELL

Talley wcale nie zachowywał się jak gliniarz, który przeżył załamanie psychiczne i zakopał się w tej dziurze, by w spokoju dojść do siebie. O wiele bardziej przypominał zdecydowanego i bezwzględnego antyterrorystę. Ale był przerażony. Howell wiedział, że musi to wykorzystać, musi jeszcze bardziej nasilić jego strach o życie żony i córki, tak bardzo, by Talley przestał myśleć logicznie. Przypuszczał, że ma drugą dyskietkę przy sobie, ale mógłby to sprawdzić tylko wtedy, gdyby go zabił. Gdyby zaś okazało się po fakcie, że jednak jej nie ma, wszystko wzięłoby w łeb. Przesłanie Sonny'ego Benzy było jasne: wydałby na niego wyrok.

Marion Clewes odebrał już po pierwszym sygnale.

- Tak?

- Przywieź je - powiedział spokojnie, nie spuszczać wzroku z Talleya. Chciał mu w ten sposób dać do zrozumienia, że wciąż trzyma w garści los jego żony i córki. - Zatrzymaj samochód przed drzwiami, ale zostań za kierownicą. Chcę mu udowodnić, że nic im się nie stało.

- Jasna sprawa.

Nie uszło jego uwagi, że Talley lekko zagryzł wargi, kiedy usłyszał, że Clewes ma zostać w samochodzie. Na pewno mu się to nie podobało, ale próbował zamaskować swoje odczucia. Dla Howella był to dobry znak. Poczul się, jakby wyłożył na stół atut, dzięki któremu wygra partię.

- I nie przerywaj połączenia. Koniecznie musimy być w stałym kontakcie. Chcę mieć możliwość rozmowy z tobą w każdej chwili.

- W porządku.

Howell opuścił telefon. Clewes czekał przy stacji benzynowej kilkadziesiąt metrów dalej. Powinien dojechać do motelu w ciągu paru sekund.

- Są już w drodze, Talley.

- Nie wystarczy, że je zobaczę. Dostaniesz drugą dyskietkę dopiero wtedy, gdy odzyskają wolność.

- Rozumiem.

Zza otwartych drzwi doleciał cichy warkot samochodu. Clewes wykręcił na wolne miejsce parkingowe przy zielonym mustangu, ustawiając wóz dokładnie na

wprost pokoju. Żona Talleya, Jane, siedziała z przodu, obok kierowcy, a córka z tyłu. Obie miały związane ręce i zakneblowane usta.

Howell zauważył, że komendant odruchowo zrobił krok w stronę drzwi, ale zaraz się opanował i popatrzył na niego.

- Każ im wysiąść z samochodu.

Howell podniósł aparat.

- Marion?

Na parkingu Clewes także podniósł telefon. Doskonale widzieli się nawzajem przez otwarte na oścież drzwi.

- Tak?

- Przystaw kobiecie pistolet do głowy.

#### MARION CLEWES

Czuł się doskonale w swoim samochodzie, którego wnętrze wciąż wypełniał specyficzny zapach nowiutkiej tapicerki. Przy zamkniętych oknach, silniku pracującym na wolnych obrotach i cicho szumiącym klimatyzatorze nie docierały tu żadne odgłosy z zewnątrz. Mimo szłochu matki i córki, który nieco go drażnił, próbował się skupić na poleceniach padających przez telefon.

- Tak jest.

Miał swoje rozkazy. Podobnie jak Glen Howell, którego zadaniem było odzyskanie dyskietek, on także dokładnie wiedział, co i kiedy powinien uczynić. W tym wypadku wszystko zależało od efektu działań. Można było oczekiwać nagrody, jeśli okaże się pozytywny, lub kary, gdy stanie się inaczej. Czynnikiem decydującym o powodzeniu akcji były te dwie dyskietki.

Uniósł pistolet i przystawił go matce do głowy. Wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Siedząca za nią córka zajęczała trochę głośniejsze.

Marion uśmiechnął się ciepło, choć wcale nie było mu do śmiechu. Uważnie obserwował rozwój wypadków w pokoju motelowym.

- Nie martwcie się, moje panie - rzekł. - Nic wam nie grozi.

Trzymał pistolet nieruchomo, przytknięty do lewej skroni kobiety.

## TALLEY

Miał wrażenie, że cały świat zawęził się nagle do tego samochodu stojącego dziesięć kroków dalej. Widział jego wnętrze i wszystko, co się tam dzieje, z niezwykłą, wręcz nierealną klarownością. Siedzący za kierownicą mężczyzna uniósł mały czarny pistolet i przystawił go do skroni Jane. Łzy spływające po jej twarzy błyszczały w świetle zapalanej lampki podsufitowej. Siedząca z tyłu Amanda rytmicznie kiwała się na boki, zanosząc się szlochem.

- Nie! - krzyknął Talley.

Howell, nie opuszczając telefonu komórkowego, odezwał się jak gdyby równocześnie do niego i człowieka w samochodzie.

- Daj mi drugą dyskietkę, inaczej on zabije twoją żonę.

- Nie!

Wymierzył pistolet w kierowcę, ale przestraszył się, że duży kąt nachylenia przedniej szyby spowoduje rykoszet. Sytuacja była teraz zupełnie inna niż wtedy, gdy Neil Craimont zastrzelił szaleńca przystawiającego mu broń do głowy w drzwiach przedszkola. Mężczyznę siedzącego za kierownicą ze wszystkich stron otaczały szyby, a w tych warunkach trudno było o precyzyjny strzał. Talley wymierzył więc z powrotem w Howella. Sytuacja nagle zmieniła się diametralnie. Jego plan wziął w łeb.

Nadzorca był górą.

- Zabiję cię, Howell! Nigdy nie dostaniesz tej dyskietki!

- Wcześniej on zabije twoją żonę, ale córka zostanie przy życiu. Słyszysz to, Marion?

Talley dostrzegł skinienie głowy mężczyzny w samochodzie. Znowu wymierzył w niego.

- Zabiję cię! Słyszysz, sukinsynu?! Kierowca tylko się uśmiechnął. Howell odezwał się spokojnie:

- Nadal będę miał twoją córkę. Twoja żona zginie, ale córka pozostanie przy życiu. Widzisz ją w samochodzie, Talley? Lecz jeśli strzelisz do mnie, on zabije również twoją córkę. Chcesz je stracić obie?

Bez przerwy mierzył do człowieka siedzącego za kierownicą. Serce waliło mu tak mocno, że aż pistolet lekko podskakiwał w dłoni. Gdyby wycelował nisko, u podstawy szyby, tor pocisku odchyliłby się ku górze, ale trudno było ocenić, pod jakim

kątem. A gdyby nie trafił za pierwszym strzałem, kosztowałoby to życie Jane. Poza tym Howell i facet z wielką głową pewnie zdążyliby strzelić do niego. Nic by w ten sposób nie osiągnął.

- To koniec negocjacji - rzekł Howell. - Przegrałeś.

Talley zerknął na niego, wciąż rozmyślając nad kolejnością. Najpierw musiał zastrzelić kierowcę, potem Howella, na końcu faceta klęczącego na podłodze. Powinien ich wszystkich zabić, jeśli chciał uratować swoją rodzinę. Ale to wykraczało poza jego możliwości.

- Rzuć pistolet i oddaj mi drugą dyskietkę - ciągnął Howell. - Nie masz innego wyjścia. Jak nie dostanę dyskietki, jej mózg rozmaże się po szybie samochodu.

Talleyowi łzy napłynęły do oczu, kiedy doszedł do wniosku, że zapewne nie wyjdą z tego z życiem. Została mu ostatnia szansa - niewielka, ponieważ Howell i Benza wciąż chcieli odzyskać dyskietki.

Opuścił pistolet.

Kierowca mustanga natychmiast odskoczył w bok. Howell i facet z wielką głową rzucili się w jego kierunku. Wyrwali mu broń z ręki, pchnęli go na ścianę i przyszpilili niczym złapany okaz motyla w gablocie. Kiedy Nadzorca zaczął go przeszukiwać, mruknął z rezygnacją:

- W lewej górnej kieszeni.

Był całkiem odrętwiały. Przegrał. Mężczyzna z samochodu powoli wysiadł i stanął w drzwiach pokoju. Talley popatrzył na żonę i córkę wciąż siedzące w aucie. Kiedy Jane spojrzała mu prosto w oczy, poczuł tak ogromny przyływ czułości, jakby porwała go fala powodziowa.

Howell załadował dyskietkę do czytnika komputera.

Talley obejrzał się na niego i odczuł ponurą satysfakcję na widok jego osłupiałej miny.

- Ty sukinsynu. To nie ta dyskietka. Ta jest czysta. Nie ma na niej żadnych plików!

Miał wrażenie, że gruba szyba oddziela go od tego pokoju motelowego i przebywających w nim ludzi. Popatrzył z powrotem na Jane i uśmiechnął się do niej w taki sam sposób, jak kiedyś nawzajem robili to z satysfakcją, kiedy byli w łóżku. Przeniósł wzrok na Howella i powiedział:

- Nie mam drugiej dyskietki. Oddałem ją śledczemu z biura szeryfa i poprosiłem, żeby przekazał FBI. Benza jest skończony. Ty także. Nie da się już temu zaradzić.

Na twarzy Nadzorcy odmalowało się niedowierzenie.

- Kłamiesz.

- Mówię prawdę. Między nami gra skończona, Howell. Puść nas. Oszczędź sobie oskarżenia o morderstwo.

Stał dziwnie wyprężony, niczym robot. Rozejrzał się po łóżku nieprzytomnym wzrokiem, wreszcie podniósł z podłogi pistolet i wymierzył w Talleya.

- Przewróciło ci się we łbie?

- Chcę tylko zabrać swoją rodzinę i wrócić do domu.

Howell pokręcił głową, jakby nadal nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Skrzywił się i ledwie zauważalnie skinął w kierunku mężczyzny stojącego w drzwiach, który pilnował Amandy i Jane.

- Zabij ich.

## MARION CLEWES

Marion patrzył z uwagą, jak Glen Howell otwiera katalog drugiej dyskietki. Poczul się rozczarowany, że Talley tak naiwnie usiłował ich wyprowadzić w pole. Ale spodziewał się tego. W końcu mieli do czynienia z policjantem. Należało oczekiwać, że zdobywszy materiały obciążającego kogoś takiego, jak Sonny Benza, nie wypuści ich z rąk, nawet gdy jego żona i córka są zakładniczkami. W jego pojęciu przekazanie dyskietki agentom federalnym było jedynym możliwym wyjściem.

- Zabij ich - rozkazał Howell.

Wszystko zależało od efektu działań. Nagrody można się było spodziewać tylko wtedy, gdy był pozytywny, w przeciwnym razie powinno się oczekiwać kary. Czynnikiem decydującym o powodzeniu akcji były dyskietki, a Glen Howell nie zdołał ich odzyskać.

Marion poczuł przyływ smutku. Zawsze lubił Howella chociaż wyczuwał u niego wielką rezerwę wobec siebie.

Miał swoje rozkazy.

Uniósł pistolet.

TALLEY

Stojący w drzwiach mężczyzna, którego Howell nazywał Marionem, uniósł pistolet i wymierzył mu między oczy. Był niepozornym facetem o pospolitym wyglądzie, jednym z tych, na których w ogóle nie zwraca się uwagi na ulicy i których bardzo trudno zidentyfikować na podstawie opisu świadków - szarym człowiekiem w szarym ubraniu, średniego wzrostu i średniej budowy ciała.

Talley popatrzył w mroczny wylot lufy pistoletu, szykując się na śmierć.

- Przykro mi, Jane.

Marion błyskawicznie obrócił się i strzelił. Przeniósł rękę nieco w bok i strzelił po raz drugi. Wreszcie padł trzeci strzał. Pierwsza kula trafiła Howella w czoło nad prawym okiem. Druga kierowcę mustanga precyzyjnie w lewe oko. Trzecia mężczyznę o wielkiej głowie w skroń.

Zabójca opuścił pistolet.

Talley stał bez ruchu z plecami przywartymi do ściany, spoglądając na niego wzrokiem ptaka usiłującego odstraszyć węża od gniazda.

Marion wzruszył ramionami.

- Życie jest okrutne - rzekł.

Podszedł do nocnego stolika, wziął pierwszą dyskietkę, schował ją do kieszeni, po czym ruszył w kierunku samochodu. Pomógł wsiąść Jane, a następnie otworzył tylne drzwi i wyciągnął Amandę za rękę. Obszedł maskę, usiadł za kierownicą i odjechał bez słowa. Talley dostrzegł jeszcze, że podnosi telefon komórkowy do ucha, zanim samochód skręcił do wyjazdu z parkingu.

Otoczyła ich cisza.

Gwałtowny huragan przetoczył się przez Bristo Camino, pozostając poza kontrolą Talleya, dając mu zasmakować bólu i poczucia straty. Teraz nagle ucichł. W utworzonej przez niego pustce pozostało tylko ich troje.

- Jane?



Talley na miękkich nogach wyszedł z motelu i podbiegł do żony. Objął ją i przytulił silnie, z rozpaczliwą gwałtownością. Równie gwałtownie przyciągnął do siebie córkę, nie mogąc zapanować nad łzami, które pociekły mu po twarzy. Powtarzał sobie w duchu, że nigdy ich nie opuści, raz już od nich odszedł i prawie je stracił, teraz zostali rozłączeni po raz drugi i omal nie stracił ich na zawsze, toteż już nigdy, w żadnych okolicznościach nie mógł dopuścić, by coś podobnego spotkało jego rodzinę po raz trzeci.

Na szczęście znów byli razem.

SONNY BENZA

Sonny Benza nawet nie próbował zasnąć po telefonie od Glena Howella. Połknął dwadzieścia miligramów adderallu i zażył dwie ścieżki amfy, żeby być na chodzie. Czekali we trzech na dalsze wiadomości.

Kiedy telefon znów zadzwonił, o mało nie spadł z kanapy.

Tuzee spojrzał na niego z niemym pytaniem, czy ma odebrać, i Benza skinął głową.

Tuzee podniósł słuchawkę.

- Dzwonią z lotniska. Chcą wiedzieć, dokąd się wybierasz, żeby sporządzić plan lotu.

- Powiedz, że do Rio. W powietrzu zmienimy trasę.

Kiedy Tuzee się rozłączył, Salvetti mruknął:

- I tak będą wiedzieli, dokąd poleciałeś. Prywatne odrzutowce latają na tak dużych wysokościach, że przez cały czas pozostają w zasięgu radarów kontroli naziemnej.

- Nie przejmuj się tym, Sally. Coś wymyślimy.

- Tylko uprzedzałem.

- Nie przejmuj się.

Telefon zadzwonił po raz drugi i Tuzee odebrał bez pytania. Benza od razu domyślił się po jego minie, że przyszła oczekiwana wiadomość.

- Jasna cholera - syknął Salvetti.

Tuzee włączył przystawkę głośnomówiącą, wyjaśniając:

- To Ken Seymore. Ken? Są przy mnie Sonny i Charlie. Jakie masz wieści?

- Wszystko się popieprzyło! Jedno wielkie szambo! Wciąż jestem na osiedlu, ale...

- Gównu mnie obchodzi, gdzie jesteś! - wrzasnął Benza, którego do szachu doprowadziło przerażenie w głosie Seymore'a. - Macie te cholerne dyskietki czy nie?!

- Nie! Policja je zabrała. Glen Howell i dwóch jego ludzi nie żyje. Aresztowali Manellego, Ruiza i Bóg wie, kogo jeszcze. Tu jest cholerny rozgardiasz. Nawet nie wiem, jak to się stało.

- Kto zabił Howella? Talley?

- Nie wiem, ale chyba Talley. Nic nie jest pewne. Co chwila docierają do mnie coraz to inne plotki.

Sonny zamknął oczy. Fiasko tej jednej akcji dla niego oznaczało koniec wszystkiego. Tylko z tego powodu, że trzech kretynów przypadkiem wdarło się do domu księgowego, on miał teraz stracić wszystko, na co pracował całe życie.

- Jesteś pewien, że policja zabrała dyskietki? - zapytał Tuzee.

- Talley przekazał je śledczemu z biura szeryfa. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Nie wiem tylko, co się później stało. Glen został zlokalizowany w motelu, doszło tam do jakiejś pieprzonej strzelaniny i teraz wszędzie jest pełno agentów FBI. Mówię o prawdziwym FBI. Co mam dalej robić?

Benza pokręcił głową. Ani Seymore, ani nikt inny nie mógł już nic poradzić.

- Znikaj - rzucił Tuzee. - Niech wszyscy, którzy są jeszcze na wolności, zwiewają stamtąd. To koniec.

Zapadła cisza. Ken Seymore bez słowa przerwał połączenie.

Benza jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, po czym podszedł do okna, za którym rozciągała się panorama Palm Springs. Pomyślał, że będzie mu bardzo brakowało tego widoku.

Salvetti stanął obok niego.

- Co mamy teraz robić, szefie?

- Jak sądzisz, ile mamy czasu, zanim federalni się tu zjawią?

Sam potrafił to oszacować, ale chciał usłyszeć zdanie przyjaciela.

Salvetti i Tuzee popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami.

- Talley musi im szczegółowo zrelacjonować, co jest na tych dyskietkach - rzekł Tuzee. - Potem pewnie będą chcieli jeszcze przesłuchać Smitha. Trudno powiedzieć, czy pójdzie na współpracę.

- Będzie gadał.

- Jasne. Można zakładać, że zechcą cię przyskrzynić na dobre, żeby zyskać czas na przygotowanie uzasadnionych zarzutów, więc pewnie wystawią nakaz aresztowania na podstawie podejrzeń o kierowanie porwaniami i zabójstwami w Bristo. Gdyby przesłali go tutaj faksem i wydali dyspozycje gliniarzom z Palm Springs... Powiedzmy, że mamy dwie godziny.

- Dwie godziny...

- Owszem. Nie sądzę, by zjawili się wcześniej.

Benza westchnął.

- W porządku. Chcę być w powietrzu za godzinę.

- Załatwione, Sonny.

- Nie uprzedzisz ludzi z Nowego Jorku? - zapytał Salvetti.

W ogóle nie miał takiego zamiaru. Bał się reakcji rodzin ze Wschodniego Wybrzeża o wiele bardziej niż oskarżeń ze strony agentów federalnych.

- Pieprzyć ich. Idźcie po swoje rodziny. I niczego nie pakujcie. Na miejscu kupimy sobie wszystko. Musimy jak najszybciej spotkać się na lotnisku. Najpóźniej za trzy kwadranse.

Jeszcze przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Świetnie zdawali sobie sprawę, w jak trudnej znaleźli się sytuacji. Benza uściśnął im dłonie. W końcu byli serdecznymi przyjaciółmi. Nigdy się na nich nie zawiódł.

- Rozkręciliśmy tu razem niezły interes - rzekł.

Salvetti nie zdołał powstrzymać łez. Odwrócił się i bez słowa ruszył do wyjścia z gabinetu.

Tuzee stał ze spuszczoną głową, a gdy tamten wyszedł, jeszcze raz wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Benzy.

- To wszystko się na nas zemści, Sonny. Zobaczysz. Gdybyś uczciwie ostrzegł tych z Nowego Jorku, jakoś byśmy się z tego wykaraskali.

Benza pomyślał, że to złudne nadzieje, ale był wdzięczny przyjacielowi za tę próbę pocieszenia. Zdobył się nawet na skąpy uśmiech.

- Philly, i tak do końca życia będziemy się wciąż oglądać przez ramię. Daruj sobie. To stały element tej gry.

Tuzee uśmiechnął się boleśnie.

- Tak, chyba masz rację. Do zobaczenia na lotnisku.

- Na razie.

Kiedy Tuzee także wyszedł, Sonny Benza znów odwrócił się do okna. Uwielbiał podziwiać rozsiane w dole światła na pustyni, migoczące jak niespełnione marzenia. Przypominały mu, jak dumny był jego ojciec z domu wybudowanego w tym miejscu, z jaką rozkoszą lubił powtarzać: „To jest możliwe tylko w Ameryce, Sonny, tylko tutaj, żeby mieszkać przy tej samej pieprzonej ulicy co Francis Albert!”.

Frank Sinatra już wtedy nie żył.

Benza poszedł na górę, żeby obudzić żonę.

*Sobota, 7.49 czasu wschodniego*

*Nowy Jork*

## VIC CASTELLANO

Vic Castellano siedział na tarasie i spoglądał na część Manhattanu zwaną Upper West Side. Nastął piękny ranek, powietrze było klarowne i rześkie, choć już o tak wczesnej porze bardziej rozgrzane niż o północy. Wciąż miał na sobie biały frotowy szlafrok z wyhaftowanym na plecach napisem NIE ZAWRACAJ MI DUPY. Tak bardzo go polubił, że gotów był go nosić na okrągło, dopóki nie spadnie mu z ramion. Odstawił filiżankę z kawą.

- Widzę po twojej minie, że jest niedobrze - powiedział, zaledwie Jamie Beldone stanął w drzwiach.

- Bardzo. Policja przejęła dyskiety. Mają księgowego Benzy i paru jego ludzi. Jak tylko federalni rozgryzą zapisy w księgach finansowych, zaczną się nam dobierać do tyłka.

- Jakoś to przeżyjemy.

Jamie pokiwał głową.

- Nie obejdzie się bez ofiar, lecz na pewno przeżyjemy. Ale Benza to zupełnie inna sprawa.

- Ten sukinsyn do tej pory nie zdobył się na odwagę, żeby zadzwonić. Możesz to sobie wyobrazić?

- Zupełnie brakuje mu klasy.

Castellano usiadł w fotelu i zamyślił się głęboko. Minionej nocy omawiali to z Jamiem dziesiątki razy, uważał jednak, że w takich sprawach nigdy nie zaszkodzi jeszcze raz uzgodnić wspólne ustalenia.

- Przeżyjemy - powtórzył - ale z powodu tego pajaca z Zachodniego Wybrzeża będziemy narażeni na ostre ataki prokuratury. A to oznacza, że powinniśmy jak najszybciej rozejrzeć się za innym garniturem.

- Pozostałe rodziny na pewno poprą takie stanowisko.

- Federalni zechcą teraz na dobre wyłączyć Benzę z gry, więc nikt nie powinien mieć nam za złe, że wcześniej zajmiemy się nim na własną rękę.

- Mamy do tego pełne prawo.

Castellano przytaknął ruchem głowy.

- Koniec końców, chyba nawet dobrze się stało, że sprawy przybrały taki obrót. Znajdziemy kogoś odpowiedzialnego, kto pojedzie na zachód i przejmie interesy Benzy, a przy okazji wykroi jeszcze spory kawałek tortu dla nas.

- Najlepiej sam krem z przybraniem, który wszystkim przypadnie do gustu. Więc co pan zleci, szefie?

Castellano już od dobrych sześciu godzin wiedział, co powinien zrobić. Nie sprawiało mu to żadnej satysfakcji, ale nie widział innego wyjścia.

- Dzwon.

Beldone zawrócił do salonu.

- Jamie!

- Słucham.

- Tylko muszę mieć całkowitą pewność. Ten facet, Marion Clewes, to według mnie zwykły krętacz. Wolalbym nie polegać na jego słowie, że Benza jest skończony. Chcę mieć absolutną pewność.

- Ja mam tę pewność, Vic. Dwa razy sprawdzałem. Właśnie przed chwilą rozmawiałem z Philem Tuzeem.

Castellano odetchnął z ulgą. Wiedział, że Tuzee pod żadnym pozorem nie wprowadziłby go w błąd.

- W porządku. W takim razie dzwoń i zakończ tę sprawę.

*Sobota, 4.53 czasu pacyficznego  
Palm Springs, Kalifornia*

SONNY BENZA

Żona ruszała się tak wolno, że miał ochotę smagnąć ją batem po tyłku. A dzieci grzebały się jeszcze bardziej.

- Czy mogłabyś się pospieszyć, na miłość boską?! Musimy natychmiast jechać.

- Przecież nie zostawię swoich rzeczy!

- Kupię ci nowe!

- Nie odkupisz zdjęć. Chcesz, żebym zostawiła nasz ślubny album? Nie odkupisz go za żadne pieniądze.

- Daję ci jeszcze pięć minut! Słyszysz? Pięć minut! Zabieraj dzieciaki i wychodź przed dom, bo inaczej zostawię was i pojedę sam.

Wyszedł z pokoju i ruszył do garażu. Miał ze sobą tylko niedużą nylonową torbę turystyczną, do której zapakował sto tysięcy dolarów w gotówce, zapas leków na serce i pistolet z amunicją. Wszystko inne mógł kupić po dotarciu na miejsce. Na różnych zagranicznych kontach zgromadził przecież ponad trzydzieści milionów.

Wcisnął kontakt otwierania drzwi garażu, rzucił torbę podróżną na tylne siedzenie mercedesa i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i na dużym gazie wyjechał tyłem, żeby szerokim łukiem zajechać przed drzwiami od frontu. Zrobił to z takim impetem, że omal nie staranował poobijanego sedana stojącego na podjeździe przed domem.

Po obu stronach wozu strzeliły nagle jęzory płomieni, tylna szyba mercedesa rozprysła się z brzękiem. Pociski pchnęły Benzę na kierownicę. Rzucił się w bok, na prawe siedzenie, myśląc jeszcze o tym, żeby wyciągnąć pistolet z torby turystycznej,

ale nie starczyło mu czasu. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy i wpakował mu dwie kule w głowę.



**Część piąta**

# **SAD AWOKADO**

*Niedziela, 14.16*  
*Dwa tygodnie później*

TALLEY

W jego pamięci odżyła dręcząca go od dawna fantazja. Tamtego dnia, kiedy przyjechał do sadu awokado, widział w wyobraźni biegającego między drzewami Brendana Malika, miał w uszach dźwięczny śmiech chłopca, wzbijającego w powietrze tumany kurzu w czasie slalomów między szeregami drzew, wspinającego się na nisko zwieszona gałęzie i bujającego na nich głową w dół. W jego marzeniach Brendan był zawsze roześmiany i szczęśliwy, nawet gdy ukazywał mu się z twarzą okrytą śmiertelną bladością i strumieniem krwi tryskającym z rozszarpanej tętnicy szyjnej. Chyba nawet nie był w stanie wyobrazić sobie chłopaka smutnego czy zapłakanego.

- O czym myślisz? - zapytała Jane.

Siedzieli w jego radiowozie, obserwując jastrzębie o czerwonych ogonach krążące nad drzewami. Amanda została w Los Angeles, tym razem Jane sama przyjechała do niego na weekend.

- O Brendanie Maliku. Pamiętasz tego chłopaka?

- Nie kojarzę nazwiska.

Talley dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy jej o nim nie mówił. Od czasu, kiedy wyszedł z jego domu tamtej nocy, nie wspomniał o chłopcu nikomu, nawet policyjnemu psychologowi.

- Chyba ci o nim nie mówiłem.

- Kim był?

- Ofiarą w jednej ze spraw, w której prowadziłem negocjacje. Teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

Jane wzięła go za rękę. Obróciła się na siedzeniu i spojrzała na niego.

- Na pewno ma znaczenie, skoro wciąż o nim myślisz.

Talley zamyślił się na krótko.

- Miał jakieś dziewięć lat, był mniej więcej w wieku Thomasa. Czasami go wspominam.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Pewnie tak.

Zaczął jej teraz opowiadać o wydarzeniach tamtej nocy, kiedy trzymał umierającego Brendana za rękę i patrzył mu w oczy, ogarnięty nieopisanym wstydem i poczuciem klęski.

Słuchając jego relacji, Jane aż zaszlochała. Jemu też łzy napłynęły do oczu.

- Teraz też próbowałem przywołać z pamięci jego twarz, ale nie mogłem. Nie wiem, czy powinienem się tym martwić, czy cieszyć. Myślisz, że to źle?

Jane ścisnęła jego rękę.

- Myślę, że bardzo dobrze, skoro możemy wreszcie o tym rozmawiać. To chyba oznaka, że wracasz do siebie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

- Chyba najwyższa pora, co nie?

Rozpromieniła się i odpowiedziała tym swoim uroczym uśmiechem, który zawsze sprawiał mu ogromną radość i dodawał otuchy.

- Dowiedziałeś się czegoś o Thomasie?

- Rozpytywałem, ale nikt nie chce puścić pary z ust. Może to i lepiej.

Walter Smith z rodziną został objęty federalnym programem ochrony świadków i po prostu zniknął bez śladu. Talley mógł tylko żywić nadzieję, że któregoś dnia Thomas się z nim skontaktuje, choć i to wydawało mu się mało prawdopodobne, a poza tym niezbyt bezpieczne.

- Ile mamy jeszcze czasu, zanim będziesz musiał wracać na służbę? - zapytała Jane.

- Dużo. Przecież jestem komendantem policji.

Uśmiechnęła się szerzej.

- No to przejdźmy się trochę.

Ruszyli przez sad, przecinając kolejno plamy słońca i cienia. Rozleniwione upałem pszczoły monotonnie bzyczały wokół nich. Talleya ogarnął błogi spokój, który przyniósł mu ten spacer. Już dawno nie czuł się tak rozluźniony, zamykając się w

sobie przed całym światem. Rzeczywiście wrócił do siebie. A przynajmniej był na najlepszej drodze, żeby wrócić.

W sędzie awokado jak zawsze panował spokój niczym w kościele.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

Jane znów ścisnęła go za rękę. Talleyowi przyszło do głowy, że kościół jest nie tylko miejscem, gdzie ludzie żegnają się ze zmarłymi, ale także czczą narodziny nowego życia. Wiedział, że i oni będą teraz mogli zacząć życie od nowa.